

IWONA KIENZLER

PORACHUNKI

SZWEDZKA GOTLANDIA, ZNANA JAKO WYSPA
MILIONERÓW, SKRYWA MROCZNE TAJEMNICE...



IWONA
KIENZLER

PORACHUNKI

L i R A
WYDAWNICTWO

WARSZAWA 2024

Tytuł oryginału: Uppgörelser på Gotland

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2024

© Copyright by Iwona Kienzler, 2024

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora

Redakcja: Ewa Popielarz

Korekta: Patryk Białczak

Skład: Klara Pereptyś-Pająk

Projekt okładki: Magdalena Wójcik

Zdjęcia na okładce: © Sakorn Singsuwan/123 rf.com,

© allertaler/pixabay.com

Zdjęcie autorki: © Maciej Zienkiewicz Photography

Retusz zdjęcia okładkowego: Katarzyna Stachacz

Redakcja techniczna: Kaja Mikoszevska

Producenci wydawniczy:

Anna Laskowska, Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz

Wydawca: Marek Jannasz

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2024

ISBN: 978-83-67915-61-8 (EPUB); 978-83-67915-62-5 (MOBI)

Lira Publishing Sp. z o.o.

al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa



www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na: 

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



SPIS TREŚCI

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Spis treści

Motto

Prolog

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

30.

31.

32.

33.

34.

35.

36.

37.

38.

39.

40.

41.

42.

43.

44.

45.

46.

47.

48.

49.

50.

51.

52.

53.

54.

55.

56.

57.

58.

59.

Postowie

May God betray them who betrayed him
Bóg zdradza tych, którzy zdradzili Jego

PROLOG

Miasto nocą wyglądało jak wymarłe. Palily się jedynie nieliczne w tym miejscu latarnie, neony sklepów i kilka wystaw, których światła odbijały się w kałużach. Panowała kompletna cisza. Rozświetlona restauracja i zaparkowane przy niej samochody pozwalały przypuszczać, że wewnątrz tętni życie nocne, chociaż na zewnątrz nie przedostawał się żaden hałas. A przecież głośna muzyka w środku musiała dosłownie rozsadzać bębunki, tak jak we wszystkich tego rodzaju przybytkach.

Po chwili z restauracji wytoczyła się ze śmiechem grupa młodych ludzi, wpadając wprost na zaparkowany przy krawężniku stary terenowy samochód.

– Hej, człowieku, nie śpij! Jeszcze wcześniej. – Jedna z pijanych dziewczyn uderzyła ręką w brudny dach wozu, ale gdy napotkała zimny wzrok stalowoszarych oczu siedzącego za kierownicą młodego człowieka, natychmiast cofnęła dłoń. Pospiesznie wybełkotała „przepraszam” i całe rozbawione towarzystwo zniknęło za ramiem.

Młoda kobieta w pierwszej chwili miała ochotę obejrzeć się za siebie i spojrzeć raz jeszcze na kierowcę zaparkowanego pojazdu, ale wspomnienie spojrzenia, jakim obrzucił ją samą i jej towarzyszy, skutecznie ją od tego odwiodło. Nikt nigdy wcześniej tak na nią nie patrzył i już sama myśl o spotkaniu się z właścicielem owych szarych, zimnych oczu przypawiła ją o dreszcz na plecach. Kiedy jednak zniknęli za zakrętem, zapomniała o całym zajściu.

*

Siedział tak już prawie czterdzieści minut. W końcu ruszył. Ulica była długa i prosta, jednak rozkopana droga i pozostawiony przez robotników ciężki sprzęt uniemożliwiały szybką jazdę, szczególnie że tym razem nie miał do dyspozycji dobrego, sportowego samochodu o niskim zawieszeniu. Zawsze żądał, aby zleceniodawca zapewnił mu możliwość korzystania z wysokiej klasy pojazdu, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że luksusowe auto mogło zwracać uwagę. Cóż, ryzyko zawodowe, ale ryzyko było nieodłącznym elementem jego pracy. Tym razem jednak pojazd musiał być odpowiednio ciężki.

Pogoda nie była najlepsza, cały wieczór mżyło i co chwilę musiał włączać wycieraczki, żeby cokolwiek widzieć. Od czasu do czasu zraszał szyby, chociaż nie znosił zapachu płynu do mycia. Ponieważ boczne okno miał do połowy opuszczone, na policzku czuł maleńkie krople deszczu. Robiło się coraz zimniej, ale na szczęście tej nocy miasto jeszcze nie doświadczyło zapowiadanego przez meteorologów mrozu. Był dopiero listopad.

Niepokój, jaki odczuwał, utrzymywał go w stanie najwyższej koncentracji. Był jak zawsze dobrze przygotowany, miał wszystko zaplanowane z największą precyzją, i to pomimo tego, że zleceniodawca nie dał mu tym razem wiele czasu. Ale dla niego nie był to problem, był przecież zawodowcem, nie mogło mu się nie udać. Z rozmyślenia wyrwał go widok dwóch niewyraźnych świateł pojazdu jadącego wylotówką od strony Kristinebergu. Najwyższy czas, dochodziła już północ.

*

Chociaż ulica była zupełnie pusta, roboty drogowe zmuszały do ostrożnej jazdy nawet w nocy. Ciemna mazda jechała prawym pasem z przepisową prędkością, zwalniając przed każdym skrzyżowaniem. Kierowca prowadził, jak na Szweda przystało, przestrzegając przepisów. Poza tym doskonale zdawał sobie sprawę, że ktoś z jego pozycją nie może pozwolić sobie na popełnienie nawet najdrobniejszego

wykroczenia – jego stanowisko mu na to nie pozwalało, aczkolwiek chronił go immunitet. Zresztą zawsze jeździł ostrożnie, z przyzwyczajenia. Poza tym miał poczucie wewnętrznej przyzwoitości, wpojone mu jeszcze w dzieciństwie przez bogobojnych, protestanckich rodziców, wiedział też, że człowiekowi na świeczniku najzwyczajniej po prostu nie wypada zachowywać się w naganny sposób. Dopiero prasa miałyby używanie, gdyby ktoś kiedyś przyłapał go na przekraczaniu dozwolonej prędkości czy wymuszaniu pierwszeństwa. Coś takiego ostatecznie przekreśliłoby jego karierę, a przecież wciąż miał plany, tak wiele chciał dokonać...

„Strasznie ślisko” – pomyślał. „Będę musiał wspomnieć o tym w poniedziałek na zebraniu w magistracie. Służby powinny interesować się stanem nawierzchni przez całą dobę, nie tylko w ciągu dnia. Szkoda, że nie wzięliśmy taksówki”

W radiu cicho grała muzyka – Ricky Martin wyplakał się po stracie ukochanej, tak przynajmniej twierdził prezenter zapowiadający jego piosenkę. Mężczyzna prowadzący samochód co prawda nie znał hiszpańskiego, ale przemknęła mu myśl, że być może chodzi nie o dziewczynę, ale o chłopaka, wszak plotka głosiła, że przystojny Latynos gustuje w przedstawicielach tej samej płci. Uśmiechnął się pod nosem i odwróciwszy głowę, rzucił okiem na drzemiącą na tylnym fotelu kobietę. Jego żona spała spokojnie, z głową opartą o zagłówek fotela, a jej starannie ułożone przed wyjściem jasne włosy były teraz w lekkim nieładzie. Właściwie to nic dziwnego, że ją zmgłoło, przecież zawsze chodziła wcześniej spać. Lubiła obudzić się przed nim, przygotować mu kawę z rana i zacząć się już krzątać po mieszkaniu.

Tymczasem było naprawdę późno. Spotkanie ze starymi znajomymi bardzo się przeciągnęło. Dobrze się rozmawiało, dużo się śmiali, mieli podobne poczucie humoru. Z Ingrid i Johanem znali się niemal od zawsze, a przynajmniej tak o sobie mówili. W rzeczywistości poznał ich w liceum, kiedy żadne znaki na niebie i ziemi nie wróżyły jeszcze, że tych dwoje w przyszłości zostanie parą. Tymczasem pobrali się już na studiach i byli bodaj najzgodniejszym ze znanych mu małżeństw, a przynajmniej takie sprawiali wrażenie. Zawsze twierdził, że aż nazbyt dobrze się dogadują. W jego stadle nie zawsze było tak różowo, a kłótnie z żoną przypominały gwałtowne letnie burze. Na szczęście podobnie szybko mijały. Oboje z żoną lubili odwiedzać Johana i Ingrid, zwłaszcza kiedy pan domu serwował krewetki w białym winie, jego popisowe danie. Ale nie tylko zdolności kulinarne przyjaciela sprawiały, że lubił wpadać do ich domu z wizytą. Było to jedno z nielicznych miejsc, gdzie zapominał, jak odpowiedzialne stanowisko zajmuje, i mógł się odprężyć, nie będąc pod obstrzałem czujnych spojrzeń, o żadnych krwi dziennikarzach nie wspominając.

Kiedy wpadali do Ingrid i jej małżonka, z reguły kończyło się na burzliwej, trwającej nawet kilka godzin dyskusji, tak się bowiem składało, że on i Johan co prawda się przyjaźnili, ale na wiele kwestii mieli drastycznie odmienne spojrzenie, począwszy od polityki, na kinie skończywszy. Tak było i tym razem. Obaj toczyli zażartą dysputę, przy czym gospodarz jak zwykle dał się ponieść emocjom – mówił podniesionym głosem, niemal krzyżąc i gwałtownie gestykulując, w czym zresztą przypominał raczej gorącego Włocha niż stereotypowego chłodnego Szweda. On sam był zazwyczaj opanowany i nigdy nie dał się wyprowadzić z równowagi, ale taki pozorny stoicki spokój udało mu się wypracować dopiero po kilku latach kariery politycznej. Ten rażący kontrast pomiędzy interlokutorami sprawiał, że ich żony miały z nich niezły ubaw, dlatego – chociaż także lubiły ze sobą rozmawiać – z przyjemnością przysłuchiwały się dyskusjom swoich partnerów, od czasu do czasu wymieniając między sobą uwagi przyciszonym głosem lub spoglądając na siebie znacząco.

Tego wieczoru panie rozsiadły się wygodnie na kanapie, dzierżąc w dłoniach kieliszki z winem, i oglądały oratorskie popisy swoich małżonków, czasem cichutko chichocząc. Kto wie, ile czasu spędziliby u Johana i Ingrid, gdyby odruchowo nie spojrział na zabytkowy, odziedziczony po dziadkach pani domu zegar wiszący w centralnym punkcie salonu. Dopiero wówczas zorientował się, jak jest późno, a przecież musieli jeszcze odebrać dzieci od sąsiadki. Ich córki, zostawione pod opieką zaprzyjaźnionej nastolatki, pewnie już spały. Mając małe dzieci, trzeba być nieustannie czujnym. Dlaczego ciągle o wszystko się martwi i nie potrafi się zrelaksować nawet na świetnej imprezie? Jego żona jest bardziej wyluzowana, wie, że dzieci mają opiekę i pewnie już w najlepsze śpią.

Pomyślał, że w gruncie rzeczy to dobrze, że współpracownicy nie wiedzą, jakim sztyniakiem jest prywatnie. Ta samokontrola nawet dla niego samego stawała się czasami nie do wytrzymania. Spokojnie mógł wypić kilka drinków więcej i oddać kluczyki żonie; jego koledzy często wracali do domu mocno

pijani. Ale on był przekonany, że jemu nie wypada. Musiał świecić przykładem, chodzący ideał. Jego matka, gdyby oczywiście żyła, zapewne byłaby z niego dumna, ale żona uważała, że przesadza.

Samochód zbliżał się do kolejnych nieczynnych świateł. Wszystko przez tę przebudowę starego skrzyżowania. Dziwne, że nie ma żadnych innych pojazdów na tej drodze. Może inni nie umieją jeździć bez działającej sygnalizacji świetlnej? Wszyscy, którzy wyszli w sobotę wieczorem z domu, pewnie jeszcze gdzieś się bawią, tylko nie on...

Z zamyślenia wyrwało go nagle silne uderzenie i potworny huk. Samochód przekoziołkował i uderzył w stojący nieopodal walec drogowy. Ułamek sekundy wystarczył, żeby całe jego uporządkowane i nudne życie stało się nieistotne. To wszystko nieważne. Chciał krzyknąć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Nie czuł bólu, tylko ciepłą ciecz zalewającą mu oczy i usta. Odruchowo wyciągnął prawą rękę, żeby sprawdzić, co z żoną, ale napotkał pustkę. Nie mógł się ruszyć. Napięte pasy bezpieczeństwa przytrzymały go mocno.

Kiedy próbował ruszyć lewą ręką, poczuł tak przejmujący ból, że z jego gardła wyrwał się krzyk, który bardziej przypominał wycie niż ludzki głos. Po chwili kątem oka zauważył, że od strony szosy zbliża się do nich jakiś człowiek. Kiedy odwrócił głowę, niewyraźnie dostrzegł jego twarz zasłoniętą przez kaptur ciemnej kurtki. Pomimo panującej ciemności, ledwie rozświetlonej przez stojącą nieco dalej latarnię, mężczyzna wydał mu się stosunkowo młody. Był pewien, że nieznajomy zaraz otworzy drzwi, by wyciągnąć jego i jego żonę z samochodu, ale człowiek ten tylko zajrzał do środka – najpierw przez przednią, potem przez tylną szybę, jakby chciał sprawdzić, co się stało kierowcy i pasażerom. Wrzasnął coś wściekle w obcym języku, co brzmiało jak paskudne przekleństwo, a potem szybko pobiegł w nieznanym kierunku. Pomyślał, że nieznajomy udał się po pomoc. Znowu próbował prawą ręką sięgnąć do siedzącej z tyłu żony, ale i tym razem trafił w pustkę. A potem zapadł się w nicość...

*

Ocknął się w szpitalu. Bóg jeden wie, jak długo tam leżał i przez jaki czas był nieprzytomny. Szybko się zorientował, że oddycha samodzielnie, obie nogi oraz lewą rękę ma w gipsie i jest podłączony do mnóstwa czujników. Jakieś urządzenie pikało tuż nad jego uchem, ze stojaka umieszczonego po jego lewej stronie powoli kapał płyn, który potem płynął cienką rurką podłączoną gdzieś do jego ciała. Spokojnie rozglądał się po sali, szukając kogoś z personelu. Zamiast tego dojrzał siedzącą na krześle na lewo od łóżka Martę, swoją teściową. Uśmiechnął się na widok znajomej twarzy, a przynajmniej starał się uśmiechnąć. Po jej minie wywnioskował, że chyba mu to nie wyszło. Marta siedziała wyprostowana, ubrana w elegancką czarną sukienkę, a włosy, które zwykle spletała w luźny warkocz lub spinała w koński ogon, wyjątkowo miała starannie upięte w kok. Ze zdziwieniem zauważył, że chyba przybyło jej siwych włosów. Światło sączące się z lamp na suficie sprawiało, że wśród jej naturalnie jasnych, gęstych pasm widać było wyraźnie białe nitki. Dostrzegł też, że była zdenerwowana, co jakiś czas zaciskała palce na brzegu czarnej, eleganckiej torebki, którą trzymała na kolanach. Właściwie to był jedyny ruch, jaki wykonywała: siedziała sztywno, wpatrzona w niego, nawet nie łożyła nogi na nogę.

– Cześć, Marto! – powiedział zachrypniętym głosem. – Dobrze cię widzieć. Zdaje się, że mieliśmy z Lottą wypadek i nieźle nas pokiereszowało.

Kobieta nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła. Wciąż siedziała bez ruchu, jakby ktoś zamienił ją w słup soli.

– Kiepsko to wygląda – kontynuował. – Byłaś już u Lotty? Co z nią? Jak się czuje?

Marta wciąż milczała, ale kiedy spojrział w jej oczy, ujrzał w nich coś, co go zmroziło. I wówczas dotarło do niego, że Lotty już nie ma.

– Neeee! – wrzasnął tak głośno, jak tylko pozwalało mu gardło, a stojące obok urządzenie zaczęło pikać jak szalone. – Nie! To nieprawda! Nieprawda!

Otworzyły się drzwi i do pokoju wpadły dwie pielęgniarki. Jedna podbiegła do niego, a druga z wyrzutem spojrzała na Martę.

– Przecież lekarz wyraźnie prosił, żeby nic mu jeszcze nie mówić!

– Nic mu nie powiedziałam! – odparła sucho teściowa.

Druga z pielęgniarek łagodnie dotknęła jego czoła.

- No już, już, wszystko będzie dobrze – powiedziała, a następnie wbiła strzykawkę w wystający z przegubu jego ręki wenflon i nacisnęła tłok.

Po krótkiej chwili błogosławiona nicość objęła go swoimi mackami.

1.

Upał na międzynarodowym lotnisku w Antalyi, bramie do Riwieri Tureckiej, pomimo pochmurnego dnia był nie do zniesienia. Samolot czarterowy linii SunExpress, który przywiózł z Visby szwedzkich turystów spragnionych słońca i przygód, wylądował z lekkim opóźnieniem. Pasażerowie w pośpiechu przeciskali się z bagażami do wyjścia, żeby jak najszybciej znaleźć się w strefie opanowanej przez przedstawicieli biur podróży, rezydentów, kierowców autokarów turystycznych i prywatnych taksówkarzy. Rodzice nawoływali dzieci, maluchy płakały, a nastolatki przeklinały, że nie działa wi-fi. Wszyscy rozpoczynali właśnie swoje urlopy i wakacje pod słonecznym niebem kurortu na południu Turcji.

– Gdzie podział się Anton? – Starsza siostra Sary, Emma, ściągała z taśmy bagażowej ciężką torbę podróżną i nie mogła zrozumieć, dlaczego jej chłopaka nigdy nie ma w pobliżu, kiedy go najbardziej potrzebuje.

– Chyba poszedł do toalety – odpowiedziała Sara. Zmęczonym wzrokiem rozejrzała się wokół i dojrzała drzwi prowadzące do łazienek. Chętnie przebrałaby się w coś lżejszego, zamieniła długie džinsy na jakieś szorty, ale wszystkie ubrania zostały w jej plecaku, który jeszcze nie nadjechał. – Ja też muszę iść. Poradzisz sobie sama?

– Jasne. Zero z was pożytku. – Emma już zaczynała się złościć, gdy zobaczyła podbiegającego do nich Antona, udającego objuczonego bagażami tragarza i strojącego głupie miny.

– Czekamy na ciebie, młoda, tylko się pospiesz – zawołał wesoło w kierunku siostry swojej dziewczyny.

Ta pomachała mu bez słów, blade się uśmiechając, i czym prędzej skręciła w stronę toalet. Nie było jej do śmiechu, nie miała też nastroju na plażowanie ani na zwiedzanie w słońcu. Najchętniej skorzystałaby z jakiegoś podręcznego transportera, jakim dysponują chociażby bohaterowie Star Treka, i wróciła do domu, by położyć się do łóżka i nie wychodzić z niego przez kilka najbliższych dni. Wszystko przez to, że Sara, młodsza z dwóch pięknych córek znanego socjaldemokraty, Jana Wetterberga, od rana czuła się fatalnie, a kilkugodzinny lot i turbulencje jeszcze nasiliły jej problemy żołądkowe. Od kilku dni wymiotowała kawą, której nie mogła sobie rano odmówić, chociaż o śniadaniu nie chciała słyszeć. Sama swoją niedyspozycję tłumaczyła rozpaczą po wyjeździe ukochanego, a jej krewni zdawali się doskonale ją rozumieć i szczerze jej współczuli. Wiadomo, co stres robi z organizmem zakochanego człowieka. Wakacje w Turcji, na które namówili Sarę Emma i Anton, miały pomóc jej uporać się z tęsknotą i odzyskać równowagę psychiczną, co zdaniem jej ojca z pewnością przyczyniłoby się do poprawy stanu jej zdrowia. Na razie jednak jedyne, o czym marzyła, to ochłodzić twarz zimną wodą i zmyć z siebie podróżny kurz.

Emma, dwudziestodwuletnia, blondwłosa, długonoga piękność o lekko oliwkowej cerze, zawsze starała się roztaczać opiekę nad dwa lata młodszą siostrą. Obie studiowały archeologię na Uniwersytecie w Visby. Urodzone w Sztokholmie, po śmierci matki wychowywane przez nadopiekuńczego ojca, kiedy tylko stało się to możliwe, wyrwały się, jedna po drugiej, spod jego skrzydeł. Wetterberg, bardzo zaangażowany w wiele społecznych projektów, a tym samym posiadający niezliczonych wrogów, cieszył się, że córki mieszkają z dala od stolicy. „Polityka jest brudna i dzieci nie powinny być narażane na styczność z nią” – powtarzał przy każdej okazji wszystkim, którzy się dziwili, że dziewczyny nie mieszkają z ojcem.

O ile Emma twardo stąpała po ziemi i umiała radzić sobie z każdą przeciwnością losu, o tyle dwudziestoletnia Sara była wrażliwą romantyczką bujającą w obłokach. Trochę wykorzystywała matkującą jej Emmę, ale jednej i drugiej sprawiało to przyjemność. Fizjonomia młodszej z siostr była dowodem na to, że pozory mylą. Dawało to zresztą Sarze niemałą satysfakcję. Wyglądała i zachowywała się tak, że nikt nie mógł odgadnąć, co naprawdę dzieje się w jej wnętrzu. Jej częściowo różowe, niesymetrycznie przycięte włosy i kolczyki w różnych miejscach twarzy odstraszały potencjalnych

intruzów czy podrywaczy usiłujących ją nagabywać. Tak samo jak fabrycznie zniszczona skórzana kurtka, z niezliczonymi zamkami, zatrzaskami i ćwiekami, sugerująca, że osoba, która ją nosi, jest prawdziwą twardzielką. Na niechęć ewentualnych podrywaczy liczyła też w Turcji, bo wcale nie miała ochoty ani zawierać nowych znajomości, ani nawet rozmawiać z kimkolwiek obcym. Z relacji przyjaciółek, które miały już okazję wypoczywać na Riwierze Tureckiej, doskonale wiedziała, że tamtejsi chłopcy podryw mają we krwi i zaczepiają wszystkie dziewczyny niebędące muzułmankami, przede wszystkim turystki, zwłaszcza te blondwłose i niebieskookie. Liczyła jednak na to, że jej różowe włosy i kolczyki będą wystarczającym straszakiem. Kiedy jednak patrzyła w lustro, zdawała sobie sprawę, że nawet gdyby ogoliła swoją głowę na łyso, i tak mogłaby się podobać. Miała niewątpliwe szczęście odziedziczyć regularne, klasyczne rysy po rodzinie ojca, podobnie jak wyraziste kości policzkowe, tak bardzo pożądane we współczesnym modelingu, o czym poinformował ją znajomy fotograf z branży modowej, oferując przy okazji zdjęcia próbne. Sara zbyła to wymownym milczeniem. Dziewczyna wiedziała, że gdyby tylko wyraziła chęć, owinęłaby sobie wokół palca niejednego chłopaka. Sama ta świadomość sprawiała jej niekłamaną przyjemność, podobnie jak widok oglądających się za nią mężczyzn. Ale dla niej liczył się tylko Rodriguez.

Przemywając twarz w umywalce w lotniskowej toalecie, z niepokojem przyjrzała się swojemu odbiciu i zauważyła, że jest dziwnie blada i ma podkrążone oczy. Najwyraźniej potrzebny był jej wypoczynek i południowe słońce. Z uśmiechem pomyślała o chwili, kiedy otworzy walizkę, by wyjąć z niej nowiuteńki kostium bikini, kupiony przed samym wyjazdem. Jaskrawy błękit z żółtymi dodatkami będzie ładnie kontrastował z jej opaloną skórą. Nie zdążyła jeszcze złapać słońca w tym roku, ale zawsze wystarczały jej dwa – trzy dni, żeby wszyscy na plaży oglądali się za jej szczupłą, opaloną sylwetką. Zachwycone spojrzenia co prawda nie wynagrodzą jej nieobecności Rodrigueza, ale z pewnością poprawią jej humor. Kto wie, może nawet sobie trochę popoflirtuje, co będzie stanowić jakąś rekompensatę za codzienny widok Emmy i Antona tulących się do siebie i obdarzających się pocałunkami. Przed wyjściem Sara spojrzała po raz ostatni w lustro i niecierpliwie przeczesała palcami swoje różowe włosy, próbując nadać im pożądany wygląd. Wiedziała, że powinna się spieszyć – w holu czekała na nią nie tylko jej siostra ze swoim chłopakiem, ale również reszta turystów, którzy przylecieli razem z nimi.

*

Wypad do Turcji stanowił wyjątkowe wydarzenie w życiu siostr Wetterberg, które zazwyczaj spędzały wakacje na Gotlandii, w miejscowości Roma, gdzie mieszkała ich ukochana babcia Marta. Znały każdy kamień na plaży w Snäckgårdsbaden i miały nieodpartą wrażliwość, iż każdy z tych kamieni także je zna. Tam wystarczyło założyć na siebie cokolwiek, żeby dobrze się bawić, chociażby bawelniany top i szorty. Ale na wyjazd zagraniczny i plaże pełne ekskluzywnych turystów musiały nabyć jakieś szczególne ciuchy. Kryzys finansowy, który powoli docierał też do Szwecji, nie mógł mieć wpływu na ich wakacyjny wygląd. Wyprawa była niezaplanowana. Emmie i Antonowi udało się przypadkowo znaleźć bardzo atrakcyjną ofertę last minute: dziesięć dni w niedrogim hotelu w Alanyi nad samym morzem. Ciągłe westchnienia Sary i jej ponury nastrój nie pozostawiły im wyboru – musieli zabrać małolatę ze sobą.

– Tu jesteś. – Do łazienki, w której Sara wciąż przyglądała się swojemu odbiciu, wpadła Emma. – Myślałam, że się zgubiłaś. Czekamy już tylko na ciebie. Właściwie to chcieliśmy cię zostawić na lotnisku.

– Zrobilibyście to? Mogłabym przecież nie trafić sama do hotelu.

– Wiesz, że żartuję, ale jak będziesz marudzić minutę dłużej, to kto wie. Chodź, jest bardzo przystojny.

– Kto?

– No, rezydent. – Emma zaczęła się śmiać. – Muszę cię trochę rozruszać, bo nam się tu zasmucisz na śmierć. Rodriguez wraca za niecałe dwa miesiące, uszy do góry! Lepiej ci trochę?

– Tak, już okej. Możemy jechać.

Dziewczyna kłamała: wcale nie było lepiej, wciąż czuła dziwny ucisk w żołądku, a kiedy wyszła na zewnątrz, zrobiło się jeszcze gorzej. Sara ledwie łapała oddech i odniosła wrażenie, że zaraz nabawi się porażenia słonecznego. Na szczęście rezydent stał niedaleko drzwi wyjściowych prowadzących prosto na parking. Dziewczyna z przyjemnością zauważyła, że jej starsza siostra miała rzeczywiście rację – mężczyzna, którego zadaniem było opiekować się nimi w trakcie pobytu na Riwierze, był rzeczywiście

bardzo przystojny. Wysoki, muskularny, ubrany w białe dżinsy i firmową koszulkę z logo zatrudniającego go biura podróży, niewątpliwie przykuwał uwagę, zwłaszcza turystek, z których część bezczelnie się do niego mizdrzyła. Miał starannie przystrzyżone jasne włosy, które dzięki mocnej opaleniznie wydawały się niemal białe, a okulary w modnych oprawkach nadawały mu intrygujący wygląd intelektualisty. Sara zastanawiała się, czy te jasne włosy nie są przypadkiem dziełem fryzjera, wszak znani jej blondyni mieli skórę bardzo jasną i wrażliwą na słońce, dlatego z reguły na wakacjach nie wychodzili z domu, nie nałożywszy uprzednio na wszystkie odsłonięte miejsca grubej warstwy kremu z najmocniejszym filtrem UV. A tymczasem ich rezydent był opalony niemal tak mocno jak południowiec z jakiejś reklamy. Gdy Emma zauważyła, że siostra przygląda się z uwagą mężczyźnie, cichcem do niej podeszła i dała jej kuksańca w bok, porozumiewawczo mrugając. Ale rezydent nie zwracał uwagi ani na Sarę, ani na inne turystki, nawet te, które przyglądały mu się rozanielonym wzrokiem. Jak przystało na człowieka poważnie traktującego swoją pracę, wzrok miał utkwiony w dokumentach i odznaczał po kolei nazwiska osób, które miały autokarami dotrzeć do poszczególnych hoteli. Prosił wszystkich, żeby swoje walizki ładowali zgodnie ze wskazówkami kierowcy czekającego przy otwartym bagażniku, co miało ułatwić ich wypakowanie pod hotelem.

Wszyscy przyjezdni zauważyli z zadowoleniem, że chmury, które ich przywitały na płycie lotniska, zniknęły za majaczącymi w oddali górami. Zrobiło się naprawdę gorąco. Sara jeszcze w holu założyła swoje nowe okulary przeciwsłoneczne o bardzo ciemnych szklach, kupione specjalnie z myślą o wakacyjnych wożach, ale i tak musiała zmruznąć oczy po wyjściu na zewnątrz. Wszystko tonęło w oślepiającym blasku popołudniowego słońca. „Oczy muszą się przyzwyczaić” – pomyślała. „Nic nie widzę”. Nic więc dziwnego, że wpadła na jakiegoś nieznanego, najprawdopodobniej tubylca.

– Ojej, przepraszam. Nie zauważyłam pana. Wszystko przez to mocne tureckie słońce.

Odruchowo odezwała się po angielsku, ale wydawało się, że ten ktoś zrozumiał.

– Nic się nie stało, to chyba moja wina.

Szczupły chłopak o wyglądzie zabiedzonego studenta wydawał się zakłopotany. Wcześniej rozglądał się wokoło, jakby na kogoś czekał. Najwyraźniej nie spodziewał się, że dziewczyna wyjdzie akurat tymi drzwiami, przy których stał.

Siostry, poganiając tym razem Antona ciągnącego ciężką torbę, żartując i przekomarzając się ze sobą, podążyły za resztą turystów w stronę parkingu dla autobusów, otoczonego nowoczesnie zaprojektowanym, trochę na europejską modłę, ogrodzeniem z mnóstwem śródziemnomorskich roślin, drzew i krzewów. Zaaferowana dziewczyna nie zwracała uwagi na młodego mężczyznę, którego wcześniej przez nieuwagę potrąciła, a tymczasem on wciąż stał przy drzwiach, ale teraz uważnie patrzył za oddalającą się trójkę, żeby po chwili udać się w kierunku postoju taksówek.

2.

Jan dowiedział się o wakacyjnych planach córek przez telefon, prawie przed samym ich wylotem do Turcji, co niezbyt mu się podobało. Nie lubił załatwiania poważnych spraw na ostatnią chwilę, a za taką właśnie sprawę uważał wyjazd na drugi koniec Europy, tym bardziej że dla niego kraj, do którego miały zamiar udać się dziewczęta, to już nawet nie był pocziwy Stary Kontynent, tylko najprawdziwsza Azja.

Jak każdy ojciec martwił się o nie od momentu ich narodzin. Ponieważ studiowały w innej części Szwecji, z niecierpliwością oczekiwał co roku końca czerwca, kiedy to dziewczynki przyjeżdżały do domu, do Romy, i rodzina mogła nareszcie pobycć trochę razem. W czasie roku szkolnego nieczęsto do nich wpadał. Przyjeżdżał obowiązkowo do Visby na tydzień polityków, ale wtedy trwały już w najlepszej wakacje i dziewcząt nie było w stolicy Gotlandii.

Jego córki, kiedy tylko zdały ostatnie egzaminy, rzucały w kąt książki, pakowały walizki i jechały do ukochanej babci, do Romy. Tam mieścił się ich rodzinny dom – taki, do którego się wraca z najdalszego końca świata. Tam urodziła się i wychowała Lotta, ich matka, a one zawsze mogły liczyć

na pyszne bułeczki cynamonowe babci Marty, pieczone specjalnie na ich przyjazd. To właśnie tam przez dwa letnie miesiące czuły się jak w cudownej wielopokoleniowej rodzinie. Rodzice Jana od dawna nie żyli, a ponieważ nie miał on rodzeństwa, siłą rzeczy po śmierci Lotty jego rodziną stała się matka jego zmarłej żony i oczywiście córki.

Uwielbiał swoją teściową, surową i nieokazującą uczuć kobietę, silną, opanowaną i mimo upływu lat oraz niełatwych życiowych doświadczeń – wciąż piękną. Marta Forslund mieszkała na Gotlandii od siedmiu dekad, czyli od urodzenia. Wszyscy okoliczni mieszkańcy znali i szanowali tę kościstą budowy, wysoką starszą panią, wyglądającą na znacznie młodszą, niż wskazywałaby na to jej metryka, a jej wypielęgnowany ogród z niewielkim sadem wzbudzał podziw całego miasteczka. A przecież Roma była cudownym miejscem, pełnym magii, oferującym znacznie ciekawsze atrakcje niż ogródek pewnej niemłodej już damy. Rzesze turystów z całego kraju ściągają tu, aby zwiedzać ruiny klasztoru cystersów, gdzie co roku wystawia się sztuki Szekspira. Chociaż nie ma na to żadnych historycznych dowodów, zarówno mieszkańcy, jak i przybysze święcie wierzą, że sam autor Hamleta gościł tu ze swoimi spektaklami. Na pamiątkę jego wizyty co roku organizowane są spotkania szekspirowskie, a wieczorami w klimatycznie podświetlonych ruinach odbywają się przedstawienia – z reguły dramatów i komedii mistrza, na które zjeżdżają ludzie z całej Szwecji, i to nie tylko ci, którzy kochają teatr. Magiczne inscenizacje teatralne w ruinach w Romie stanowią prawdziwą ucztę dla oczu i ducha, co niechętnie przyznają nawet zaprzysięgli fani rocka i filmów akcji.

Marta była lubiana zarówno przez dorosłych mieszkańców Romy, jak i przez miejscową dzieciarnię, pomimo że na jej twarzy ostatnimi czasy nieczęsto gościł uśmiech. Postawę swojej teściowej Jan określał mianem „niewłaściwie rozumianego dostojeństwa”. Ze zdumieniem zauważył, iż choć spotykani na ulicy sąsiedzi zawsze serdecznie ją pozdrawiali i próbowali nawiązać rozmowę, ona nie odwzajemniała okazywanego jej zainteresowania. Aczkolwiek nigdy nie zachowywała się niegrzecznie czy nieuprzejmie; taktownie dawała tylko do zrozumienia, że należy zachować wobec niej dystans. Swoim wnuczkom, a przy okazji także zięciowi, jak mantrę powtarzała, że każdy powinien żyć własnym życiem i nie interesować się cudzym. A ponieważ ona sama nigdy nie wypytywała sąsiadów o to, co robią ich dzieci, wujkowie czy kuzynki, nie czuła się też w obowiązku opowiadać o swoich krewnych. Poza okresem, kiedy gościła rodzinę, Marta wiodła raczej żywot samotnika, a jedynym jej stałym towarzyszem był pies. Mawiała, że tylko pies zawsze cieszy się na widok człowieka, nie złości się i nie ma humorów, a nawet jeżeli się o coś na człowieka obrazi, łatwo go przekupić dobrocią i smakołykiem.

Jan wiedział, że jego teściowa nie była zadowolona z faktu, iż jej ukochane wnuczki część lata spędzą w Turcji, ale kiedy dzień przed wyjazdem wpadli we trójkę z Antonem tylko po to, żeby się przepakować i przespać kilka godzin przed odlotem na Riwierę Turecką, z uśmiechem życzyła im udanych wakacji. Chociaż już zaplanowała jakieś sprawy do pozałatwiania dla Emmy i prace w warzywniku dla Sary. Czuła się samotna, pomimo że zięć starał się odwiedzać ją jak najczęściej, latem nawet w każdy weekend. Niestety nie zawsze mu się to udawało, wszak praca polityka nie kończy się w piątek po południu. Marta co prawda cieszyła się z jego wizyt i z okazywanej jej sympatii, ale mówiła, że dom bez dzieci jest martwy i kiedyś nikt nawet nie zauważy, jak ona umrze. Śmiał się z tego jej gderania, ale doskonale wiedział, że ma trochę racji. Nigdy nie wiadomo, co komu pisane, a czasem może być już za późno na okazanie sobie miłości i przyjaźni. Pocieszał się jednak, że to dopiero 30 czerwca, całe wakacje przed nimi i na pewno będzie czas, żeby razem miło spędzić kilka tygodni.

Niewesołe rozmyślenia o wyjeździe Emmy i Sary sprawiły, że Janowi przypomniły się wakacje spędzane w Romie, gdy dziewczynki chodziły jeszcze do szkoły podstawowej. Już na kilka dni przed planowaną podróżą zaczynały pakować wielkie walizki, by później znowu je wypakować i dorzucać ważne dla nich rzeczy. I tak było niemal do ostatniej chwili przed momentem, kiedy ojciec wzywał taksówkę, która miała zawieźć ich do portu, na prom. Regułą było, że przy tej okazji kłóciły się o sukienki i T-shirty, zwłaszcza kiedy Sara podrosła i dogoniła swoją starszą siostrę. Pamiętał, że Emma zawsze w końcu ustępowała jego młodszej córce. Zastanawiał się później, o co dziewczęta robiły tyle hałasu, skoro u babci i tak całe wakacje obie biegały w jednych szortach i tej samej koszulce. Jan zdawał sobie sprawę z upływającego czasu oraz z tego, że jego dzieci są już dorosłe i wkrótce będą mieć własne rodziny, ale wciąż pamiętał je jako dwa małe łobuziaki, których uczył jazdy na rowerze i którym opatrywał zdarte kolana i łokcie. Jedno z jego najgorszych wspomnień, oczywiście oprócz śmierci rodziców i tragicznego wypadku, w którym straciła życie jego żona, dotyczyło dnia, w którym Sara

najadła się niedojrzałych jabłek i całą noc wymiotowała. Omal nie dostał wtedy zawału serca, gdyż temperatura podskoczyła jej do czterdziestu stopni, dziewczynka była sinoblada i cały czas płakała, a jedynym miejscem, w którym mogła leżeć, była podłoga w łazience. Chciał ją zawieźć do szpitala w Visby, ale zaczęła krzyczeć, że chce ją uśpić, a ona przecież „nadaje się do wyleczenia”. Potem dowiedział się, że parę miesięcy wcześniej opłakiwała razem z koleżanką pieska, który zachorował na raka i którego trzeba było uśpić. Ponieważ rodzice przyjaciółki Sary nie wtajemniczyli jej w tajniki medyczne, dziewczynka twierdziła, że psy i ludzie idą do szpitala tylko po to, by je tam uśpiono. A córka Jana w to wierzyła...

Następnego lata z kolei musiał pocieszać Emmę, która zadurzyła się w koledze z klasy. Tamten z właściwym dla tego wieku i płci brakiem zainteresowania płcią przeciwną wcale jej nie zauważał. Pasjonowały go wyłącznie sportowe motocykle i ścigający się na nich szwedzcy oraz zagraniczni zawodnicy. Całe szczęście córka dała sobie wytłumaczyć, że kolega najwyraźniej nie jest jej wart, i szybko o nim zapomniała.

Tak, kiedyś był swoim dzieciom potrzebny. A teraz włączą się gdzieś, daleko od domu... Jego dwie piękne kobiety.

Kiedy one zdążyły dorosnąć? I jak można spakować się w trzydzieści minut?

3.

Następnego poranka Emma obudziła się w doskonałym nastroju, wypoczęta i głodna. Zajmowali w trójkę dwupokojowy apartament, Sara mogła więc spać oddzielnie, a jednak pod nadzorem siostry. Jak zawsze Emma po cichu weszła do jej pokoju, żeby sprawdzić, czy siostrzyczka jeszcze śpi. Rzut oka w stronę łóżka, na którym leżała jej młodsza siostra, wystarczył jej, żeby uznać, iż kłopoty zdrowotne Sary minęły, więc można było wstawać i wyruszyć na plażę lub zwiedzanie. Antona jak zwykle ciężko było namówić, by w ogóle wyszedł spod pościeli. Kiedy miał wolne, ubóstwiał wylegiwać się do południa. Był raczej typem sowy niż skowronka, ale jego dziewczyna także preferowała nocne życie i późno wstawała. Wyjątkiem były wakacje, kiedy Emma odkrywała w sobie nieprzebrane pokłady energii i co prawda kładła się późno, ale wstawała wyjątkowo wcześnie, z reguły przed ósmą, kiedy Anton przewracał się właśnie na drugi bok.

– Jesteście podłe. Wykorzystywać jedyne go mężczyznę, jaki wam pozostał. Wszystko mnie boli. Jestem tak skonany, że choćbym chciał, nie mam siły nawet wejść pod prysznic. – Anton leżał na hotelowym łóżku i robił jedną ze swoich min, które zawsze rozbawiały Emmę.

– Bardzo śmieszne. Nie wmówisz mi, że kilkugodzinna podróż samolotem i przesunięcie zegarka o godzinę tak cię zmęczyły. Kiedy to stałeś się bezsilnym i marudnym starcem, jeżeli wolno spytać? Ale jak chcesz. Tylko w takim razie przygotuj się na samotne spędzanie dnia. Może odwiedzi cię jakaś tajemnicza hurysa, a my w tym czasie damy się porwać przystojnym tubylcom.

– Na strzępy.

Uwielbiali rozmawiać ze sobą w ten sposób. Znali się od trzech lat, a od dwóch razem mieszkali. Anton Kjell był o rok starszym od Emmy, wysokim i zdaniem Sary trochę zbyt chudym szatynem. Miał długie do ramion włosy, związane z powodu upału i podróży w kitkę, chociaż na co dzień nie przeszkadzało mu, gdy były rozpuszczone. Studiował kulturoznawstwo, ale dorabiał sobie, pracując jako mechanik samochodowy w stacji obsługi. I przeciwnie do większości humanistów – radził sobie w tym fachu bardzo dobrze. Często po pracy wpadał do baru niedaleko kampusu, w którym na początku studiów zamieszkała Emma. Tak się poznali, siedząc przy piwie i rozmawiając prawie trzy godziny o niczym. Od razu się zaprzyjaźnili i starali codziennie spotykać, a z czasem przyjaźń zmieniła się w coś poważniejszego, i to na tyle, że oboje po niecałym roku znajomości doszli do wniosku, że najprościej będzie zamieszkać razem. Anton zwolnił swoją niedużą kawalerkę i wspólnie wynajęli dwupokojowe mieszkanie w pobliżu uniwersytetu. Po dwóch latach do siostry dołączyła Sara, która zamieszkała w kampusie akademickim. Znowu były więc blisko siebie. Oczywiście ich babcia Marta nie mogła

zrozumieć, dlaczego nadal nie mieszkają u niej w Romie. Mogłyby przecież dojeżdżać, to tylko trochę ponad pół godziny drogi. Ale wtedy ominęłoby je studenckie życie Visby – starały się tłumaczyć. Do tego babcia raczej nie zaakceptowałaby partnerów swoich wnuczek pod jednym dachem...

Ku radości Emmy dwoje najbliższych jej ludzi zapałało do siebie sympatią. Anton zawsze z radością witał Sarę w ich skromnych progach. Koleżanki nawet drażniły się z Emmą, że jej młodsza siostra z czasem odbije jej chłopaka, ale dziewczyna była o to spokojna. Ani Sara, ani Anton nie patrzyli na siebie w ten sposób, traktowali się raczej jak rodzeństwo. Chłopak Emmy żartował nawet, że Sara jest jego zaginioną młodszą siostrą, co irytowało bardzo jego prawdziwego młodszego brata, Elliota. Być może był nawet trochę o to zazdrosny.

*

Zajmowany przez Emmę, jej siostrę i chłopaka pokój hotelowy na drugim piętrze wybudowanego w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych, niewysokiego budynku był duży, ale bez luksusów. Dla nich najważniejsze było, że nie był drogi. Emmie i jej chłopakowi trafiło się ogromne małżeńskie łożo, rodem z sułtańskiego haremu. Balkon z trzema krzesłkami i eleganckim stolikiem wychodził na ulicę, za którą była już tylko ciągnąca się w nieskończoność plaża i bajkowe morze.

Dziewczyny nieprzypadkowo wybrały Alanyę na miejsce swojego letniego wyjazdu – dla studentek archeologii był to wymarzony cel podróży. Miejscowość ta jest położona na terenie Riwiery Tureckiej, która w kręgach archeologów i historyków jest znana jako Pamfilia. Ludzie mieszkali tu od czasów prehistorycznych, a w starożytności był to obszar, o który wojny toczyły powstające i upadające imperia. To tutaj przed wiekami istniały ludne miasta, ważne porty handlowe, a na okolicznych wodach nie brakowało piratów napadających na statki handlowe, płynące do bezpiecznej przystani. Tu wreszcie krzyżowały się najważniejsze szlaki handlowe wiodące z Azji Centralnej i Dalekiego Wschodu. Nic więc dziwnego, że Alanya, od strony lądu otoczona górami Taurus, z wielokilometrowymi plażami i zachwycającymi zabytkami, wśród których prym wiodły ruiny zamku górującego nad miastem, stanowiła smakowity kąsek nie tylko dla spragnionych wypoczynku turystów, ale także dla badaczy przeszłości.

Młode adeptki archeologii na początek postanowiły zwiedzić wspomniany zamek, a raczej jego pozostałości. Patrząc na współczesną Alanyę, nie chce się wierzyć, że jeszcze w połowie XX wieku była to tylko skromna wioska rybacka, która w przeciągu ostatnich kilkudziesięciu lat rozrosła się i przepoczwarzyła w jedną z najpiękniejszych miejscowości turystycznych Riwiery, zyskując w pełni zasłużone miano najważniejszego tureckiego kurortu. Turyści przyjeżdżali tu częściej dla pięknych plaż i nocnych klubów niż dla zabytków, co akurat cieszyło Emmę i Sarę, bo mogło oznaczać mniej chętnych do oglądania zamku czy muzeum. Chociaż na całonocny clubbing też chciały znaleźć czas któregoś wieczoru. W planie miały w końcu najlepsze wakacje ever.

*

Sara podeszła do okna.

– Chcecie się przejść na plażę przed śniadaniem? – zapytała, z zadumą spoglądając na rozciągające się z hotelowego okna widoki. – Zobaczcie, jaki piękny dzień...

Gdy się rozplakała, Emma czym prędzej podeszła do siostry i troskliwie objęła ją ramieniem.

– Siostra, co jest? Nie dajesz rady jak Anton? Wy chyba rzeczywiście macie wspólne geny. Beze mnie byście zginęli. Szybko jemy i wychodzimy, zanim na zewnątrz robi się zbyt gorąco na wycieczki. Po południu pójdziemy się wykąpać i wtedy możemy zostać na plaży aż do samego wieczora. Co wy na to? Zaczynamy prawdziwe, zasłużone wakacje! Wszystkie egzaminy zdane celująco, więc chyba coś nam się od życia należy, nie?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi, gdyż szlochająca Sara zdążyła już pobiec do łazienki.

– Mam nadzieję, że to, co ona ma, nie jest zaraźliwe. – Anton wreszcie wstał i próbował nawet pozbierać swoje porozrzucane wieczorem rzeczy.

– Poczytaj sobie o empatii! Jak możesz tak mówić? Dobrze wiesz, jak się męczy i tęskni za Rodriguezem.

– Dzwoniła do niego?

– Raczej nie, ale ze względu na różnicę czasu to chyba byłby zły pomysł. Nawet nie wiem, która jest teraz godzina w Kolumbii. Będzie z jakieś siedem albo osiem godzin do tyłu – stwierdziła Emma, z niepokojem spoglądając na drzwi łazienki, za którymi zniknęła jej zapłakana siostrzyczka. Nie powinna słyszeć, że za jej plecami Emma rozmawia z Antonem o jej chłopaku, roztrząsając zawiłości uczuciowego życia Sary.

*

Rodriguez Ardila Guzman był ostatnią i największą miłością Sary. Poznali się zaraz na początku roku akademickiego na zajęciach z historii starożytnej. Rodriguez, Kolumbijczyk z Bogoty, studiował historię sztuki w ramach stypendium dla zdolnej młodzieży z biednych rodzin. Inni studenci naigrawali się z niego, że na pewno jest synem jakiegoś bosa narkotykowego i tylko z tego powodu stać go na pobyt i naukę w Szwecji. Chłopak musiał wyjaśniać, że ojciec był kierownikiem w fabryce mebli, a matka zajmuje się domem i dwiema młodszymi siostrami. Rodriguez był bardzo sympatyczny i nie złościł się o te przycinki. Zresztą na początku miał kłopoty ze zrozumieniem szwedzkiego.

Emma nie dziwiła się, że to właśnie on skradł serce jej młodszej siostrzyczki, która dotąd była bardzo wybredna w doborze męskiego towarzystwa. Chłopak był chodzącym ucieleśnieniem ideału męskiej urody w wersji latynoskiej: czarnowłosa, śniady, wysoki i – dzięki częstym wizytom na siłowni – umięśniony. Poza tym miał wyjątkowo zgrabny tyłeczek, którego mogłaby mu pozazdrościć niejedna przedstawicielka płci pięknej. Jednym słowem – podobał się Szwedkom. Jednocześnie ku uldze Emmy, niemającej zbyt wysokiego mniemania o Latynosach, w niczym nie przypominał typowego macho. Najwyraźniej była to zasługa jego matki i tego, że wychowywał się w prawdziwym babińcu. Był skromnym, porządnym chłopakiem, jakiego Emma chciałaby mieć za szwagra, a jej ojciec za zięcia. Zdaniem starszej z sióstr Rodriguez miał tylko jedną wadę – nie umiał tańczyć. Dla Emmy była to bardzo nieprzyjemna niespodzianka, od dziecka sądziła bowiem, że wszyscy Latynosi są urodzonymi tancerzami, a tymczasem partner Sary ruszał się na parkiecie wyjątkowo niezdarnie. Pół biedy, jeżeli tańczył sam, wtedy swoimi nieskoordynowanymi ruchami budził jedynie uśmiechy politowania. Ale nie daj Boże, żeby poprosił jakąś dziewczynę do tańca – podeptane stopy były najprzyjemniejszym doświadczeniem, na jakie mogła liczyć. Kochająca od dziecka taniec Emma bardzo boleśnie przekonała się o tym, kiedy pewnego wieczora wyciągnęła opierającego się Rodrigueza na parkiet – do stolika wróciła z siniakiem na policzku, niezdarne tancerz uderzył ją bowiem, usiłując wykonać jakiś skomplikowany obrót. Odtąd przestała narzekać na umiejętności taneczne Antona, który w porównaniu do chłopaka jej siostry zasługiwał na tytuł króla parkietu. Ale dla Sary, znacznie mniej entuzjastycznie nastawionej do tańca, nie miało to żadnego znaczenia, więc Emma w końcu także uznała to za nieistotne. Przecież Kolumbijczyk, z którym się spotykała jej siostrzyczka, był taki ładny! Często dokuczała Sarze, mówiąc, że jak ta wyjdzie za Rodrigueza, będą mieć wyjątkowo piękne dzieci, na co niemyśląca jeszcze o zakładaniu rodziny dziewczyna reagowała najczęściej oburzeniem. Bez wątpienia jednak zakochała się w Rodriguezie jak nigdy wcześniej. Po dwóch miesiącach zamieszkali razem i aż do teraz wszystko układało się fantastycznie.

Niestety przyznane przez rząd Kolumbii stypendium skończyło się i chłopak musiał wrócić do kraju. Złożył wymagane dokumenty o równorzędne, tym razem szwedzkie stypendium i zaraz po wakacjach planował kontynuację nauki. Nawet gdyby go jednak nie otrzymał, wiedział, że finansowo sobie poradzi, przecież bez problemu mógłby znaleźć dodatkową pracę w pubie, poza tym istniała też możliwość udzielania korepetycji z hiszpańskiego. Na pierwszym roku nie za bardzo miał czas na dodatkowe zajęcia, jako że mnóstwo czasu pochłaniała mu nauka szwedzkiego. Ponadto kolumbijskie Ministerstwo Oświaty, finansując zagraniczne studia, stawiało warunek terminowego zaliczania wszystkich egzaminów z dobrymi ocenami, co wcale nie było takie proste, zwłaszcza gdy ma się u swego boku tak cudowną dziewczynę, z którą spędza się każdą wolną chwilę. Drugi rok studiów pod każdym względem zapowiadał się dużo spokojniej.

Anton, Emma i jej młodsza siostra zaraz po śniadaniu wyruszyli całą trójką na spacer po mieście. Chcieli rozejrzeć się po okolicy, zanim tureckie słońce zaleje ulice, skutecznie uniemożliwiając wszelkie spacery. Po wyjściu z hotelu zorientowali się, że na spokojny, pełen relaksu spacer nie mają co liczyć – było jeszcze daleko do południa, ale temperatura już sięgała prawie trzydziestu stopni, a na niebie nie pojawiła się ani jedna chmura. Palmy i inne drzewa, którymi obsadzone były ulice, nie dawały zbyt dużo cienia. Po krótkiej chwili cała trójka zastanawiała się, czy nie lepiej byłoby iść w ślady brudnych, bezpańskich psów, które nauczone doświadczeniem znajdowały ochłodę w cieniu tych nielicznych drzew, których rozłożyste gałęzie przynajmniej częściowo chroniły przed słońcem.

Sklepikarze zachwalali swoje wątpliwe gatunkowo towary rozłożone na straganach przed sklepami, a czasem bezpośrednio na ziemi. Drobny, może dziesięcioletni chłopiec częstował aromatyczną herbatą w małych szklaneczkach ustawionych na śmiesznej, zawieszanej na łańcuchu metalowej tacy. Kilka towarów przyciągnęło ich uwagę, ale gdy tylko chcieli przyjrzeć się z bliska jakiejś rzeczy, od razu podbiegał do nich sprzedawca i nachalnie namawiał do kupna. Sarze spodobała się bransoletka z niebiesko-biało-czarnymi szklanymi kulkami, poprzedzielanymi srebrem, ale nie zdążyła nawet się odezwać, gdy usłużny sprzedawca założył jej biżuterię na rękę.

– *Americans? English?*

– Nie, ale mówimy po angielsku. – Emma czujnie przyglądała się Turkowi.

– To amulet, Oko Proroka. Niedrogo. Będzie chronił przed złym spojrzeniem. Weź. Dla ciebie.

Sara spojrzała pytająco na siostrę.

– Ładna, prawda?

– Bierz. Rzeczywiście niebrzydka. Jakies pamiątki i tak musimy kupić.

– Ile kosztuje? – zapytała sprzedawcę.

– Targuj się – odpowiedział półgłosem Anton.

– Po co? Nie może być bardzo droga. Zresztą to nie wypada.

– Czytałem w przewodniku, że tak właśnie trzeba. Inaczej facet poczuje się urażony, że nie wykazujesz wystarczającego zainteresowania towarem. Musisz pokazać, że ci zależy.

I rzeczywiście, gdy Sara usłyszała cenę i powiedziała, że to za drogo, ale może dać mniej, na twarzy sprzedawcy pojawił się uśmiech, po czym zgodził się na podaną przez dziewczynę kwotę. Pewnie przedmiot i tak był wart znacznie mniej.

– Wkurzający są ci Turcy – stwierdził Anton. – Nie musiał łąpać Sary za rękę.

– Ach, o to ci chodzi! Zazdrościsz, że nie złapał ciebie. – Emma już się śmiała z udającego święte oburzenie Antona. – Teraz za to Sara jest bezpieczna, więc całą swoją uwagę możesz poświęcić mnie.

Wystarczył krótki spacer po ulicach miasta, by mieli po dziurki w nosie natrętnych tureckich handlarzy – każda próba zatrzymania się przy jakimkolwiek stoisku natychmiast ściągała do nich właściciela, który koniecznie chciał im coś sprzedać, oczywiście w bardzo dobrej cenie jako pierwszym klientom. Chłopak Emmy o mało nie kupił w ten sposób ogromnego dywanu, testując porady z bedekera i dla żartu targując się z właścicielem sklepu, co ten potraktował całkiem poważnie. Po paru minutach cena osiagnęła nieprzyzwoite minimum i trzeba było podstępem wycofać się z transakcji.

W końcu ich zmęczenie ciągłym nagabywaniem i zainteresowaniem, jakie wzbudzali, sięgnęło zenitu. Nie spodziewali się, że obecność zagranicznych turystów w znanym kurorcie może wywołać aż taką sensację. Chociaż gdy przyglądali się innym spacerującym, widzieli, że z nimi jest podobnie. Turcy tak samo zaczepiali wszystkich pozostałych i wciskali im do rąk przedmioty, na które tamci zwracali uwagę. Na szczęście dla całej trójki Emma zauważyła po drugiej stronie uliczki niedużą knajpkę, która robiła wrażenie cichej i przytulnej, przynajmniej na pierwszy rzut oka. W samą porę, bo wszystkim upał dawał się już bardzo we znaki. Z radością i ulgą skierowali się w stronę baru.

Po przekroczeniu progu lokalu wiedzieli już, że wewnątrz jest chłodno. Niewątpliwie działała klimatyzacja, ale grube firanki w oknach też robiły swoje, zatrzymując promienie słoneczne. Usiedli przy jednym z sześciu małych stolików, zastanawiając się, czego by się napić. Wydawało się, że są jedynymi klientami.

– Skosztowałabym jakiegoś soku – westchnęła Sara. – O, jest lodówka z lodami – zauważyła.

– Piwo. Inaczej będziecie mnie musiały nieść z powrotem do hotelu – oznajmił Anton.

- Ale wiesz, że tutaj piwo jest dużo mocniejsze niż w Szwecji? Żeby się potem nie okazało, że po jednym heinekenie też będziemy musiały cię nieść – śmiała się Emma.
- Okej, niech będzie sok pomarańczowy. Ale świeżo wyciskany. I też chcę lody.
- Zapytaj pana, czy mają też prysznic.

*

- Przepraszam, słyszę, że rozmawialiście z kelnerem po angielsku – usłyszeli nagle.

Od sąsiedniego stolika odwrócił się jakiś mężczyzna. Nie pamiętali, czy był tam już wtedy, gdy weszli, czy zajął miejsce dopiero teraz. Był na pewno kilka lat starszy od nich, może po trzydziestce. Miał szare oczy i gęstą jasną czuprynę, co wskazywało, że raczej nie jest tubylcem, chociaż wśród Turków też zdarzają się blondyni. Śnieżnobiałe zęby i kilkudniowy zarost na opalonych policzkach sprawiały, że wyglądał bardzo atrakcyjnie, przypominał nawet nieco gwiazdora filmowego z okładki kolorowego czasopisma. Uśmiechał się do nich z sympatią.

- Nie wiecie przypadkiem, czy można tu bezpiecznie zjeść?
- Wstąpiliśmy tylko czegoś się napić. Jemy w hotelu, w którym mieszkamy. Nie wydaje się jednak, żeby mogło tu być niebezpiecznie. Jest czysto, więc nie powinieneś się niczym zatruć.
- Byłem już kiedyś w Alanyi, ale tej restauracji nie znam. Dopiero dzisiaj przyjechałem.
- My wczoraj. Czy ja ciebie wczoraj nie spotkałam na lotnisku? – zapytała Sara z wahaniem w głosie.
- Raczej nie, przyjechałem dzisiaj.
- Był tam bardzo podobny do ciebie chłopak... Albo mi się zdawało.
- Studiujemy archeologię, mamy tutaj dużo do zwiedzania – wtrąciła Emma. – Szkoda, że tak szybko robi się potwornie gorąco. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do takich temperatur.
- Ja też nie. Kto jest? – Chłopak szczerze się roześmiał. – Skąd jesteście? Nie umiem rozpoznać akcentu.
- Ze Szwecji, a ty?
- Trochę tam mieszkałem, ale w tej chwili już nie. Jestem Johnny.
- Jak Johnnie Walker?
- Ty to powiedziałaś – uśmiechnął się, puszczając oko do Sary. – Rodzice mieli poczucie humoru, ale to prawda, że dużo wędruję.

Teraz wszyscy już się śmiali, a początkowe zmęczenie upałem ustąpiło po kilku sokach, wodach, lodach i kanapkach ze smaczną pastą rybną. Znali się dopiero od trzydziestu minut, ale postronnemu obserwatorowi mogłoby się wydawać, że są zgraną paczką starych przyjaciół. Nowy znajomy opowiadał Szwedom, że uwielbia prowadzić włoskie samochody sportowe i że kiedyś, gdy będzie bogaty, na pewno kupi sobie ferrari albo lamborghini. Oni odwzajemniali się historiami z uniwersytetu i anegdotami o nauczycielach.

- Jeżeli studiujecie archeologię, to koniecznie musicie zwiedzić pobliski zamek. W obrębie jego murów znajduje się też meczet i słynna Czerwona Wieża. Moglibyśmy się wybrać tam razem jutro, zaraz po śniadaniu, bo dzisiaj już trochę późno. I to piękne słońce... Oczywiście jeśli nie macie innych planów.

- Pewnie. Z przyjemnością.

Nawet Sara odzyskała dobry humor i z zainteresowaniem przyglądała się nowemu znajomemu. Co chwilę przeciągał ręką po niesfornych włosach, jakby próbował za wszelką cenę ułożyć je w zupełnie inny sposób, i szeroko się uśmiechał. Kątem oka zaobserwowała, że obrzuca ją taksującym spojrzeniem, pewnie oceniając jej sylwetkę. To, że tak otwarcie się na nią gapił, sprawiło jej przyjemność, którą na chwilę popsuło wspomnienie Rodrigueza. Zaraz potem dopadły ją wyrzuty sumienia. Poczwała się winna, że tak dobrze się bawi, podczas gdy jej ukochany gdzieś tam daleko w Bogocie straszenie za nią tęskni. Schowana za ciemnymi okularami przeciwslonecznymi mogła udawać, że uważnie przysłuchuje się rozmowie, i uciec myślami do ostatnich dni w Visby przed wyjazdem jej chłopaka. Tak się złożyło, że wtedy też spotkali się w małej knajpcie, podobnej do tej, w której teraz miło spędzali czas w towarzystwie nowo poznanego mężczyzny. Tylko że wtedy trzymali się z Rodriguezem za ręce i nie zważając na innych gości, namiętnie się całowali. Chciałaby, żeby był tu koło niej zamiast nowego znajomego. Ile jeszcze będzie musiała czekać, żeby ta cudowna chwila się powtórzyła?

Do tej pory wydawało jej się, że z godziny na godzinę tęskni coraz mocniej. Ale nagle uświadomiła sobie, że w słońcu południa Turcji, do tego w towarzystwie przystojniaka jednak trochę mniej myśli

o ukochanym.

Ugasiwszy pragnienie i nieco się posiliwszy, cała czwórka uznała, że ma jeszcze dość siły, by powłóczyć się po zatłoczonych uliczkach. Mimo narastającego upału był to przyjemny spacer, do czego niewątpliwie przyczyniła się obecność nowego znajomego, który sypał żartami jak z rękawa. Zdawało się, że Johnny także czuje się dobrze w towarzystwie całej trójki, odprowadził nawet Szwedów aż do hotelu. Sara odniosła wrażenie, że to ona jest magnesem, który trzyma przy nich młodego mężczyznę. Przeszło jej nawet przez myśl, że może miałyby ochotę na wakacyjny, niezobowiązujący romans, ale po chwili odpędziła ten pomysł jak natrętną muchę. Jej siostra i Anton zaproponowali Johnny'emu popołudniowy wspólny wypad na plażę, ale okazało się, że ich nowy znajomy ma w planach nurkowanie. Zamierzał skakać do morza ze skałek za miastem. Poważnie zaniepokojeni zapytali go o ryzyko związane z tym sportem, ale w odpowiedzi usłyszeli, że skoki do wody są bardzo popularne nie tylko wśród miejscowych, ale także wśród co odważniejszych przyjezdnych. W miejscu, które on wybrał, zawsze jest dużo ludzi. Na pewno nic mu się nie stanie, tym bardziej że nie jest debiutantem – uprawia ten sport od wielu lat, uwielbia to robić i pływa jak ryba. Mogą więc być spokojni o to, że stawi się wieczorem w jednym z lokali w porcie, gdzie wszyscy umówili się na drinka.

*

Sara uznała, że Johnny był nie tylko przystojny, ale też dobrze ubrany, kulturalny i dowcipny. Było w nim coś intrygującego, nieuchwytnego, czego dziewczyna nie potrafiła nazwać, ale właśnie to coś ją przyciągało. Być może chodziło o inteligencję i ponadprzeciętną wiedzę – ich nowy znajomy imponował całej trójce opowieściami o miejscowych zwyczajach i okolicznych atrakcjach turystycznych, a przy tym sprawiał wrażenie bardzo skromnego, może wręcz nieśmiałego. Miły, szczerzy i w przeciwieństwie do napotykanym Turków – zupełnie nienachalny. Ktoś taki idealnie pasował na kompana wakacyjnych przygód. Ciekawe, skąd pochodził. Zapytali go o to, ale nie doczekali się odpowiedzi, co niespecjalnie ich zdziwiło. W końcu nie każdy lubi o sobie opowiadać. Grunt, że dobrze mówił po angielsku.

4.

Wetterberg miał ciężki dzień. Wiele godzin spędził w Riksdagu, a na koniec jeszcze brał udział w obradach komisji, której przewodzili szwedzcy socjaldemokraci. Był zmęczony i wściekły. Myślami był przy swoich dziewczynach, które spędzały, jak przypuszczał, cudowne wakacje w Turcji, ale nie przyszło im do tej pory do głowy, żeby do niego zatelefonować. Na domiar złego jak zwykle pokłócił się z Thomasem Johanssonem. Jego największy polityczny wróg, również parlamentarzysta, ale z opozycyjnej partii Szwedzkich Demokratów, po raz kolejny wygłosił na sali plenarnej mowę o nacjonalistycznym zabarwieniu. Nigdy w niczym się nie zgadzali, ale teraz Jan naprawdę miał ochotę udusić go gołymi rękami. Poprzednim razem takie spięcie między nimi wywołała płomienna przemowa Johanssona dotycząca ustawy o zagranicznych adopcjach. Płynące z mównicy słowa poruszyły serca posłów, co doprowadziło do przegłosowania ustawy przez opozycję. Tymczasem Wetterberg uważał argumentację zastosowaną przez swojego oponenta za zwykły szantaż emocjonalny. Johansson opowiadał o dzieciach imigrantów, które urodzone z lekkimi wadami, jak cztery palce u ręki albo zajęcza wargą, są narażone na śmierć. Rodzice bowiem, zgodnie z tradycjami krajów, z których pochodzą, traktują je jako niepełnowartościowe i porzucają.

– Na przykład dzieci z zespołem Downa urodzone w sudańskiej albo somalijskiej rodzinie są z góry skazane na utratę życia – mówił. – Naszym obowiązkiem jako ludzi cywilizowanych jest uratowanie ich poprzez adopcję i stworzenie im szansy na stanie się pełnowartościowymi członkami społeczeństwa. Szwecja jest jednak zbyt małym krajem, aby wszystkie niechciane dzieci, te lżej upośledzone i te

z poważnymi wadami genetycznymi, mogły zostać adoptowane tu, na miejscu. Dlatego zagraniczne adopcje są tak ważne.

Zacytował nawet wiadomość z lokalnej gazety na Gotlandii, co oznaczało, że miniony weekend spędził na wyspie milionerów:

– „Czworo z dziesięciorga rodziców na Gotlandii nie płaci na swoje dzieci alimentów – zgodnie z danymi ze Szwedzkiej Agencji Ubezpieczeń Społecznych”. Tak samo jest na kontynencie, tutaj też wielu rodziców nie płaci alimentów na swoje dzieci. Dlatego najlepszym rozwiązaniem są zagraniczne adopcje. Dla dobra dzieci.

Tymczasem Jan widział to zupełnie inaczej: wolałby, żeby udało się stworzyć wystarczająco dużo rodzinnych domów dziecka, tak aby wszystkie dzieci, które przyszły na świat na terytorium Szwecji, mogły w niej pozostać. Tylko tutaj, w kraju dzieci miałyby zagwarantowane wszystkie należne im prawa, a przestrzeganie ich przez szkoły, szpitale i organizacje pozarządowe byłoby kontrolowane przez wyznaczone do tego instytucje. Po wyjeździe adoptowanego dziecka do Niemiec, Holandii czy Francji tak naprawdę nikt nie wie, co dalej się z nim dzieje, a biologiczni rodzice bezpowrotnie tracą możliwość ewentualnego późniejszego kontaktu. Nie chciał nawet myśleć, co jeszcze mogło spotkać niepełnosprawne dzieci w rodzinach adopcyjnych, w których teoretycznie powinny znaleźć ciepło i miłość, ale w których czasem zamiast tego czeka je tylko cierpienie.

Sam uwielbiał swoje córki i był pewien, że kochałby je tak samo, gdyby którejś brakowało palca u dłoni albo nawet całej ręki.

Poszedł do kuchni i wyjął z lodówki piwo. Stare mieszkanie w Södermalm, do którego przeprowadził się wszyscy po śmierci Lotty, było dla niego zdecydowanie za duże. Dopóki mieszkały tu dziewczynki, nie odczuwał nadmiaru przestrzeni, ale kiedy wyprowadziły się do Romy, oświadczając, że wolą mieszkać z babcią na Gotlandii, poczuł, że czas znaleźć mniejsze lokum. Mimo to przez lata jednak odwlekał tę decyzję w nadziei, że przynajmniej jedna z córek do niego wróci, chociaż na okres studiów. One wolały jednak Gotlandię. Z czasem uznał, że takie rozwiązanie jest wygodne również dla niego – samotnego mężczyznę mogły przecież odwiedzać kobiety, choć to akurat zdarzało się niezmiernie rzadko.

Poza tym po wyprowadzce dziewcząt łatwiej je było trzymać z dala od polityki, co było dla niego niezmiernie istotne, i to nie tylko dlatego, że dzięki temu mógł je trzymać z dala od wścibskich reporterów, ale przede wszystkim ze względu na ich bezpieczeństwo. Po śmierci Olofa Palmego czy Anny Lindh żaden polityk ani jego najbliżsi nie mogli już czuć się w Szwecji bezpiecznie.

Czas był jednak najwyższy, by zaakceptować fakt, że jego córki weszły w dorosłość i stały się niezależne. A skoro nie było szans na to, że zamieszkają razem z nim, zaczął poważnie myśleć o nowym, mniejszym lokum, odpowiedniejszym dla samotnego faceta. Nie było sensu trzymać w Sztokholmie tak dużego mieszkania, którego w dodatku nie lubił.

Opadł wyczerpany na sofę i rozglądał się właśnie za pilotem od telewizora, gdy zadzwonił leżący na stoliku obok telefon.

– Tato, nareszcie się dodzwoniłam! – usłyszał wesoły głos starszej córki. – Nie chciałam cię łąpać na komórkę, bo wiem, że ją wyłączasz w pracy.

– Emma! Wspaniale, że dzwonisz. Niedawno wróciłem do domu. Co u was? Jak pogoda? Dobrze się bawicie? Jak hotel? Daleko do plaży? Oglądaliście już jakieś zabytki? – Tak się ucieszył, że Emma o nim nie zapomniła, że chciał od razu wypytać ją o wszystko. Sam nigdy nie był w Alanyi i mógł sobie tylko wyobrażać, jak cudownie wygląda ta wakacyjna miejscowość.

– Hotel i pogoda w porządku. Jest świetnie. Właśnie wróciliśmy z wieczornego spaceru do portu. Jest tu wielu fajnych ludzi, z którymi można porozmawiać. Jutro, zaraz po śniadaniu wybieramy się na zamek. Musimy wcześniej wstać, żeby wrócić przed południem, bo potem szybko robi się za gorąco na zwiedzanie.

– Słabo cię słyszę. Czy mogłabyś mówić głośniej?

– Nie. Już i tak siedzę na balkonie, ale muszę mówić cicho, żeby nie obudzić Sary. Zmęczył ją upał i popołudniowa kąpiel w morzu, nawet nie miała ochoty wyjść z nami wieczorem na drinka. My też już się kładziemy, bo jutro kolejny dzień pełen wrażeń. Musimy wcześniej wstać. Umówiliśmy się z takim jednym miłym chłopakiem na wspólne zwiedzanie. Mówi trochę po turecku i dużo szybciej dogaduje się z wszystkimi niż my.

– Zrobiłaś już jakieś zdjęcia?

– Ach, gapa ze mnie, ale nie zdążyłam. Wiesz, okazało się, że baterie w aparacie są rozładowane i muszę kupić nowe. Jutro na pewno mi się uda.

– Zrób coś chociaż telefonem i mi przyślij.

– Dobrze, ale nie działają mi tu MMS-y.

– Kocham cię, wiesz o tym, prawda? I bardzo się cieszę, że wesoło spędzacie czas. Uściskaj ode mnie Sarę i Antona. I wyśpij się dobrze. Tęsknię za wami.

– Też cię ściskamy i tęsknimy! Pa, tato. Do usłyszenia. Wysyłam ci tysiąc buziaków. Nie pracuj za ciężko.

Ponury nastrój od razu gdzieś uleciał po rozmowie z córką. „Wspaniale jest mieć dzieci, szczególnie gdy są już dorosłe i samodzielne” – pomyślał. Jaka zaradna i odpowiedzialna ta jego mała, zupełnie jak jej matka. Że też Sara nie jest do niej podobna. No, ale dwadzieścia lat to jeszcze nie jest wiek, kiedy należy od człowieka oczekiwać powagi i stateczności. Ziewnął, ale nie czuł jeszcze zmęczenia. Wstał i otworzył szeroko okno. Na zewnątrz właśnie zapadał zmierzch, a w okolicznych domach zapalały się kolejne światła.

*

Emma skończyła rozmawiać przez telefon, ale nie ruszała się z balkonu. Anton usiadł obok, objął ją ramieniem i wtulił głowę w jej pachnące morską wodą i wiatrem włosy.

– Szczęściarze z nas – powiedział. – Udany dzień, a teraz taki piękny widok. Jakie spokojne to morze... Mógłbym zamieszkać tu na stałe. Może ucieknijemy od naszego szwedzkiego życia i ukryjemy się gdzieś tutaj?

– Ja będę uczyła tureckie dzieci angielskiego, a ty znajdziesz pracę w warsztacie i będziesz naprawiał zakurzone tureckie ciężarówki.

– W ogóle nie jesteś romantyczna.

– Nie mogłabym tu zostać. Ojciec za mną tęskni.

– To może zamiast tego pójdziemy już do łóżka?

– Koniecznie. – Uśmiechnęła się szelmowsko i dodała: – Fajny ten Johnny, nie? Wysportowany, przystojny, inteligentny i taki czytany... Ciekawe, czy też chciałby tu zostać.

Anton zmroził ją wzrokiem i zaraz oboje zaczęli się śmiać.

5.

Sara obudziła się pierwsza.

Bała się ruszyć, żeby znowu nie zrobiło się jej niedobrze. Powoli sięgnęła ręką pod poduszkę, żeby sprawdzić na komórce, która godzina. Dochodziła piąta trzydzieści.

Dobrze, że położyła się wczoraj wcześniej. Śródziemnomorski klimat ją wykańczał. To nie do wiary, że nie miała siły iść wieczorem do portu. Ciekawe, czy Emma i Anton widzieli się z Johnnym. On też narzekał na upał, więc mógł wymigać się od wieczornego wyjścia na drinka. Swoją drogą, fajny z niego facet – taki skromny, miły i kulturalny. Pomyślała, że bardzo różni się od wszystkich jej zwiariowanych kolegów, w tym nawet od Rodrigueza. Ale ona też przecież była postrzelona, na uczelni słynęła z szalonych pomysłów. Skoki na bungee, lot balonem czy szaleństwa na gokartach – wszystkiego musiała spróbować. Zresztą wystarczył rzut oka na jej kolorowe włosy i liczne kolczyki, żeby nabrać przekonania, że ma się do czynienia z nietuzinkową osobą, z którą nikt nie powinien się nudzić. Rodriguez mówił, że zakochał się właśnie w jej południowym temperamencie. I w kolorowych włosach, które teraz różowe, a wcześniej granatowe wyróżniały ją zawsze spośród tłumu studentek.

Leżąc cicho w łóżku, Sara zastanawiała się, czy wyjazd do Alanyi w środku lata to był dobry pomysł. Inaczej wyglądają słońce i plaża na kolorowych obrazkach, gdy patrzy się na zachmurzone niebo

na Gotlandii, a zupełnie inaczej, gdy od rana żar się leje z nieba i wiesz, że za godzinę będzie jeszcze goręcej. Czy biura podróży nie powinny na każdej stronie swoich folderów umieszczać wielkich ostrzeżeń: „UWAGA – MORDERCZE UPAŁY”? Ale Emmie i Antonowi to nie przeszkadzało, więc może to z nią jednak jest coś nie tak.

Dotknęła nowej bransoletki kupionej wczoraj na straganie z pamiątkami. Szklane kuleczki delikatnie dzwoniły, kiedy potrząsała ręką. „Oko Proroka, śmieszna nazwa” – pomyślała. Będzie jej strzegło. Oko Rodrigueza... Tak długo, jak będzie go kochać, pozostanie bezpieczna. Była tego pewna. Czuła, że ktoś nad nią czuwa. Chociaż co właściwie mogłoby się jej przytrafić w tym słonecznym kurorcie pełnym ludzi?

*

Spojrzała na siostrę, wchodząc na paluszkach do ich pokoju. Spali jeszcze z Antonem mocno w siebie wtuleni. Zajmowali w ten sposób raptem niewielki fragment wielkiego łoża. Po co im w takim razie tyle miejsca? Mogliby się z nią zamienić... Zaczynało ją to wszystko złościć, choć sama nie wiedziała dlaczego. Jeszcze piętnaście minut temu miała świetny nastrój. Oczywiście, że cieszyła się ich szczęściem, ale w duchu okropnie im zazdrościła, zdając sobie jednocześnie sprawę, że nie może do nikogo mieć pretensji o swój samotny wyjazd. Tak się po prostu pechowo złożyło, że Rodriguez nie mógł jechać z nimi, ale cudownie byłoby tu być z ukochanym chłopakiem... Wstawaliby wcześniej rano i biegli na plażę. Potem, trzymając się za ręce, schodziliby do restauracji na śniadanie i częstowali się wszystkimi smakołykami wystawionymi na długim stole.

Poczuła, że jest głodna. Wyglądało na to, że jej żołądek nareszcie się uspokoił i zaczął normalnie pracować.

Cichutko wyszła na balkon. Jej oczom ukazał się widok rodem z pocztówek: spokojna tafla wody i bezchmurne niebo. Na razie powietrze było rześkie, co poprawiło jej humor. Może nie będzie dzisiaj tak źle z temperaturą... Zdjęła z krzeselka swój nowy błękitny kostium kąpielowy. Szczęśliwie zdążył wyschnąć przez noc. Dobrze w nim wczoraj wyglądała. Leżał idealnie, podkreślając jej figurę modelki.

Wróciła do pokoju i zaczęła się ubierać. Wtedy zauważyła dużą kartkę leżącą na stole.

Jeżeli obudzisz się pierwsza:

jutro rano zamek

wychodzimy o 8.00

bądź gotowa

E+A

Miała dwie godziny, żeby się ogarnąć. Zaraz zejdzie na dół. Restauracja może być jeszcze zamknięta, ale koło recepcji widziała automaty z kawą i herbatą, a w rogu chłodziarkę z batonikami i napojami gazowanymi. Weźmie cokolwiek i pójdzie na plażę, póki prawie nikogo tam nie ma, a śniadanie zje później.

*

Wychodząc z hotelu, zaopatrzona w batonika wątpliwej świeżości i kubek kawy oraz butelkę wody, którą od razu schowała do torby, uśmiechnęła się szeroko do starszej recepcjonistki.

– Dzień dobry!

– Dzień dobry. Wcześniej pani wstała. Na plażę?

– Tak, ale tylko na chwilę. Potem idziemy zwiedzać zamek. Studiujemy z siostrą archeologię.

– W takim razie nie mogły panie lepiej trafić z wyborem miejscowości. Zamek to niejedyne nasz obiekt wart odwiedzin. Ale za cztery godziny będzie już ponad trzydzieści stopni, więc proszę rozpocząć wyprawę jak najwcześniej.

– Proszę nie psuć mi humoru. Wszystko jest tu takie piękne, tylko ta temperatura...

– Da pani radę. Proszę tylko nie zapomnieć o kremie z mocnym filtrem i butelce z wodą, a nic złego się pani nie stanie. Zresztą widzę, że dobre moce już nad panią czuwają. – Kobieta spojrzała na nadgarstek

Sary. – Proszę mi wierzyć, to naprawdę działa.

– Wiem, jestem tego pewna! To będzie najwspanialszy dzień moich wakacji!

– Nie, proszę pani. To będzie jeden z wielu najwspanialszych dni pani wakacji!

6.

Mężczyzna stał przy oknie i przyglądał się ekipie sprzątającej ulicę. Poza pracownikami starannie zamiatającymi chodniki i jezdnie nikogo innego nie było w zasięgu wzroku. Zielona, brudna śmieciarka poruszała się bardzo powoli, a ubrani w kombinezony ludzie, śmiejąc się i krzyżąc coś do siebie, szli obok niej, co chwilę zatrzymując się przy koszach na śmieci. Wyciągali metalowe wkłady i wyrzucali ich zawartość do bębna na ciężarówce. „Żeby można tak było zrobić z własnym życiem” – pomyślał. Wywalić je gdzieś i zacząć wszystko od początku. Wykasować popełnione błędy, wyrządzone nam i przez nas krzywdy...

Pracownicy służby oczyszczania miasta robili dużo hałasu, jakby specjalnie chcieli wszystkich obudzić przed szóstą rano. Nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego to musi wyglądać w ten sposób – bez względu na kraj i miejsce. Najwidoczniej pod każdą szerokością geograficzną obowiązuje zasada: ktoś nie śpi, żeby spać mógł ktoś inny.

W ilu hotelach już się zatrzymywał przez te wszystkie lata? Nigdy dwa razy w tym samym w ciągu roku. Mogło ich być kilkaset, nie dałby rady zliczyć. Tylko parę z nich było godnych zapamiętania. Tylko kilka miast, w których na krótko się pojawiał, utkwіło mu w pamięci. Wszędzie te same obojętne, sztuczne uśmiechy recepcjonistek i pokojówek. Nie widział sensu we wdawaniu się z nimi w dłuższe rozmowy, co po części wynikało też z charakteru jego pracy. Dla obsługi hotelowej wolał pozostać niezauważalnym Panem Nikt, osobą, której odruchowo podaje się klucz do hotelowego pokoju lub udziela niezbędnych informacji. Aby mieć do czynienia z jak najmniejszą liczbą członków personelu, w hotelach w zasadzie tylko nocował, a jadał na mieście, gdzie wybierał mało uczęszczane knajpki lub wręcz przeciwnie – lokale, w których łatwo było zniknąć w tłumie bezimiennych konsumentów. Na drzwiach zajmowanego przez niego pokoju bez przerwy wisiała kartka z napisem „Do not disturb”. Zresztą ani przyjaciele, ani znajomi nie byli mu nigdy do niczego potrzebni, najlepiej się czuł we własnym towarzystwie. I rzeczywiście: był sam, chociaż zawsze miał obok siebie jakichś ludzi.

Jak przystało na profesjonalistę, za jakiego się uważał, starał się skupić na zadaniu do wykonania. Nazajutrz czekało go kolejne i należałoby się do niego odpowiednio przygotować. Usiadł zatem przy niskim okrągłym stoliku i włączył komputer. Wpisał hasło i ekran rozświetlił się uśmiechem bardzo młodej, długowłosej brunetki o pięknych brązowych oczach. Natela. Ileż by dał, żeby mogła siedzieć tu teraz obok niego... Jak by wyglądała? Czy miałyby krótkie włosy? A może latem upinałaby je wysoko i zakładała kapelusz z szerokim, pofalowanym rondem? No cóż, gdyby żyła – jego by zapewne tu nie było. Byłby innym człowiekiem. Może wziętym inżynierem lub konstruktorem po politechnice, szanowanym prawnikiem albo znanym sportowcem? A może pływałaby na statkach albo pracował w jakiejś międzynarodowej korporacji? Zdziwiająca jest, że w zasadzie wszystko w życiu zależy od przypadku. Losem człowieka rządzą sytuacje, których z reguły nie da się do końca przewidzieć.

Z tych ponurych egzystencjalnych rozmyślań wyrwały go wibracje komórki leżącej obok laptopa. „Mogę już włączyć dzwonek” – przypomniał sobie. Spojrzał na numer, który pokazał się na wyświetlaczu, i to wystarczyło, by refleksyjny nastrój diabli wzięli. Będzie miał kiedyś kłopoty przez tego idiotę.

– Tak, słucham?

– Nie obudziłem?

– Słucham.

– Jak sprawy?

– Za wcześniej pan dzwoni.

– Ale wszystko w porządku?

- W jak najlepszym. Wszystko gotowe. Nie powinien pan do mnie dzwonić pod ten numer. Sam się skontaktuję, tak jak się umawialiśmy.
- Proszę mnie nie pouczać. I nie zapominać, kto tu jest szefem.
- To pan chyba o czymś zapomniał.
- Dobrze, już dobrze. Nie chciałem podawać w wątpliwość pańskiego profesjonalizmu i niezależności, że tak powiem. Tylko żeby...
- Wiem. Czy coś jeszcze?
- Nie. Życzę udanego dnia.
- Proszę czekać na wiadomość i nie zapomnieć o swojej części umowy.
- Jak tylko dostanę od pana fakturę, że tak powiem.

Rozmówca zaczął się głośno śmiać.

- Rozliczę ją w kosztach reprezentacji albo jako artykuły biurowe.
 - Proszę czekać na wiadomość i nie dzwonić więcej. Odezwę się zaraz po przyjeździe do Aten.
- Rozłączył się z ulgą. Nie lubił tego człowieka, ale wiedział, że musi odbierać wszystkie jego telefony i z nim rozmawiać, a przy tym nie dać się wyprowadzić z równowagi. Doskonale znał ten typ człowieka: oślizgły hipokryta, z uśmiechem wbijający ci nóż pod żebra. Nie dosłownie oczywiście, choć kto wie... Gdyby sytuacja go przymusiła... Nienawidził takich ludzi, ale nie zawsze można sobie wybrać miłego zleceniodawcę. Niestety.

Wolał współpracować z kobietami. Były mniej nerwowe i miały do niego więcej zaufania, zostawiając mu wolną rękę przy wyborze miejsc i metod działania. Większość mężczyzn z kolei zawsze lepiej wiedziała, co i jak powinien zrobić, chociaż pewnie nigdy w życiu nie mieli do czynienia z niczym, co nawet w przybliżeniu przypominało jego branżę.

Gdyby żyła Natela albo gdyby nie jego wypadek w tej starej fabryce, nie musiałyby teraz zajmować się takimi głupimi zleceniami. Miałyby kochającą żonę, może dzieci. Tak, na pewno miałyby dzieci. Natela miała kilkoro rodzeństwa i sama też chciała mieć co najmniej trójkę maluchów – jak dorośnie.

Zamknął oczy i odchylił się na krzesło. Mógł być szczęśliwym człowiekiem i czynić wyłącznie dobro, a przynajmniej starać się, żeby tak było. Tymczasem na razie musi uszczęśliwić kogoś innego. A przy okazji unieszczęśliwić inną osobę.

Jeszcze raz przejrzał dokumenty w laptopie oraz zapisane na dysku zdjęcia i spojrzął za okno. Dobrze, że latem słońce wstaje wcześniej. Inaczej musiałyby niektóre prace wykonać wieczorem i całą noc denerwować się, czy nikt nie zniweczył jego starań.

Spojrzął na zegarek. Od momentu, gdy wrócił do hotelu, minęło niecałe czterdzieści minut – najwyższy czas się przygotować. Podszedł do szafy. Z półki zdjął niedużą, czarną, elegancką walizkę i zaczął się pakować. Kiedy pozbierał już wszystkie swoje rzeczy, rozejrzał się ostatni raz po pokoju. Żelazną zasadą, której nigdy nie złamał, było pozostawianie po sobie idealnego porządku: łóżko zaścielane, wszystkie krzesła przysunięte do stołu, wanna lub kabina prysznicowa czysta, a w koszu ani jednego skrawka papieru czy innych śmieci. Personel sprzątający musiał go uważać za wzorowego gościa.

Z walizką w rękę zdjął z wieszaka wywieszkę „Please make up my room”, która miała zasłonić tę z napisem „Do not disturb”, i otworzywszy drzwi, zawiesił kartonik na klamce od zewnętrznej strony. Sprawdził, czy ma w kieszeni klucz od pokoju. Wrzucił go do pudełka przy recepcji, żeby nikt nie miał wątpliwości, że wymeldował się z hotelu.

*

Była punktualnie siódma trzydzieści, gdy na hotelowym parkingu wsiadała do wypożyczonego białego renault. Dotarła do niego porażająca prawda: teraz musiał wykonać to paskudne zlecenie. Nie było już odwrotu. Co zrobić, taki fach...

Emma, Anton i Sara szli prawie pustą o tej porze uliczką. Szaro-biały kot siedział przy krawężniku i z móżdżkiem wylizywał sobie łapę, a właściciele sklepów dopiero zaczęli wystawiać towar na ulicę. Odgłos podciąganych rolet antywłamaniowych i metaliczny dźwięk rozkładanych stołów niósł się echem pomiędzy ścisłą zabudową starej części miasta. Na jezdni, pewnie po przejeździe polewaczki, było trochę niewielkich kałuż, w których odbijało się poranne słońce. Powietrze było jeszcze w miarę chłodne.

Emma głośno się śmiała i próbowała wskoczyć Antonowi na barana. Sara szła za nimi, wystawiając buzię do słońca.

Siostra odwróciła się do niej na chwilę.

– Przyspiesz trochę. Johnny już pewnie na nas czeka.

– Nie stoi przecież na ulicy. To chyba tam, za rogiem?

– Nie. To jakaś inna knajpa. Musimy skręcić w następną w prawo. Nie pamiętasz?

– Chyba nie byłam wczoraj wystarczająco przytomna.

– A teraz jak z twoją przytomnością?

– Wszystko dobrze, ale czuję, że pot spływa mi po plecach. Nie wiem, jak dam radę łązić cały dzień, jeśli temperatura wzrośnie.

– Zaraz usiądziemy i napijemy się czegoś zimnego... – zawahała się. – Do czorta! Chyba nie zabraliśmy butelek z wodą.

– Nie widziałam ich w pokoju, gdy wychodziliśmy. Specjalnie sprawdzałam, czy wszystko mamy ze sobą.

– Bo Anton postawił je na podłodze w łazience. Tam było najchłodniej.

– Dlaczego nie w lodówce?

– Mamy lodówkę w pokoju?

– Pod telewizorem.

– Nie zauważyliśmy.

– Trudno, kupimy coś do picia po drodze. Krzyczcie, jak ktoś zobaczy kiosk albo otwarty sklep z elektroniką. Musimy kupić baterie do aparatu.

– Trzeba uwiecznić dla potomnych twoją czerwoną sukienkę na tle ruin zamku!

– I twoje głupie miny.

Przez chwilę szli w milczeniu. Każde z nich zastanawiało się, jakie niespodzianki ich dzisiaj czekają i czy zamek rzeczywiście jest taki niesamowity, jak o nim opowiadano.

– Zobaczcie – zawołał Anton, wskazując pobliski sklep. – Tu facet ma jakieś budziki. One są chyba na baterie, może sprzeda nam dwie.

Zatrzymali się przy wyłożonych na składanych stołach zegarkach, magnetofonach i płytach kompaktowych z muzyką tradycyjną i przebojami tureckich piosenkarzy. Sprzedawca już stał w gotowości i przyglądał im się, kalkulując pewnie, ile zostawią u niego pieniędzy. Żadna z rzeczy nie wyglądała jednak szczególnie atrakcyjnie, oprócz baterii, które spodziewali się tu dostać.

– Weźmy więcej, bo nie wiadomo, czy nie wyczerpią się po paru godzinach pstrykania.

– O, jakie małe latarki. Czy w zamku jest oświetlenie?

– Nie, ale na pewno przy wejściu rozdają każdemu zapaloną pochodnię, żeby się nie zgubił w długich korytarzach i ponurych lochach.

– I żeby zobaczył, jak napadają na niego piraci.

– Jacy piraci? Wikingowie!

– Jesteście nienormalni. Emma, kupuj te baterie i chodźmy, bo faktycznie nie wypada się aż tak spóźnić. Słońce jest coraz wyżej, za chwilę wszyscy będziemy ugotowani.

Handlarz nie był zadowolony, że nie chcą kupić ani radia, ani budzika, ani nawet malutkiej latarki-breloczka, ale w końcu sprzedał im całe duże opakowanie samych baterii. Emma jeszcze na ulicy włożyła dwie z nich do aparatu i zaczęła robić zdjęcia. Potem Anton zrobił trzy bardzo ładne „portrety czerwonej sukienki”. Śmiejąc się i wygłupiając, doszli wreszcie do restauracji, w której byli umówieni z Johnnym.

W pomieszczeniu panował taki sam jak ostatnio półmrok i chłód, a z radia albo odtwarzacza, jak niemal w każdej tureckiej knajpce, płynęła orientalna muzyka. Cały lokal pachniał kawą i jakimś bliżej nieokreślonymi lokalnymi słodyczami, zapewne zbyt mdłymi w smaku jak na europejskie podniebienia. Kilka stolików było zajętych. Starszy kelner, a może właściciel lokalu, niósł trzy półmiski: z pokrojonymi pomidorami, ogórkami i białym serem. Na każdym ze stołów, przy których siedzieli goście, stały miseczki

z błyszczącymi czarnymi oliwkami i wiklinowe koszyki z pieczywem. Nie mieli wątpliwości, że trafili na porę śniadaniową. Widocznie niektórzy turyści woleli jeść na mieście.

Nowy znajomy już na nich czekał. Siedział przy tym samym stoliku, który oni zajęli wczoraj. Był ubrany w jasne płócienne spodnie z mnóstwem kieszeni cargo i T-shirt w kolorze khaki, ale jasna czupryna, która poprzedniego dnia przykuła uwagę sióstr, zniknęła pod granatową bejsbolówką. Na nogach miał zamszowe traperskie buty z grubą podeszwą. Sara doszła do wniosku, że w tym stroju wygląda jakby młodziej niż ostatnio, ale nie mogła sobie przypomnieć, w co był ubrany, gdy widziała go poprzedniego dnia. Chyba nie miał jeszcze trzydziestki. A może po prostu zdążył odespać męczącą podróż. Nikt nie wygląda rewelacyjnie zaraz po wyjściu z samolotu czy po wielogodzinnej jeździe samochodem, a mówił wczoraj, że dopiero co przyjechał do Alanyi.

Gdy weszli do baru, od razu ich zauważył. Wstał od stołu i serdecznie się uśmiechnął.

– Cześć. Wyspani?

Zanim odpowiedzieli, zajęli miejsca przy stole, na lekko skrzypiących krzesłach.

– Pewnie! Zwarci i gotowi na przygodę! – zawołał Anton, przykładając dwa palce do czoła, jakby salutował.

Tymczasem Johnny z zadowoleniem odnotował obecność młodszej siostry Emmy.

– Sara, brakowało cię wieczorem. Szkoda, że nie przyszłaś.

– Cześć, Johnny. Przepraszam, wykończyła mnie wczorajsza plaża. Popołudniowa kąpiel w morzu zupełnie pozbawiła mnie energii. W domu, na Gotlandii, potrafię wiele godzin na zmianę leżeć na piasku, pływać i grać w piłkę, a tu ciągle czuję się zmęczona.

Dziewczyzna rzeczywiście nie wyglądała zbyt dobrze. Nie była już tak blada jak w dniu przyjazdu, bo południowe słońce zrobiło swoje, ale miała podkrążone oczy i wydawała się pozbawiona energii.

– W Morzu Śródziemnym jest dużo większe zasolenie niż w Bałtyku, to właśnie ta sól wyciąga z człowieka wszystkie siły. Jeszcze się nie zaaklimatyzowałaś – uspokoił ją nowy znajomy.

– Też mam nadzieję, że z dnia na dzień będzie lepiej z moją kondycją.

– Jedliście już śniadanie?

– Tak, ale chcielibyśmy się czegoś napić. A w ogóle to musimy kupić wodę w butelkach, bo zapomnieliśmy zabrać naszej z hotelu.

– To może wypijmy teraz kawę, a wodę kupimy później. Pokażę wam też świetne miejsce, gdzie można dostać świeżo wyciskany sok z pomarańczy. Lokalny przedsiębiorca przerobił starą przyczepę kempingową na barek, dostawił kilka stolików i krzeseł. Chyba sam się nie spodziewał, że zrobi się z tego tak popularne miejsce postoju w drodze na wzgórze zamkowe. Zawsze są tam tłumy ludzi. Sok wyciska ręczną metalową wyciskarką, a świeże owoce dowożą mu co chwilę. Napój ma odrobinę inny smak niż taki wyciskany mechanicznie. Nie wiem, czy taki lubicie. Ja w każdym razie zapraszam.

Anton głośno się roześmiał.

– Nie mogłeś lepiej trafić! To mój ulubiony smak.

Sara wskazała na sąsiednie stoły zastawione śniadaniowymi przysmakami.

– A ja chętnie spróbowałabym czarnych oliwek. Wyglądają apetycznie. Do tego chrupiące bagietki. To wszystko tak znakomicie pachnie, że znowu zrobiłam się głodna.

– Bo nie jadłaś z nami śniadania.

– Jadłam wcześniej batonika z automatu. Jeszcze spaliście, kiedy poszłam się przejść po plaży.

– Spacerowałaś sama? – zapytał Johnny. – Nie bałaś się?

– Czego miałam się bać? – Zdumiona Sara odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Młoda, ładna Europejka o świecie sama na plaży. No, wiesz... Trzeba uważać. Mogło ci się coś stać.

– Nawet nie przeszło mi to przez myśl. Ale szkoda, że cię tam ze mną nie było.

– Też żałuję.

Przy stole zapanowała na chwilę krępująca cisza. Johnny nagle spoważniał i z zainteresowaniem przyglądał się dziewczynie.

– Tyle czasu chyba jeszcze mamy – powiedział. – Zdążymy wziąć dla ciebie małą przekąskę.

Chłopak podszedł do kontuaru, żeby złożyć zamówienie. Przyniósł Sarze miskę z oliwkami i koszyczek z pieczywem. Po chwili dostali też cztery aromatyczne kawy w niskich filiżankach z grubej porcelany oraz po szklance wody. Na większym talerzyku właściciel dołożył w prezencie parę małych słodkich bułeczek z migdałami. Sara musiała być rzeczywiście głodna, skoro od razu łapczywie rzuciła się

na jedzenie, zaczynając od czarnych oliwek, które, jak się okazało, miały zupełnie inny smak niż znane jej zielone, ale też były pyszne. Anton rozciągał się leniwie na krześle, założywszy ręce za głowę. Tylko Emma nerwowo spoglądała na zegarek.

Johnny wypił łyk kawy i zaczął opowiadać o trasie zwiedzania, jaką zaplanował dla całej czwórki.

– Ponieważ nigdy jeszcze tu nie byliście, to pozwólcie, że wprowadzę was w temat. Na górę zamkową można wjechać autobusem lub taksówką. Podróż nie jest długa. Jeżeli zależy wam wyłącznie na zwiedzaniu zamku, to dobre rozwiązanie. W planie mają kolejkę widokową, ale nie wiadomo, kiedy ją zbudują. To byłby jeszcze lepszy środek transportu, gdyby nie to, że pewnie zawsze będzie do niej długi ogonek chętnych. Wiecie, amerykańscy turyści, którzy będą mogli się potem pochwalić, że zaliczyli i zamek, i widoki, a przy tym nie stracili dużo czasu. Ale jest też trzecia możliwość, gwarantuję wam, że najlepsza. Proponuję wejść inną drogą, pieszo. Trochę wspinaczki chyba nam nie zaszkodzi, jak myślicie? Jeśli pojedziemy samochodem albo autobusem, ominą nas, a właściwie was, bo ja to już kiedyś widziałem, najpiękniejsze widoki. No i przy ścieżce znajduje się ten punkt z wyciskanyim sokiem, o którym wspominałem. Brzmi dobrze?

– Genialnie! Sami pewnie wybralibyśmy najkrótszą trasę, tracąc przy tym możliwość zobaczenia czegokolwiek po drodze – przyznała Sara.

– No, bracie, jesteś naszym aniołem stróżem. – Anton nie mógł się powstrzymać od sarkazmu.

Miał już dość wymądrzania się tego obcego chłopaka, tym bardziej że „jego” dziewczyny tak się nim zachwycały. Ale jednocześnie musiał przyznać, że Johnny niczego im nie narzucał, a jego pomysły rzeczywiście były przemyślane. W końcu to nie jego wina, że jest sympatyczny, miły, inteligentny i zapewne odczytany, skoro miał taką wiedzę. Ale Emma i Sara mogłyby przestać patrzeć się na niego z takim zachwytem...

Gdy wypili kawę, zaczęli zbierać się do wyjścia. Trochę się przy tym posprzeczali o rachunek, bo Johnny upierał się, że to on za wszystko zapłaci, ale w końcu ustalili, że teraz płacą oni, a w drodze na zamek Johnny funduje im sok pomarańczowy i lody, jeżeli będą dostępne.

Na początku szli brukowaną aleją, po której poruszały się nieliczne samochody. Mijali ustawione przy drodze prowizoryczne stragany, których właściciele oferowali przechodniom słomkowe kapelusze, kolorowe chusty i torby.

– Czy jeszcze daleko? – zapytała Johnny’ego zziębnięta Sara.

– Nie jesteśmy nawet w połowie drogi – odparł z uśmiechem.

Dziewczyna ze zdumieniem zauważyła, że on sam nie był ani trochę zmęczony. Dla kogoś, kto w ramach hobby skacze z nadmorskich skał, taka wspinaczka to zapewne pryszcz. Poprosiła jednak, aby trochę zwolnili, i Johnny początkowo zastosował się do jej prośby, ale zaledwie po kwadransie znowu przyspieszył. Tym razem Sara już nie oponowała.

W końcu doszli do fortyfikacji okalających teren zamku i skręcili na ubitą, wąską ścieżkę prowadzącą wzdłuż muru. Momentami musieli kluczyć pomiędzy drzewami oliwnymi, cyprysami i ogromnymi agawami, ostrożnie omijając wszystkie możliwe rodzaje kaktusów. Szczęśliwie dla Sary piękne widoki sprawiły, że wszyscy co chwilę się zatrzymywali i z zachwytem spoglądali dookoła, a Emma robiła zdjęcia. Johnny nic a nic nie przesadzał, zachwalając tę wyczerpującą trasę. Warto było się pomęczyć, żeby teraz delektować się widokiem rozpościerającym się z drogi na szczyt wzgórza, który rzeczywiście zapierał dech w piersiach. Błękitne morze oddalało się od nich, a strome skały wznoszące się wokół wzbudzały coraz większy respekt. Na zboczu rosły mandarynki, po które już chcieli sięgnąć, gdy Johnny powiedział, że nie nadają się do jedzenia, bo są bardzo kwaśne. Pomiędzy krzakami wylegiwały się niewielkie jaszczurki, które wyglądały, jakby ktoś je wypuścił ze sklepu z zabawkami. Niektóre były lekko żółtawego koloru, inne brązowo-żółte, ale wszystkie miały nieregularne ciemne plamki w okolicach głowy i guzkowate łuski na grzbiecie. Sara uznała, że są urocze. Przypominały jej małego smoka, bohatera jednej z książeczek dla dzieci, której tytułu za nic nie mogła sobie przypomnieć. Starsza siostra, która miała awersję do wszelkiego rodzaju gadów, z żółwiami włącznie, bynajmniej nie podzielała jej zdania. Patrzyła się na te stworzenia z obrzydzeniem.

– Co to jest?! – krzyknęła Emma.

– To gekony. – Ich samozwańczy przewodnik wiedział wszystko. – W nocy są bardziej aktywne. W dzień tylko wygrzewają się na słońcu. Nie są groźne, ale lepiej bliżej do nich nie podchodzić. Mogą się przestraszyć.

– A, to te jaszczurki, które potrafią chodzić po szybach? – zapytała zaciekawiona Sara.

– Owszem, gekony z tego słyną, ale dotyczy to wyłącznie gatunków bytujących na drzewach. Mają one między palcami takie specyficzne przyssawki, nie wiem, jak to się fachowo nazywa, dzięki którym mogą chodzić po gładkich powierzchniach, nawet po szybach. Ale te akurat nie posiadły takiej zdolności. Mają zwyczajne łapki. A wiecie, że to są jedyne jaszczurki, które wydają odgłosy? Wołają głośno gek-ko, stąd zresztą ich nazwa brzmiąca podobnie w różnych językach.

– Pieprzony Mister Google... – wymamrotał pod nosem Anton, któremu podobnie jak Sarze coraz trudniej się szło w narastającej spiekocie.

Czy ten przemądrzały Johnny w wolnym czasie czytuje wyłącznie Wikipedię? Swoją drogą on sam też wiedział co nieco o gekonach, a owe przyssawki, o których mówił ich nowy kolega, nazywa się przylgami. Ale ponieważ Anton nie miał pojęcia, jak to będzie po angielsku, zatrzymał tę informację dla siebie. Jak zostaną we trójkę, to podzieli się nią z dziewczynami. Niech wiedzą, że jest równie mądry co Johnny, ale nie popisuje się tym.

Na niebie nie było ani jednej chmurki, nawet maleńkiego obłoczka, a tymczasem oni, prowadzeni przez nowego znajomego, bez wytchnienia wspinali się coraz wyżej, mijając małe domki z czerwonymi dachami i meczet, o którym wcześniej wspominał Johnny. On jedyny zdawał się ignorować upał, nie przejmując się wysoką temperaturą, która całej trójce Szwedów dawała się we znaki. Mimo wszystko zaciskali zęby i kontynuowali wędrówkę, starając się dorównać Johnny'emu. Jakiś czas szli w milczeniu, aż po kilku minutach ich oczom ukazał się rozległy plac z kilkunastoma małymi stolikami i krzesłkami. Pod drzewami stała przyczepa, w której uśmiechnięty pan w średnim wieku właśnie rozlewał do szklanek świeży sok pomarańczowy. Wszystko wyglądało nierealnie, jak oaza na pustyni.

– Nie wierzę... Doszliśmy – wystękał Anton. – Czy jest tu jakiś basen albo chociaż prysznic?

– Usiądźmy kawałek dalej, bliżej muru. Tam w cieniu widzę krzesła – zaproponował Johnny. – Przy tej bramie. – Wskazał głową przeciwną stronę placu. – Idźcie usiąść, bo wyglądacie na potwornie zmęczonych. Zaraz przyniosę sok.

Sarze kręciło się w głowie, więc z ulgą opadła na jedno z krzesel i zamknęła oczy.

– Ledwo żyję. Mój żołądek znowu się buntuje. Odbija mi się tymi oliwkami.

– Jesteśmy na tyle daleko od stolików i budki z sokiem, że możesz się nawet położyć na ziemi. Nikt nie zauważy. – Antona pomimo zmęczenia nie opuszczało specyficzne poczucie humoru.

– Jakie ładne nowe i czyste krzesła. – Emma ucieszyła się, że nie zabrudzi swojej czerwonej sukienki.

Po kilku minutach, które Sarze wydały się wiecznością, Johnny wrócił z obiecany sokiem. Każdemu wręczył dużą plastikową szklankę schłodzonego napoju. Wszyscy zaczęli łapczywie pić, oprócz Sary, która przyłożyła sobie najpierw oszroniony kubek do rozgrzanego policzka. Już miała wziąć pierwszy łyk, gdy poczuła, że robi jej się niedobrze. To zdradliwe tureckie jedzenie...

– Zaraz zwymiotuję. Strasznie was przepraszam, ale ten zapach wywraca mi wszystko w środku do góry nogami. Nie chcę, żebyście musieli na to patrzeć. Zaraz wrócę.

Zerwała się z krzesła i pobiegła w stronę placu, gdzie na skraju skarpy rosły wysokie krzaki. Zatrzymała się tam, uznając, że jest na tyle daleko, że ani siostra, ani tym bardziej nikt z chłopaków na pewno jej nie dostrzeże. Schowała się za krzewami i ledwie się nachyliła – zwróciła całe śniadanie, razem z oliwkami i kawą. Mimo to wciąż czuła ogromny ciężar w żołądku. Rozpłakała się. Czym i kiedy się tak zatrula? Pomimo że przypomniła sobie cały swój jadłospis, nie znalazła w nim nic podejrzanego. Może winą należało obciążyć ów nieszczęsny batonik, którego tak bezmyślnie schrupała, wychodząc z hotelu? Na wspomnienie jego smaku zwymiotowała kolejny raz, co utwierdziło ją w przekonaniu, że to właśnie przez niego nabawiła się niestrawności.

„Czuję się jak po jakiejś alkoholowej balandze” – westchnęła. „Ta wspinaczka pewnie dobiła mój nadwężony układ trawienny, który teraz już zupełnie odmówił posłuszeństwa”.

Usiadła na ziemi, podciągając w górę kolana i pochylając się do przodu, tak by mogła oprzeć o nie głowę. Jakimś cudem w takiej pozycji nie dokuczalo jej uczucie ciężkości w żołądku. Po chwili jednak odwróciła się w drugą stronę, gdyż zapach wymiocin mocno drażnił jej nozdrza. Trwała tak jakiś czas praktycznie w bezruchu, by w końcu wyjąć z kieszeni krótkich spodenek mokrą chusteczkę w jednorazowym opakowaniu i wytrzeć nią twarz. Przy okazji spojrzała na swoją niebieską bransoletkę.

– Miałaś mnie chronić, pamiętasz? A ty co? Obijasz się. A ja w ciebie uwierzyłam... – zaczęła się cicho śmiać. – A co tam, i tak jesteś bardzo ładną pamiętką.

Sara od dziecka miała dziwny zwyczaj rozmawiania z przedmiotami. Kiedy była mała, uważała, że wszystko, nie tylko drzewa czy kwiaty, ale nawet talerze i garnki w kredensie babki, ma duszę, dlatego kiedy na przykład nie mogła zapiąć zamka w bucie, usiłowała przekonać go, aby się jej nie opierał. Czasem się nawet złościła, kiedy jakaś rzecz nie chciała stać na półce czy na stole, jak ją postawiła, tylko bezustannie się przewracała. A jej siostra, słuchając, jak Sara krzyczy: „Stój, ty głupi wazonie”, dosłownie pokładała się ze śmiechu. Teraz też się to Sarze zdarzało, chociażby wówczas, gdy pakowała walizkę na wyjazd, zaklinając ją, by była tak miła i dała się zamknąć...

W krzakach, które dawały jej schronienie przed wzrokiem postronnych, przesiadła dłuższą chwilę. Kiedy uświadomiła sobie, ile czasu minęło, zdziwiła się, że ani Anton, ani Emma nie przyszli tu, żeby sprawdzić, co się z nią dzieje. Czyżby tak dobrze się czuli w towarzystwie Johnny'ego, że zupełnie o niej zapomnieli? Wściekła na siostrę i jej chłopaka postanowiła wreszcie wyjść z ukrycia i dołączyć do reszty. Skierowała się w stronę miejsca, gdzie zostawiła całe towarzystwo. Nagle stanęła jak wryta, rozglądając się niepewnie dookoła. Krzesła, na których siedzieli, stały puste. Nikogo tam nie było.

8.

Dopiero teraz Sara zauważyła, że okolica wcale nie jest tak idealna, jak jeszcze przed chwilą jej się wydawało. Wcześniej wzięła ją za oazę, ale tak naprawdę był to śmietnik: na ziemi leżały porzucane kubeczki po soku, plastikowe butelki po wodzie i zmięte papierowe serwetki. Zniesmaczona odwróciła wzrok, by zawołać Emmę, której – podobnie zresztą jak pozostałej dwójki – wciąż nie widziała w pobliżu. Przyszło jej do głowy, że towarzystwo postanowiło, na pewno za namową Antona, zrobić jej głupi kawał, pewnie za karę, za to, że zostawiła ich na tak długo samych. Jakby wymiotowanie w krzakach było przyjemnością! Trudno, uda, że dała się nabrać, a z siostrzyczką rozmówi się w hotelu. Po kolei wołała wszystkich po imieniu, ale nikt jej nie odpowiadał. Poirytowana wyjęła z torby telefon i zadzwoniła do siostry. Usłyszała sygnał, ale nikt nie odbierał. Co dziwniejsze, nie było też nigdzie słyhać charakterystycznego dzwonka komórki siostry. Numer Antona również nie odpowiadał. Żałowała, że nie wie, jak skontaktować się z Johnnym. Gdzie oni mogli się podziać?

Od strony placu ze szklankami w rękach zbliżała się rozgadana grupka młodzieży. Dwie Angielki w kolorowych sukienkach i kilku miejscowych chłopaków w sportowych ubraniach spojrzeli na nią ze zdziwieniem. Jej różowe włosy były w nieładzie, a na bladej twarzy malowało się zdenerwowanie.

– Nie widzieliście siedzących tutaj dwóch młodych mężczyzn i kobiety, długie blond włosy, czerwona sukienka? Też rozmawiali po angielsku – spytała turystów.

– Nie, nikogo takiego nie widzieliśmy. Zobaczyliśmy te puste krzesła, dlatego postanowiliśmy właśnie tu odpocząć i w cieniu wypić nasz sok.

Anglicy musieli się pojawić, kiedy jej towarzystwa już tu nie było. Tylko gdzie, do diabła, podziała się jej siostra, Anton i Johnny? Jeżeli to był kawał, to bardzo głupi.

„Mam nadzieję, że chociaż oni dobrze się bawią, bo mnie wcale nie jest do śmiechu” – pomyślała zirytowana.

Sara podeszła do bramy, przy której wcześniej siedzieli. Wrota były lekko uchylone, więc pomyślała, że może wyszli tamtędy poza mury. Otworzyła je szerzej i postąpiła krok naprzód. Za bramą była tylko przepaść i daleko w dole – błękitne morze. Dziewczynie ciarki przeszły po plecach. Szybko się cofnęła, odwróciła i pobiegła w stronę budki z sokiem.

– Czy przechodzili tędy ludzie, z którymi przyszłam? – zapytała mężczyznę.

– Widzę panią pierwszy raz. – Właściciel budki ze zdziwieniem spojrzął na dziewczynę. – Włosy – dodał skonfundowany, widząc przerażenie malujące się na jej twarzy i jednocześnie wskazując palcem na jej kolorową fryzurę. – Nie pamiętam – próbował tłumaczyć łamaną angielszczyzną.

– Chodzi mi o dwóch chłopaków i dziewczynę, moją siostrę. Ładna blondynka. Miała na sobie czerwoną sukienkę. Jej chłopak był w zwykłym białym T-shircie, włosy miał związane w kucyk. Ten

drugi miał zgniózłony T-shirt z małą kieszonką i granatową bejsbolówkę. Błagam pana, niech pan sobie przypomni. To było dziesięć minut temu.

– Tego w bejsbolówce pamiętam! – Sprzedawca uśmiechnął się z ulgą. – Kupował cztery duże soki. Ale nie widziałem, w którą poszedł stronę.

Od najbliższego stolika wstała około czterdziestoletnia ciemnowłosa kobieta w okularach przeciwsłonecznych, w białej koszuli i czarnej spódnicy, z plaketką pracownika zamku zawieszoną na żółtej smyczy.

– Czy mogę w czymś pomóc? Zgubiła się pani?

Sara, zorientowawszy się, że angielski ten kobiety jest dużo lepszy niż pana sprzedającego sok z pomarańczy, uznała pojawienie się pracowniczki muzeum za wybawienie. Nareszcie ktoś kompetentny, kto udzieli jej pomocy. Dziewczyna wyjaśniła jej, że nie może znaleźć towarzystwa, z którym przyszła.

– Pani znajomi musieli albo pójść dalej na górę, albo wrócić tą drogą, którą przyszlście, przy samym murze. Można też zejść tędy. – Wskazała na szeroką jezdnię za sobą. – Ale jestem tu od piętnastu minut i nikt taki koło mnie nie przechodził.

– Odeszłam tylko na chwilę, a oni po prostu zniknęli.

– Może znużyło ich czekanie na panią i poszli dalej. Proszę sprawdzić na górze.

– Nie zostawiliby mnie tu samej. Myślałam, że wyszli przez bramę, ale tamtędy chyba nie da się zejść, prawda? Jest bardzo stromo.

– Przez bramę? O jakiej bramie pani mówi?

– Tam, gdzie siedzieliśmy, jest duża, ciężka brama. Sprawdziłam, ale nie mogli tamtędy zejść. Nie da się. Chyba.

– No pewnie, że się nie da. Brama jest zamknięta.

– Nie. Ona jest otwarta.

– Proszę pani, ta brama zawsze jest zamknięta – stwierdziła stanowczo kobieta, patrząc na Sarę tak, jakby dziewczyna powiedziała jej, że przed chwilą widziała na niebie UFO. – Tylko kustosz muzeum zamkowego ma do niej klucze, ale on jest w swoim biurze, w zamku, na samej górze. Po co zresztą ktoś miałby ją otwierać? Tam jest niebezpiecznie, można się zabić.

Kobieta zaczynała się już niecierpliwić, ale kwestia bramy nie dawała jej spokoju. Wiedziała, jak bardzo nierozsądni potrafią być turyści i jak niechętnie stosują się do ustalonych dla ich bezpieczeństwa zakazów obowiązujących na terenie obiektów historycznych. Pewnie dlatego uznała, że lepiej dmuchać na zimne.

– Proszę mi pokazać to miejsce, o którym pani mówi.

Sara posłusznie zaprowadziła ją tam, gdzie po raz ostatni widziała Emmę, Antona i Johnny'ego. Gdy doszły do zajętych teraz przez Angielki i ich kolegów placu, Turczynka nie na żarty się zdenerwowała. Zaczęła wykrzykiwać coś w swoim języku i wymachiwać rękami.

– Pyta, jak mogliście być takimi idiotami i otworzyć bramę – usłużnie przetłumaczył jeden z chłopaków siedzących na krzesłach. – Mówi, że jesteście nienormalni, jak wszyscy zagraniczni turyści, i że wezwie policję.

– Czy ta głupia baba nie rozumie, że to nie byłam ja ani nikt od nas? Jak niby mieliśmy to zrobić?

Sara nie wiedziała, czy nakrzyczeć na pracownicę muzeum, czy zacząć płakać. Nie miała pojęcia, co ma teraz ze sobą począć. Zostawiła wrzeszczącą kobietę i szybkim krokiem pomaszerowała na szczyt wzgórza. Być może rzeczywiście wszyscy od dawna tam na nią czekali. Już ona sobie z nimi porozmawiała!

Niestety na górze nikogo nie było. Obeszła wszystkie dróżki. Próbowwała znowu dodzwonić się do siostry i Antona, ale teraz już w ogóle nie uzyskiwała połączenia. Wybrała numer hotelu, w którym mieszkali, i długo rozmawiała ze starszą recepcjonistką. Ta dwa razy powtórzyła, że widziała, jak rano wszyscy w trójkę wyszli z budynku, ale jest pewna, iż do tej pory nikt z tego towarzystwa do hotelu nie wrócił. Oczywiście, że doskonale wie, o kogo chodzi. Rozmawiały przecież rano, gdy dziewczyna wychodziła sama na plażę.

Dopiero teraz dotarło do Sary, że coś jest nie tak. Ludzie nie znikają tak nagle w środku dnia, nawet jeżeli planują zrobić komuś głupi kawał. A co, jeżeli schowali się przed nią na zboczu, a potem któreś straciło równowagę i próbując się ratować, chwyciło się pozostałych i pociągnęło ich w dół, w głębinę morza? Przecież takie rzeczy się zdarzają, zwłaszcza jeśli ktoś nie ma doświadczenia w chodzeniu po górach. Dwa lata temu w taki właśnie głupi sposób stracił życie jakiś chłopak z jej szkoły, którego

imienia nie mogła sobie przypomnieć, a który wyjechał z kolegami w Alpy. On sam o wspinaczce miał raczej blade pojęcie, ale jego koledzy uważali się już za wytrawnych alpinistów, mogących zdobyć nawet Mount Everest, dlatego uznali, że go poduczą. Na miejscu okazało się, że przecenili swoje umiejętności. Jeden z nich podczas niefortunnej wyprawy, na którą w ogóle nie powinni wyruszać, a już na pewno nie z niedoświadczonym chłopakiem, złamał sobie obie nogi. I tak mógł się uważać za szczęściarza – ich towarzysz, niemający prawie żadnego doświadczenia, na skutek niefortunnego zbiegu zdarzeń runął w przepaść i zginął na miejscu. Pozostałą trójkę ściągnięto helikopterem. Kto wie, może Johnny namówił Emmę i jej chłopaka na wspinaczkę i skończyło się tak samo?

Sara szybko odpędziła od siebie tę myśl, uświadomiwszy sobie, że jej siostra była ubrana w sukienkę i buty nienadające się do chodzenia po skałkach. Poza tym była zbyt rozsądna, żeby zdecydować się na takie wariactwa. Co innego Anton, ale on zazwyczaj słuchał swojej dziewczyny. Trochę jednak był pantoflarzem...

Próbując się uspokoić, Sara wzięła kilka głębokich oddechów. Miała świadomość, że najważniejsze to zachować chłodny umysł. Wiedziała, że nie wolno jej stracić panowania nad sobą, bo nikt nie będzie jej traktował poważnie i nie zechce jej pomóc. Grzecznie zatrzymywała wszystkich napotykanych i mówiących po angielsku turystów, pytając ich, czy nie widzieli jej przyjaciół, i opisując dokładnie wygląd osób, których szukała, ale nikt z indagowanych nie zapamiętał dziewczyny w czerwonej sukience ani wysokiego Szweda z kitką. Udało jej się nawet dotrzeć do panów obsługujących zamkowy monitoring i swoim nieodpartym urokiem przekonać ich, żeby pokazali jej nagrania z ostatniej godziny. Ale i to nie pomogło. Emma, Anton i Johnny przepadli jak kamień w wodę.

Zrezygnowana usiadła skulona na murku okalającym dziedziniec zamkowy. Czuła znużenie i wyczerpanie, a na domiar złego butelka z wodą, którą kupiła w hotelowym automacie, była już prawie pusta. Co prawda już jej nie mdliło, ale na skutek wcześniejszych sensacji żołądkowych była z pewnością odwodniona, czuła suchość w ustach. Jej niepokój narastał. Sara stopniowo zaczynała sobie uświadamiać, jak fatalnie wygląda jej obecna sytuacja. Dotarło do niej, że nic więcej nie jest już w stanie sama zrobić.

Po kilku godzinach prowadzonych na własną rękę poszukiwań, które okazały się całkowicie nieskuteczne, nie pozostało jej nic innego, jak powiadomić policję i skontaktować się ze szwedzką ambasadą.

Radiowóz przyjechał po czterdziestu minutach. Dwóch młodych policjantów weszło do biura administratora zamku. Okazało się, że jeden z nich całkiem przyzwoicie mówi po angielsku. Obaj funkcjonariusze cierpliwie i z należytą uwagą wysłuchali opowieści Sary.

– Może pani siostra chciała pobyc trochę sam na sam z chłopakiem? – zasugerował lekceważąco starszy z mundurowych. – Albo wszyscy się pokłócili i od dawna siedzą w hotelu, czekając i denerwując się pani nieobecnością? Pewnie myślą, że to pani się gdzieś zgubiła. Musi nam pani pokazać miejsce, w którym ostatni raz widziała siostrę i jej chłopaka.

Funkcjonariusz zwrócił się do kustosa:

– Mówił pan o jakiejś bramie. Że nie powinna być otwarta, czy tak?

– Tak. To brama w murze obronnym, donikąd nie prowadzi. Po drugiej stronie jest bardzo stronne urwisko. Zawsze pilnujemy, żeby była zamknięta, jak zresztą wszystkie inne takie bramy. Tylko ja mam do nich klucze. Codziennie wieczorem nasi strażnicy sprawdzają cały teren.

– Czy są tam kamery monitoringu?

– Nie. Tylko tutaj na górze.

– W takim razie zapraszamy państwa do samochodu. Pojedziemy razem do tego miejsca.

Sara czuła się niezręcznie, siedząc z trzema Turkami w małym samochodzie. A jak ją porwą? „To irracjonalne” – uspokoiła samą siebie w myślach. „To przecież stróża prawa, chcą mi pomóc”.

Nagle przypomniał jej się Johnny. Kim był ten mężczyzna, któremu jeszcze tego ranka bezgranicznie ufała? Może to on stoi za zniknięciem jej siostry i Antona. Może to jakiś przestępca, który ich porwał, i niedługo Sara dostanie pismo lub telefon z żądaniem okupu. Może zresztą nie chodziło o pieniądze, ale politykę, w której – jak mawiał jej ojciec – aż się roi od różnych brudów. Tylko komu mogło zależeć na porwaniu córki znanego parlamentarzysty? Nagle przypomniała sobie Johnny'ego i jego szczere spojrzenie. Niemożliwe, żeby ktoś taki był kryminalistą, za dobrze patrzyło mu z oczu. I najwyraźniej sama Sara mu się spodobała, dlaczego miałby więc porwać jej siostrę? Czyżby ich z premedytacją oszukał? Nie, to niemożliwe. Jemu też musiało się coś stać.

Przez całą drogę tureccy policjanci milczeli, od czasu do czasu wymieniając spostrzeżenia w swoim oczyszczonym języku i nie bacząc na to, że jest to nieco niegrzeczne wobec cudzoziemki jadącej razem z nimi.

Po dotarciu do placu usytuowanego na niższym poziomie wszyscy wysiedli z radiowozu i podeszli do ustawionych pod murem krzesła. Sara z obrzydzeniem zauważyła, że na ziemi walało się jeszcze więcej porzucanych kubeczków niż rano.

– Czy to tutaj siedzieliście?

– Tak.

– Kto zarządza tym placem? To znaczy... kto odpowiada za utrzymanie porządku i do kogo należą te wszystkie stoliki i krzesła? – Policjant zwrócił się do kustosa.

– Wszystkiego pilnuje sprzedawca soku. Pytajcie jego. Ja wiem tylko, że brama wieczorem na pewno była zamknięta.

Policjanci z zakłopotaniem zaczęli rozglądać się wokoło. Potem podeszli do uchylonej bramy i wyjrżeli na zewnątrz.

Tymczasem Sara z westchnieniem ciężko usiadła na krześle. Kark jej zesztyniał. Huczało jej w uszach i bolała ją głowa. Kropelki potu spływały jej z czoła do oczu i dalej, po policzkach, aż na szyję, mieszając się ze łzami. Znowu robiło jej się niedobrze, a serce biło jej coraz szybciej. Dłonie miała lodowate, chociaż w środku czuła potworne gorąco. Kolana jej drżały.

Nie wytrzyma tego dłużej. To jakiś nierealny koszmar. Ludzie nie znikają bez śladu. Takie rzeczy ogląda się tylko w kinie. Jeszcze chwila i zemdleje. Tego tylko brakowało, żeby jakiś Turek robił jej sztuczne oddychanie! Ta niezbyt pociągająca perspektywa sprawiła, że Sara postanowiła wstać i trochę pochodzić, by krew mogła lepiej krążyć. Tak zawsze radził tata, kiedy którejś z jego córek z wyczerpania zrobiło się słabo. Nagle Sarę olśniło – przecież powinna bezzwłocznie zadzwonić do ojca. Kto jak kto, ale on będzie wiedział, co robić i za które sznurki pociągnąć, by miejscowe służby porządnie zabrały się za poszukiwania. Wyjęła z torby telefon i drżącą ręką wybrała numer służbowej komórki Wettenberga.

Po chwili usłyszała wesoły głos taty.

– Witaj, maleństwo. Stęskniłaś się za swoim staruszkiem?

Spokojny i radosny ton ojca sprawił, że poczuła się zupełnie bezradna, a do jej oczu napłynęły łzy. Starła się opanować, nie chcąc wyjść przed tureckimi policjantami na histeryczkę, ale nie była w stanie powstrzymać płaczu. Podeszła do bramy, przy której policjanci coś sobie pokazywali. Szum morza wydał jej się nagle bardzo głośny. Krztusząc się i łkając, wykrzyczała do słuchawki:

– Tato, oni wszyscy zniknęli! Nie ma ich!

I wtedy na jednym z krzaków rosnących kilka metrów niżej zauważyła zahaczony na kolczastej zielonej gałązce, wyglądający nienaturalnie na tle dzikiej przyrody, maleńki czerwony skrawek materiału.

9.

Siedział w swoim gabinecie na trzecim piętrze eleganckiego biurowca w centrum miasta. Zrobiło się już późno i powinien był dawno wyjść do domu, ale miał jeszcze do sporządzenia raport dla komisji sanitarnej. Nie szło mu to pisanie. Zamiast usiąść porządnie przy biurku, usadowił się wygodnie na ulubionej kanapie, z laptopem na kolanach. Przysunął bliżej niski stolik kawowy i wyciągnął na nim nogi. Bez rezultatu. W ogóle nie potrafił się skoncentrować.

„I tak nic z tego nie wyniknie” – pomyślał. Przeczytają i odłożą ad acta razem z wcześniejszymi jego sprawozdaniami. Nie rozumieją, że ci barbarzyńcy roznoszą choroby, a ich pozostające poza kontrolą osiedla są siedliskiem groźnych bakterii. Ale już niedługo. Wtedy będzie mógł głośno powiedzieć, co myśli o rozrutności tych złodziei. Nie podobał mu się sposób, w jaki rząd gospodaruje przychodami z podatków, które on sam regularnie płaci, jak na praworządnego obywatela przystało.

Z ponurych rozmyślań wyrwał go pierwsze takti piosenki Phila Collinsa, wydawane przez jego telefon leżący na parapecie. Nie lubił dźwięku zwykłego, klasycznego dzwonka, który nieodłącznie kojarzył mu się z domowym telefonem wiszącym w kuchni. Wolał inne melodie i zmieniał je

w zależności od nastroju, a nawet przypisywał do konkretnych kontaktów. Phil Collins oznaczał, że numeru dzwoniącego nie było w jego książce telefonicznej.

Z ociąganiem wstał z kanapy, by ściszyć stojące na półce radio, a następnie podszedł do okna. Telefon dźwięczał uparcie. Spojrzał na wyświetlacz, by sprawdzić, kto dzwoni, ale zamiast numeru ujrzał tylko informację, że jest on zastrzeżony. Nie było innego wyjścia, jak odebrać. Kto wie, może to coś ważnego? Może nawet pomyślne wieści, na które od dawna czekał?

– Halo?

– Dzień dobry, wujku. Jestem już w drodze do Aten i chciałem ci powiedzieć, że mam udane wakacje, ale pogoda się psuje. Podam ci teraz mój nowy numer telefonu i chciałbym, żebyś do mnie oddzwonił, bo nie mam pieniędzy na roaming.

Rozmówca zaczął powoli dyktować długi numer, a on w popłochu rozglądał się za czymś do pisania. Na szczęście Litwinka, która u niego zazwyczaj sprząta, przychodzi dopiero jutro, więc nie zdążyła jeszcze zrobić porządków. Tuż obok, na stole, wciąż walały się jakieś papiery i ołówki, a nawet dwa długopisy. Sprzątaczką nie znała słowa po szwedzku, a po angielsku ledwie dukała, ale ze swoich obowiązków wywiązywała się świetnie, a on kochał ład i porządek. Dzisiaj jednak dziękował w duchu, że kobieta stawia się do pracy dopiero następnego dnia, bo inaczej swoim zwyczajem pochowałaby wszystko na swoje miejsca, a on nie miał czasu na szperanie po szufladach. Wziął pierwszy lepszy ołówek, drugą ręką sięgając po kartkę, by w pośpiechu zapisać kilka cyfr.

– Do usłyszenia, wujku. Czekam na telefon.

Osoba po drugiej stronie rozłączyła się.

Telefon wysłizgnął mu się z dłoni. Nie tak się umawiali. Coś musiało pójść niezgodnie z planem. Podszedł do biurka i otworzył dolną szufladę, z której wyjął kupioną kilka dni temu nową komórkę na kartę. Włączył ją i poczekał, aż karta SIM zaloguje się do sieci, a następnie nerwowo wstukał podany numer telefonu.

– Dziękuję, że tak szybko pan dzwoni – usłyszał po dwóch sygnałach.

– Bardzo proszę – odparł, siłąc się na spokój. – Dlaczego nie jest pan jeszcze w Atenach?

– Jestem w porcie, w budce telefonicznej. Za chwilę wsiadam na prom.

– Skończył pan pracę?

– W pewnym sensie.

– Co? Co ma pan na myśli, mówiąc „w pewnym sensie”?

– Zaszły niespodziewane okoliczności. Teraz już nic nie mogę zrobić. Za dwa dni będę w Sztokholmie i wtedy porozmawiamy. Sam pan zdecyduje, jak się rozliczymy. Wiem, że nie udało mi się spełnić pańskich oczekiwań, ale zawsze mogę to w ramach reklamacji zrobić później. Wykonałem pięćdziesiąt procent pańskiego zamówienia. Proszę się zastanowić, czy chce pan, żebym za jakiś czas kontynuował prace. Wszystkie dodatkowe koszty biorę na siebie. Mniejszy projekt wymaga poprawki.

– Niech pana szlag trafi! Czekam na pański telefon w niedzielę wieczorem! Pod tym numerem.

– A więc do usłyszenia i zobaczenia wkrótce.

Czując bezsilną wściekłość, z impetem rzucił komórkę na stojący przy oknie fotel. Najchętniej cisnąłby nią o ścianę, ale miała się jeszcze przydać. Zirytowany zaczął bębnić palcami o blat biurka, zastanawiając się jednocześnie, co powinien teraz zrobić, jaką podjąć decyzję. Otworzył jeden z notatników leżących na biurku. Znalazł to, czego szukał. Przez chwilę pisał coś na małej kolorowej karteczce, po czym złożył ją i schował do kieszeni spodni. Zdjął z wieszaka marynarkę i wyszedł z biura.

Dochodziła osiemnasta. Słońce świeciło mu prosto w oczy. W oddali, na rogu głównej ulicy zauważył starą zieloną budkę telefoniczną. „Chyba przesadzam z ostrożnością” – pomyślał. Ale to był dobry pomysł. Do nikogo nie można mieć dzisiaj zaufania. Na nikim nie można polegać. Fachowcy od siedmiu boleści. Jak to mówią – umiesz liczyć, licz na siebie. Nie mógł sobie przypomnieć, czy w tej zabytkowej budce znajduje się działający aparat telefoniczny.

Wszedł do środka. „Jak tu brudno” – zauważył. Wszędzie wokoło leżały opakowania po napojach w kartoniku i niedopałki papierosów. Zaśmiecili jego miasto. Za to telefon, właściwie już zabytkowy, nie był zdewastowany i chyba nawet działał. Podniósł ciężką słuchawkę i wrzucił do automatu jedną koronę, by następnie wystukać na klawiaturze numer telefonu.

Długo nie mógł uzyskać połączenia, a w słuchawce zamiast sygnału słyszał jedynie głuchą ciszę. Może urządzenie wisiało w budce tylko jako ozdoba i jednak nie łączyło rozmów? Na wszelki wypadek

sprawdził na wyświetlaczu swojej komórki, czy nie pomylił przypadkiem numeru, ale nie. W końcu usłyszał kliknięcie i komunikat o tym, że połączenie nie może zostać zrealizowane z winy niezależnej od operatora.

Odwiesił słuchawkę. Powtórzył czynności, wybierając tym razem inny szwedzki numer.

Znowu cisza, ale tym razem usłyszał po chwili podwójny sygnał oczekiwania. Jeden, drugi, trzeci, czwarty...

– Halo? Halo?! Kto mówi?!

Połączenie zostało przerwane. Roześlony odwiesił słuchawkę z taką siłą, że omal nie popsuł telefonu. Zaklął pod nosem i opuścił budkę z tym zupełnie bezużytecznym antycznym aparatem. Kiedy wychodził, na twarzy poczuł kilka kropli deszczu i uświadomił sobie, że nie zabrał z domu parasola. Postawił kołnierzyk marynarki i pomachał ręką w stronę nadjeżdżającej właśnie taksówki.

10.

Po złożeniu oficjalnego zawiadomienia o zaginięciu Emmy Wetterberg i Antona Kjella oraz po podpisaniu protokołu wstępnego przesłuchania w charakterze świadka Sara wróciła do hotelu. Wyznała policji, z jakim strachem i paniką błąkała się sama po terenie ruin zamku, szukając siostry, i jakiego szoku doznała na widok pustych krzesel. Opowiadała o tym, jak bardzo wyczekiwała pomocy i jak nikogo to nie obchodziło. Nie była pewna, czy policjanci potraktowali jej relację poważnie, ale czuła wewnętrzny przymus, by to wszystko wreszcie z siebie wyrzucić. Doskonale zdawała sobie sprawę, że dla własnego dobra powinna bardziej nad sobą panować, ale to wcale nie było takie proste. Ze zdenerwowania nie potrafiła logicznie myśleć, a funkcjonariusze zadawali jej podchwytliwe pytania, jakby chcieli przyłapać ją na kłamstwie i wykazać, że w rzeczywistości doskonale wie, co się stało z jej znajomymi, i tylko niepotrzebnie zawraca głowę policji.

Tłumacz, którym okazał się nie żaden poważny urzędnik państwowy, ale student najmujący się jako przewodnik turystyczny, niejednokrotnie nie wiedział, jak przekazać pytanie, żeby jej nie urazić i do końca nie wyprowadzić z równowagi. Dostrzegła te starania i w duchu była mu za to wdzięczna. Ale i tak czuła, że zrobiła z siebie kompletną idiotkę. Wszystko przez to, że zapytali ją o nazwisko trzeciej zaginionej osoby. Wówczas Sara, święcie przekonana, że podaje prawdziwe dane, powiedziała, że ich nowy znajomy nazywał się Johnnie Walker, co wzbudziło salwę gromkiego śmiechu nie tylko u policjantów, ale nawet u tłumacza, który wcześniej wydawał się jej współczuć. W pierwszej chwili nie wiedziała, o co chodzi, ale szybko dotarło do niej, jak komicznie i niewiarygodnie to brzmi. Jak mogła być taką skończoną kretynką!

Uświadomiła sobie, że chłopak nie podał im nazwiska, tylko samo imię, które jej, Emmie i Antonowi skojarzyło się właśnie z Johnniem Walkerem, marką bodaj najpopularniejszej whisky na świecie. Kiedy tylko mężczyźni przestali się śmiać, Sara, usiłując zachować spokój, wyjaśniła im swoją pomyłkę, ale i tak przyglądali się jej z rozbawieniem. Coś tam odnotowali w papierach, ale dziewczyna odniosła wrażenie, że funkcjonariusze nie przejmują się tym nieznanym bliżej turystą, o którym słuch zaginęła, skoro nie był to nikt z jej bliskich. Dobrze, że chociaż ściągnęli zdjęcie Emmy i Antona, które miała w komórce – jeszcze z Visby. Dawało to przynajmniej gwarancję, że będą wiedzieć, kogo mają szukać. Portret pamięciowy Johnny'ego, zrobiony na podstawie podanego przez nią rysopisu, też wyszedł całkiem niezłe. Ponieważ pozwolili jej wziąć jedną kopię, postanowiła pokazać go ojcu.

Po przesłuchaniu chłopak, który dwoił się i troił, tłumacząc bezczelne pytania policjantów oraz jej nieskładne odpowiedzi, był tak miły, że odwiózł ją do hotelu swoim samochodem. Nawet zapytał, czy poradzi sobie sama i czy nie chciałaby, żeby kogoś powiadomił. Może rodzinę albo ambasadę Szwecji? Podziękowała uprzejmie, mówiąc, że to już załatwione i że teraz chciałaby się tylko wykąpać, przebrać w czyste rzeczy i odpocząć. Zostawił jej swoją wizytówkę – na wypadek, gdyby jeszcze kiedyś potrzebowała pomocy tłumacza – i grzecznie się pożegnał.

W hotelu razem z kluczem recepcjonista wręczył jej faks z wiadomością od ojca: „Córeczko, nie mogłem się do Ciebie dodzwonić. Jestem już w drodze do Alanyi. Nie ruszaj się z hotelu. Przyjeżdżam w nocy”. Poczuli, jakby ktoś zdjął jej kamień z serca. Nie będzie musiała więcej rozmawiać z policją. Tata wszystko załatwi, on będzie wiedział, co zrobić, by ich zmusić do odnalezienia Emmy.

Weszła do pokoju, powoli zamknęła za sobą drzwi i rozejrzała się po pomieszczeniu. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak wtedy, gdy ostatni raz przed wyjściem sprawdzała, czy niczego nie zapomnieli. Chociaż od tamtej chwili minęło zaledwie kilkanaście godzin, Sarze wydawało się, że nie była tu kilka dni. Ze zdumieniem zauważyła niepościelone łóżka. Dlaczego nie było tu pokojówki? Ach tak, nie wywiesili kartki, żeby posprzątać... Szafa stała otwarta na oścież... Emma nie potrafiła zdecydować, którą sukienkę założyć. Rozrzucone buty Antona i jej przewrócony plecak... To wszystko nie mogło się wydarzyć naprawdę. Oni zaraz wrócą, zeszli tylko do restauracji.

Stres towarzyszący Sarze od zniknięcia Emmy i jej chłopaka co prawda powoli ustępował zmęczeniu, ale coraz bardziej kręciło jej się w głowie. Położyła torbę na stole i usiadła na krześle. Z kieszeni wyjęła komórkę i zobaczyła, że bateria zupełnie się rozładowała. Sięgnęła na szafkę koło łóżka po ładowarkę Emmy i podłączyła telefon, a następnie wygrzebała pilot do telewizora spod poduszki na kanapie, gdzie – jak to miała w zwyczaju – schowała go poprzedniego wieczora. Nie chciała siedzieć w ciszy, więc włączyła telewizję.

Na pierwszym kanale informacyjnym serwowano niekończącą się listę problemów tego świata w postaci dzienników i wiadomości dnia, co bynajmniej nie poprawiło Sarze nastroju. Miała dość własnych kłopotów. W końcu znalazła jakiś lokalny kanał z turecką muzyką ludową. Idealnie. Coś, co nie będzie od niej wymagało skupienia. Wstała i poszła do łazienki. Po drodze wzięła jedną z półlitrowych butelek z wodą pozostawionych przez Antona na podłodze w łazience. Od razu całą wypiła. Jeden rzut oka na odbicie w łazienkowym lustrze sprowadził ją na ziemię. Ujrzała swoją zmęczoną, poszarzałą twarz. Wolno się rozebrała, zostawiając ubrania na podłodze. Odkręciła prysznic, weszła do brodzika i zamknęła za sobą drzwi kabiny. Chłodny strumień zmoczył jej włosy i spływał dalej na całe ciało. Długo tak stała, czując, że woda przynosi jej ulgę, spłukując z niej wszystkie zmartwienia. Potem, owinięta szlafrokiem, wróciła do pokoju i usiadła na łóżku.

Wszystkie czynności wykonywała automatycznie, nad niczym się nie zastanawiając. Ręce same wiedziały, co robić. Nie docierały do niej w tej chwili żadne bodźce zewnętrzne. Była bardzo zmęczona. Nie poszła do swojego pokoju, tylko położyła się tam, gdzie wczoraj spała jej siostra z chłopakiem. Poduszka z lewej strony – ta, na której leżała Emma – wciąż pachniała jej perfumowanym mleczkiem do ciała, które nakładała po kąpieli. Po stronie Antona Sara wyczuła natomiast woń jego wody po goleniu. Miała wrażenie, że oboje są tuż obok. Znużenie w końcu wzięło górę i dziewczyna nawet nie zauważyła, kiedy zasnęła, nie wyłączwszy telewizora.

Obudziło ją niezbyt głośne pukanie do drzwi. Nie była pewna, czy to jawa, czy jeszcze sen. Otworzyła oczy i zdumiona rozejrzała się po pokoju. Było zupełnie ciemno. Dlaczego spała w szlafroku, w dodatku w nieswoim łóżku? Gdzie są Emma z Antonem? Dopiero po chwili zaczęły jej się po kolei przypominać wydarzenia ostatniego dnia.

Pukanie do drzwi powtórzyło się, tym razem bardziej zdecydowanie. Ktoś się niecierpliwił.

– Sara, jesteś tam? Otwórz. To ja.

Ojciec. Wyskoczyła z łóżka. Otworzyła drzwi i rzuciła mu się na szyję.

– Tatusiu, nie wiem, co się stało! Odeszłam tylko na chwilę, a jak wróciłam, ich już nie było. Został tylko skrawek sukienki Emmy na gałęzi przy skałach – zaczęła chaotycznie tłumaczyć. Łzy same napłynęły jej do oczu.

Ojciec mocno ją obejmował, a ona mogła się w niego wtulić i szlochać mu w ramię tak jak wtedy, gdy była mała i potrzebowała jego pomocy. Czuła zapach wody kolońskiej, od lat ten sam, i bicie jego serca. Wróciło poczucie bezpieczeństwa i pewność, że nigdy nie będzie już sama, cokolwiek się wydarzy, a tego teraz potrzebowała najbardziej.

Ojciec posadził ją na łóżku i okrył kocem. Przyniósł z łazienki papier toaletowy, żeby mogła sobie wytrzeć nos, i nalał wody do szklanki.

– Kochanie, spróbuj się uspokoić i opowiedz mi wszystko po kolei. Co właściwie się stało i kim jest ten nieznamy, z którym byliście umówieni na zwiedzanie ruin zamku?

11.

Spali najwyżej trzy godziny. Sara obudziła się spokojna, ale gdy wstała i podeszła do lustra – przeraziła się. Patrzyła na nią obca, opuchnięta od płaczu twarz, z wielkimi sińcami pod oczami.

Ojciec był w łazience. Słyszała szum wody.

– Tato, jesteś tam?

– Zaraz wychodzę.

Był już ogolony i ubrany. Pozornie wyglądał bardzo dobrze, w kremowej sportowej koszulce i jasnobieżowych spodniach prezentował się bardzo elegancko, ale Sarze zdawało się, że przybyło mu siwych włosów. A może to tylko złudzenie wywołane przez światło wpadające do pokoju zza lekko uchylonych żaluzji?

– Pojadę teraz na komisariat i dowiem się, czy mają jakieś nowe informacje. Jak chcesz, to połóż się jeszcze. Tylko nigdzie nie wychodź.

– Poczekaj na mnie, tato. Nie chcę zostawać tu sama. Zaraz będę gotowa i pojedziemy razem. Zadzwoń jeszcze tylko do chłopaka, który wczoraj pomagał jako policyjny tłumacz. To Emre jakiś tam. Dał mi swoją wizytówkę. Może dzisiaj jego znajomość angielskiego i tureckiego też się przyda.

– Dobrze. Rozmawiałem rano z naszą ambasadą w Ankarze, ale oni będą mogli przysłać kogoś dopiero jutro. Normalnie nie wypożyczają turystom swoich pracowników, ale okazało się, że jako polityk mam u nich pewne względy. – Puścił oko do córki.

No tak, wiedziała, że on wszystkiego dopilnuje i sprawi, że może nawet tureccy policjanci w końcu zabiorą się do roboty.

– Jak dobrze, że tu jesteś, tatusiu.

– Ze wszystkim świetnie sobie wczoraj poradziłaś. Jak myślisz, czy mamy jeszcze czas na śniadanie?

W recepcji zamówili taksówkę i po paru minutach wsiadali już do klimatyzowanego mercedesa, który zawiózł ich przed budynek z napisem Alanya İlçe Emniyet Müdürlüğü, gdzie mieścił się posterunek policji.

Tak jak spodziewała się Sara, funkcjonariusze potraktowali jej ojca znacznie poważniej niż ją samą. Wetterberg z właściwym sobie taktem dał im do zrozumienia, iż w Szwecji nie jest osobą anonimową, więc nie należy go lekceważyć. Mimo okazywanej przesłuchiwanym uwagi policja nie miała im właściwie nic do przekazania. Nie odnaleziono niczego, co pozwoliłoby ruszyć do przodu ze śledztwem.

Ojca Sary przesłuchano w zasadzie tylko dla formalności. W trakcie zasugerował, iż ze względu na charakter wykonywanej pracy parlamentarzysty wrogów ma niezliczenie wielu i nie jest w stanie wymienić ich wszystkich z imienia i nazwiska. Policjanci potraktowali to ze zrozumieniem, mówiąc, że w Turcji jest dokładnie tak samo i że to oczywiste, bo nikt nie lubi polityków. Sara przez dobrą godzinę oglądała katalog ze zdjęciami tureckich przestępców oraz zagranicznych, którzy kiedyś dali się przyłapać na gościnnych występach w okolicznych kurortach. Większość wyglądała odrażająco i niepojęte było, że ktoś mógł im zaufać i dać się okraść czy oszukać. Niestety żaden z nich nie był nawet w minimalnym stopniu podobny do Johnny'ego ani nikogo innego, kogo by pamiętała z restauracji czy wyprawy na zamek.

Na moment zaszczycił ich swoją obecnością szef tamtejszej ekipy, inspektor Bozkurt. Ku zadowoleniu Szwedów okazało się, że dobrze mówił po angielsku i wreszcie mogli się obyć bez pośrednictwa tłumacza. Dziewczyna oceniła wiek Bozkurta na zbliżony do jej ojca, ale mógł być nawet od niego młodszy, gdyż spora nadwaga, podobnie jak łysina, którą nieumiejętnie usiłował zakryć resztkami włosów, dodawały mu lat. Starał się sprawiać wrażenie miłego i sympatycznego. Robił, co mógł, by przekonać swoich szwedzkich rozmówców, iż jego koledzy dokładają wszelkich starań, by odnaleźć Emmę i Antona.

– Jak można by opisać państwa relacje rodzinne? – zwrócił się do Wetterberga.

– Co ma pan na myśli?

– Czy córka rozmawia z panem o swoich problemach?

– Czasami tak, ale częściej rozmawia z siostrą.

– A z matką?

– Moja żona od dawna nie żyje.
– Czy często się kłóćcie?
– Nie kłócimy się. Co to w ogóle za pytania? Co pan sugeruje?
– Nic. Ale takie historie ciągle się zdarzają – mówił, badawczo przyglądając się Janowi i Sarze, jakby chciał zbadać stosunki pomiędzy nimi. – Nieporozumienia z rodzicami to codzienność.

– Może u was. Moja córka jest mądrą i odpowiedzialną kobietą. Jeżeli wydaje się panu, że mogła uciec z chłopakiem, nie zawiadomisz o tym nikogo, to bardzo się pan myli. To w ogóle nie wchodzi w rachubę.

Bozkurt cicho westchnął, jakby chciał powiedzieć, że wszyscy rodzice tak myślą o swoich dzieciach. A potem oni znajdują te „porządne” panny naćpane w pokoju hotelowym, w łóżku z jakimś podtasiakiem, nadzianym frajerem. Z kolei „grzeczni” synkowie łajdaczą się z jakimiś popieprzonymi pedałami. I to za pieniądze.

– A jak ten drugi zawrót jej w głowie i namówił na wakacyjne szaleństwo? – zasugerował nieśmiało.

– To pan jest szalony!

Jan tracił cierpliwość. Sara siedziała przerażona i bez słowa przysłuchiwała się bezsensownym wywodom tureckiego inspektora. Jakby chciał ich przekonać, że nie ma sensu angażować się policji do poszukiwania kogoś, kto wcale nie chce zostać odnaleziony.

Bozkurt ewidentnie bagatelizował całe zdarzenie.

– Ależ proszę się nie denerwować. Z mojego doświadczenia, a pracuję w policji dostatecznie długo, żebym mógł coś na ten temat powiedzieć, wynika, iż zdecydowana większość osób zgłaszanych jako zaginione z czasem się odnajduje. Dotyczy to zwłaszcza młodzieży. Co prawda głównie nastolatków, ale i starszym, dorosłym już dzieciom zdarzają się takie „szaleństwa” – mówił ze spokojem. – Wie pan, jak to jest na wakacjach, coś tam się wypije, coś tam się zapali i już głupie myśli przychodzą do głowy. Nie żebym twierdził, że pana córka jest narkomanką czy alkoholiczką, co to, to nie – dodał, widząc rosnące wzburzenie na twarzy Szweda. – Ale tym bardziej taki scenariusz jest prawdopodobny: rozluźnione, rozbawione młode dziewczyny często dają się namówić jednorazowo na pewne „atrakcje”, o jakich w domu nawet by nie pomyślały. A potem obserwujemy tego konsekwencje... Wie pan, dzieci w czasie wakacji często uciekają od rodziny, wciąż odbieramy tego typu zgłoszenia. Im dalej od domu, tym łatwiej zniknąć. Ale moja policyjna intuicja podpowiada mi, że w tym przypadku nie ma powodu do obaw i pańska córka wkrótce wróci do hotelu cała i zdrowa, podobnie zresztą jak ci dwaj, którzy jej towarzyszyli. Wiem, że niektórzy odmawiają nam, Turkom, prawa do nazywania się Europejczykami i wciąż uważają nas za barbarzyńców, ale Alanya to nie Rio de Janeiro, gdzie grasują bandy porywające młodych ludzi. Zresztą gdyby ich porwano, to już dawno ktoś by się skontaktował w sprawie okupu albo z żądaniem czegoś, co pan, jako ojciec dziewczyny, miałby zrobić, aby ją odzyskać. A przecież nikt się z państwem w tej sprawie nie kontaktował. Czy się mylę? – Inspektor przyjrzał się badawczo Sarze i jej ojcu, a dziewczyna czym prędzej zaprzeczyła.

Wetterberg nie wiedział, czy ta argumentacja go uspokaja, czy wręcz przeciwnie. Postawa tutejszych funkcjonariuszy wydawała mu się niepojęta. Policjanci, z tym denerwującym Bozkurtem na czele, zachowywali się tak, jakby w tureckich miejscowościach turystycznych ludzie ginęli każdego dnia, a potem niczym deus ex machina zjawiali się w swoim hotelu. Nikt nie martwił się losem trójki zaginionych. Niemożliwe, żeby było tu aż tak niebezpiecznie. Przecież ten rejon żyje z turystyki, dlaczego więc nikt nie dba o bezpieczeństwo przyjezdnych? Nie pozostawało nic innego, jak tylko poprosić o pomoc ambasadę Szwecji. Już on ich nauczy, jak należy podchodzić do swoich obowiązków.

– No cóż – powiedział Wetterberg, starając się ukryć poirytowanie. – Widzę, że nie dojdziemy dzisiaj do żadnych istotnych wniosków. Pożegnamy szanownych panów i pójdziemy zająć się własnymi sprawami, zamiast zabierać cenny czas zapracowanej policji. Do widzenia!

Wychodząc, zauważył, że zgromadzeni na komisariacie przyjęli jego deklarację z widoczną ulgą. Ale gdy tylko przekroczył próg, wyjął komórkę, by wybrać wpisany tam jeszcze w Szwecji numer ambasady. Jeżeli jednak myślał, że pracownicy placówki rzucą wszystko i zajmą się poszukiwaniami jego zaginionej córeczki, to bardzo się rozczarował. Kobieta, z którą rozmawiał, skrupulatnie wszystko odnotowała i obiecała, że przekaże informacje kompetentnej osobie, która za jakiś czas udzieli im wszelkiej możliwej pomocy. Wściekły polityk podziękował jej, cedząc słowa przez zęby, a kiedy skończył rozmowę, uznał,

że najwidoczniej upał źle wpływa nie tylko na Turków, ale i na przyjezdnych. Nie do wiary, żeby tak zbyć właśnie jego, znanego posła do Riksdagu!

Najwidoczniej jednak kobieta z nim rozmawiająca musiała przestrzegać obowiązujących procedur, radca prawny ambasady z Ankary skontaktował się z nim bowiem stosunkowo szybko, już w porze lunchu. Poinformował go, że oddelegowany pracownik, specjalizujący się na co dzień w kontaktach z tureckimi mediami, jest już w drodze do Alanyi. Ze swojej strony ambasada obiecywała wszelką możliwą pomoc w poszukiwaniach, cokolwiek mogło to oznaczać.

– Dobrze, że przysyłają nam tłumacza – skwitował Wetterberg. – Wybacz, Saro, ale nie czuję się komfortowo, korzystając nieustannie z usług tego nieznanego studenta, chociaż to zapewne miły i uczciwy młody człowiek.

– Na pewno ciężko pracuje na każdy grosz – powiedziała ze współczuciem. – Wspominał, że ma na utrzymaniu matkę i siostrę i że ima się różnych prac, bo każde płatne zajęcie jest dla niego na wagę złota.

Wieczorem Sarze wreszcie udało się znaleźć dłuższą chwilę spokoju i zatelefonować do Rodrigueza, o którym, co ją samą bardzo zaskoczyło, nie pomyślała ani razu od momentu tajemniczego zniknięcia Emmy i jej chłopaka. Obecność ojca wpływała na nią na tyle uspokajająco, że była w stanie logicznie skonstruować zdanie i opowiedzieć ukochanemu, co dokładnie się stało. Obyło się nawet bez płaczu do słuchawki. Spokojnie odpowiadała na pytania i wyjaśniała, dlaczego musiała postąpić tak, a nie inaczej, albo czego nie dało się zrobić i z jakiego powodu. Wspomniała, że tutejsza policja najwyraźniej nie ma ochoty szukać jej siostry. Wszyscy podejrzewają, że zniknęła celowo.

– No tak, to zupełnie jak u nas, w Kolumbii – stwierdził Rodriguez. – Tu też najpierw policja zaczyna od próby zniechęcenia rodziny do poszukiwań. Taka metoda. Wiem, bo kiedyś zaginęła matka jednego z moich kolegów, a jego ojciec za nic nie mógł doprosić się u policjantów, by łaskawie ruszyli swoje leniwe dupska i rozpoczęli poszukiwania jego małżonki. Wszystko przez to, że nasza policja nie ma wystarczających środków i możliwości. Tak jest zresztą, jak widzisz, nie tylko w Kolumbii. Jak się okazuje, w wielu krajach nie można liczyć na pomoc funkcjonariuszy. Nawet nie wiecie, ile macie szczęścia, że urodziliście się i mieszkacie w Szwecji. Zresztą ja też czuję się tam dużo bezpieczniej niż u siebie w domu. A o Emmę i Antona się nie martw, na pewno się znajdą.

– A co z tą kobietą? – spytała zaciekawiona Sara.

– Z jaką znowu kobietą?!

– No, z tą zaginioną matką twojego kumpla.

– Ach tak. W tym przypadku akurat wszystko dobrze się skończyło, chociaż może nie dla jej męża. Okazało się, że uciekła z kochankiem, jakimś Anglikiem czy Amerykaninem, dokładnie nie wiem. Poznała go na czacie. Ale prawdy nie odkryła cudowna kolumbijska policja, tylko dzieci rzekomo zaginionej, kiedy przyszło im do głowy, żeby przejrzeć laptop matki. Może i dobrze się stało, bo z jej męża też był niezły palant. Ponoć znęcał się nad nią psychicznie.

– Ale nad Emmą nikt się przecież nie znęcał, nie miała powodu, by od nas uciekać.

– Boże, mała, ja nie nawiązywałem do twojej siostry, tylko do opieszałości policji. Słuchaj, a może oni uciekli do Las Vegas i tam wzięli ślub? W jakiejś kapliczce, gdzie śpiewał dla nich sobowtór Presleya. No wiesz, Love me tender i tak dalej...

– Przestań się wygłupiać! Ja naprawdę się o nich martwię. Tak sobie myślę... może za wszystkim stoi ten cały Johnny, może to on im coś zrobił?

– Też wymyśliłaś! Chłop chciał sobie znaleźć towarzystwo, popisać się przed dziewczynami, jaki to on elokwentny i wszystkowiedzący. Stawiał wam lody i soki tylko po to, żeby później coś im zrobić? A zastanawiałaś się, dlaczego ciebie oszczędził? Przecież to nie ma sensu. Coś mi się zdaje, złotko, że czytasz za dużo kryminałów.

Lekkość i beztroska, z jakimi Rodriguez wypowiadał te słowa, okazały się balsamem na znękaną duszę Sary. Jej zły nastrój uleciał jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zwłaszcza kiedy później zmienili temat i rozmawiali o dniach, które spędzili wspólnie przed zakończeniem roku akademickiego. Śmiali się, wspominając zwariowane imprezy. Chłopak bardzo się starał pocieszyć Sarę. Co chwilę powtarzał, jak ją kocha i że niedługo się znowu spotkają. Planował, co będą robić, gdy wróci do Visby, i obiecał, że następne letnie wakacje spędzą już razem w jakimś pięknym miejscu, z dala od obcych ludzi. Tym razem to oni zaproszą Emmę i Antona.

Jego słowa były dla niej pocieszeniem po wszystkich nieszczęściach, jakie ostatnio na nią spadły. Położyła się spać w dużo lepszym nastroju, z nadzieją, że niedługo zobaczy się z siostrą i wspólnie będą się śmiały z tego całego zamieszania.

Kolejny dzień upłynął Wetterbergom spokojnie na korzystaniu z pięknej pogody i śródziemnomorskiej kuchni. Sara z zaskoczeniem odkryła, że hotelowa restauracja ma wiele do zaoferowania, a zatrudnieni tam kucharze są mistrzami w swoim fachu. Czuła się już znacznie lepiej, żołądek jej nie dokuczał, być może dlatego, że temperatura obniżyła się o kilka stopni, co i jej, i ojcu bardzo odpowiadało. Wynajętym samochodem jeździli po okolicy, rozglądając się uważnie z nadzieją, że dojrzą gdzieś przypadkiem Johnny'ego, a najlepiej Emmę albo Antona. Przydał im się policyjny portret pamięciowy sporządzony na podstawie zeznań Sary. Zaraz po wstępnym przesłuchaniu pozwolono jej zatrzymać kopię i teraz pokazywali ją ludziom w restauracjach czy na promenadzie wraz ze zdjęciem zaginionych. Niestety żaden z pytanych nie rozpoznał nikogo z poszukiwanej trójki.

Śledztwo prowadzone przez stróżów prawa, rzekomo intensywnie, najwyraźniej także utknęło w martwym punkcie. Jan zaczynał wątpić w dobrą wolę i umiejętności detektywistyczne tureckiej policji, o czym telefonicznie poinformował radcę prawnego ambasady.

Wieczorem, po kolacji zjedzonej w hotelu, ojciec z córką wybrali się na spacer po plaży. Wspominali wakacje spędzane na Gotlandii. Porównywali piasek i muszelki, wodę i zachód słońca. Po czym doszli do wniosku, że klimat północnoeuropejski bardziej im służy i że oboje lepiej się czują nad Bałtykiem.

– Jak tylko Emma i Anton się odnajdą, wracamy do Szwecji. Dość mam Turcji i jej zabytków. Najlepsze wakacje są u babci na Gotlandii.

– Oczywiście, dziecko. Jak tylko się odnajdą, wracamy do domu. – Jan uśmiechnął się smutno i pogłaskała córkę czule po włosach. Zupełnie jak wtedy, kiedy była jeszcze małą dziewczynką.

12.

Wilma obudziła się wyjątkowo wcześnie, jak zwykle na wakacyjnych wyjazdach. Było już jasno, a kiedy sięgnęła po komórkę, by sprawdzić, która godzina, zorientowała się, że dopiero dochodzi szósta.

„Jak to jest, że w domu, kiedy trzeba wstać do pracy, to mam z tym poważne problemy i najchętniej spałabym do południa” – zastanawiała się w duchu. „Jak tylko przychodzę do biura, od razu pędzę do automatu z kawą. Tymczasem tutaj kładę się późno, a wstaję prawie o wschodzie słońca. I nie potrzebuję żadnej kawy”.

Kto wie, może to południowe słońce tak na nią działało... Odwróciła się i spojrzała na śpiącego obok Kurta. Leżał na brzuchu, bo wczoraj za długo siedzieli na plaży i zbyt mocno się opalił. Delikatnie odchyliła prześcieradło, by stwierdzić, że cudowny balsam kupiony z polecenia miejscowego sprzedawcy nie był aż tak dobry, jak zachwalał Turek – plecy jej chłopaka wciąż były czerwone. A przecież wieczorem starannie wmasowała w nie to rzekomo wspaniałe mazidło, mimo że jego zapach do przyjemnych nie należał. Westchnęła z rezygnacją, gdy zdała sobie sprawę, że Kurt przez cały dzień będzie stękał i narzekał, chociaż wczoraj, kiedy prosiła go, by dał sobie nasmarować plecy kremem z filtrem, stanowczo odmówił. No cóż, będzie musiała to jakoś przeżyć. Najlepiej zrobi, jak podejdzie do najbliższej apteki i poprosi o coś na oparzenia słoneczne.

Postanowiła wyskoczyć z łóżka i iść popływać. Teraz przynajmniej nie będzie musiała przepychać się do wody ani mijać podchmielonych grubasów pływających na materacach czy matek pluskających się z dziećmi. Zanim jednak przebrała się w kostium, sięgnęła do szafy, by po raz kolejny przejrzeć ciuchy kupione wczoraj wieczorem w miejscowym butik. Były to podróbki Prady i Gucciego, ale za to jakie! Wilma z niekłamana przyjemnością wodziła dłonią po ich fakturze, oglądała je ze wszystkich stron, przypominając sobie zachwycony wzrok Kurta, kiedy w kolejnych mierzonych zestawach ciuszków wychodziła z przymierzalni. Sam sprzedawca – nawiasem mówiąc, dość przystojny – przyglądał się jej z przyjemnością. A ona wyobrażała sobie miny koleżanek, kiedy założy nowe ciuchy do biura albo na imprezę. I żadna się nie domyśli, że to podróbki, przecież nikt nie będzie zaglądał jej pod spódnicę czy

pod bluzkę, żeby zobaczyć metkę! Poza tym jej chłopak wytargował całkiem niezłą cenę, a ona była w siódmym niebie. Niestety, chociaż poprzedniego wieczoru miała ochotę na seks, tym razem musiała się obyć smakiem. Obolałe plecy Kurta skutecznie studziły jego miłosne zapały.

Cichutko westchnęła i zaczęła składać nowe rzeczy w kostkę, by je włożyć do szafy. Nagle z półek po stronie zajętej przez rzeczy jej chłopaka wypadło niewielkie zawiniątko. Zaintrygowana dziewczyna zaczęła rozwijać cienki papier, oglądając się z niepokojem, by sprawdzić, czy przypadkiem Kurt się nie obudził. Na szczęście spał jak nowo narodzone dziecko, delikatnie pochrapując. Po odwinięciu papierka, który okazał się zwykłą serwetką, Wilma ujrzała małe, granatowe, aksamitne pudełeczko – takie, jakie można dostać u jubilera. W środku był pierścionek z białego złota, z niewielkim ametystem, niezbyt duży, ale za to bardzo gustowny. Położyła rękę na ustach, żeby nie krzyknąć. A więc to tak! Kurt w końcu, po pięciu latach związku, zamierzał się jej oświadczyć. Najwyższy czas! Uradowana postanowiła nie psuć mu niespodzianki. Zamknęła pudełeczko i owinęła je ponownie w serwetkę, ale kiedy chciała je odłożyć na miejsce, zorientowała się, że nie wie, skąd wypadło. Po chwili wahania wsunęła je między T-shirty chłopaka. Kurt jest takim bałaganierzem, że z pewnością nie będzie pamiętał, gdzie schował pierścionek.

Narzuciła na siebie lekką sukienkę plażową, włożyła klapki, chwyciła ręcznik i szybko musnęła ustami śpiącego mężczyznę.

– To ty, kochanie? Dokąd idziesz? – wymruczał.

– Śpij, śpij, idę popływać.

– Która jest?

– Przed siódmą. Nie przeszkadzaj sobie.

Starając się robić jak najmniej hałasu, Wilma wyszła i cichutko zamknęła za sobą drzwi bungalowu. Zbiegła po schodach i po chwili już była w wodzie. Ręcznik i sukienka leżały rzucone niedbale na piasku, a ona spokojnie rozgarniała ramionami wodę, która mile opływała jej opalone ciało. Wciąż miała przed oczami pierścionek przypadkiem znaleziony w szafie i zastanawiała się, jak Kurt zorganizuje oświadczyzny. Czy będzie to romantyczny wieczór przy świecach, czy też zabierze ją na wycieczkę stateczkiem lub wynajętym jachtem. Wspominał o tym przed wyjazdem. A może wymyślił jeszcze co innego... Niezależnie jednak, gdzie i kiedy to robi, ona z pewnością powie „tak”!

Odpułyła już dość daleko od brzegu, kiedy nogami uderzyła w coś, co unosiło się na wodzie. Odwróciła wzrok i chciała krzyknąć, ale zamiast tego zachłystnęła się wodą. Rozpaczliwie biła rękoma w wodę, ale na szczęście po chwili odzyskała równowagę, uspokoiła się i najszybciej, jak potrafiła, popłynęła w kierunku brzegu. Kątem oka zauważyła Kurta, który najwidoczniej postanowił do niej dołączyć. Mężczyzna, widząc, co się dzieje, wbiegł do wody i czym prędzej ruszył w jej kierunku. Nie zdążył nawet zdjąć niebieskiej koszulki, którą miał na sobie.

Policja została zaalarmowana kwadrans po siódmej przez parę Niemców z Hanoweru, spędzających w Alanyi romantyczne wakacje. Znaleziono zwłoki młodego mężczyzny, unoszące się na wodzie niedaleko ekskluzywnego osiedla bungalowów, za Alanya Marina, około dziesięciu kilometrów na północny zachód od zamkowego urwiska. Zakochani mieszkali w jednym z wynajętych domków i wyszli popływać przed śniadaniem. Kobieta wpłynęła wprost na ciało denata, które unosiło się na powierzchni wody w odległości kilkunastu metrów od brzegu.

Gdy pół godziny później dwa radiowozy dotarły na miejsce zdarzenia, na plaży zdążył się już zgromadzić tłum gapiów. Co drugi trzymał w ręku smartfon i nagrywał wszystko i wszystkich. Szef grupy kazał ogrodzić miejsce taśmą i wezwać lekarza sądowego. Od razu też powiadomiono komendę okręgową w Antalyi, gdyż tylko oni mieli dostateczne środki, by zająć się sprawą.

Wezwano szefa tamtejszej policji, Bozkurta, który miał uprawnienia do oficjalnego przekazania śledztwa jednostce nadrzędnej. Po dwudziestu minutach parkował już swojego nissana przy zejściu nad wodę.

– Co za początek dnia. – Bozkurtowi udało się precyzyjnie przez tłum plażowiczów. – Niech ktoś przegoni stąd tych wszystkich ludzi! – wściekał się. – I zakaże im kręcenia filmów telefonami i kamerami. Co za banda kretynów! Za chwilę nasze śledztwo będzie na YouTube.

Dwóch mundurowych, którzy nie byli pewni, kogo dokładnie dotyczy określenie „banda kretynów”, wzięło się szybko za wykonanie rozkazu i zaczęło przeganiać ciekawskich. Ich szef był najwyraźniej w złym humorze, więc najlepiej było wykonać polecenie bez szemrania.

- Czy wiemy już, kto to jest? – zapytał inspektor.
 - Z opisu pasuje do tego zaginionego chłopaka ze Szwecji.
- Komisarz, który wcześniej zajmował się sprawą Antona i Emmy, trzymał w ręku zdjęcie, które dostali od Sary.
- Podobny. Prawda, szefie?
 - Cholera. A jednak. Bardzo liczyłem na to, że chłopak i dziewczyna odnajdą się żywi. Nie znaleziono żadnego innego ciała?
 - Jeszcze nie. Czy mamy poprosić wojsko o przysłanie nurków?
 - Koniecznie. Trzeba dokładnie przeszukać teren basenu jachtowego. Jeżeli zwłoki chłopaka znalazły się tutaj, to należy przypuszczać, że i ciało dziewczyny gdzieś tu jest. I może jeszcze tego trzeciego.
 - Ten trzeci nie jest oficjalnie poszukiwany. Nie zgłoszono jego zaginięcia.
 - Tym lepiej. I tak mamy dość problemów. A więc tak, marina jest pełna, jak to w sezonie. Większość osób to zagraniczni turyści. Niech nurkowie tak to zorganizują, żeby nie wzbudzać niezdrowego zainteresowania i nie wywoływać paniki. Nie daj Boże, żeby któryś z żeglarzy włączył się do poszukiwań i jeszcze zrobił krzywdę sobie albo komuś z naszych. Rozstawić mundurowych przy nabrzeżach i pomostach cumowniczych. Niech nikt obcy nie wchodzi do wody. I proszę powiadomić kapitanat o naszej akcji.
 - Tym chyba zajmą się już marynarze. Oni mają ze sobą lepszy układ. Ciągłe jedni drugim w czymś pomagają.
 - Wszystko mi jedno. Byle potem nie mieli pretensji, że działamy na ich terenie. Czy nasz lekarz już jest?
 - Właśnie podjechał.
 - Dzień dobry, doktorze.
- Bozkurt przywitał się ze starszym siwym panem, który w tej chwili przeszedł pod taśmą. Lekarz bardziej przypominał pocziwego właściciela gospody niż fachowca od krajania trupów.
- Popsuliśmy panu niedzielny poranek?
 - To nic nowego, taka praca. Co tutaj mamy?
 - Młody mężczyzna, przypuszczalnie wcześniej przez nas poszukiwany. Proszę, o ile to możliwe, określić czas i przyczynę zgonu. Dokładniejsze badania przeprowadzą nasi koledzy z Zakładu Medycyny Sądowej w Antalyi. Nie powinienem tego mówić, ale spodziewamy się odnaleźć gdzieś w okolicy jeszcze drugie zwłoki, jego dziewczyny. A właściwie to może nawet i trzecie, ich znajomego, po którym też ślad zaginął. Sam już nie wiem, kim był ten trzeci i jaką rolę w tym odegrał. Oficjalnie nikt nie zgłosił jego zaginięcia i nawet nie wiemy, jak się naprawdę nazywa. Zakładamy, że wszyscy zginęli w tym samym czasie, choć może się myłę.
 - To nie moja działka, ale może dziewczyna uciekła właśnie z tym trzecim?
 - Życzyłbym sobie, żeby tak było – westchnął Bozkurt, w duchu modląc się, żeby słowa lekarza okazały się prorocze.
- Oby dziewczyna żyła i odnalazła się jak najszybciej cała i zdrowa. Wszystko jedno, gdzie i z kim.
- Doktor pochylił się nad ciałem Antona i ostrożnie zsunął płachtę, którą je przykryto.
- Kiedy chce pan usłyszeć moją opinię dotyczącą denata, inspektorze?
 - Najlepiej od razu, doktorze.
 - Widzę, że nie żyje. To na pewno. – Lekarz z irytacją przewrócił oczami. Słynał z takich idiotycznych, niby dowcipnych wtrętów na miejscu zbrodni. – Wygląda na to, że ma skręcony kark. Liczne zadrapania i obrażenia na całym ciele oraz nietypowe złamania mogą wskazywać na upadek z dużej wysokości. Raczej nie pobicie. Ale wydaje mi się, że został również otruty. Proszę spojrzeć na jego opuchnięty język.
 - Lekarz ostrożnie rozchylił usta zmarłego, żeby inspektor zobaczył, o czym mówi. – Ponieważ znaleziono go w wodzie, biorę też pod uwagę utonięcie. Takie są moje sugestie.
 - A jak pan myśli, jak długo nie żyje?
 - Tego nie mogę określić. Stężenie pośmiertne jeszcze nie całkiem ustąpiło, a ciało jest w dobrym stanie, więc nie dłużej niż trzy dni i nie krócej niż trzy godziny. Na pewno uzyska pan wyczerpujące odpowiedzi na wszystkie swoje pytania po sekcji zwłok.
 - Tak, tak, oczywiście.

– Czy w związku z tym, że ciało ma zostać przekazane do Antalyi, będę panu jeszcze potrzebny, czy mogę wrócić do domu i dokończyć śniadanie?

– Dziękujemy, doktorze. Proszę się nie gniewać tym nagłym wezwaniem. To zagraniczny turysta i w dodatku sprawą interesowała się już szwedzka ambasada. Nie mamy wystarczających środków, brak funduszy, rozumie pan... Nie kwestionuję oczywiście pańskich umiejętności. Proszę tylko zrozumieć, że bardzo liczy się czas, a my nie mamy w Alanyi odpowiedniego sprzętu.

– Czy w razie potrzeby, czego nie życzę, poradzi pan sobie z drugimi zwłokami, inspektorze?

– Tak, tak. Po trzech dniach od zaginięcia nie liczyłbym na to, że wyłowimy kogoś żywego – stwierdził z rezygnacją. – Może się zdarzyć, że ciało w ogóle nie wypłynie, w morzu czyhają żyjątką gotowe pożreć nawet trupa. Mogło też zahaczyć się o jakąś skałę albo wypłynąć z prądem na pełne morze.

Lekarz ze zrozumieniem pokiwał ponuro głową.

– Protokół wstępnych oględzin wysłę niezwłocznie po dotarciu do siebie – obiecał, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji i problemów, z jakimi teraz będą się musieli zmierzyć nie tylko Bozkurt, ale i cała miejscowa policja.

Lekarz wiedział, że zaraz przyjadą tu jakieś szychy z Ankary. W końcu zmarły był cudzoziemcem. Obiło mu się o uszy, że zaginiona dziewczyna była córką jakiegoś zagranicznego prominenta czy celebryty, bodaj polityka. Jeśli znajdą jej ciało, to dopiero będzie szum! Już współczuł Bozkurtowi.

– Tak, dobrze. Jeszcze raz dziękuję, że tak szybko pan przyjechał – powiedział ten z tak zaszępioną miną, jakby czytał w myślach lekarza.

Inspektor podszedł do grupki policjantów pilnujących zagrodzonego kawałka plaży. Z daleka ujrzał młodą kobietę, najwyraźniej cudzoziemkę, stojącą obok mężczyzny otaczającego ją troskliwie ramieniem. On miał na sobie wciąż jeszcze mokry podkoszulek, ona sprawiała wrażenie, jakby kuliła się z zimna pod ręcznikiem, którym była otulona, pomimo że słońce grzało już dość mocno. Najwidoczniej była w szoku.

– To oni znaleźli ciało? – zapytał Bozkurt stojącego nieopodal młodego policjanta.

– Tak, właściwie to ona. Rano sama poszła popływać. Ponoć jak tylko natknęła się na unoszącego się na wodzie trupa, to tak się przestraszyła, że aż zachłysnęła się wodą. Mało brakowało, żeby się utopiła, mielibyśmy dwoje nieboszczyków – stwierdził funkcjonariusz. – Szkoda by było, bo ładna, no nie?

– Nie wiem. Jak dla mnie za chuda – orzekł inspektor. Co też oni widzą w tych chodzących szkieletach? Ani to nie ma biustu, ani tyłka, sama skóra i kości. – A wy się nie gacie na turystki, tylko, do cholery, zabierajcie się do roboty! – wrzasnął poirytowany. – Czy ktoś powiadomił tę drugą dziewczynę, to znaczy tę, która zgłaszała zaginięcie? Musi tu przyjechać, żeby dokonać rozpoznania zwłok. Byłoby dziwnie, gdyby dopiero u naszych zarozumiałych kolegów w okręgowce okazało się, że to jakiś zupełnie nieznaną denat.

Nieco starszy kolega funkcjonariusza, który przed chwilą nieopatrznie wyraził zachwyt młodą Niemką, rzucił mu karcące spojrzenie, odpowiadając jednocześnie na pytanie przełożonego:

– Dzwoniliśmy do hotelu. Za chwilę powinna tu być razem z ojcem i pracownikiem ambasady z Ankary.

– Przecież nie znaleźliśmy ciała jej siostry, tylko chłopaka! Brakuje nam jeszcze tylko telewizji. – Irytacja Bozkurta sięgnęła zenitu.

– Już nie, inspektorze. Niech pan spojrzysz.

Policjant powiódł wzrokiem w kierunku wskazanym przez podwładnego i ujrzał wóz transmisyjny ATV z ekipą, która przyjechała wczoraj do Alanyi relacjonować otwarcie nowego kompleksu hotelowego z największym nocnym klubem w mieście. Samochód właśnie parkował obok aut policyjnych. Bozkurt zaklął pod nosem, a kiedy się odwrócił, zobaczył, że od drugiej strony, plażą, grzęznąc w piachu, do furkoczącej na wietrze taśmy policyjnej zbliża się Sara w towarzystwie ojca i tłumacza.

– No to jesteście w komplecie. – Bozkurt ciężko westchnął i wyciągnął z kieszeni chusteczkę, żeby wytrzeć pot z czoła.

*

Przesłuchanie Niemców trwało bardzo krótko. Jeszcze na plaży powiedzieli wszystko, co mogło zainteresować inspektora. Oboje byli poza wszelkimi podejrzeniami, gdyż do Alanyi dotarli zaledwie dwa

dni wcześniej, a krewni zaginionej dziewczyny stwierdzili, że wcześniej nigdy ich nie spotkali. Poza tym Niemcy mieli alibi. Zdążyli się zaprzyjaźnić z sąsiadami zajmującymi dwa bungalowy leżące tuż obok zajmowanego przez nich i wspólnie urządzili sobie suto zakrapiane przyjęcie, zachowując się tak głośno, że chyba obudzili wszystkie mewy gniazdujące na okolicznych skałach. Następnego dnia najpierw byli na zakupach, potem plażowali, a Niemiec dostał nawet poparzenia słonecznego. Zamek ich w ogóle nie interesował, podobnie zresztą jak inne obiekty historyczne, więc nie wchodzili na wzgórze. Jednym słowem – byli to turyści spędzający całe dni na plaży i w wodzie, a w nocy na imprezach.

Bozkurt na wszelki wypadek polecił swoim podwładnym sprawdzić ich alibi i przepytała sprzedawców, u których robili zakupy, ale zdawał sobie sprawę, że to tylko formalność. Wszak Szwed najpewniej nie żył już od trzech dni.

Sara, nie zdejmując dużych ciemnych okularów przeciwsłonecznych, od razu rozpoznała zwłoki chłopaka siostry. Łzy same potoczyły się jej po policzkach. Musiała wytrzeć oczy.

– Co mu się stało? – wybełkotała zza chusteczki, walcząc z uczuciem mdłości. – Wygląda strasznie. Utopił się? – W długie włosy chłopaka zaplątane były liczne wodorosty.

– Za wcześnie, żeby można było to stwierdzić – odrzekł komisarz, ciesząc się w duchu, że dziewczyna się opanowała i nie zwróciła śniadania. – Jest kilka możliwości, ale która z nich była bezpośrednią przyczyną śmierci, to wykaże dopiero sekcja zwłok. Przymuszczalnie spadł albo został zrzucony ze skały.

Sara zadygotała. Przypomniała sobie, jakie wrażenie zrobił na niej widok przepaści za murami zamku. Pytającym wzrokiem spojrzała na inspektora, na co ten pokręcił przecząco głową.

– Nikogo ani nic innego nie znaleźliśmy. Nurkowie z marynarki wojennej przeszukują marinę. Nie chcę państwu odbierać nadziei, ale to nie wygląda dobrze. To nie pora na daleko idące sugestie. Powiem tylko, że pan Kjell nie żyje od około trzech dni.

Bozkurt napotkał wzrok ojca Sary, w którym dojrzał zebranie choćby o cień nadziei, jedno słowo, które sugerowałoby, że jego starsza córka wciąż żyje. Niestety komisarz, mimo że bardzo chciał, nie potrafił mu pomóc. Pozostało tylko wydać dyspozycje związane z zamówieniem transportu zwłok Antona do Zakładu Medycyny Sądowej w Antalyi.

Jan, mając upoważnienie od rodziny Kjella, zgodził się, aby od razu wdrożono zwyczajowe procedury związane ze śmiercią obcokrajowca i by tuż po sekcji zwłok wysłano ciało do Szwecji. Bozkurt odetchnął z ulgą, że ominie go wyjątkowo nieprzyjemny obowiązek powiadomienia rodziny Antona o jego śmierci. Po chwili jednak uświadomił sobie, że pewnie będzie musiał poinformować Wetterberga i jego córkę o zgonie Emmy. Zawodowa intuicja podpowiadała mu, że dziewczyny nie ma już wśród żywych.

*

Gdy Jan kwadrans przed ósmą odebrał telefon z policji i usłyszał, że znalezione zwłoki nie należą do jego córki, ulżyło mu. To ciągle oznaczało, że Emma być może jeszcze żyje. Mogło to też co prawda oznaczać, że została porwana przez „tego trzeciego” i jest gdzieś przetrzymywana w nieludzkich warunkach albo nawet torturowana, ale cały czas istniała nadzieja, że poszukiwania zakończą się względny sukcesem.

Później jednak zobaczyli z Sarą leżące na piasku ciało chłopaka i dowiedzieli się, że prawdopodobnie nie tylko został zrzucony ze skały, ale też wcześniej otruty. Jan zrozumiał, że powinien się przygotować na najgorsze, ale wciąż się łudził. Wszak, jak mówią, nadzieja umiera ostatnia.

Od telefonu Sary z wiadomością o zaginięciu siostry zastanawiał się, czy to, co się wydarzyło, było fatalnym zbiegiem okoliczności, bo jego dzieci trafiły na psychopatę, czy może ktoś to wszystko dokładnie zaplanował, żeby w ten sposób uderzyć w niego. Kto mógłby być aż tak okrutny?

Myślał o tym również, gdy szef policji po raz kolejny przeproszał go za to, że niczego nie udało się jeszcze ustalić w sprawie zaginięcia jego starszej córki. Właśnie chciał odpowiedzieć, że mimo to dziękuję, bo no news is good news, gdy zadzwonił dowódca zespołu nurków. Pod jedną z boi u wejścia do maryny, zaplątane w linki mocujące pływaka do żelbetowej podstawy, tak zwanej martwej kotwicy, znaleziono zwłoki, prawdopodobnie Emmy Wetterberg. Młodej kobiety w czerwonej sukience.

13.

Pierwszą rzeczą, jaka uderzyła detektywa Eminofa z komendy okręgowej tureckiej policji w czasie spotkaniu ze Szwedami, było niewiarygodne wręcz podobieństwo ojca i córki. Ojciec był co prawda trochę wyższy i nie miał kolorowych włosów, ale ich rysy twarzy były identyczne, dziewczyna miała tylko nieco bardziej wyraziste kości policzkowe. Nawet poruszali się w podobny sposób. Zaskoczyło go to bardzo. Widział przed chwilą zwłoki starszej z dziewcząt, przywiezione przed południem do Antalii, i nigdy by się nie domyślił, że była z nimi spokrewniona. Pomyślał sobie nawet, że na wszelki wypadek powinien poprosić rodzinę o ponowną identyfikację ciała znajdującego się w kostnicy, ale prędko doszedł do wniosku, że nie może być mowy o pomyłce, więc nie ma sensu ponownie narażać ich na niepotrzebny stres.

– Witam państwa. Proszę usiąść – powiedział, wskazując im stojące naprzeciwko niego krzesła.

Prawdę mówiąc, czuł się trochę zakłopotany. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się, żeby rodzinie ofiary towarzyszył ktoś z ambasady obcego państwa. I to w dodatku w niedzielę po południu, kiedy wszystkie ambasady i konsulaty są zamknięte.

„To pewnie jacyś ważni ludzie” – pomyślał. „Trudno. Jakoś trzeba sobie z nimi poradzić”. Skoro naczelnikowi udało się namówić patologa, żeby w drodze wyjątku przeprowadził podwójną sekcję zwłok w niedzielę, to on też nie może się wykręcać od obowiązków. Aż chciał się uśmiechnąć, gdy przypomniał mu się wyraz twarzy jego żony, kiedy zadzwonił telefon z wezwaniem na służbę, ale uświadomił sobie, że w zaistniałej sytuacji uśmiech nie byłby na miejscu. Z drugiej strony to dobrze, że mieli swojego tłumacza, bo jego angielski był na poziomie gorszym niż podstawowy.

– Przede wszystkim proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje. To strasne w ten sposób stracić córkę i siostrę.

– Dziękujemy. Ale czy oprócz wyrazów współczucia ma pan nam jeszcze coś istotnego do powiedzenia? Chcielibyśmy przejść do rzeczy.

Pan Wetterberg sprawiał wrażenie poirytowanego, co było zrozumiałe, biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności. Eminof nie musiał czekać na wypowiedź tłumacza, żeby to dostrzec. Potem Szwed ani jego córka nie zabierali już głosu. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami w ich imieniu wypowiadał się pracownik ambasady, gdyż tylko on znał turecki. Funkcjonariusz zastanawiał się, czy ten stosunkowo młody mężczyzna o szwedzkim nazwisku ma jakieś tureckie korzenie, skoro tak dobrze włada tym językiem.

– Przepraszam za niedogodności, ale normalnie w niedzielę nie ma tutaj nikogo.

– Dziękujemy, że zajęliście się państwo zmarłymi pomimo weekendu – mówił beznamiętnie pracownik ambasady. – Jak panu zapewne wiadomo, pan Wetterberg ma upoważnienie również do odbioru drugich zwłok. Możemy przeprowadzić szczegółową sekcję w jednym z naszych zakładów medycyny sądowej w Szwecji. Chcielibyśmy od razu zacząć załatwiać sprawy związane z transportem.

– Zaraz, zaraz. Do tego jeszcze daleko. Dzisiaj nikt państwu nie wyda zwłok. Administracja nie pracuje – zaoponował Eminof.

– Po co w takim razie tu przyjechaliśmy? – warknął Wetterberg, a towarzyszący mu urzędnik przetłumaczył jego słowa.

Eminof miał ochotę odpowiedzieć, że sam chciałby wiedzieć, po jaką cholerę wyciągnięto go z domu w dniu wolnym od pracy, ale ugryzł się w język.

– Zapoznałem się z pani wcześniejszymi zeznaniami – zwrócił się do Sary. – Jak zapewne wszyscy państwo wiecie, komisariat w Alanyi poprosił naszą komendę o pomoc w wyjaśnieniu sprawy, a ja zostałem wyznaczony na szefa grupy dochodzeniowo-śledczej.

– Na czym ta pomoc miałyby polegać? Przecież dzieci zginęły sto dwadzieścia kilometrów stąd – dopytywał ojciec dziewczyny.

– Na podstawie portretu pamięciowego zarządzone zostaną ogólnokrajowe poszukiwania drugiego mężczyzny – odparł funkcjonariusz, gdy tylko tłumacz przełożył wypowiedź Wetterberga.

– Czy to znaczy, że do tej pory go nie szukaliście?

– O ile wiem, nie. Nikt z jego rodziny nie zgłosił zaginięcia, więc nie było podstaw. Nie możemy zajmować się każdą osobą, która nagle zrywa kontakt z nowo poznanymi znajomymi.

– No wie pan! – Ojciec zamordowanej Emmy aż podskoczył na krześle.

Eminof, zdziwiony, spojrzął na Wetterberga. Zrozumiał, co tamten powiedział, ale postanowił puścić uwagę mimo uszu. „Czy oni w ogóle zdają sobie sprawę z tego, jak dużym krajem jest Turcja, ile tu mieszka ludzi?” – pomyślał. „Do tego ci wszyscy turyści, którzy latem oblegają każdą, nawet najmniejszą miejscowość... I głą w stogu siana. Żebyśmy chociaż mieli na to odpowiednie fundusze. Szwedzi żyją chyba na innej planecie”. Ale nie powiedział tego głośno.

– Teraz sytuacja wygląda inaczej. Mężczyzna może być nie tylko ofiarą, ale też sprawcą morderstwa – dodał jedynie. – Poza tym musimy także panią przebadać.

– Mnie? Dlaczego? Przecież ja jestem cała i zdrowa. Co jeszcze zamierzacie robić? – zdenerwowała się Sara.

– Proszę się nie martwić i nie denerwować, to pewnie będzie jedynie formalność, ale ponieważ sekcja wykazała, że pani siostra i jej narzeczony zostali otruci, musimy pobrać pani krew do analizy, żeby wykluczyć obecność wolniej działającej substancji toksycznej. To bardzo mało prawdopodobne, żeby takową pani podano, ale musimy dmuchać na zimne, by w razie czego przedsięwziąć stosowne środki i pani pomóc.

– Ale ja nie piłam tego soku. – Sara była przerażona, a Eminof kątem oka zauważył, że jej ojciec gwałtownie pobladł.

– A wcześniej? – spytał, starając się zachować spokój i nie wystraszyć niepotrzebnie dziewczyny ani tym bardziej samego Wetterberga, który wyglądał, jakby za chwilę miał stracić przytomność.

– Tylko kawę w restauracji i wodę. Butelka była oryginalnie zamknięta. Miałam ją ze sobą i to ja ją otworzyłam – zapewniła.

Eminof uniósł brwi ze zdumienia.

– Zwraca pani uwagę na takie szczegóły?

– Normalnie nie, ale Johnny, ten znajomy, który zniknął, opowiadał nam o możliwości zachorowania po zjedzeniu lub wypiciu czegoś, co długo stało poza lodówką. Mówił, że w tym klimacie bakterie rozmnażają się dużo szybciej niż w północnej Europie. I że zawsze trzeba uważać. Już pierwszego dnia, kiedy zaczęliśmy rozmowę w restauracji, chciałam go poczęstować swoją wodą, ale powiedział, że nigdy nie pije z butelki otwartej przez kogoś innego.

Eminof kątem oka zauważył, że ojciec Sary odetchnął z ulgą. Najwyraźniej tyrada dziewczyny wpłynęła na niego uspokajająco. Tymczasem wypowiedź Sary tylko utwierdziła funkcjonariusza w przekonaniu, że młodzi Szwedzi musieli się zetknąć z wyjątkowo niebezpiecznym człowiekiem.

– Proszę pani, ten „znajomy”, jak go pani określiła, najprawdopodobniej zamordował pani siostrę i jej chłopaka. Rutynowy brak zaufania do otoczenia wskazuje na kogoś, kto w każdej chwili liczy się z możliwością pozbawienia go życia. Psychopata albo profesjonalny zabójca. Tu stawiałbym na to drugie.

Sara spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Może jemu też się coś stało?

– W raporcie, który mam przed sobą, jest napisane, że basen portu jachtowego przeszukiwała ekipa nurków z marynarki wojennej. Trwało to ponad cztery godziny. To fachowcy, więc gdyby trzecie zwłoki się tam znajdowały, zostałyby odnalezione. Proszę się zdać na nasze doświadczenie.

Eminof wiedział, o czym mówi, ale chyba nie przekonał dziewczyny. I wcale go to nie zdziwiło. Zdawał sobie sprawę z tego, że część przestępców, szczególnie seryjnych morderców, a przede wszystkim rozmaitych speców od mokrej roboty, charakteryzuje się dużymi umiejętnościami interpersonalnymi. Nie dotyczy to oczywiście mafijnych cyngli, którzy wpadają z nienacka, strzelają do ofiary i znikają w niebycie, ale prawdziwych specjalistów, wysoko opłacanych, bardzo szybko adaptujących się do otoczenia, w którym przyjdzie im działać. Ci bez trudu zdobywają sympatię swoich ofiar, które ufają im wręcz bezgranicznie. A tymczasem oni, przyczajeni niczym drapieżnik, tylko czekają na odpowiednią chwilę, by pozbawić tych ludzi życia.

Doskonale pamiętał historię opowiedzianą przez policjanta z Włoch podczas jednego ze szkoleń. Pewien mafioso wynajął takiego specjalistę, by pozbył się mężczyzny, z którym miał niewyrównane rachunki. Morderca najpierw zbliżył się do siostry wskazanego mu przez zleceniodawcę mężczyzny i rozkochał ją w sobie. Bardzo szybko się z nią ożenił. Ale zaledwie kilka dni po ślubie zastrzelił jej brata,

a swojej żonie poderznął gardło. I zniknął bez śladu. Krewni nieszczęsnej kobiety w trakcie zeznań wciąż powtarzali, że on tak bardzo ją kochał...

– Może uciekł porywaczom? – zapytała Sara z nadzieją w głosie.

– Czy ktoś się z państwem kontaktował? Dostaliście w którymś momencie telefon albo list z żądaniem okupu?

– Nie.

– No więc przykro mi, ale muszę panią ściągnąć na ziemię – powiedział z westchnieniem. – Wyraża pani głośno swoje życzenia, gdyż wygląda na to, że polubiła pani tego człowieka. Wbrew oczywistym faktom chce pani wierzyć w jego niewinność. Tymczasem, o ile dobrze widzę – detektyw wskazał palcem dokumenty trzymane w ręku – niewiele potrafiła pani o nim powiedzieć.

Sara, zrezygnowana, zwiesiła głowę. To niestety była prawda.

– Wiem, że pokazywano pani już w Alanyi zdjęcia podejrzanych o podobne przestępstwa, ale chciałbym, żeby przejrzała pani jeszcze ten album.

Z dolnej szuflady biurka wyjął wielką księgę i podał ją dziewczynie. Sara chwyciła tom w dłonie i przerzuciwszy kilka kartek, na których widniały zdjęcia wyłącznie mężczyzn z czarnymi włosami, stwierdziła z lekkim zniecierpliwieniem:

– Johnny był blondynem.

– I jest pani absolutnie pewna, że był to jego naturalny kolor?

Sara się nie odezwała. Detektyw miał rację, przecież ona sama nieraz zmieniała kolor włosów. Z zażenowaniem musiała przyznać sama przed sobą, że nie wiedziała kompletnie nic o człowieku, z którym o mało co się nie zaprzyjaźniła. Teraz dopiero docierało do niej, jak nierozsądnie się cały czas zachowywała. Była okropnie naiwna.

– Dobrze, dajmy sobie spokój z tymi zdjęciami. Podała pani, że mógł mieć góra trzydzieści dwa lata, zgadza się? – Eminof zabrał jej album i schował go do szuflady.

– Tak.

– To już jest jakiś konkret. Poproszę, żeby na jutro przygotowano dla pani portrety podejrzanych z grupy wiekowej od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu lat. Szczerze mówiąc, wątpię, żeby to był ktoś, kogo zdjęcie możemy mieć w swojej kartotece. Modus operandi, że tak powiem, wskazuje na wysokiej klasy dobrze opłacanego fachowca. No i ta sprawność fizyczna. Przyznają państwu, że niełatwo jest przenieść dwie dorosłe osoby i zrzucić je ze skał w tak krótkim czasie. Chyba że ten, jak go pani nazywa, Johnny miał współnika, co jest wysoce prawdopodobne. Proszę mi powiedzieć: dlaczego pani nie wypita soku pomarańczowego?

– Żle się czułam. Gdy go powąchałam, od razu zebrało mi się na wymioty.

– Jest pani chora?

– Nie wiem, ale od ponad tygodnia mam problemy z żołądkiem. Wymiotowałam jeszcze w domu, w Szwecji, więc to chyba nie może mieć związku z tutejszym jedzeniem.

Eminof pokiwał głową ze współczuciem. Dziewczyna była błada i miała podkrążone oczy. Oby tylko badanie krwi nie wykazało nic złego!

– W takim razie poproszę teraz panów o wypełnienie dokumentów potrzebnych do uzupełnienia danych w bazie komputerowej – powiedział, wręczając Wetterbergowi i pracownikowi ambasady specjalne druki w języku angielskim. – Przywieźliście ze sobą paszporty ofiar?

– Tak. Mamy też wydruki ze szwedzkiego systemu – odpowiedział pracownik ambasady.

– Świetnie. My w tym czasie poszukamy jakiegoś czynnego gabinetu zabiegowego.

Kiedy Sara wstała z krzesła, Wetterberg także się podniósł i zapytał, czy może pojechać z córką.

Eminof pokręcił przecząco głową.

– Niestety nie. Pani Wetterberg jest osobą pełnoletnią i w pełni władz umysłowych. Zgodnie z przepisami nikt nie może jej towarzyszyć w trakcie badania. Ale proszę się nie martwić. Będę jej strzegł jak oka w głowie. Zresztą moim zdaniem to tylko formalność, a pana córce nic nie jest. Gdyby temu człowiekowi zależało na jej śmierci, już by nie żyła. To badanie to tylko środek ostrożności.

Po stosunkowo krótkiej podróży samochodem, w trakcie której Eminof nie odezwał się do Sary ani razu i niemal bez przerwy rozmawiał przez telefon, dotarli w końcu do jakiejś placówki na obrzeżach miasta. Weszli do środka, a detektyw powiedział coś dyżurującemu na recepcji mężczyźnie. Ten wykonał telefon, by po chwili wskazać przybyłym drzwi do windy. Zjechali nią cztery piętra w dół, aż do piwnicy,

i skręcili w długi, wąski korytarz. Odrapane ściany, pomalowane starą niebieską farbą olejną, robiły przygnębiające wrażenie. Nie było okien. Światłówki na suficie emanowały pulsacyjnym fioletowym światłem. Równo z listwą przypodłogową ciągnęły się jakieś przewody elektryczne. Wzdłuż korytarza widać było wiele drzwi. Jedne z nich, na końcu, były otwarte. Detektyw powiedział, że zaczeka na Sarę na zewnątrz, ale ona chyba trochę się przestraszyła tym krajobrazem jak z horroru o Frankensteinie, bo powiedziała, że nie ma nic przeciwko temu, aby wszedł razem z nią do gabinetu.

– Proszę usiąść i niczym się nie martwić.

Pielęgniarka, a może asystentka lekarza, była bardzo miła. Nie wyglądała na Turczynkę. Miała upięte w kok blond włosy i bardzo mocno wymalowane czerwoną szminką usta. Mówiła płynnie po angielsku, ale ze śmiesznym wschodnim akcentem.

– Najpierw zrobimy szybkie komputerowe badanie podstawowych parametrów i na zawartość alkoholu we krwi. Dokładniejsza analiza z określeniem toksyn, o którą pan prosił... – Kobieta urwała w pół zdania i przyjrzała się uważnie pacjentce. – Jest pani nadwrażliwa? Bo jakoś tak nagle...

Nie dokończyła. Sara osunęła się z krzesła na podłogę gabinetu. Bez czucia.

Detektyw Eminof bezradnie rozłożył ręce. Nie wiedział, jak zareagować. Spojrzał zdziwiony na pielęgniarkę.

– Co z nią? Oddycha?

– Niech mi pan pomoże ją podnieść i położyć na kozetce. Proszę otworzyć okno, a ja podam jej coś na wzmocnienie.

– Zdążyła pani pobrać krew?

– Tak. Komputerowi wystarczy jedna kropla.

– Dobrze. W takim razie nie będziemy jej już męczyć, chyba że w badaniu wyjdzie coś niepokojącego. Proszę dać mi znać, jak pojawią się wyniki. Będę w poczekalni.

– Pierwsze wyniki będą zaraz. Proszę zaczekać.

Sara powoli otwierała oczy. Po jej białych policzkach toczyły się łzy. Sukienka, którą miała na sobie, przylepiła się do jej ciała. Wyglądała, jakby w ubraniu weszła pod prysznic. Włosy miała mokre. Nie rozumiała, co się z nią stało. Błędnym wzrokiem patrzyła na kraty w oknie, teraz szeroko otwartym. Nad nią pochylała się twarz mężczyzny.

– Jak się pani czuje? Nie uderzyła się pani podczas upadku? Tak nagle się pani osunęła, że nie zdążyliśmy pani złapać. – Detektyw uśmiechał się do Sary serdecznie.

– Przepraszam, ale nie mam na nic siły.

– Chyba już wiem dlaczego. – Pielęgniarka trzymała w ręku wydruk z laboratoryjnego komputera. – Ma pani bardzo wysoki poziom HCG.

– Mnie także otruto?!

– Ależ nie, proszę się uspokoić. Nie umiera pani, powiedziałabym raczej, że wręcz przeciwnie. – Pielęgniarka uśmiechnęła się, widząc otwarte szeroko ze zdziwienia oczy pacjentki. – Po prostu jest pani w ciąży. Gratuluję! – powiedziała, gładząc dziewczynę po ręce.

Eminof uśmiechał się, jakby to właśnie on był szczęśliwym ojcem.

14.

Rolf Tumegård siedział w swoim gabinecie na komendzie policji w Visby, w zamyśleniu obserwując drzewo rosnące na policyjnym parkingu. Miał prawie pięćdziesiąt pięć lat, chociaż ze swoją łysiną i coraz większym, wystającym brzuchem wyglądał na więcej. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę i wiedział, że musi coś z tym zrobić, zwłaszcza kiedy lekarz wymachiwał mu przed oczami wydrukiem z wynikami badań, strasząc cukrzycą i zalecając dietę obniżającą cholesterol, ale funkcjonariusz jakoś nie znajdował w sobie siły, by się za to zabrać. Przygotowywanie dietetycznych posiłków wydawało mu się zbyt pracochłonne, siłownia była nie po drodze, a basen – za daleko. Pewnego dnia obudził się z postanowieniem, że zacznie biegać, ale skończyło się na zakupie sportowych butów, które potem

sprezentował chłopakowi córki. Były nowe, w życiu ich nawet nie założył. Nawet ich nie przymierzał, jako że kupił je przez internet.

Teraz poważnie rozważał przejście na wcześniejszą emeryturę. Był cenionym fachowcem, nawet przez kolegów ze Sztokholmu, którzy wielokrotnie konsultowali z nim swoje przypuszczenia i teorie dotyczące śledztw prowadzonych w stolicy.

Ilu żyłych ludzi udało mu się złapać przez te wszystkie lata pracy? „Właściwie nie pozostało ich chyba aż tak wielu” – pomyślał i aż się uśmiechnął.

Całe życie mieszkał na Gotlandii. Czasami wydawało mu się, że znał wszystkich stałych mieszkańców wyspy, których było około sześćdziesięciu tysięcy, i to od urodzenia. Najwyższy czas na zmiany. Zresztą, co go tu trzymało? Jego żona zmarła kilka lat temu na raka trzustki. Dzieci, dawno dorosłe, syn i córka, mieszkały w Göteborgu, dokąd wyjechały na studia – już do Visby nie wróciły. Żartowały, że nie interesuje ich spokojne wiejskie życie. Ale dobrze im się wiodło, a Rolf odwiedzał je kilka razy w roku i wiedział, że w razie potrzeby zawsze może na nie liczyć. Mógłby przenieść się do Mölndal, przez które czasami przejeżdżał w drodze do córki. Podobały mu się tamtejsze osiedla jednakowych małych domków, tak różnych od zabudowy, jaką spotykało się w Visby. Tam były zupełnie anonimowy, nie to co tutaj.

Czy Monika cieszyłaby się, gdyby miała go blisko siebie? Ojcowie zawsze martwią się o swoje książniczki, ale czy one są zachwycone ich towarzystwem, gdy stają się dorosłe i samodzielne, a ojcowie starzy? Co prawda on sam czuł się jeszcze stosunkowo młodo, ale zdawał sobie sprawę, że jego i dwudziestoosmiolatkę dzieli wiekowa przepaść.

Wstał i wyszedł na korytarz do automatu z kawą. Lipcowe słońce wpadało przez drzwi wejściowe wprost na panel maszyny, tak że nie widział, gdzie nacisnąć, żeby maszyna wydała jego ulubione cappuccino. Szkoda, że jego asystentka, Katrina, wyszła już do domu. Śmiałyby się z jego nieporadności, ale przyniosłaby mu tę kawę. Dokładnie taką, jaką lubił. Ale teraz musiał poradzić sobie sam.

Było późne popołudnie i właściwie powinien był już zbierać się do wyjścia, ale nie miał dokąd się spieszyć. Nikt na niego w domu nie czekał, a na komisariacie czuł się zawsze potrzebny. Tutaj wiecznie coś się działo, poza tym lubił gwar rozmów, śmiechy koleżanek i kolegów, ich dąsanie się na siebie i głupie żarty, jakie sobie robili. No i Katrina... Tumegård był typem mężczyzny lubiącego opiekować się kobietą, takie, które umiały zdjąć z niego ciężar codziennych obowiązków. Czasami zastanawiał się, czy to przypadkiem nie wpływ jego nadopiekuńczej matki, która po stracie dwojga starszych dzieci, zmarłych we wczesnym dzieciństwie, całą swoją macierzyńską miłość przelała na najmłodszego synka. Chuchała na niego i dmuchała, co sprawiło, że kiedy poszedł do szkoły, szybko zyskał status klasowego fajtłapy. Na szczęście okazało się, że był świetny z matematyki, a z czasem coraz lepiej radził sobie na lekcjach gimnastyki, dzięki czemu pozbył się tej łatk. Zmęczony matczyną nadopiekuńczością, na studia wyjechał na drugi koniec kraju, ale zanim je skończył, jego mama zmarła.

Potem pojawiła się Linda, z którą związał się nie tylko ze względu na jej piękne jasne włosy, uroczy uśmiech i dołeczki w policzkach, ale głównie ze względu na charakter. Dziewczyna roztaczała wokół siebie ciepłą aurę i miała zadziwiające zdolności rozpraszenia wszelakich smutków. Też była bardzo opiekuńcza, zupełnie jak jego matka. Dzięki temu, że większość problemów dnia codziennego wzięła na swoje barki, mógł się niemal bez reszty poświęcić swojej pracy. Kto wie, może to właśnie dzięki niej był tak dobry w swoim fachu. Opiekowała się nim do końca. Nawet kiedy leżała w szpitalu, słabnącym głosem potrafiła mu przypomnieć, żeby nie zapominał o szaliku i rękawiczkach.

Uśmiechając się na myśl o Lindzie, wziął do ręki swoje cappuccino, które w końcu udało mu się zrobić, i to bez pomocy Katriny. Przy okazji uświadomił sobie, że tak naprawdę nie widzi w swojej asystentce kobiety. Nie żeby była mało kobieca, wręcz przeciwnie – z pewnością wielu uznałoby ją za bardzo atrakcyjną. Była wysoką szatynką, być może, jak na jego gust, zbyt mocno umalowaną, ale on w ogóle nie widział w niej przedstawicielki przeciwnej płci. Dla niego była Katriną – i już. Nie wiedział zbyt wiele o jej życiu osobistym. Niedawno ktoś uświadomił mu, że jego asystentka samotnie wychowuje dorastającego syna, a Rolf nawet chciał ją o to zapytać, ale nie miał odwagi.

Upił parę łyków kawy, która aromatycznie pachniała w papierowym kubeczku, i się skrzywił. „A niech to!” – pomyślał zrezygnowany. „Znowu latte!” Nie miał jednak najmniejszego zamiaru próbować ponownie walczyć z tym przeklętym automatem, skierował się więc do swojego biura.

Gdzieś na drugim końcu korytarza zadzwonił telefon, który po kilku sygnałach ktoś odebrał. Pewnie Klaudia też jeszcze jest w pracy. „Wyrabia się dziewczyna” – pomyślał Tumegård. „Ale styl ma ciągle

bardziej stołeczny, taki wyniosły.” Przydawały się jej kontakty z Centralnym Biurem Śledczym i rządowymi instytucjami. Cenił jej pracę, chociaż znał młodą policjantkę dopiero od dwóch lat, od kiedy przeniosła się do Visby z komendy w Sztokholmie. Niewiele o niej wiedział. Ona nie opowiadała o sobie, a on nie wypytywał. Bo i po co? Gdyby chciała, zapewne coś by mu zdradziła, ale on nie znosił włączenia z butami w cudze życie. Miał pogodne, wręcz dobronudzne usposobienie. Lubił wszystkich swoich pracowników, traktując ich po trosze jak dzieci, którymi czasami trzeba pokierować, a czasami wystarczy tylko odpowiednio je zmotywować, żeby dokonały niemożliwego. Teraz będzie musiał wypuścić swoje ptaszynki z gniazda, a właściwie on je opuści, jak odejdzie na emeryturę. Perspektywa przejścia w stan spoczynku nęciła go coraz bardziej.

Tak... Rolf rozsiadł się wygodnie na niewielkiej kanapie przeznaczonej dla gości, stojącej naprzeciwko biurka. Trzeba będzie powoli zacząć porządkować wszystkie sprawy w firmie. Właściwie to nie miał się o co martwić – jego zastępca, Erik Lindberg, był świetnie przygotowany do objęcia stanowiska szefa Wydziału Kryminalnego. I to nie tylko dlatego, że Tumegård nauczył go wszystkiego, co sam umiał. Chłopak był piekielnie zdolny i wręcz chorobliwie ambitny, a do tego bardzo pracowity i uparty. Idealna mieszanka cech, które sprawiają, że policjant staje się świetnym detektywem. Spokojnie przekaze mu wszystkie dochodzenia, również te niedokończone, chociaż wolałby móc je zamknąć. Rolf musi pamiętać, że nie wolno mu już brać żadnych nowych spraw. Doskonale wiedział, że nie będzie to łatwe, przecież właśnie zaczęły się wakacje i tylko czekać, aż wydarzy się jakieś nieszczęście, a oni będą mieli pełne ręce roboty.

*

Lato na Gotlandii jest krótkie, trwa bowiem praktycznie od Midsommar do połowy sierpnia. Ale za to jest bardzo intensywne. W tym czasie przyjeżdżają tu tłumy turystów nie tylko z całej Szwecji, ale i z zagranicy. Nocne życie kwitnie w pełni, a to oznacza morze wypitego alkoholu, narkotyki i bójki. Na wakacjach niemal wszystkim puszcza hamulce. Młodzież bawi się całą noc, zakłócając spokój. Praktycznie nie ma dnia, żeby ktoś nie zgłosił policji jakiegoś pobicia, kradzieży albo różnego rodzaju aktów wandalizmu, co sprawia, że wskaźnik przestępczości gwałtownie wzrasta. Czasami zdarza się też jakaś grubsza sprawa, jak chociażby w zeszłym roku, kiedy grasował seryjny podpalacz i samochody płonęły jeden po drugim, zanim wreszcie udało się namierzyć sprawcę. Okazał się nim nastoletni syn znanego sztokholmskiego reżysera filmowego, Ulrika Jensena, który wynajął na lato domek na jednym z osiedli letniskowych niedaleko Tofty. Gówniarz robił to dla zabawy, kiedy nudziło mu się picie z kolegami. Wyobrażał sobie, że jest sprytny i nikt go nie złapie, ale w tej kwestii boleśnie się rozczarował. Na szczęście poza stratami materialnymi nikomu nic się nie stało. Ojciec błagał komisarza o wyciszenie sprawy i osobiście przeproszał właścicieli spalonych pojazdów. Skończyło się na tym, że wszyscy poszkodowani otrzymali wysokie zadośćuczynienia od starego Jensena i nikt nie wniósł oskarżenia do sądu.

Żeby tylko ten sezon minął bez większych dramatów.

Z rozmyślań wyrwało Rolfa ciche pukanie. W otwartych na oścież drzwiach stanęła Klaudia. Po jej minie zorientował się, że ma coś ważnego do zakomunikowania.

– Dzwonili z Centralnego Biura Śledczego. Inspektor Kristiansson pyta, czy nie zechciałby pan im pomóc i zająć się zabójstwem córki Jana Wetterberga, tego polityka.

Tumegård aż podskoczył na kanapie.

– Co? Wnuczka Marty została zamordowana? Która? Co się stało?

– Nie wiem dokładnie. – Policjantka bezradnie rozłożyła ręce. – Dziewczyna miała na imię Emma. Była z chłopakiem na wakacjach w Turcji, w Alanyi, i wczoraj odnaleziono ich zwłoki. Chłopak na stałe mieszkał w Visby. Musiałby pan najpóźniej jutro po południu lecieć do Turcji. Na domiar złego tamtejsza policja niechętnie zajmuje się sprawą, argumentując, że oddelegowanie do śledztwa większej liczby funkcjonariuszy spowoduje osłabienie bezpieczeństwa w mieście, a najważniejsi są turyści. Ci żywi.

– To bezczelność!

– Właśnie – przytaknęła Klaudia. – Ze względu na pozycję Wetterberga Sztokholm chciałby uniknąć konfliktu z Turkami, a jednocześnie zrobić wszystko, jak należy. Pytają, czy miałby pan czas się tym zająć.

– Są pewni, że to nie wypadek?

– Podobno tak.
– Mają jakiegoś podejrzanego?
– Podejrzewają, że zabił ich nowo poznany przez Szwedów mężczyzna w wieku do trzydziestu pięciu lat, ale nie wiadomo, kto to był. Są w posiadaniu dość szczegółowego rysopisu. Nazwisko okazało się fałszywe, a wygląd to wiadomo, też łatwo zmienić. Z tego, co wywnioskowałam z przysłanych mi informacji, tamtejsi funkcjonariusze drepczą w miejscu i nie mogą go znaleźć. Podejrzewają, że nie był to nikt z miejscowych, a właściwie są tego prawie pewni. Dlatego od razu zgodzili się na współpracę z nami.

Komisarz z doświadczenia wiedział, że nie należy uważać za pewne czegoś, co jest prawie pewne. „Prawie” robi wielką różnicę. Ale tym razem koledzy z południa mogli mieć rację. Coś mu w tym wszystkim nie pasowało, chociaż jeszcze nie wiedział co.

– Czy Emma została zgwałcona?

– Nic o tym nie wspominali. Podobno sekcja zwłok była dość pobieżna, choć to akurat by chyba zauważyli.

– Powiedz Kristianssonowi, że zajmę się tą sprawą.

– Doskonale. Zadzwoń też zaraz do agencji turystycznej, żeby zabukowali jakiś przelot. Aha, pan Wetterberg jest tam już od kilku dni. I proszę pamiętać o paszporcie, szefie.

„Mój Boże...” – pomyślał Tumegård. „Tego tylko brakowało. Taka tragedia...”

Jego niedawna wizja emerytury stała się nagle bardzo odległa.

15.

Rejsowy samolot linii lotniczych Pegasus do Sztokholmu wystartował bez opóźnienia z lotniska w Antalyi. Nareszcie wracali do domu.

Jan był wdzięczny komisarzowi Tumegårdowi, że pomógł mu w załatwieniu formalności w urzędzie celnym w związku z transportem ciał Emmy i Antona. On sam nie czuł się na siłach, żeby toczyć boje z urzędnikami. Na szczęście upoważnienie, które dostał od rodziny chłopaka, było honorowane przez tureckie władze, co pozwoliło wszystkim zaoszczędzić mnóstwo czasu. Podejrzewał, że gdyby nie piastowana przez niego funkcja w szwedzkim parlamencie, to turecka policja nie byłaby tak skłonna do ustępstw i nawet oddelegowany do pomocy pracownik ambasady nie poradziłby sobie z tamtejszą biurokracją. Nie był pewien, czy sekcja zwłok przeprowadzona w ekspresowym tempie przez tureckiego patologa w Zakładzie Medycyny Sądowej w Antalyi była wystarczająco dokładna, ale z drugiej strony czuł ulgę, że ten etap mają już za sobą. Przynajmniej udało się ustalić, i to ponad wszelką wątpliwość, przyczynę śmierci jego ukochanej córki i jej chłopaka – najpierw zostali otruci, a potem zrzućeni ze skały. Wszystkie urazy i okaleczenia widoczne na ich ciałach według patologa powstały już post mortem.

Mówi się, że każdy chce wiedzieć, czy jego zmarły bliski cierpiał przed śmiercią, ale Jan nawet nie potrafił myśleć o tym, jak wyglądały ostatnie chwile jego córki. Podobno działanie trucizny było natychmiastowe, ale jakie to miało teraz znaczenie? Lekarz, który badał krew ofiar, dziwił się, że stężenie toksyny jest tak małe, ale sam przyznał, że nie mają na miejscu wystarczająco nowoczesnego laboratorium, żeby wszystko szczegółowo ustalić. Chyba nawet nie wiedzieli, co to była za trucizna. Tyle jest teraz przeróżnych zagranicznych wynalazków, które jeszcze do niedawna trzymane były wyłącznie w ściśle strzeżonych laboratoriach. Na skutek przemian politycznych i toczących się w wielu miejscach na świecie wojen dostęp do produkowanych dotąd głównie na potrzeby nauki toksyn był znacznie ułatwiony. Pobrane na miejscu próbki zostały przekazane szwedzkiej policji, by poddać je analizie w Zakładzie Medycyny Sądowej w Solnie. Może tam uda się coś jeszcze ustalić.

Wetterberg odniósł nieodparte wrażenie, iż Turcy byli zadowoleni, że pozbywają się trudnego śledztwa w sprawie podwójnego morderstwa na zachodnich turystach. Szczególnie że – co stwierdzono z bardzo dużym prawdopodobieństwem – domniemany morderca, czyli „ten trzeci”, którego nie znaleziono, też był przyjezdny.

Ponoć czas leczy rany. Tak powiadają. Ale gdyby teraz spytać o to Jana, z pewnością powiedziałyby, że jedynie je zalecza. Gdy dowiedział się o zgonie Emmy, miał wrażenie, że ktoś dosłownie rozdrapał mu bliźnię, która powstała wiele lat temu, po śmierci Lotty. Wtedy omal nie popełnił samobójstwa – na szczęście miał dzieci oraz oczywiście antydepresanty, których psychiatra mu nie żałował. Na pogrzebie żony go nie było, nie mógł się nawet z nią pożegnać. Marta zadbała o jej pochówek, kiedy on leżał w szpitalu. Zajęła się też osieroconymi wnuczkami. A on nie wiedział nawet, że żyje. Przez dłuższy czas po wypadku lekarze utrzymywali go w śpiączce farmakologicznej, a później podawali mu silne środki przeciwbólowe. Uraz głowy był poważny. Nie do końca rozumiał, co się wydarzyło. Powiedziano mu, że uległ wypadkowi, kiedy nocą wracał samochodem do domu, ale i ta informacja nie do końca do niego dotarła. Nie pamiętał niczego z dnia wypadku. Co robił sam poza domem? Pamiętał za to wyraz oczu swojej teściowej, którą zobaczył, kiedy na krótko odzyskał przytomność. Środki przeciwbólowe i uspokajające sprawiły, że w zasadzie nie czuł niczego, ani bólu, ani cierpienia. Był jak kłoda, której ktoś uszczepił świadomość.

Kiedy poczuł się lepiej, powiedziano mu, co przydarzyło się owej feralnej nocy, kiedy wracali od Johana i Ingrid. Lotta zginęła na miejscu. Samochód, który w nich wjechał, wręcz zmiażdżył jej czaszkę. Tej nocy było bardzo ślisko. Padająca wcześniej mżawka zaczęła zamarzać i na jezdni utworzyła się cieniutka warstwa lodu. Sportowa mazda, którą jechali, została uderzona z prawej strony najprawdopodobniej przez dużo większy samochód terenowy. Nigdy nie odnaleziono ani tego samochodu, ani kierowcy. Do okolicznych szpitali nie zgłosił się żaden pacjent, którego obrażenia wskazywałyby na udział w poważnej kraksie. Nawet miejski monitoring okazał się wyjątkowo bezużyteczny, gdyż z powodu remontu torów tramwajowych i przebudowy skrzyżowania musiano wyłączyć zasilanie kamer w tym miejscu.

Pogotowie powiadomił przejeżdżający kilka minut później kierowca straży miejskiej, ale kiedy dotarła karetka, Lotta nie dawała już oznak życia. Nie miała szans. Jego piękna i mądra żona. Najwspanialsza przyjaciółka i matka jego dzieci. Powinien był dać jej wtedy prowadzić. Przez wszystkie następne lata wyrzucał sobie, że to nie on zginął na tej pustej ulicy. Że gdyby tylko umiał się dobrze bawić w gronie starych przyjaciół i więcej wypił – jego dzieci nie zostałyby bez matki. Na pewno lepiej poradziłyby sobie bez niego niż bez Lotty, która była głową i sercem całej rodziny. I tak dobrze, że została z nimi Marta, która natychmiast przejęła wszystkie domowe obowiązki, a zaraz potem zabrała dziesięcioletnią Emmę i ośmioletnią Sarę do siebie, do Romy. Gotlandia była dla dziewczynek lepszym miejscem do życia niż Sztokholm.

Był jej za to wdzięczny, ale mimo to przez pewien czas miał do niej irracjonalne pretensje, że śmierć przysłała po jej córkę, a nie po nią. Długo nie umiał zresztą rozmawiać z Martą o Lotcie. Na dźwięk imienia zmarłej żony robił się nieobecny. Cały rok zbierał się na odwagę, by odwiedzić jej grób na cmentarzu.

Kiedy wypuszczono go wreszcie ze szpitala i zamiast wrócić do pracy, musiał się poddać bolesnej rehabilitacji, nie miał sił ani czasu zajmować się dziećmi. Tylko Lotta potrafiła koncentrować się jednocześnie na wielu różnych sprawach i pilnować, żeby wszystko funkcjonowało bez większych zgrzytów. W końcu jednak jakoś się pozbierał, a dziewczynki sprawiły, że nawet się uśmiechał. Rana się zblizniła, ale teraz ktoś ją na nowo otworzył i rozjątrzył, zabierając mu jego starsze dziecko! Czy może być dla rodzica coś straszniejszego? W jaki sposób wytłumaczyć sobie odejście z tego świata młodej, zdrowej osoby? Dlaczego znowu odebrano mu kogoś, kogo tak bardzo kochał? Los musi go szczerze nienawidzić. A może to kara za popełnione grzechy? Jan nigdy nie był specjalnie wierzący, ale teraz zastanawiał się, jaki bóg mści się na nim w tak okrutny sposób. Co takiego zrobił, że zabrano mu najpierw żonę, a teraz córkę?!

Odruchowo zacisnął pięści, a wtedy śpiąca obok Sara lekko się poruszyła i coś zamruczała przez sen. Widok śpiącej córki nieco go uspokoił. Po raz pierwszy od czasu, gdy wsiedli do samolotu, Jan rozejrzał się po jego wnętrzu. Pasażerowie drzemali albo czytali, niektórzy rozmawiali ścisłym głosem. Poszukał wzrokiem Rolfa Tumegårda, który wracał tym samym lotem. Komisarz w skupieniu wertował plik dokumentów i coś zapisywał na odwrocie poszczególnych kartek. Na rozłożonym stoliku stała szklaneczka whisky, po którą od czasu do czasu sięgał. Zanim wsiedli do samolotu, Tumegård wyznał, że nie znosi latać i że będzie się musiał jakoś „znieczulić”. Jan przypomniał sobie, że wcześniej widział, jak funkcjonariusz łyka jakieś tabletki.

„Żeby tylko nie trzeba go było wynosić z samolotu” – pomyślał. Z własnego doświadczenia wiedział, że pigułki na chorobę lokomocyjną i alkohol to niezbyt dobre połączenie.

Jan nie miał okazji poznać wcześniej Tumegårda, wiedział jedynie, że przyjaźnił się on z jego teściową, Martą. Kiedy go zobaczył w Alanyi, poczuł ulgę, że sprawą morderstwa Emmy zajął się ktoś doświadczony – komisarz znany był z dużej liczby rozwiązanych spraw. Jan obawiał się, że przyślą jakiegoś przemądrzałego żółtodzioba po kilku fakultetach, a przecież doskonale zdawał sobie sprawę, iż nawet najlepsze wykształcenie nie zastąpi doświadczenia.

Rzucił okiem na śpiącą Sarę, której napuchnięta od płaczu twarz teraz sprawiała wrażenie spokojnej. Oparła głowę o jego ramię i oddychała miarowo. Jego maleńka córeczka. Tylko ona mu została. Ona i jej dziecko, które w sobie nosiła. Tak bardzo kochał ją samą i to jeszcze nienarodzone maleństwo i tak bardzo czuł się w tym momencie bezradny. Nagle spokój, który jakimś cudem udało mu się osiągnąć, ustąpił miejsca niewypowiedzianej rozpacz i strachowi. Wszystko wokół zrobiło się czarne, a on poczuł się, jakby spadał w przepaść i nie miał się czego przytrzymać. Najprościej byłoby się obudzić, tylko że tym razem to nie był sen. Chciałby krzyżeć, ale bał się dźwięku swojego głosu. Chciałby móc się wypłakać, ale łzy nie napływały mu już do oczu.

Ostatkiem sił Wetterberg nacisnął guzik nad głową i przywołał stewardesę, by ściszone głosem poprosić o szklankę wody z lodem. Pił powoli, czując, jak zimno przenika go całego. Zająć czymś umysł. Przez chwilę nie myśleć o tym, co ich wszystkich spotkało. Uciepił się szklanki, trzymał ją obiema rękami. Za wszelką cenę nie zwariować. Musi zachować koncentrację. Ręce zaczęły mu drżeć, a oczy zaszyły mgłą. Doskonale znał to uczucie, tak samo czuł się po śmierci Lotty, oczywiście dopiero wówczas, gdy już był na tyle zdrowy, żeby w ogóle coś odczuwać. Śpiąca na sąsiednim fotelu Sara znów poruszyła się niespokojnie, co sprawiło, że jakoś się opanował. Nie chciał jej przestraszyć, i tak zbyt wiele ostatnio przeszła. Spojrzał na nią ze współczuciem. Wiedział, że jego córki były ze sobą bardzo związane, może nawet bardziej niż jakiegokolwiek znane mu rodzeństwo. Poza tym Emma nie tylko fizycznie była podobna do matki – tak samo jak Lotta była zorganizowana i zaradna. Troszczyła się o młodszą siostrę, ale także o niego, a jak było trzeba, to i o swoich przyjaciół. Przecież nawet Anton przekomarzał się z nią, że jest jak kwoka dbająca o kurczaki. A teraz jej też już nie ma... Jak poradzą sobie sami z Sarą? Za półtora miesiąca dziewczyna powinna wrócić na uczelnię do Visby, ale czy będzie miała na to ochotę? Jak da sobie radę po utracie najbliższej przyjaciółki? Osoby, z którą nigdy wcześniej nie rozstawała się na dłużej niż miesiąc? Do tego jego mała, śpiąca teraz obok córeczka sama niedługo zostanie matką, a troskliwa ciocia bardzo przydałaby się maleństwu. Chociaż wiadomość o ciąży Sary była dla niego zupełnym zaskoczeniem, uznał, iż jest to krzepiący zwrot w całej tej tragedii.

Ale czy stres nie zaszkodził rozwijającemu się w niej dziecku? Przemknęło mu przez myśl, że maleństwo może urodzić się chore albo fizycznie upośledzone. Przypomniał mu się przemawiający z mównicy w Riksdagu Thomas Johansson, którego wywody jeszcze niedawno doprowadzały go do szału. Teraz priorytety Jana zupełnie się zmieniły. Nagle dotarło do niego, że Sara nie podjęła jeszcze decyzji w sprawie dziecka. Nie rozmawiali o tym, czy w ogóle będzie chciała je urodzić. Chociaż on tak bardzo chciał, żeby maleństwo przyszło na świat, wiedział, że w tej sprawie nie ma prawa decydować za córkę. A śmierć siostry to najgorsze okoliczności do podejmowania takich decyzji.

A ojciec dziecka, Rodriguez czy jak mu tam... Chyba jeszcze nie przekazała mu radosnej nowiny. Jan postanowił porozmawiać z córką o dziecku i o jej chłopaku, kiedy tylko nadejdzie stosowny moment. Powie jej, że bardzo, ale to bardzo by pragnął, żeby pozwoliła mu zostać dziadkiem. Ze swej strony przyrzeknie jej, że będzie opiekował się wnukiem. Z pewnością będzie mogła liczyć także na pomoc Marty. Pomyśleć – on i pieluchy. Już nawet nie potrafił sobie przypomnieć, jak wyglądało jego życie, gdy jako młodzieniec po studiach zajmował się podopiecznymi w ośrodku pomocy społecznej, w tym także małymi dziećmi. Zastanawiał się, czy jeszcze pamięta, jak się przewija niemowlaka i co się robi, gdy malec dostanie kolki. Wizja małego, bezbronnego człowieczka zupełnie go rozbroiła. Wówczas rozumiał, że jest gotów na zawsze wycofać się z wielkiej polityki. Zwłaszcza biorąc pod uwagę ostatnie wypadki.

Sara znów niespokojnie się poruszyła, a Jan odruchowo pogłaskał ją po głowie.

16.

Gdzie się podział ten numer telefonu?... Nerwowo przetrząsał kieszenie. Specjalnie nie zapisywał numeru w komórce, żeby przypadkiem ktoś w pracy go nie podejrzwał. A teraz denerwował się, że nie może go znaleźć. Trudno. Musi poszukać w internecie. Nie będzie przecież dzwonił do duńskiej informacji. O, jest. Wolałby bezpośredni numer komórkowy do człowieka, z którym wcześniej rozmawiał, ale może osoba, która odbierze telefon, będzie mogła go przełączyć albo jakoś inaczej mu pomóc.

Wybrał prefiks Danii i osiem cyfr.

– Agencja Carson Rasmussen, mówi Ulla. Dzień dobry.

– Dzień dobry. Mój duński nie jest najlepszy. Czy mogę mówić po szwedzku?

– Nie ma problemu. Dla nas wasz język jest w pełni zrozumiały. – Dziewczyna się roześmiała. – A może woli pan przejść na angielski?

– Tak, jasne.

– Czym mogę służyć?

– Chciałbym rozmawiać z Cee Pedersenem.

– Przykro mi. Cee jest na urlopie. Może ja mogłabym panu pomóc?

– Wykonywaliście dla mnie pewne zlecenie i chciałbym o coś zapytać.

– Proszę podać swoje imię i nazwisko oraz numer umowy.

– Ian Svensson, numer 157/05/11.

– Proszę o chwilę cierpliwości. Już sprawdzam... Tak, mam. O ile Cee wprowadził do komputera wszystkie aktualne dane, to zlecenie zostało zakończone dwudziestego dziewiątego czerwca. Wystawiliśmy panu fakturę, która została w całości uregulowana.

– Zgadza się, ale chciałem zapytać, czy można na nowo je otworzyć.

– Jeżeli nie zmieniły się żadne wcześniejsze ustalenia, to tak. Ale czy nie wolałby pan poczekać na Cee? Wraca z urlopu co prawda dopiero pod koniec lipca, ale tak byłoby dużo prościej.

– Co pani rozumie przez wcześniejsze ustalenia? Finansowe?

– Nie. Chodzi mi głównie o to, czy miałyby to dotyczyć tych samych osób i tego samego miejsca.

– Tym razem byłaby to praca na Gotlandii.

– Na Gotlandii? – W głosie rozmówczynie usłyszał zdziwienie. – Przykro mi, ale to już nie jest nasz rejon. Aż tak daleko nasze możliwości nie sięgają. Musi się pan zwrócić do jakiejś szwedzkiej agencji. Czy polecić panu którąś z tych, z którymi sami czasem współpracujemy?

– Nie, dziękuję. Poradzę sobie.

– W porządku. Czy coś jeszcze? Chciałby pan zostawić wiadomość dla Cee?

– Nie. To wszystko. Dziękuję. Do widzenia.

– Polecamy się na przyszłość. Do widzenia, panie Svensson.

Mężczyzna prychnął ze złością – ma skorzystać z usług szwedzkiej agencji. Dobrze sobie. To by dopiero był numer. Równie dobrze mógłby zadzwonić na policję... Nie, nie. Koniec żartów. Jeszcze z tym poczeka.

Włączył telewizor. Właśnie kończyło się popołudniowe wydanie wiadomości z kraju. Wpadło mu w ucho nazwisko Jana Wetterberga. Podobno jedna z jego córek przypłaciła śmiercią wakacje nad Morzem Śródziemnym. „Co za zbieg okoliczności” – pomyślał. Nieszczęścia chodzą po ludziach. Jak to trzeba cały czas na siebie uważać...

17.

Olaf Oekland punktualnie o siedemnastej trzydzieści wyszedł ze sklepu z elektroniką, w którym od roku pracował. O tej porze nie było wielu klientów i uważał, że właściciel niepotrzebnie każe jemu i jego koledze codziennie zostawać do osiemnastej. Na szczęście szefa dzisiaj nie było, załatwiał jakieś sprawy

związane z dostawą nowych regałów w fabryce na kontynencie, więc Olaf mógł zostawić kolegę samego w sklepie. Innym razem pozwoli mu urwać się wcześniej.

Wcześniejsze wyjście z pracy dało mu poczucie wolności, zwłaszcza że wokół czuło się pełnię lata, a na ulicach Visby panowały wieczorny ruch i gwar, zwyczajne o tej porze roku. Nic dziwnego, na Gotlandię przybywało coraz więcej turystów, a wszystkie restauracje przyjmowały gości do późna. Podwoje otworzyły też te lokale, które poza sezonem były zamknięte na cztery spusty. Ich właściciele liczyli już przysłe zyski, o tej porze roku do miasta przyjeżdżali bowiem nie tylko indywidualni turyści, ale także liczne wycieczki, a firmy organizowały konferencje, wynajmując przy tej okazji pomieszczenia w miejscowych lokalach i zamawiając catering. Krótko mówiąc – rozpoczął się okres żniw dla miejscowej gastronomii.

Oekland miał pięćdziesiąt dwa lata i coraz częściej dochodził do wniosku, że już się w życiu dość napracował. Nadeszła pora, żeby odpocząć. Niech młodzi pracują. On już swoje zrobił. Zrezygnuje ze swojej posady w sklepie i tak samo jak przybywający do Visby turyści będzie miło spędzał czas, chodząc na spacer i przesiadując w kawiarniach czy restauracjach. Może nawet wybierze się na zagraniczną wycieczkę? Mógłby na przykład popłynąć w rejs jednym z tych ogromnych eleganckich wycieczkowców. Podobno na pokładzie są korty, boiska, a nawet lodowisko.

Zatrzymał się przy głównej ulicy Östercentrum. Bardzo lubił to miejsce, i to o każdej porze roku. Z zadowoleniem stwierdził, że także teraz, pomimo gwaru i ruchu dochodzących z centrum, jest to miejsce przyjazne dla przechodniów. Olaf podszedł do swojej ulubionej kolorowej ławeczki pod orzechem niedaleko Systembolaget. Usiadł i przyglądał się przechodzącym ludziom i towarzystwu sączącemu trunki.

Codziennie odliczał dni do powrotu z Kalifornii swojego najlepszego kolegi. Uważał się za osobę sympatyczną i towarzyską, jednak nie miał wielu znajomych. Nie za bardzo rozumiał dlaczego, ale zbyt nie przywiązywał do tego wagi. Dzisiaj czuł się wspaniale. Cały czas w pracy myślał o swoim sąsiedzie, Eriku. Jak dobrze musi się teraz bawić, pływając na desce w orzeźwiających wodach oceanu. Na pewno uczy swoich dwóch synów surfowania. Może pływają na jachcie? A może całymi godzinami wylegają się na słońcu? Co za miła, wzorowa rodzina. Piękna żona i grzeczne dzieci. Linda zawsze się do niego uśmiecha, gdy spotykają się na schodach albo koło pralni. Erik ma odpowiedzialną pracę, a ona doskonale radzi sobie z domem. Podziwiał ją. A jacy grzeczni są ci ich chłopcy... Starszy, Daniel, zawsze mówi mu „dzień dobry” i traktuje go jak ulubionego wujka. Młodszy, jak on ma na imię... Ach tak, Niklas – też jest sympatyczny, chociaż czasami zachowuje się bardzo nieodpowiedzialnie, na przykład rzucając Olafowi piłkę wprost pod nogi. Ale to jeszcze dziecko. Musi z nim kiedyś po przyjacielsku porozmawiać. Na pewno chłopiec zrozumie, że nie wolno tak robić. Przemili ludzie.

Oekland czuł się w pewnym sensie zaszczycony, mogąc uważać się za ich przyjaciela.

Z zamyślenia wyrwał go przeraźliwy krzyk jakiegoś malucha. Wstał i rozejrzał się. No tak. Nic się nie stało. To tylko porcja fioletowych lodów zsunęła się z wafelka i wylądowała na ziemi. Mała, jasnowłosa dziewczynka próbowała zetrzeć ręką resztki lodów z błękitnej sukienki, rozmazując je przy tym dokładnie. Jej opalona buzia była wykrzywiona od płaczu.

Wstał i skierował się w stronę domu.

Dochodził właśnie do skrzyżowania, gdy przypomniał sobie, że musi zrobić zakupy spożywcze, najlepiej w pobliskim supermarkecie. Przydałaby się też butelka czerwonego wina do kolacji. Spojrzał na zegarek. Do zamknięcia sklepu monopolowego zostało czterdzieści pięć minut. Jak dobrze, że nie siedział w magazynie do osiemnastej. Zawrócił i w pośpiechu skierował się w stronę znajdującej się w starej części miasta, niedaleko średniowiecznych murów obronnych, przy deptaku – placówki Systembolaget. Był tam niedawno, ale zapomniał o alkoholu.

*

Nie bez przyczyny Szwecja ma opinię kraju wielkiej tolerancji. W tym państwie obowiązuje zakaz dyskryminacji osób homoseksualnych, gwarantowany przez konstytucję. Trudno też o bardziej wyrozumiałych ludzi – przeciętnego Szweda nie zdziwią włosy w kolorze tęczy ani kolczyki i tatuaże na twarzy czy dziwny strój. Jest jednak coś, co nie pasuje do tego obrazka powszechnej akceptacji. Tym czymś jest szwedzka prohibicja. To państwo ma monopol na sprzedaż alkoholu powyżej trzech i pół

procent, co sprawia, że w rękach władz znajduje się obrót praktycznie wszystkimi rodzajami trunków. Legalna dystrybucja prowadzona jest poprzez sieć rządowych sklepów o nazwie Systembolaget. Zdaniem rządzących bezpośrednim powodem tych drastycznych ograniczeń oraz powołania do życia wspomnianej sieci handlowej był ogromny problem z alkoholizmem, z czym Olaf zupełnie nie potrafił się zgodzić. Wielokrotnie słyszał, że Szwedzi są zadowoleni z zaistniałego stanu rzeczy, przynajmniej tak głośzą statystyki, ale według niego to była tylko propaganda. Przecież nie można cieszyć się z tego, że w nowoczesnym europejskim kraju w XXI wieku dorosły, odpowiedzialny człowiek nie może kupić wina do kolacji albo niedzielnego obiadu. On sam uważał to za upokarzające. Myśl o tym, że ktoś decyduje za niego, jak ma wyglądać jego kolacja, popsuka mu humor.

Dotarł do sklepu i z ulgą zauważył, że na ulicy nie ustawiła się kolejka. Z pochmurną miną wszedł do środka. Jak zwykle zastał tłum spragnionych klientów i niewielki asortyment. Na szczęście on sam nie należał do wybrednych klientów i po chwili namysłu wziął z półki dwie butelki hiszpańskiego merlota. Z trudem się powstrzymał, żeby nie wybuchnąć, gdy osoba stojąca przed nim przy kasie miała kłopot z płatnością kartą, co – jak się okazało – wynikało z braku środków na karcie. Najwyraźniej był to ktoś mający poważne problemy z pićciem.

W Szwecji osoby nadużywające alkoholu uważane są za chore, dlatego raz na miesiąc dostają od państwa swego rodzaju rentę – środki finansowe wystarczające na utrzymanie. Niestety większości z nich otrzymane od władz pieniądze nie starczą do końca miesiąca, dlatego rozważa się możliwość wprowadzenia wypłat co tydzień. Najwidoczniej Olaf miał pecha i trafił właśnie na kogoś korzystającego z pomocy państwa. W końcu jednak udało się rozwiązać problem zapłaty, kiedy facet przy kasie sięgnął do kieszeni po inną kartę. Olaf odetchnął z ulgą, zapłacił i wyszedł na ulicę. Jeszcze tylko supermarket. Tu miał więcej czasu. W supermarkecie też jest dział alkoholi, ale zarówno wybór, jak i jakość dostępnych tam trunków były o wiele gorsze niż w Systembolaget.

Przemierzając pomału alejkę po alejce, Olaf wypełnił koszyk niezbędnymi produktami, a jednocześnie w głowie układał plany na wieczór. Przy okazji kupił kilka rzeczy, które się przydadzą, gdy zaprosi na uroczystą kolację Erika z Lindą. Jak miło będzie porozmawiać. Pewnie oni też już się za nim stęsknili. Zapłacił przy kasie samoobsługowej, żeby zaoszczędzić trochę czasu. Zorientował się, że właśnie wydał ostatnie pieniądze, jakie miał w portfelu, ale nie było to w tej chwili istotne. Poczucił się kochany i potrzebny. Wyszedł ze sklepu i ruszył na drugą stronę ulicy, gdzie znajdował się przystanek. Po dwóch minutach przyjechał jego autobus, a on z uśmiechem zadowolenia wszedł do środka i zajął wolne miejsce przy oknie. Olaf Oekland przyznał sam przed sobą, iż zakończył jeszcze jeden wspaniały dzień. Czuł się silny, szczęśliwy i spełniony.

Całą przyjemność psuła mu jednak świadomość, że znowu zapomniał wstąpić do apteki, gdzie od wielu dni czekały na niego przepisane przez lekarza leki.

18.

Siedziba policji w Visby znajduje się w nowoczesnym, dwupoziomowym kompleksie, obok urzędu pracy, a z wyglądu bardziej przypomina dużą szkołę albo zakład przemysłowy aniżeli budynek użyteczności publicznej w pięknym średniowiecznym szwedzkim miasteczku. Od jednej strony budynek jest przyjaźnie otwarty dla potrzebujących pomocy obywateli, od drugiej otoczony wysokim murem z drutem kolczastym. Co prawda od Arbetsförmedlingen drut jest nieco rachityczny, ale za to od strony garaży i innych zabudowań wygląda imponująco. Jakby tego było mało, na dole posadzono metrowy szpaler kłujących krzaków.

Rolf Tumegård siedział w swoim gabinecie na pierwszym piętrze i patrzył na rosnące przy ulicy stare drzewa. Wyłączył klimatyzację, której hałas nie pozwalał mu spokojnie myśleć, a potem otworzył okno. Do pokoju przeniknął intensywny zapach dzikich róż okalających policyjny parking dla petentów. „Mamy piękne lato w tym roku” – pomyślał. „Dwadzieścia dziewięć stopni. To w zupełności wystarczy. Czegoż chcieć więcej? Po co daleko wyjeżdżać, skoro można zakosztować gorącego słońca i morskich

kąpieli tutaj, na miejscu? Cały czas nie mógł się pogodzić z tym, że wnuczkę Marty, dziewczynkę, którą znał od tyłu lat, zamiast cudownych przygód spotkała na wakacjach śmierć. Biedne dziecko. Tak daleko od domu...

Czy miała wrogów? Jakie motywy kierowały sprawcą? Odnalezienie zwłok w morzu, bez pieniędzy, dokumentów i jakichkolwiek przedmiotów osobistych, nie ułatwiało wyjaśnienia sprawy morderstwa dwojga młodych ludzi. Słona woda zniszczyła ewentualne ślady DNA, co kilkakrotnie zaznaczali tureccy koledzy komisarza Tumegârda, usprawiedliwiając swoje marne wyniki poszukiwań podejrzanego, który zniknął jak kamfora. Szwedzki policjant wysłuchał ich tłumaczeń z istic stoickim spokojem, ale był pewny, że gdyby takie morderstwo wydarzyło się w jego kraju i na jego obszarze działania, sprawy wyglądałyby zupełnie inaczej.

Niczego nie można było być pewnym w tym śledztwie. Oblężona przez turystów Riwiera Turecka była doskonałym miejscem „pracy sezonowej” dla różnych podejrzanych typów. A młodzież z bezpiecznego kraju, jakim jest Szwecja, ze swoją otwartością i naiwnością była szczególnie łatwym celem dla miejscowych naciągaczy. Ale co innego wcisnąć jakiemuś turyście wyprodukowaną w Chinach antyczną wazę po okazujnej cenie albo najnowszy smartfon, który okaże się plastikową atrapą, a co innego zabić dwie osoby dla niezbyt dużych korzyści materialnych. Jak do tej pory nie odnaleziono niczego, co tego dnia zamordowani mieli przy sobie. Nikt nie skorzystał z ich kart kredytowych ani telefonów komórkowych. Może unijne paszporty byłyby coś warte, ale tych Szwedzi nie zabrali ze sobą, wychodząc rano z hotelu. Czy sprawca spodziewał się, że idąc na wycieczkę, będą mieli przy sobie wartościowe przedmioty? Sara twierdziła, że z ich pokoju hotelowego nic nie zginęło. Najprawdopodobniej więc nie było motywu rabunkowego. Szkoda, że nie odnaleziono aparatu, który Emma miała ze sobą. Jej siostra wspominała, że robili tego dnia dużo zdjęć. Pierwszy raz od przyjazdu do Turcji. Tak... Jeżeli sfotografowali wtedy również mordercę, to oczywiście, że przypilnował, aby aparat nigdy nie dostał się w ręce policyjnych śledczych. Zresztą, czy oni go w ogóle szukali? Co to był za model i jaka marka? Lepszej klasy aparat żał byłoby zniszczyć, morderca mógł go sprzedać albo komuś podarować.

Tumegârd żałował, że współpraca z turecką policją nie układała się tak wzorowo, jak by sobie tego życzył, a przecież on ze swej strony dokładał wszelkich starań, żeby wszystko przebiegło prawidłowo. Miał teraz pretensje do siebie, że nie naciskał bardziej na detektywa Eminofa, aby ten zlecił przeszukanie bazarów i melin. Może udałoby się odnaleźć zaginiony aparat fotograficzny, telefony komórkowe ofiar albo karty kredytowe. To przecież wszystko chodliwy towar. A potem, po nitce do kłębka, trafiliby na tego, który go przyniósł do paserów. No tak, ale Turcja to nie Szwecja. Tam handlują czym popadnie na każdej ulicy, a towar leży na ziemi i zwykle nie wiadomo, ile razy zmieniał właściciela. Może faktycznie jego tureccy koledzy po fachu mieli rację, że nie było możliwości ustalenia takich detali. Pomimo to uważał, że zaraz po zgłoszeniu zaginięcia Szwedów zmarnowano stanowczo zbyt wiele cennego czasu. Czy na przykład ktoś zabrał jednorazowe kubki po soku, żeby zbadać ślady DNA? Już wtedy należało się spodziewać, że człowiek przedstawiający się jako Johnny nie należał do tych najuczciwszych. Miejsce, w którym doszło do zbrodni, zostało dokładnie zbadane dopiero na wyraźną prośbę Tumegârda, czyli wiele dni po zabójstwie. Oczywiście po tak długim czasie niczego tam już nie znaleziono. A czego innego można się było spodziewać?

Przypomniawszy sobie, że chciał sprawdzić tureckie dokumenty. Gdzie mógł je położyć?

– Nie mogę znaleźć raportu z przesłuchania siostry zamordowanej, Sary. Wiesz może, gdzie jest? – Wychylił się z gabinetu, by poprosić o pomoc Katrinę.

– Powinien być na pana biurku, po prawej stronie, razem z raportem tureckiego lekarza sądowego. Wszystkie dokumenty z Alanyi i Antalji są w teczce z napisem „Turcja-1”. Pozostałe papiery, to znaczy formularze z ambasady, kserokopie zezwoleń z Ankary i urzędu celnego, włożyłam do teczki „Turcja-2” – odparła asystentka, nie odwracając nawet głowy od ekranu komputera.

Tumegârda w ogóle to nie zdziwiło. Katrina jak zwykle okazała się nieoceniona. Zwykle, nawet siedząc w drugim pokoju, potrafi wskazać dokładnie, gdzie co leży na biurku szefa.

A tymczasem on sam gubił się w świecie dokumentów i segregatorów i szczerze nie nosił papierkowej roboty. Dużo łatwiej przychodziło mu porządkowanie faktów i dedukcja. Dlatego był dobry w tym, co robił, ale bez pomocy fachowej kobiecej ręki nie dałby sobie rady z tą całą biurokracją, która przecież była stałym elementem jego zawodu. Często zachodził w głowę, jak robią to jego koledzy,

których miejsca pracy zawsze wyglądały nienagannie. Ale może właśnie dlatego, że byli zbyt zajęci ciągłym układaniem przedmiotów wokół siebie, nie mieli tyłu rozwiazanych śledztw co on.

Odnosił nieprzyjemne wrażenie, że sprawa Emmy Wetterberg i jej chłopaka długo pozostanie niewyjaśniona, o ile w ogóle uda się ją rozwiązać. Dość dokładny opis mordercy, ale bez nazwiska ani odcisków palców na niewiele się zdał. Mogli liczyć tylko na szczęśliwy traf i na to, że przystojny blondyn o szarych oczach, jak opisała go Sara, uderzy znowu. Zastanawiał się jednak, czy turecka policja w ogóle to zauważy i połączy fakty, a w zasadzie był prawie pewien, że tak nie będzie. Nie chciał nikogo oskarżać o zaniedbania, ale metody pracy jego tureckich kolegów bardzo odbiegały od metod, które on sam od ponad dwudziestu lat stosował, prowadząc liczne dochodzenia jako szef Wydziału Kryminalnego w Visby.

Pomyślał jednak, iż dobrze się stało, że zaskakująco szybko załatwiono wszystkie formalności, by przywieźć zwłoki do Szwecji. Zakład Medycyny Sądowej w Solnie jeszcze raz przeprowadzi sekcję zwłok i będzie można wydać zezwolenie na pogrzeb tych biednych dzieci. Nawiasem mówiąc, Tumegård bardzo współczuł Wetterbergowi. Widział, że ten silny mężczyzna i bezkompromisowy polityk, znany ze stanowczych wystąpień w parlamencie, zupełnie się załamał. Zaniepokoiło go, że kiedy wszyscy razem wracali samolotem, Jan sprawiał wrażenie nieobecnego. Tumegård nawet bał się, że będzie miał z nim jakiś kłopot po drodze. I w dodatku Sara, nieustannie zapłakana...

Można przywyknąć do widoku zwłok, jak mawiał jego współpracownik, technik kryminalistyki, Karl Gustavson, ale trudniej poradzić sobie z rozpaczą najbliższych, którzy opłakują śmierć członka rodziny czy przyjaciela. Bolało go to zwłaszcza w sytuacji, gdy nie umiał odpowiedzieć na podstawowe pytania tych, którzy zostali przy życiu – kto i dlaczego zabrał im ukochaną osobę. A tak było w tym przypadku.

Liczył na to, że siostra zamordowanej wkrótce odzyska spokój, przynajmniej na tyle, żeby mógł ją jeszcze raz przesłuchać. Na pewno tutaj będzie jej łatwiej odpowiadać na pytania – w znajomym otoczeniu, wśród przyjaciół.

*

Tumegård pamiętał obie córki Wetterberga jeszcze z czasów, gdy były małymi dziewczynkami i przyjeżdżały na wakacje do Marty razem ze swoją matką. „To musi być dla niej ogromny cios” – pomyślał ze smutkiem, uświadamiając sobie jednocześnie, że nigdy wcześniej nie prowadził dochodzenia w sprawie śmierci kogoś, kogo znał od wczesnego dzieciństwa. Zastanawiał się, czy będzie umiał zachować bezstronność i czy znajomość z najbliższą rodziną ofiary nie przeszkodzi mu w trzeźwym osądzie sytuacji. A gdyby tak coś złego spotkało któreś z jego dzieci, Monikę albo Johana? Czy byłby w stanie odnaleźć sprawcę? Czy czepiałby się każdego policjanta, że nienależycie wykonuje swoją pracę?

Westchnął ciężko i doszedł do wniosku, że chyba niesłusznie oskarżył Turków o zaniedbania. Przecież zrobili, co mogli w danym momencie i miejscu. W sumie nawet dość szybko doszli do pewnych ustaleń. Ale chyba wyłącznie ze względu na jego obecność. Już na drugi dzień po jego przyjeździe do Antalyi potwierdzono na sto procent wcześniejszą informację, że imię i nazwisko, którymi podejrzany się posługiwał w kontaktach ze Szwedami, były nieprawdziwe. Nikt o nazwisku John Walker nie przekroczył tureckiej granicy. Później przez cały koszmarny tydzień lokalna policja przy pomocy żandarmerii wojskowej, do której zwrócono się o wsparcie z powodu niewystarczającej liczby policjantów, przepytывała służby graniczne na wszystkich lotniskach. Poza tym sprawdzano dworce kolejowe i promy w promieniu dwustu kilometrów, rozmawiano z pracownikami sklepów i stacji benzynowych przy uczęszczanych trasach... Na próżno. Na podstawie portretu pamięciowego nikt z przepytывanych nie był w stanie stwierdzić, czy widział daną osobę w ostatnim czasie. Nie wiadomo było, jak morderca się nazywał, skąd przyjechał ani jakiej był narodowości. Okoliczne hotele zaprzeczyły, jakoby ktoś taki się u nich zatrzymywał. Po Johnnym nie został nawet najmniejszy ślad. Przy tej liczbie turystów, jaka ściąga do tureckich miejscowości wypoczynkowych o tej porze roku, nie było możliwości odnalezienia tego niebezpiecznego człowieka.

Tak... Nie był obiektywny w stosunku do swoich tureckich kolegów po fachu. Ale wiedział dlaczego. Jego zdaniem dzieci – a takimi z jego perspektywy byli Emma i Anton – nigdy nie powinny umierać.

Jak dobrze, że nie musi sam zajmować się tym przykrym śledztwem, tylko ma swojego błyskotliwego zastępcę, Erika Lindberga. Ten na pewno nie straci zimnej krwi i tak długo będzie przyglądał się każdej

poszlacie i okoliczności, aż wyjaśni sprawę. Uparty człowiek. Metodyczny i konsekwentny.

Z tych rozmyślań wyrwał go dźwięk dzwoniącego telefonu. Odebrała oczywiście Katrina, a po chwili usłyszał, jak przerywa komuś w pół słowa:

– Nie chcę tego słuchać. Sam mu to powiedz. Przełączę cię i się tłumacz.

Teraz zadzwonił jego aparat.

– Tak?

– Dzień dobry, Rolf. Tu Erik.

Tumegård usłyszał zmieniony głos swojego zastępcy, a w słuchawce rozległo się przeciągłe piszczenie. Lindberg zaczął głośno kaszleć. Te odgłosy zaniepokoiły komisarza. Szczególnie że dołączył do nich dźwięk syreny.

– Nie poznałem cię. Co się stało z twoim głosem i gdzie ty w ogóle jesteś? Czy nie powinieneś być właśnie w drodze powrotnej z urlopu w Kalifornii? Czyżbyś przeziębził się w trakcie surfowania? – Tumegård zaczął się śmiać. – Jeżeli tak, to bardzo mi przykro.

– Zaschło mi tylko w ustach. To od środków przeciwbólowych. Jestem zmuszony cię poinformować, że nie będę mógł przychodzić do pracy przez następne dwa miesiące.

– To żart? Nie wyobrażam sobie Gotlandii w sezonie turystycznym bez ciebie! Wybrałeś American dream?

– Wiesz, że nigdy nie pozwoliłbym sobie na tego typu żarty. I zapewniam cię, że mnie jest dużo bardziej przykro. Przeceniłem swoje surferskie możliwości. Złamałem nogę. W dodatku to skomplikowane złamanie.

Tumegård głośno zaklął. Pozwolił sobie na to, po raz pierwszy od wielu lat.

19.

Alina Goldstein, osiemdziesięcioletnia emerytowana nauczycielka muzyki, od ponad czterdziestu lat zajmowała uroczy dwupoziomowy domek przy Polhemsgatan – jednej z cichych uliczek w sąsiedztwie murów w Visby. Stojący na dużej działce, otoczony drzewami, mały żółty budynek z czerwoną dachówką, balkonem na piętrze i prowadzącymi na ganek schodkami z drewnianą balustradą wyglądał jak z bajki. Jeszcze kilka lat temu koło domu rosły róże, a na krzewach owocowych i grządkach w warzywniku zawsze było coś do jedzenia.

Klaudia przyjeżdżała z rodzicami do Visby na wakacje jeszcze jako dziecko. Pamiętała, że gdy tylko ich stare volvo zatrzymywało się przed domem ciotki, od razu biegła podekscytowana sprawdzić, czy już coś urosło na „jej grządkach”. Pani Alina, do dwunastego roku życia mieszkająca w wielkim, cuchnącym fabrycznym dymem mieście, uwielbiała prace na świeżym powietrzu i cieszyła ją każda wyhodowana roślina. Niestety, już od dawna stan zdrowia nie pozwalał jej na schyłanie się i kucanie, a przecież bez takiej gimnastyki nie można było pracować na grządkach i rabatach. Dlatego jej ogród stopniowo podupadał, z czasem zamieniając się w istną hodowlę chwastów. Kiedy dwa lata temu Klaudia na stałe przeniosła się tutaj ze Sztokholmu, wbrew oczekiwaniom pani Aliny oświadczyła, że mimo najszczerzej chęci nie znajdzie czasu na pielęgnowanie tego bałaganu. Zebrała wszystko, co jeszcze rosnęło i nadawało się do spożycia, zlikwidowała warzywnik i wszędzie posadziła trawę. Przy okazji zaproponowała cici, że wynajmą ogrodnika, który przytnie pnące się aż do pierwszego piętra białe róże i potem co jakiś czas będzie się nimi zajmował. Ciocka jednak nie zgodziła się, aby ktoś obcy regularnie pałętał się jej pod domem, i w końcu róże umarły śmiercią naturalną. Jeszcze teraz czasami pani Alina wypomina Klaudii zniszczenie jej ukochanego ogrodu. Klaudię bardzo bołą takie słowa. Robiła przecież wszystko, na co pozwalały jej umiejętności i czas, który musiała dzielić pomiędzy opiekę nad starą ciotką a pracę w komendzie policji w Visby.

Wiedziała, na co się decyduje, zobowiązując się do opieki nad coraz bardziej niedomagającą krewną i przenosząc się na Polhemsgatan. Pani Alina w zasadzie była samodzielna, jeśli chodzi o podstawowe czynności, i szczęśliwie nie trzeba jej było myć ani karmić. Bała się natomiast wychodzić sama na ulicę,

więc o zrobieniu nawet małych sprawunków nie było mowy, nie wspominając o załatwianiu spraw na poczcie czy w banku. Starsza pani, chociaż sama uważała się za zupełnie zdrową, miała bardzo słaby wzrok i słuch, a do tego chore serce i problemy z krążeniem. Częste zawroty głowy uniemożliwiały jej funkcjonowanie poza domem, w którym znała każdy centymetr podłogi i ścian. Przechodząc z jednego pomieszczenia do drugiego, przytrzymywała się futryn i wspierała rękami na znajomych przedmiotach. Za żadne skarby nie chciała się zgodzić na używanie laski czy balkonika – ani w domu, ani tym bardziej w miejscu publicznym. Mówiła, że przecież doskonale daje sobie radę bez tego. Z wielką trudnością wspinała się po schodach i w związku z tym właściwie zupełnie przestała korzystać z pomieszczeń znajdujących się na piętrze.

Starsza pani była świadoma tego, że dłużej nie da rady mieszkać sama, a Klaudia wiedziała, że musi się wprowadzić i zająć ciocią.

Dla większości Szwedów byłoby to niepojęte – przecież są domy spokojnej starości czy opiekunki. Nawet dzieci nie są zobowiązane do opieki nad rodzicami, a co dopiero nad ciotką. Ale Klaudia nie miała innej rodziny. Po tragicznej śmierci rodziców w katastrofie lotniczej ciotka Alina, siostra babki ze strony matki, była jedyną krewną, jaka jej została.

*

Klara i Alina Goldstein urodziły się w Polsce, w ówczesnie drugim co do wielkości mieście – Łodzi. Ich ojciec, mecenas Aaron Goldstein, był znanym łódzkim adwokatem, któremu zależało, by jego córki wyrosły na wykształcone, inteligentne żydowskie panny, dlatego obie uczęszczały do prywatnej żeńskiej szkoły pani Czapczyńskiej, a po południu do konserwatorium. Uczyły się języków obcych i grały na fortepianie. Do Szwecji przyjechały jako nastolatki tuż przed wybuchem drugiej wojny, w 1939 roku. Przyjazd tutaj uratował je przed Holocaustem.

Starsza z sióstr, Klara, babka Klaudii, dość szybko się zasymilowała – wyszła za rodowitego Szweda, w dodatku protestanta, i nie chciała wychowywać córki w judaizmie. Wiarę straciła, kiedy dowiedziała się, że nikt z rodziny pozostałej w Polsce nie przeżył wojny.

Alina, pomimo że w 1939 roku miała zaledwie dwanaście lat, była bardziej przywiązana do tradycji i często opowiadała małej Klaudii o ich żydowskich korzeniach, zwyczajach i wierze.

Dziewczyna przez długi czas nie była w stanie zrozumieć, dlaczego pradiadkowie, ich rodzeństwo z dziećmi i cała dalsza rodzina nie wyemigrowali z Polski przed wybuchem wojny. Przecież już wiele lat wcześniej nastawienie do Żydów w Europie było okropne nie tylko w Niemczech, ale też właśnie w Polsce, we Francji i w ogóle na całym kontynencie. Hitler odgrażał się, że wytępi synów i córki Abrahama.

Ciocia Alina również pragnęła poznać odpowiedź na pytanie, dlaczego znalazły się same z siostrą w Szwecji, podczas gdy ich cała rodzina została w Polsce, by najpierw trafić do getta, a potem zginąć w obozie. Dlaczego nie wyjechali wszyscy razem do Argentyny czy innego kraju w Ameryce Południowej? Droga była długa i może nie należała do najbezpieczniejszych, ale one nie były już małymi dziećmi i na pewno zniosłyby trudy podróży. Przecież było ich na to stać, wszak ich rodzice byli zamożni, i to bardzo. Zajmowali duże, sześciopokojowe mieszkanie na drugim piętrze w eleganckiej kamienicy w centrum miasta. Mieli polską służącą, Wiknę. Mało tego, rodzice wybrali już przyszłych mężów dla swoich córek – chłopców z bardzo porządnymi żydowskimi rodzinami, za których dziewczęta miały wyjść, kiedy osiągną stosowny wiek. Nigdy niczego im nie brakowało, jedli dobre koszerne jedzenie, a szabas był prawdziwym świętem. Na pewno starczyłoby pieniędzy na bilety dla całej rodziny, bo ani ojciec, ani wujek Jakub, który był dentystą, nie odmówiliby nikomu pomocy finansowej w takiej sytuacji.

Dlaczego nie zdążyli wyjechać? Ciotka szukała odpowiedzi na to pytanie bardzo długo. Pod koniec lat pięćdziesiątych znalazła przez Czerwony Krzyż jakąś daleką kuzynkę, nieco starszą od niej, która od wojny mieszkała w Nowym Jorku. Korespondowała z nią przez długi czas, w końcu nawet tam pojechała. Klaudia doskonale pamiętała tę historię, bo mama opowiadała, że ciocia wróciła z Ameryki bardzo zmieniona i nigdy nie chciała wyjawić, co się tam wydarzyło. Również później unikała rozmów na ten temat.

Tłumacząc się potrzebą zebrania materiałów o amerykańskim systemie policji do referatu, który miała rzekomo napisać w Akademii, Klaudia wyzebrała od ciotki adres kuzynki i nawiązała kontakt

z nowojorską rodziną. Już wkrótce ona i jej krewni z Ameryki pisali do siebie listy i wymieniali się zdjęciami. Tamci nie chcieli przyjechać do Europy, a Klaudia najpierw nie miała pieniędzy, żeby wybrać się w tak daleką podróż, a potem zabrakło jej czasu. Dopiero gdy skończyła studia i musiała pomyśleć o stałej pracy, doszła do wniosku, że zanim to nastąpi, powinna poznać trochę świata. Odwiedziny u kuzynki w USA wydały jej się doskonałym pomysłem.

Wizyta w Nowym Jorku pozwoliła jej wiele zrozumieć i poznać przyczynę pozostania jej przadków w Polsce. Po rozmowach z kuzynką, jej liczną rodziną, ich znajomymi i diasporą żydowską dotarło do niej, że głównym powodem ociągania się żydowskich rodzin z wyjazdem z Europy były... pianina i fortepiany. W każdej zamożnej rodzinie dzieci uczyły się gry na instrumencie, przeważnie na fortepianie albo na skrzypcach. O ile zabranie ze sobą skrzypiec nie było problemem, o tyle transport większego instrumentu stanowił poważny kłopot. Kiedy atmosfera w Europie zrobiła się dla Żydów nie do zniesienia, okazało się, że nie można sprzedać tych pianin i fortepianów, a nikt nie chciał ich zostawić na pastwę losu. Poza tym również ceny żydowskich mieszkań i domów spadały na łeb na szyję i dlatego ostatecznie niewielu Żydów zdecydowało się na wyjazd. Babkę Klaudii i jej siostrę wysłano w bezpieczne miejsce, ale cała reszta rodziny – rodzice, dziadkowie i wujostwo – została w kraju, za co przyszło im zapłacić straszliwą cenę. Dziewczyna była zszokowana swoim odkryciem. Jej przodków zatrzymały dobra materialne, z którymi nie potrafili się rozstać...

Po powrocie z Ameryki Klaudia postanowiła, że nigdy, ale to nigdy nie będzie przywiązywać wagi do posiadania rzeczy. Zarabiane pieniądze będzie inwestować w siebie, zdobywać wiedzę i doświadczenie. W nielicznych wolnych chwilach może podróżować i dobrze się bawić. I jak na razie ów plan udawało jej się realizować.

*

Przez większą część życia Klaudia mieszkała w Sztokholmie razem z rodzicami i babcią. Byli dość nietypową jak na szwedzkie warunki, zgraną, wielopokoleniową rodziną, zajmującą wspólnie całe jedno piętro zabytkowej kamienicy w Östermalm, naprzeciwko Humlegården. Rodzice zginęli w katastrofie awionetki podczas urlopu we Francji, gdy była na studiach. Po ich śmierci jeszcze przez wiele lat mieszkała z babką, nawet gdy już zaczęła pracować w policji po ukończeniu Akademii Policijnej. Nawet gdy miała już chłopaka, Marcusa, spotykała się z nim u niego w mieszkaniu, ale nigdy się tam nie przeprowadziła, dopóki żyła babka. Zdecydowała się zamieszkać z ukochanym dopiero po jej śmierci. Niedługo potem okazało się, że jej mieszkająca na Gotlandii ciotka wymaga całodobowej opieki. Klaudia nie zawahała się ani przez chwilę, uznając, że jej obowiązkiem jest zająć się jedyną krewną. Na szczęście Marcus nie sprzeciwiał się tej decyzji. Decydując się na związek na odległość, umówili się na romantyczne weekendy co dwa tygodnie, u niego na kontynencie lub na Gotlandii.

Na początku bardzo za sobą tęsknili. Codziennie rozmawiali przez telefon, ale mimo to za każdym razem, gdy się widzieli, mieli sobie mnóstwo do opowiedzenia. Z czasem jednak wspólnych tematów było coraz mniej, widywali się też coraz rzadziej. Raz chłopak odwołał swój przyjazd na Gotlandię, raz ona nie pojechała do Sztokholmu. Pojawili się nowi znajomi i zainteresowania. Uczucie zaczęło wygasać. W końcu któregoś wieczoru, siedząc przy butelce burbona, doszli do wniosku, że im nie wyszło i nie ma sensu dłużej tego ciągnąć. Związek na odległość przetrwał pół roku.

Po definitywnym rozstaniu z Marcusem Klaudia poświęciła się pracy. Co prawda w Visby nie działa się tyle co w stolicy, ale nie narzekała. Musiała zapracować sobie na zaufanie i respekt kolegów, chociaż oni wiedzieli, że nie jest nowicjuszem. Znali i cenili jej dokonania zawodowe z poprzedniego miejsca pracy. Była tam już bliska awansu na starszego asystenta szefa wydziału – teraz praktycznie zaczynała karierę od początku. Wciąż jednak utrzymywała kontakt z dawnymi współpracownikami, co niejednokrotnie bardzo się przydawało w prowadzonych na Gotlandii dochodzeniach. Zawsze na przykład potrafiła przekonać lekarza sądowego z Instytutu w Solnie, żeby pracę dla nich wykonał poza kolejnością. Wkrótce jej koledzy i przełożeni z Gotlandii przekonali się, że młoda policjantka jest odpowiedzialna i ma pełno nowatorskich pomysłów. Poza tym była koleżeńska i lubiana przez wszystkich. Pomimo że na komendzie spędzała sporo czasu, niewiele wiedziano o jej życiu prywatnym, bo niechętnie o sobie opowiadała. Zresztą jej szef, Rolf Tumegård, nie lubił wypyttywać swoich podwładnych o ich prywatne sprawy, uznając to wręcz za przejaw złego wychowania. Ale nie wszyscy

podzielali jego zdanie – kiedyś pracujący z nimi technik Karl zapytał, jak to możliwe, że taka ładna i miła dziewczyna jest ciągle singielką. Klaudia nic nie odpowiedziała, tylko zaczęła się śmiać.

Teraz trzydziestoletnią Klaudię Jassem czekało nie lada wyzwanie. Asystując komisarzowi Tumegårdowi, w zastępstwie swojego bezpośredniego przełożonego, Erika Lindberga, który zamiast wrócić do pracy po udanym urlopie w Stanach Zjednoczonych, połamał się i wylądował w gipsie, miała poprowadzić śledztwo w sprawie podwójnego morderstwa na obywatelach Szwecji, którzy spędzali wakacje w Turcji. Sprawa była dość skomplikowana, a tropy wiodły donikąd, ale Klaudia uwielbiała wyzwania, była więc podekscytowana i szczerze wierzyła, że uda im się rozwikłać tę zagadkę.

20.

Komisarz Tumegård uważnie przeglądał akta sprawy. Nie znajdował w nich niczego, co mogłoby stanowić punkt zaczepienia dla motywu, którym kierował się sprawca. I doprowadzało go to do szewskiej pasji. Minęło już kilka dni śledztwa, a on jak nigdy nie wiedział, od czego zacząć i gdzie szukać. Nie był przyzwyczajony do takiego obrotu spraw. Łudził się, że wyniki szczegółowej sekcji zwłok w Instytucie w Solnie, na które ciągle czekali, wniosą coś nowego do śledztwa. Na razie miał wrażenie, że drecze w miejscu.

Pewne było jedynie to, że zamordowani nie znali wcześniej swojego oprawcy. Spotkali go po raz pierwszy dopiero w Alanyi. Ale czy on też ich nie znał? Czy był to ktoś zupełnie przypadkowy? Może psychopata? A może obserwował ich wcześniej i dokładnie wiedział, gdzie będzie mu najłatwiej ich dopaść?

Nacisnął przycisk interkomu i usłyszał wesoły głos swojej asystentki, Katriny.

– Co tam, szefie?

– Czy mogłabyś mnie połączyć z uczelnią? Chyba udało im się sprawdzić to, o co ich prosiłem.

– Oczywiście. Zaraz do nich zadzwonię.

Po paru minutach komisarz miał na linii zastępczynię rektora uniwersytetu w Visby.

– Dzień dobry, mówi Rolf Tumegård z Visby.

– Witam. Martina Palm. Miło mi pana słyszeć.

– Czy ma pani dla mnie jakieś informacje dotyczące studentów, o których pytałem?

– Sprawdziliśmy, na ile było to możliwe, co robiły pana ofiary przed wyjazdem, przejrzelśmy monitoring. Nic szczególnego. Zajęcia na uniwersytecie wypełniały im większość czasu – powiedziała Martina z lekką nutką rezygnacji w głosie. – Do tego spotkania towarzyskie. Oboje najczęściej przesiadywali w bibliotece uniwersyteckiej, co nie dziwi w okresie egzaminów końcowych. Chłopak Sary, Rodriguez Guzman, Kolumbijczyk, także studiował na naszym uniwersytecie. Wszystko, co mogę na jego temat powiedzieć, to fakt, że był spokojnym młodym człowiekiem. Nawet straż uniwersytecka nie miała nic do powiedzenia na temat całej trójki, rozmawiałam z nimi, gdy tylko dowiedzieliśmy się o zabójstwie.

Komisarz w gruncie rzeczy nie liczył, że od władz uczelni uzyska istotne dla śledztwa informacje, ale i tak czuł się nieco rozczarowany. Westchnął cicho i jeszcze raz połączył się z Katrin.

– Masz jakieś inne informacje dotyczące śledztwa?

– Mam tu raport. Chcesz porozmawiać z Klaudią, która go przygotowała, czy wystarczy ci sam dokument?

– Daj mi Klaudię.

Po chwili usłyszał w słuchawce głos swojej młodej podwładnej.

– Co masz na temat sióstr Wetterberg i chłopaka?

– Napisałam wszystko w raporcie – stwierdziła z lekkim wyrzutem, jakby miała do szefa pretensje o podważanie jej kompetencji, ale Tumegård nie miał zamiaru się tym przejmować.

– To mi go stresć – powiedział krótko.

- Przyjrzałam się przeszłości Antona Kjella i jego znajomym. Przesłuchałam większość z tych, z którymi on i Emma Wetterberg utrzymywali kontakty poza uczelnią. Nie znalazłam nic istotnego. Żadnych narkotyków, nadużywania alkoholu czy interwencji policji.

- Wyjątkowo grzeczna młodzież...

- Chociaż jest jedna rzecz... - Tumegård nadstawił ucha z zaciekawieniem. - Jedna z jej koleżanek przypomniała sobie dziwną sytuację, która miała miejsce jakiś miesiąc przed wyjazdem młodych do Turcji, ale nie wiem, na ile poważnie to traktować.

- To ciekawe. Mów.

- Były umówione na spotkanie w jednym z kawiarnianych ogródków w centrum miasta. Emma przysłała mocno spóźniona i zdenerwowana. Na początku nie chciała mówić, co się stało. Po półgodzinie sama zaczęła opowiadać, że chyba zwariowała, bo miała wrażenie, że ktoś ją śledził. Potem się z tego śmiała i już więcej o tym nie wspominała.

- Jak nazywa się ta koleżanka?

- Pia Nyberg. Podać panu jej dane kontaktowe?

- Tak. Chciałbym z nią porozmawiać.

Komisarz zapisał sobie numer telefonu do dziewczyny i postanowił skontaktować się z nią jak najszybciej.

- Czy ustaliłaś coś jeszcze?

- Właściwie to wszystko. Reszta jest w raporcie. Mam tu jeszcze raporty z przesłuchań i kopie notatek.

Tumegård podziękował za informacje i się rozłączył. Z przeciągłym westchnieniem oparł się o krzesło. Ktoś śledził Emmę. To może być jakiś ślad. Po chwili jednak przyznał, że równie dobrze dziewczynie mogło się coś wydawać. Tak czy inaczej, trzeba to sprawdzić. Po krótkiej chwili wybrał numer podany przez Klaudię. Prawie natychmiast usłyszał czyjś śmiech, a potem zaspane, acz rezolutne:

- Halo? Kto mnie budzi o tak nieludzkiej godzinie?

Tumegård, skonfundowany, spojrzał na zegarek, by stwierdzić, że dochodzi jedenasta. Nie przyszło mu do głowy, że nie wszyscy zaczynają dzień o tej samej godzinie co policjanci. Są przecież wakacje i ludzie, a szczególnie cieszący się wakacjami studenci, mają prawo funkcjonować w innych godzinach.

- Dzień dobry. Najmocniej przepraszam, że obudziłem. Nazywam się Rolf Tumegård i prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa pani znajomych, Antona i Emmy. Czy możemy teraz porozmawiać?

Po drugiej stronie dało się słyszeć przeciągłe ziewnięcie i ściszone głosy, jakby ktoś zasłaniał ręką mikrofon. Po chwili znowu śmiech i dziwny hałas. Pia pewnie nie była sama. Ktoś chrząknął i w słuchawce rozbrzmiał już przytomniejszy głos dziewczyny.

- Dzień dobry. Przepraszam. Trochę mnie pan zaskoczył tym telefonem. Rozmawiałam kilka dni temu z policją. Powiedziałam wszystko, co wiem, czyli nic szczególnego.

- Dostałem pani numer od komisarz, która z panią rozmawiała. Ale zainteresowało mnie to, co mówiła pani o spotkaniu z Emmą. O tym, że podobno była przez kogoś śledzona. Czy tak?

- A tak, rzeczywiście. Była taka sytuacja. Ale ja nie wiem, czy ona naprawdę była śledzona.

- Jak to dokładnie było? Co powiedziała Emma? Ważne jest każde słowo. - Komisarz z lekkim zniecierpliwieniem ponaglił rozmówczynię.

- Jak wcześniej opowiadałam, Emma się spóźniła. Prawie biegła i widać było, że coś ją zdenerwowało. Potem wypiliśmy kawę, po jednym martini i ni stąd, ni zowąd zaczęła się śmiać. Powiedziała, że chyba jej odbija, bo jak szła na spotkanie ze mną, to myślała, że jacyś ludzie ją śledzą.

- Ludzie? Czyli więcej niż jedna osoba?

- Tak. Mówiła, że ciągle szła za nimi jakaś para. Bo ona była razem z Sarą, a potem Sara poszła na zakupy, a Emma do kawiarni przysłała już sama. Byłyśmy umówione tylko we dwie.

- Czyli wtedy, gdy wydawało jej się, że jest śledzona, była razem z siostrą?

- Tak.

- A kiedy wracaliście do domu?

- Nie wracaliśmy razem. Emma nie miała daleko, a po mnie przyjechał ojciec. To był piątek i mieliśmy całą rodziną jechać na weekend do cici w Slite. Rodzice się denerwowali, że mnie jeszcze nie ma, i tata po mnie przyjechał do kawiarni.

– Czyli pani nie widziała nikogo podejrzanego, kto siedziałby obok was i jakoś szczególnie się przyglądał?

– Przez cały czas? – Dziewczyna na krótką chwilę zamilkła, usiłując zapewne przypomnieć sobie ów dzień. – Nie. Emma sama potem śmiała się ze swoich przypuszczeń, więc tym bardziej ja się tym nie przejęłam. Zresztą od razu o tym zapomniałam. Dopiero jak stała się ta tragedia i policja zaczęła wszystkich wypytywać, to mi się przypomniało.

– W takim razie nie będę już pani przeszkadzał. Dziękuję, że zechciała pani ze mną porozmawiać. Do widzenia.

To już był jakiś trop. Nikły, ale zawsze. Tumegård chwycił leżący na blacie biurka ołówek i zapisał dużymi literami na czystej kartce: „Emma i Sara śledzone na ulicy w Visby?”. Ale czy obie? A może to Sarę śledzono? Ma przecież chłopaka Kolumbijczyka. Skojarzenia nasuwają się same. Dopisał obok: „Kolumbia. Kartel? Ustalić, czym zajmuje się rodzina chłopaka”

– Katrina! – zawołał przez drzwi otwarte do sąsiedniego pokoju. – Czy jak napiszemy do kolumbijskiej policji po szwedzku, to oni sobie to przetłumaczą na hiszpański?

– Proszę napisać, a ja to przetłumaczę na angielski – zaproponowała asystentka. Doskonale wiedziała, że Tumegård co prawda mówi całkiem niezłe w języku Szekspira, ale raczej średnio radzi sobie z pisaniem, gubiąc się w skomplikowanych regułach gramatycznych. – Mogą nie mieć nikogo znającego nasz język, ale na każdym komisariacie powinien być ktoś, kto zna angielski. Tylko nie jestem pewna, czy zechcą nam odpowiedzieć. To drugi koniec świata i mają pewnie dość własnych problemów. A co chciałby pan wiedzieć? – W głosie Katriny, która przyszła do niego z kartką i długopisem, brzmiała zaciekawienie.

– Sara ma chłopaka Kolumbijczyka. Dwadzieścia lat, nazywa się Rodriguez Ardila Guzman. Nie wiem, czy podwójne jest imię, czy nazwisko. Trzeba ustalić, czy rodzina nie ma powiązań z mafią narkotykową. Może Sara się w coś wplątała i to ona miała zginąć, a siostra i chłopak byli tylko przypadkowymi ofiarami.

– Imię to Rodriguez. Nazwisko jest podwójne. Oni tam dodają sobie nazwisko matki czy jakoś tak.

– A ty skąd wiesz takie rzeczy? – zdziwił się Tumegård. Ta kobieta nie przedstawiała go zaskakiwać. Niedługo się dowie, że ma licencję pilota i skacze na bungee.

– Wiem i już. – Asystentka zrobiła tajemniczą minę. – Długo już żyję na tym świecie i różne dziwne rzeczy robiłam.

– Chyba nie mieszkałaś w Kolumbii?

– Kolumbia mieszkała u mnie. – Puściła oko do komisarza i zaczęła się śmiać na widok zdumienia malującego się na twarzy szefa.

Po chwili wróciła do stukania na komputerze, a komisarz został sam ze swoim wyobrażeniem o niej jako o młodej sympatycznej Kolumbijczyków.

– Zaraz spiszę wszystkie dane z raportu Klaudii i wystosuję zapytanie do Bogoty. Ale na pana miejscu nie liczyłabym na szybką odpowiedź, jeżeli w ogóle coś odpiszą. Nie ma pan tam przypadkiem kogoś znajomego?

– Tam nie. Ale rzeczywiście może znajdę kogoś w okolicy. Poddałaś mi pewien pomysł. Ty pisz do Bogoty, a ja spróbuję się czegoś dowiedzieć innymi kanałami.

Odszukał w notesie numer telefonu do dawnego znajomego. Oliver Pope pracował w CIA. Spotkali się kiedyś, dawno temu, gdy tamten miał prywatną sprawę do załatwienia na Gotlandii, a Tumegård zlitował się nad tym wielkim, sympatycznym czarnoskórym Amerykaninem z Waszyngtonu – zawsze uśmiechniętym i trochę bezradnym w dalekim kraju. Pomógł mu we wszystkim i dopiero gdy przed wyjazdem tamtego siedzieli razem przy piwie, dowiedział się, że facet pracuje dla amerykańskiej agencji rządowej. Śmiali się wtedy, że nawet CIA nie umie sobie poradzić ze szwedzką biurokracją.

Tumegård spojrzął na zegarek. Na wschodnim wybrzeżu USA było już rano. Chociaż to pewnie nie miało znaczenia, bo nie wiedział przecież, gdzie akurat jest Olie. Na szczęście okazało się, że pracuje teraz w jednym z waszyngtońskich biur – przykrywek agencji, jeśli dobrze zrozumiał jego aluzje rzucane przez telefon. W każdym razie stary znajomy obiecał dowiedzieć się czegoś o potencjalnych powiązaniach rodziny Ardila Guzman z mafią narkotykową.

Ledwie Tumegård odłożył słuchawkę, w pokoju pojawiła się Katrina, jak zwykle z uśmiechem na twarzy.

– Napisałam i wysłałam. Użyłam całego swojego czaru, żeby zechcieli odpowiedzieć na nasz list. Podpisałam się za pana, kopia w folderze „wysłane” – zameldowała wykonanie zadania.

– Ja też uruchomiłem swoje szpiegowskie kontakty – uśmiechnął się szelmowsko. – Zobaczymy, komu z nas prędzej odpowiedzą.

Katrina ledwie się powstrzymała, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Tak reagowała na wyobrażenie sobie pocziwego, tysięcącego Tumegårda w roli Jamesa Bonda.

21.

Zaraz po porannej odprawie Tumegård pojechał porozmawiać z Martą Forslund. Chciał ją delikatnie wypytać o chłopaka wnuczki, mając nadzieję, że babcia podsłuchiwała może jakąś rozmowę telefoniczną Sary albo po prostu dziewczyna zwierzyła jej się ze swoich kłopotów.

Znali się z Martą od niepamiętnych czasów, a właściwie od momentu, gdy dziesięcioletni Rolf pierwszy raz zobaczył śliczną dwudziestolatkę jadącą na rowerze leśną drogą. Szczupła blondynka z rozpuszczonymi, rozwianymi na wietrze, bardzo długimi włosami zrobiła na chłopcu piorunujące wrażenie. Wyglądała nieziemsko, jak królewna-rusałka z bajki. Gdy wrócił do domu, mówił tylko o niej. Do tego stopnia był nią zafascynowany, że jego starszy brat naśmiewał się potem z Rolfa – mówił, że ten się zakochał, i ciągle pytał, kiedy się ożeni. Komisarz pamiętał nawet, jak przykro mu było, gdy się dowiedział, że jego bogini wyszła za kogoś innego, a potem urodziła córkę. Dla niego dziesięć lat różnicy wieku nie wydawało się wtedy niczym niestosownym. Poza tym to normalne, że chłopcy zakochują się w dorosłych kobietach. Marcie natomiast pewnie nigdy nawet nie przyszło do głowy, że miała takiego małego wielbiela.

Oczami wyobraźni Tumegård zobaczył młodą Martę jadącą przez las na rowerze i uśmiechnął się. Gdy tylko zaparkował na jej podwórzu, psy z sąsiedniego gospodarstwa zaczęły głośno ujadać i doskakiwać do ogrodzenia. Zza domu wyszła niemłoda już, ale wciąż urodziwa kobieta, zaintrygowana alarmem, który podnieśli jej czworonożni sąsiedzi. Policjant na jej widok pomyślał, że to zapewne takich przedstawicielek żeńskiej części społeczeństwa dotyczy termin „dojrzałe piękno”. Marta była wysoka, szczupła i wciąż trzymała się prosto, mimo że godzinami potrafiła pracować schylona w swoim ogrodzie. Miała wyjątkowo zgrabne nogi, których mogła jej pozazdrościć niejedna młoda dziewczyna, a czas obchodził się z nią wyjątkowo łaskawie, obdarzając ją niewielką liczbą zmarszczek. Po śmierci swojej jedynej córki, Lotty, posiwała i nie farbowała włosów do czasu, gdy jej wnuczki dorosły. Dziewczęta namówiły ją wówczas do ukrycia siwizny pod farbą. Co prawda nie miała już przez to tak jasnych włosów jak przedtem, ale wizyta u fryzjera sprawiła, że wyglądała na kilka lat młodziej. Teraz jednak jej bujne włosy kryły się pod rozłożystym kapeluszem słomkowym, który zwykła zakładać, kiedy pracowała w ogrodzie. Rolf wiedział, że jego znajoma od dawna stara się unikać słońca, o opalaniu nie wspominając. Sądził, że to właśnie temu zawdzięcza tak ładną cerę. Dzisiaj była ubrana w niebieski kombinezon roboczy i gumowe buty do pracy w ogrodzie.

– A kogóż to ja widzę? Witaj, Rolfie. – Marta uśmiechnęła się, podchodząc do bramy.

Zawsze zdrabniała jego imię. Podkreślała w ten sposób, że jest dla niej ciągle tym samym małym chłopcem, którego pamiętała z czasów młodości.

– Dzień dobry, Marto. Czyżbym przeszkodził ci w jakiejś poważnej pracy? – zażartował komisarz. – Co robisz?

– Naprawiałam właśnie starą pompę w ogrodzie. Nadaje się idealnie do nawadniania rabatek kwiatowych. To dużo lepsze niż podlewanie wężem. Ale coś się zepsuło. Mam nadzieję, że wystarczy rozebrać to draństwo i dokładnie naoliwić.

– I robisz to sama?

– Nie poproszę przecież Jana. On się zupełnie nie zna na takich rzeczach. Zresztą nie ma go teraz. Pojechał załatwiać swoje sprawy do Sztokholmu.

– A Sara?

– Miałabym się wyręczać ciężarną kobietą?! Za kogo ty mnie masz, Rolfie? Ale jej też nie ma. Pojechała do Snäckgårdsbaden.

– Więc jesteś sama?

– A chciałeś rozmawiać ze mną czy z kimś innym?

– Chciałem porozmawiać z tobą, Marto. Może ci pomogę z tą pompą i przy okazji pogadamy?

– A może raczej zaproszę cię do środka i zrobię ci twoje ulubione cappuccino?

– Skąd wiesz, jaką kawę lubię? – Komisarz szczerze się zdziwił. – Przecież, o ile sobie przypominam, nigdy nie piliśmy razem kawy.

– Nie tylko ty wiesz wszystko o mieszkańcach wyspy. Pamiętaj, że ja mieszkam tu dłużej – powiedziała, otwierając drzwi, i szerokim gestem zaprosiła niespodziewanego gościa do środka.

Gdy usiedli przy dużym stole w kuchni i komisarz rozkoszował się zapachem świeżej kawy z cynamonem i bitą śmietaną, Marta zaczęła rozmowę.

– Czy wiesz już cokolwiek o mordercy mojej wnuczki? – zaczęła bez zbędnych wstępów, czym zbiła Tumegårda z pantałyku.

– Wiesz, że nie wolno mi zdradzać szczegółów śledztwa.

– Jeżeli myślisz, że dowiesz się czegokolwiek ode mnie, nie dając mi w zamian żadnej informacji, to jesteś w błędzie. – Marta usiadła na krześle za kuchennym stołem naprzeciwko swego rozmówcy, przybierając stanowczy wyraz twarzy.

– Informacja za informację?

– Tylko pod tym warunkiem z tobą rozmawiam. W przeciwnym wypadku możesz pić spokojnie, ale ja wracam do mojej pompy – powiedziała, podnosząc się z krzesła.

Tumegård zrezygnowany westchnął i przewrócił oczyma. Mógł się tego po Marcie spodziewać.

– Dobrze. Przekonałaś mnie. Ale obiecaj, że nie powiesz nic o naszej rozmowie Sarze ani jej ojcu.

– Zgoda. A więc? Czego się dowiedziałeś, Rolfie? – Marta utkwiała w nim swoje szare oczy.

– No więc tak...

Komisarz na chwilę odsunął od siebie filiżankę z kawą. Pomyślał, że siorbanie cappuccino niezbyt pasuje do relacjonowania przebiegu śledztwa w sprawie morderstwa młodej dziewczyny, do tego wnuczki jego rozmówczynie.

– Pamiętaj, że to tylko moje przypuszczenia, nic więcej. Wszystko trzeba będzie solidnie sprawdzić. Najwyraźniej, i co do tego, mamy niemal stuprocentową pewność, Emma i Anton padli ofiarą profesjonalisty, płatnego mordercy wysokiej klasy. Tacy ludzie świadczą swoje usługi za niemałe pieniądze i trzeba przyznać, oczywiście pomijając stronę etyczną ich profesji, że są warci swojej ceny. Nigdy nie zawiodą i tak skutecznie zacierają ślady, że trudno na nich trafić, nie można też namierzyć ich zleceniodawcy. Hipotezę o seryjnym mordercy bądź psychopacie wykluczyliśmy już dawno. Moim zdaniem ten cyngiel, chociaż w tym przypadku nie jest to najlepsze określenie, mógł być wynajęty przez rodzinę narzeczonego Sary. Zdaje się, że to właśnie ona miała zginąć, a Emma i Anton stali się przypadkowymi ofiarami.

Marta wzruszyła ramionami i spojrzała na niego z politowaniem, tak że Tumegård, policjant z wieloletnim stażem, poczuł się jak niedoświadczony smarkacz.

– Pomijając absurdalność twojej teorii, dlaczego obcy ludzie mieliby chcieć śmierci młodej, sympatycznej dziewczyny z drugiego końca świata? – spytała z lekką kpina w głosie.

– No wiesz... W Kolumbii dużo ludzi ma powiązania z kartelami narkotykowymi. Nie wiemy, czym się zajmują jego rodzice i czy nie mają związków z mafią.

– Rodriguez to porządny chłopiec. Poznałam go. Sara kilka razy go tu przywiozła. Jego rodzice to ciężko pracujący ludzie.

– Nie wątpię – przyznał Tumegård. – Ale tacy też są potrzebni kartelom. Dla bossów narkotykowych nie pracują wyłącznie typy spod ciemnej gwiazdy. Zastanawiałem się, czy może Sara czegoś przypadkiem nie usłyszała albo nie zobaczyła, gdy byli razem z Rodriguezem. Może podsłuchiwała rozmowę telefoniczną chłopaka z kimś w Kolumbii?

– Nawet jeżeli tak było, to Sara nie zna hiszpańskiego i nic by nie zrozumiała. – Marta machnęła ręką.

– Obawiam się, że twoja teoria jest błędna. Nie ja jestem szefem Wydziału Kryminalnego Policji, ale moim zdaniem chłopak nie ma z tym nic wspólnego. Czy nie można sprawdzić takich podejrzeń oficjalną drogą, pytając kolumbijską policję?

– Zrobiliśmy to i czekamy na odpowiedź. To może potrwać i dlatego chciałem porozmawiać również z tobą.

– No to ja ci nic nie powiem na ten temat.

– Czy Sara ma z chłopakiem cały czas kontakt?

– Tak. Rozmawiają wieczorami przez komputer. Wiesz, przez tego Skype'a czy jak to się tam nazywa. Widzą się na ekranie i rozmawiają. Świetna sprawa.

– Nie wiesz przypadkiem, o czym rozmawiają?

– Przekładem nie. – Marta była nieco oburzona podejrzeniem, że mogłaby ingerować w życie uczuciowe swojej wnuczki. – Wiem tyle, ile Sara mi opowiada. Snują plany co do jego powrotu po wakacjach. Ale coraz gorzej to wygląda, bo matka chłopaka zachorowała i on nie chce jej zostawiać samej.

– Nie ma innej rodziny?

– Ma. Jego ojciec pracuje w fabryce mebli. Ale raczej nie rzuci pracy i jedyne źródło utrzymania, żeby zająć się chorą żoną. A są jeszcze dwie młodsze siostry.

– Nie mają ubezpieczenia czy opieki pielęgniarskiej?

Marta spojrzała na Tumegårdę ze zdumieniem, tak jakby przed chwilą z jego ust usłyszała pytanie o to, czy prezenty roznosi rzeczywiście Święty Mikołaj.

– A ty wiesz, gdzie leży Kolumbia? Że to nie jest w Europie ani nawet w Ameryce Północnej? Nie chcę mówić, że to dziki kraj, ale wolę nie myśleć, jak wygląda tam opieka socjalna, o ile w ogóle istnieje tam taki termin. Z tego, co wiem, tam za leczenie trzeba płacić.

– No tak. W Szwecji mamy trochę łatwiej.

– Na coś te nasze podatki idą. O widzisz, na ten temat mógłbyś sobie pogadać z Janem. On dokładnie wie, ile, dlaczego i na co jest wydawane z budżetu. Mnie to nie interesuje.

Tumegård pokiwał ze zrozumieniem głową i szybko opróżnił filiżankę z kawą.

– Szczerze mówiąc, mnie też nie. Chyba będę się już zbierał, Marto. Dziękuję ci bardzo za pyszne cappuccino.

– Odwiedź mnie jeszcze kiedyś. Niekoniecznie, żeby o coś zapytać.

– Z przyjemnością. Kiedy tylko będę miał czas. Do widzenia – powiedział, wstając z krzesła.

– Do zobaczenia, Rolfie. Owocnej pracy. Byłoby dobrze, gdybyś szybko złapał mordercę Emmy. Zanim my gdzieś przypadkiem go spotkamy.

Policjant usłyszał w jej głosie coś, co sprawiło, że zamiast skierować się do wyjścia, stanął w miejscu. Wieloletnie doświadczenie podpowiadało mu, że nie może tego zignorować.

– Nie rozumiem... Oczywiście, że robimy, to znaczy policja robi wszystko, co tylko możliwe. Ale co masz na myśli, mówiąc: „zanim my go przypadkiem gdzieś spotkamy”?

– Wiesz, jak to jest. – Pogodna zazwyczaj twarz Marty przybrała zacięty wyraz. – Śmierć dziecka zmienia ludzi. Nie należę do osób agresywnych, ale nie mam pewności, czy w tym przypadku potrafiłabym się pohamować. Lepiej dla niego, żeby nie wpadł w moje ręce.

Dotarło do niego, że rozmawia z kobietą, która stara się głęboko ukryć swoje cierpienie. Coś, być może wrodzona godność, może zwykły rozsądek, a może po prostu poczucie, że jest potrzebna swojej rodzinie, kazało jej zachowywać się tak, jakby nic złego jej nie spotkało. Jak co dzień pracowała w ogrodzie, naprawiała pompy, pielęgała grządki i częstowała gości pyszną, świeżutką kawą, ale Tumegård wolał nawet się nie zastanawiać, co tak naprawdę czuje. Stosunkowo wcześniej owdowiała i samotnie wychowywała Lottę, którą straciła w jakimś bezsensownym wypadku. A teraz Emma... Policjant uświadomił sobie, że nie udało się ustalić sprawcy owego wypadku, w wyniku którego przed laty córka Marty straciła życie. A teraz on drepcze w miejscu i nie potrafi znaleźć tego, kto pozbawił życia jej wnuczkę i Antona. Kto wie, być może kobieta ma o to do niego żal.

– Ach tak... – To było wszystko, co zdołał z siebie wydusić.

Pożegnał się szybko i czym prędzej wyszedł. Nie oglądając się za siebie, usiadł do samochodu i uruchomił silnik.

Jechał powoli w stronę Visby, cały czas zastanawiając się nad tym, co powiedziała Marta. Nie wszystko do końca zrozumiał. „Śmierć dziecka zmienia ludzi”. Oczywiście, że tak. Marta wie, co mówi. A teraz córka Jana... Ale Tumegårdę bardziej w tej chwili absorbowwała kwestia narzeczonego Sary. Jeżeli dziewczyna codziennie z nim rozmawia, to albo on próbuje się dowiedzieć czegoś na temat trwających

poszukiwać mordercy, albo po prostu ją kocha i temat kolumbijskiej mafii narkotykowej nie istnieje. A może istnieje, ale on nie ma z tym nic wspólnego. „Muszę poczekać na wiadomość od Olivera” – pomyślał. „Głową daję, że CIA będzie szybsze od bogotańskiej policji!”

Co prawda Tumegård nie dowiedział się niczego istotnego od Marty, ale spotkanie z nią podziałało na niego inspirująco i dodało mu nowej energii do dalszej pracy.

22.

Słońce przedostawało się przez opuszczone żaluzje. Była niedziela, więc nigdzie nie musiał się spieszyć. Bardzo dobrze, bo nie mógłby się skupić na pracy. Zniecierpliwiony, po raz dziesiąty raz w ciągu ostatniej godziny spojrzął na zegarek. Jeśli tylko samolot wylądował zgodnie z planem, niedługo pod dom po drugiej stronie niewielkiej uliczki na osiedlu domków jednorodzinnych w Pilhagen powinna podjechać taksówka i przywieźć jego najlepszych przyjaciół. A on szykował już dla nich niespodziankę.

Olaf miał wszystko przygotowane. Liczył na to, że Erik i Linda spali podczas lotu i jak tylko trochę się ogarną po podróży, od razu do niego zajrzą. Wtedy on się ucieszy i zaprosi ich na kolację, a kiedy chłopcy pójdą spać, oni spędzą ten wieczór razem, jak przystało na najlepszych przyjaciół. Opowiedzą mu, jak było w Kalifornii, wspomną też o surfowaniu, a on zapyta, kiedy razem wybiorą się nad morze. Erik obiecał nauczyć go surfować, jak wróci z urlopu.

Trzeci raz sprawdził, czy wino w lodówce jest dostatecznie schłodzone. Od kilku dni rozmyślał nad menu na ten wieczór; ostatecznie zdecydował się na krewetki i rybę z rusztu. A może woleliby zwykły filet mignon na grzance? Ma jeszcze jedną butelkę jakiegoś czerwonego wina, którą trzymał na wszelki wypadek. Wyjął kawałek polędwicy z zamrażarki i postawił na szafce, żeby odtajała, a potem wszedł do komórki poszukać wina. Przeszukując półki z butelkami i mniej lub bardziej niezbędnymi rzeczami, z zadowoleniem pomyślał, że życie jest ostatnio piękne i bezproblemowe, a on sam czuje się szczęśliwy.

Kiedy wyszedł z komórki, dzierząc w dłoni butelkę czerwonego trunku, usłyszał szum silnika. Nareszcie. Pod dom Lindbergów podjechał mały bus korporacji transportowej. Podglądał przez żaluzje, jak wysiadają z niego chłopcy i Linda. Ale gdzie jest Erik? O, pojawił się. Ale co to? Jego przyjaciel chodzi o kulach! Niemożliwe, ma nogę w gipsie! Co za nieszczęście. Koniecznie musi mu pomóc.

Nie wytrzymał i wybiegł z domu.

– Witajcie! Jak wspaniale, że już wróciliście z wakacji.

– Cześć, Johan. Miło cię widzieć. Co słychać? – Erik wyglądał na potwornie zmęczonego i nieco zaskoczonego widokiem Olafa.

– Dobrze, wszystko dobrze. Ale widzę, że ty nie jesteś w najlepszej formie – stwierdził ze smutkiem.

– Widzisz, jak się załatwiłem. Czeka mnie sześć tygodni w gipsie. Pod warunkiem, że wszystko prawidłowo się zrośnie.

– Musisz teraz na siebie bardzo uważać. Pomogę z bagażami.

Kierowca otworzył tylne drzwi i synowie Lindberga zaczęli wypakowywać torby ze sprzętem do nurkowania.

– Nie, dziękujemy. Nie trzeba. – Linda uśmiechnęła się do Olafa. – Damy sobie radę. Nic takiego się nie stało.

– Ależ to żaden kłopot. – Już kładł rękę na uchwycie jednej z walizek, ale Linda przytrzymała ją nogą.

– Olaf, naprawdę nie musisz.

Starszy syn Lindbergów, Daniel, zabrał walizkę i zniknął z nią we wnętrzu domu. Nawet nie powiedział mu „dzień dobry”, czym mężczyzna naprawdę poczuł się urażony. Co za niewychowany smarkacz!

– Jesteśmy wykończeni po podróży. I do tego ta historia z gipsem... – Linda znowu się uśmiechnęła. – Pogadamy później, okej?

– Rozumiem. Chciałem, żebyście wpadli do mnie na kolację.

– Dobrze, może za jakiś czas. Nie wiem, jak Erik będzie się czuł.

– Dzisiaj nie możecie?

– Nie, dzisiaj nie damy rady. Padamy ze zmęczenia. Zdzwonimy się. Na razie. – Żona Erika rzuciła mu przeproszające spojrzenie i zajęła się swoimi sprawami. Tak jakby go w ogóle nie było!

Kierowca pomógł wystawić ostatnią rzecz z bagażnika. Linda zapłaciła za kurs i bus odjechał. Po krótkiej chwili cała rodzina zniknęła za pomalowanymi na brązowo drzwiami, nawet nie oglądając się w jego kierunku.

Olaf z trudem hamował wściekłość. Wszedł do domu i trzasnął drzwiami. Wszystko na nic. A on tak się starał. Zrobił zakupy i posprzątał mieszkanie. Jak mogli mu zrobić coś takiego? Z hukiem rzucił z szafki na podłogę talerz z rozmrażającą się wołowiną.

Przez otwarte okno odgłos rozbijającej się salaterki słychać było aż na ulicy. Potem przewróciło się coś większego.

Linda spojrzała na męża ze zdziwieniem.

– Co on robi?

– Mówiłem ci, żebyś uważała. – Erik siedział zły na kanapie w salonie. – Facet ma nierówno pod sufitem. Szczególnie jak przestaje brać leki.

– Co ja takiego zrobiłam?

– Nic. Ja też nic. Ale Olafowi wydaje się, że jesteśmy jego najbliższymi przyjaciółmi, a może nawet rodziną, więc zawsze powinniśmy mieć dla niego czas.

– Miałam przyjąć zaproszenie na kolację? To w ogóle było zaproszenie? Przecież właśnie wróciliśmy z drugiego końca świata, a ty masz złamaną nogę.

– Słuchaj, nie wiem – odparł zirytowany. – Nie siedzę w jego głowie. Ostatnim razem, gdy z nim gadałem, zachowywał się zupełnie inaczej. Rozmawialiśmy o naszych planach urlopowych. Mówił logicznie i był spokojny.

– Może obiecałeś mu wtedy, że spotkasz się z nim zaraz po powrocie?

– Może tak, ale wiesz, jak się mówi. Zresztą, czy „zaraz po powrocie” oznacza „tego samego dnia”?

– Dla mnie niekoniecznie.

– Może masz rację i faktycznie coś takiego powiedziałem. Teraz sobie przypominam. Chyba nawet obiecałem zabrać go kiedyś na deskę. Mówiłem to oczywiście grzecznościowo.

– A on wzięł to na poważnie.

– Skąd mogłem przypuszczać?

– Na co on choruje?

– Nie pytałem, ale wiele lat temu widziałem u niego na stole recepty na leki przeciwdepresyjne i normotymiczne. Sprawdzałem później nazwy w internecie. Stosuje się je na przykład przy leczeniu choroby afektywnej dwubiegunowej.

– Co to takiego?

– Najkrócej mówiąc: zaburzenia nastroju. – Erik poprawił się na kanapie, usiłując zmienić położenie nogi w gipsie, co mu się nie do końca udało. – Cierpiący na to człowiek z równą łatwością wpada w dobry nastrój, jak też w depresję. Taka sinusoida: raz jest rewelacyjnie, żeby po chwili było do bani. A do zmiany nastroju wystarczy błahostka – kontynuował, krzywiąc się z bólu i wysiłku. – Powiniennem być to przewidzieć.

– Daj spokój. Nie obwiniaj się. – Linda podeszła do niego i poprawiła mu nogę, wkładając pod nią poduszkę.

Uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

– Przy kimś takim trzeba na wszystko uważać. Chory często ma urojenia i wymyśla nieistniejące sytuacje na podstawie źle zrozumianego gestu albo słowa. Może mieć nawet omamy słuchowe, więc właściwie ciężko przewidzieć, co sobie ubzdura. Z tą chorobą można zupełnie normalnie funkcjonować pod warunkiem systematycznego leczenia, ale teraz...

– Myślisz, że przestał brać leki?... Zobacz, co on robi!!! – Linda aż krzyknęła.

Erik odwrócił się z trudem na kanapie i zdążył zobaczyć, jak wielka lodówka ląduje na ulicy. Za nią przez okno wyleciała kuchenka mikrofalowa.

– Zaraz zdemoluje cały dom. – Linda przestraszyła się nie na żarty.

– Mamo, co wyprawia wujek Olaf? – Chłopcy zbiegli na dół.

– Wracajcie do swoich pokojów. Wujek jest chory. – Linda nie uznała za stosowne wtajemniczać ich szczegółowo w kłopoty zdrowotne sąsiada.

– Daj telefon – poprosił Erik. – Muszę to zgłosić, zanim stanie się coś gorszego.

Wybrał numer alarmowy. Dyspozytor zgłosił się prawie natychmiast.

– Mówi komisarz Erik Lindberg. Proszę o karetkę i wsparcie policji w Pilhagen na Styrmansgatan. Mój sąsiad ma atak furii i wyrzuca meble przez okno. Nie, jeszcze nikomu nie stała się krzywda, ale nie wiemy, czy to się za chwilę nie zmieni.

W tej samej chwili do lodówki i mikrofalówki dołączył niewielki stół, a potem telewizor. Na szczęście w bliskim sąsiedztwie nie stał zaparkowany żaden samochód i sprzęt ładował na chodniku albo na trawie. Erik i Linda obserwowali to wszystko w napięciu i odetchnęli dopiero, kiedy po piętnastu minutach dało się słyszeć podjeżdżającą na sygnale karetkę pogotowia i radiowóz.

Olafa Oeklanda wyprowadzono w kaftanie bezpieczeństwa. Chory bez słowa minął stojącego obok o kulach Erika i osłupiałą Lindę. Jak się okazało, sanitariusze od razu po wejściu do zdemolowanego mieszkania obezwładnili furiata, podając mu środki uspokajające, co umożliwiło zapakowanie go do karetki, ale też kompletnie otumaniło. Teraz patrzył na swoich sąsiadów tępym wzrokiem, jak gdyby widział ich pierwszy raz w życiu. Mimo to żona Erika pomachała mu z bladym uśmiechem. Przez chwilę nawet żałowała, że tak stanowczo odrzuciła jego zaproszenie na kolację. Przecież nic by się nie stało, gdyby wpadli do niego na chwilę.

– Fatalnie skończyły nam się wakacje – powiedziała Linda.

– Jemu gorzej – dodał jej mąż.

– Urlopy są potwornie męczące.

– I niebezpieczne – westchnął Lindberg.

23.

Chociaż zarówno policja, jak i sam Wetterberg bardzo się starali, żeby nie nadawać rozgłosu sprawie zabójstwa Emmy Wetterberg, media dość szybko zainteresowały się tajemniczą śmiercią córki znanego polityka. Morderstwo stało się tematem nagłówków w prasie i programów telewizyjnych. Niektóre gazety sugerowały, że Turcja zrobiła się ostatnio dużo bardziej niebezpiecznym miejscem niż kiedyś i odradzały swoim czytelnikom wakacyjne wyjazdy do tego kraju. Takie nastawienie mediów wykorzystali od razu lokalni przedsiębiorcy turystyczni i do spółki z telewizją regionalną zorganizowali wielką akcję promocyjną pod hasłem „Bezpieczne wakacje tylko nad Bałtykiem”. To z kolei wywołało oburzenie za granicą, głównie w Hiszpanii, we Włoszech i w Grecji. Skończyło się na tym, że jeden z komisarzy Unii Europejskiej musiał prosić rząd Szwecji o zainteresowanie się sprawą i wyrażenie oficjalnego stanowiska, że spędzanie urlopu w krajach Europy Południowej nie niesie ze sobą większego ryzyka niż gdziekolwiek indziej.

Wścibscy dziennikarze zdołali też dopiec ojcu zamordowanej dziewczyny. Wetterberg przez zaprzyjaźnionego prawnika przekazał notatkę dla mediów, w której oznajmiał, że nie będzie udzielał żadnych informacji ze względu na dobro toczącego się śledztwa. Kilka dni później w jednym z głównych wydań wiadomości wieczornych na ogólnokrajowym kanale SVT24 przedstawił oświadczenie, w którym podziękował wszystkim obywatelom za wsparcie i modlitwę w tym trudnym dla jego rodziny czasie. Z tą modlitwą to chyba przesadził, ale taka jest rola polityka – operowanie sloganami i tekstami pod publiczność, wyborcy to na ogół kupują. Prosił o uszanowanie żałoby rodziny. Co prawda nie odpowiedział wprost na pytanie zadane przez prowadzącą program – o to, czy planuje zaprzestanie działalności politycznej – ale dał do zrozumienia, że bierze pod uwagę taką ewentualność. Powiedział, że w tej chwili rodzina jest dla niego najważniejsza i że jeżeli jego druga córka, Sara, będzie wymagała szczególnej opieki, on ani przez moment nie zawaha się przed rezygnacją z kariery parlamentarzysty. Dodał, że i tak do końca życia pozostanie socjaldemokratą i że pracować dla kraju można na różne sposoby,

niekoniecznie w Riksdagu. W internetowych komentarzach po programie zostało to bardzo dobrze ocenione i wszyscy ze zrozumieniem potraktowali jego decyzję.

Kolejnym impulsem do wznowienia spekulacji na temat tego, czy Wetterberg wróci do polityki, czy nie, był pogrzeb Emmy. Pomimo iż Anton Kjell pochodził z Lund, Sarze udało się przekonać jego rodzinę, że najwłaściwsze będzie pochowanie go razem z jego ukochaną na malowniczo położonym Cmentarzu Północnym w Visby. Rodzice chłopaka na początku nawet nie chcieli o tym słyszeć, ale w końcu ulegli namowom. Duże znaczenie miało również zdanie jego brata, Elliota, który poparł pomysł Sary. Właściwie to jego opinia przesądziła o tym, że pogrzeby obojga zamordowanych młodych ludzi udało się połączyć.

Znane nazwisko pomogło przezwyciężyć trudności biurokratyczne i uroczystości pogrzebowe odbyły się jeszcze w lipcu, co było ewenementem na skalę kraju. Krewnym i bliskim zmarłych udało się przełożyć zaplanowane wyjazdy, konferencje i szkolenia i wszyscy pojawili się na ceremonii pogrzebowej. Jak się można było spodziewać, na cmentarzu było mnóstwo młodzieży. Przyjechało wielu rówieśników Emmy i Antona, ale zjawili się także jego koledzy z warsztatu samochodowego, w którym pracował popołudniami. Nie mogło zabraknąć studentów z ich roku czy tylko znających zmarłych z uczelni. Co więcej, na uroczystości pojawili się nawet niektórzy wykładowcy, zapewne nie tyle ze względu na same ofiary, ile na pozycję, jaką cieszył się ojciec Emmy. Z tego samego powodu na pogrzeb zjechało wiele znanych postaci ze szwedzkiej polityki, kilku dziennikarzy, aktorów i celebrytów. Krótko mówiąc, Emmę i Antona żegnali wszyscy, którzy znali któreś z nich albo Wetterberga oraz spędzali lato na Gotlandii i uważali za swój obowiązek stawić się w ten ostatni piątek lipca na cmentarzu w Visby.

Ku rozczarowaniu Sary Rodriguez nie przyjechał. A przecież jego obecność dodałaby jej otuchy i pomogła jakoś poradzić sobie z traumą po śmierci siostry. Co prawda widziała go codziennie na ekranie komputera i korzystając ze Skype'a, starała się go informować na bieżąco o postępach w śledztwie, ale brakowało jej jego fizycznej obecności. Jan doskonale zdawał sobie z tego sprawę, dlatego zaproponował jej, że opłaci bilet z Bogoty. Uważał, że przyjazd Rodrigueza znacznie ułatwi Sarze poinformowanie go o ciąży, ale okazało się, że mama chłopaka zachorowała, a on nie może jej zostawić. Sara wyczuwała w głosie ukochanego, że bardziej teraz zaprzęta sobie głowę chorobą mamy niż historią Emmy i Antona. Ponieważ nie chciała mu przysparzać dodatkowych powodów do stresu – nie wspomniała o tym, że spodziewa się jego dziecka. Bardzo chciała, żeby ta wciąż obca dla niej kobieta jak najszybciej wyzdrowiała i żeby razem z Rodriguezem mogli się cieszyć z przyszłego rodzicielstwa. Na razie jednak musiała poradzić sobie sama.

Sara i Jan jakoś przeżyli pogrzeb, chociaż potem dziewczyna wspominała, że miała wrażenie, jakby całe to wydarzenie w ogóle jej nie dotyczyło. Czowała się, jakby oglądała jakiś dziwny seans, coś w rodzaju przedstawienia, w którym zresztą wcale nie zamierzała brać udziału.

Po pogrzebie zaproszono wszystkich na mały poczęstunek, a ona coś jadła i piła, ale nie czuła smaku. Obojętnie reagowała też na składane jej kondolencje. Kątem oka zauważyła, że babcia Marta przygląda się jej badawczo. Mrugnęła do niej, a potem odwróciła się do okna, by wyjrzeć na zewnątrz. W rękę trzymała szklankę z wodą, której omal nie upuściła, gdy ktoś nagle delikatnie dotknął jej ramienia. Był to młodszy brat Antona, Elliot. Sara po raz kolejny pomyślała, że gdyby ich nie znała, nigdy nie przypuszczałaby nawet, że byli braćmi. Anton był podobny do matki, którą poznała dopiero w dniu pogrzebu, podobnie zresztą jak ojca zmarłego, a Elliot zupełnie nie przypominał żadnego z rodziców. Matka natura zafundowała mu niezłą mieszankę rodzicielskich cech: był dość wysoki, chyba nawet wyższy od swego ojca, ale skłonność do lekkiej nadwagi, odziedziczona najwyraźniej po matce, sprawiała, że wydawał się niższy. Po matce miał też jasne, lekko falowane włosy i owalną twarz, ale pod wyjątkowo cienkimi brwiami patrzyły na Sarę łagodnie ciemne oczy, dokładnie takie, jak u pana Kjetla. Dziewczyna uświadomiła sobie, że podobnie było w przypadku jej samej i Emmy – nowo poznani ludzie nie chcieli uwierzyć, że były spokrewnione.

– Kiedy wracasz na uczelnię? – odezwał się Elliot. – Zdaje się, że miałeś mieć jakieś wakacyjne praktyki?

– Sama jeszcze nie wiem. Tutejsza policja będzie mnie przesłuchiwać.

– Gdybyś chciała, możesz zamieszkać w mieszkaniu Antona i Emmy. Myślałem, żeby się tam wprowadzić, ale chyba nie chcę. To trochę za wcześnie jak dla mnie. Jeszcze nie potrafię.

– Nawet nie przyszło mi to do głowy, ale dzięki. Tylko że ja też chyba nie potrafiłabym tam być bez Emmy – przyznała ze smutkiem. Zastanawiała się, czy w ogóle znajdzie w sobie tyle siły, żeby przekroczyć próg tego mieszkania. – Dziękuję ci, że poparłeś mój pomysł z podwójnym pogrzebem.

Chłopak uśmiechnął się bezradnie.

– Nie ma sprawy. Też chciałbym zostać pochowany z kimś, kogo pokocham. Trzymaj się, Sara.

Elliot dołączył do swoich rodziców, którzy właśnie zbierali się do wyjścia. Matka Antona, podobnie jak Sara, najwyraźniej nie miała już siły płakać. Sprawiała wrażenie nieobecnej, a jej mąż przez cały czas trzymał ją za ramię. Dziewczyna zauważyła, że kobieta prawie nic nie mówiła ani nie jadła. Potem dowiedziała się od Elliota, że jego matka była pod wpływem silnych środków uspokajających. Opiekujący się nią lekarz podejrzewał u niej depresję. Sara odłożyła szklankę na parapet, przygładziła włosy i podeszła do rodziców Elliota, by się z nimi pożegnać.

Po wszystkich, kiedy uczestnicy, z którymi trzeba było porozmawiać, zaczęli się już rozchodzić, Sara mocno złapała ojca pod ramię.

– Wiesz, tato, zastanawiałam się, co z tym wszystkim zrobić. – Ruchem głowy wskazała na swój brzuch.

– Tak? – Wetterberg zauważył, że Sara ma w oczach powagę, jakiej nigdy wcześniej u niej nie widział.

– Urodzę moje dziecko. W pewnym sensie ono uratowało mi życie. Nie mogłabym zdecydować inaczej. Dam sobie radę. Wprawdzie nie wiem jeszcze, co ze studiami, ale mam nadzieję, że Rodriguez też wróci do Visby i będzie mógł tu studiować. Tak byłoby najlepiej. Poradzimy sobie.

Jan odetchnął z ulgą. Modlił się w duchu, żeby Sara zdecydowała się donosić ciążę, chciał nawet z nią na ten temat porozmawiać, ale ostatecznie postąpił zgodnie z radą Marty, która uważała, że w tej sprawie decyzję należy pozostawić dziewczynie. Teraz z radości na chwilę zapomniał o bolesnej stracie, jaką była dla niego śmierć starszej córki.

– Będę dziadkiem... – wyszeptał. Na twarzy Jana malował się nieopisany wyraz szczęścia. – Będę najlepszym dziadkiem na świecie – obiecał Sarze. – Za kilka dni i tak zostałby wyznaczony mój zastępca w Riksdagu. Potem złożę rezygnację. Wszystko się jakoś ułoży. Wiesz, właściwie cieszyłbym się, gdybym już nie musiał grzebać się w tych politycznych brudach.

Podeszła do nich Marta.

– Zostaniesz prababcią. Będziemy mieli dziecko – oznajmił jej uroczyście, a jego teściowa nawet nie udawała zaskoczenia tą wieścią.

– Jedni umierają, inni się rodzą. Tak musi być. A co komu pisane, to go nie ominie. – Marta objęła mocno Sarę i ją pocałowała, na co dziewczyna wybuchła płaczem.

24.

W salce konferencyjnej komendy policji panowała leniwa wakacyjna atmosfera. Okna wychodzące na policyjny parking były szeroko otwarte i słychać było przyjaźnie rozmawiających ze sobą kierowców.

Codziennie rano odbywały się tu odprawy grupy śledczej, na których przedstawiano dotychczas poznane fakty w prowadzonych dochodzeniach. Zwykle było głośno i nierzadko wesoło, ale teraz panowały cisza i spokój. I nic dziwnego, sprawa, którą musieli się zająć, była dość skomplikowana, a śledztwo, mimo ich starań i wysiłków, bynajmniej nie zmierzało do szczęśliwego finału. Nikomu nie było do śmiechu.

Klaudia Jassem siedziała nad dokumentami, które tego ranka przysłano z Zakładu Medycyny Sądowej w Solnie. Po raz kolejny przewracała kartki, studiując raport z sekcji. Swoim zwyczajem zakładała przy tym włosy za uszy i stuknęła ze zniecierpliwieniem o blat biurka gumką umieszczoną na końcu trzymanego w lewej dłoni ołówka. Robiła tak zawsze, gdy nad czymś intensywnie myślała. Co prawda komisarz prowadzący śledztwo nie wyznaczył jej jeszcze żadnego zadania, ale postanowiła zrobić coś pożytecznego. Z przysłanych dokumentów wynikało, że tym razem sekcja zwłok obojga denatów była bardzo rzetelna i drobiazgowo. Niestety, wcale nie posuwało to śledztwa do przodu.

Przysunęła do siebie telefon stojący na środku stołu i wybrała numer do patologa, który zajmował się ich sprawą, jej dawnego znajomego z okresu, kiedy pracowała w Sztokholmie – doktora Sjöberga.

– Cześć, Ingmar. Masz chwilę?

– Dla ciebie nawet całą wieczność! – Lekarza musiał ucieszyć jej telefon. – Jak miło cię słyszeć. Dostałaś moją przesyłkę? Specjalnie dla ciebie bardzo się starałem.

– Tak, oczywiście. Dziękuję. Właśnie przeglądałam dokumenty. Proszę, powiedz mi coś więcej na temat substancji, którą ich otruto. Niewiele znalazłam informacji w twoim raporcie.

– Bo niewiele miałem do powiedzenia. – Jej rozmówca zmienił ton na znacznie poważniejszy. – Niewątpliwie śmierć nastąpiła w wyniku otrucia, ale nie jestem w stanie dokładnie określić rodzaju toksyny. Udało mi się jedynie ustalić, że był to jakiś nieznaną dotąd alkaloid, zapewne pochodzenia roślinnego, o bardzo silnym i prawie natychmiastowym działaniu.

– Co masz na myśli, mówiąc „prawie natychmiastowym”? – Policjantka była zaintrygowana.

– Zaraz ci to wyjaśnię. Nie będę się rozwodził, ale z racji wykonywanego zawodu musisz mieć jako takie pojęcie o substancjach trujących.

Klaudia szybko kiwnęła głową, chociaż jej rozmówca nie mógł przecież tego zobaczyć.

– Jak zapewne wiesz, cyjanek potasu działa natychmiast: czujesz palenie w gardle i nie przełkniesz nawet pierwszego łyka zatrutego napoju. Tymczasem trucizna podana denatom działała inaczej. To coś dopiero po chwili wypaliło im jamę ustną, przełyk i cały przewód pokarmowy, już po wypiciu. W żołądkach obu ofiar znalazłem dużą ilość soku pomarańczowego, odpowiadającą szklance. Masz to wszystko napisane.

– Widzę też, że stężenie strychniny we krwi było niewielkie – stwierdziła Klaudia, pospiesznie wertując dokument sporządzony przez Sjöberga.

– No właśnie. Taka ilość nikomu nie mogłaby zaszkodzić. A już na pewno nie w tak krótkim czasie. Jak wiesz, dla dorosłego człowieka groźna byłaby dopiero w bardzo dużej dawce. Podejrzewam, że była tylko dodatkiem do właściwej trucizny.

– Można by taką truciznę samodzielnie wytworzyć w domowych warunkach?

– Raczej nie. Tego nie da się zrobić w laboratorium małego chemika.

– Czy spotkałeś się wcześniej z podobnym przypadkiem otrucia?

– Nie, ale czytałem kiedyś o eksperymentach z podobną substancją. Tego typu toksyny testowano na więźniach politycznych w Chinach. Z tego, co wiem, dostęp do nich miała również armia radziecka.

– A po rozpadzie Związku Radzieckiego każdy brał, co chciał. Też coś o tym czytałam.

– Będzie wam ciężko odnaleźć mordercę. Zauważyłaś moją notatkę o pozostałych obrażeniach? Wszystkie były pośmiertne, z wyjątkiem sińców na kostkach i pod pachami. Ofiary były mocno trzymane za ręce i nogi jeszcze za życia. Może były niesione? Sądzę, że najpierw straciły przytomność. Albo trucizna zaatakowała najpierw ośrodkowy układ nerwowy i zakończenia nerwów, co spowodowało paraliż.

– Bardzo ci dziękuję, Ingmar. Po rozmowie z tobą rozjaśniło mi się w głowie.

– Kochana, dzwoń, kiedy chcesz. Cała przyjemność po mojej stronie. Wiesz, że nieustająco tęsknimy za tobą?

– Ja za wami też. Codziennie. Tylko nie mów o tym mojemu szefowi.

– Naprawdę jest tak źle?

– Pewnie, że nie. – Klaudia zaczęła się głośno śmiać. – Mam wspaniałego szefa, ale nie chciałam ci sprawiać przykrości. Na razie, Ingmar.

Klaudia odłożyła słuchawkę i w zamyśleniu popatrzyła za okno. Ustalenia patologa co prawda rzuciły nowe światło na sprawę, ale także dodatkowo ją skomplikowały. Trucizna rodem z komunistycznych arsenałów? Czyżby w grę wchodziła polityka?

Z rozmyślań wyrwał ją dźwięk otwieranych drzwi. Odwróciła się i ujrzała Tumegårdę wchodzącego do sali i trzymającego w rękach duży segregator, do którego Katrina przełożyła mu wcześniej wszystkie dokumenty dotyczące śledztwa.

– Tu jesteś – ucieszył się na widok swojej podwładnej.

„Dobrze, że mam chociaż tę dziewczynę” – pomyślał. Swoją drogą nieźle go załatwił ten Erik. Pewnie, że sam siebie załatwił jeszcze gorzej, ale przynajmniej będzie miał nadzwyczajne wspomnienia z Malibu.

Nie każdy może pochwalić się pobyt w ekskluzywnym kalifornijskim szpitalu. Ciekawe, czy są tam ładne pielęgniarki. Komisarz zaśmiał się do swoich myśli.

Klaudia odwróciła się zdezorientowana. Nie wiedziała, co wzbudziło wesołość u jej szefa, ale intuicja podpowiedziała jej, że lepiej o to nie pytać.

– Jestem, szefie. Rozłożyłam się z papierami na stole. Tu mam więcej miejsca i łatwiej mi wszystko ogarnąć.

– Jeżeli tak ci wygodniej, to nie ma sprawy, dziecko. I tak mam niemałe wyrzuty sumienia, że spadło na ciebie to śledztwo. W końcu prędzej czy później musiałabyś wziąć jakąś poważną i trudną sprawę, ale nie planowałem czegoś aż tak paskudnego na pierwszy raz.

– Proszę się nie gniewać, ale dla mnie to jest zwykłe podwójne morderstwo. W Sztokholmie też nam się takie zdarzały. Ja nie znałam osobiście tej dziewczyny.

– No tak... To dobrze. Będzie ci łatwiej zachować neutralność. Robisz coś istotnego? Za pół godziny spodziewam się Wetterberga. Nie chcę z nim rozmawiać w sali do przesłuchań. Tu jest dużo spokojniej, a on przecież nie jest o nic podejrzany.

– Właśnie skończyłam rozmowę z Ingmarem Sjöbergiem, lekarzem, który przeprowadzał sekcję zwłok w Solnie. To mój stary znajomy, jeszcze z poprzedniej pracy – wyjaśniła.

– Świetnie. I co, masz coś nowego, o czym nie wiem?

– Wydaje mi się, że tak.

– Co takiego? Zamieniam się w słuch.

– Nie znamy nazwy trucizny, ale Ingmar zasugerował, że mogła pochodzić ze starych magazynów wojskowych w ZSRR albo w Chinach. Tyle że to drugie jest raczej mało prawdopodobne. W każdym razie w Szwecji jeszcze nie mieliśmy z czymś takim do czynienia.

– Czytałem o wyprzedaży militarnych pozostałości po Armii Czerwonej. Podobno nawet w internecie można było znaleźć ogłoszenia. Ale skąd przypuszczenie, że tych dwoje padło ofiarą właśnie takiej substancji?

– To wynika z sekcji i z przeprowadzonej w związku z tym toksykologii – wyjaśniła. – Zgodnie z ustaleniami mojego znajomego patologa Emma i Anton bardzo szybko stracili przytomność albo zostali sparaliżowani. Nie mieli obrażeń od uderzenia czy duszenia. To wyjaśnia, dlaczego Sara, która ich przecież wołała, nie słyszała nic w odpowiedzi. Ingmar mówi, że zgon nastąpił po kilku minutach od podania im trucizny.

– Wiesz, jaki typ mordercy posługuje się trucizną?

– Powiedziabym, że to kobieca metoda...

– Wyrachowany profesjonalista. – Tumegård pokręcił przecząco głową. – Taki typ zazwyczaj unika fizycznego kontaktu ze sprawcą. Ze stoickim spokojem czeka i patrzy, czy ofiara połknęła truciznę, po czym szybko się oddala. Nie pozostawia po sobie obciążających go śladów. Żadnych nitek, włosów, kawałków naskórka czy krwi. Zapewne wcześniej zdążył zrobić rozeznanie i zorientował się, że w miejscu, które wybrał na dokonanie zbrodni, nie było żadnych kamer monitoringu. Ale... – dodał w zamyśleniu, bębniąc palcami po stole – ...zdaje się, że nie do końca wypełnił zlecenie i musiał wprowadzić w życie plan B, bo Sara nie wypita trucizny.

– Otóż to. Jest jeszcze jedna kwestia. Pewnie sami byśmy do tego zaraz doszli, ale doktor Sjöberg był szybszy i wyręczył nasze szare komórki. Oboje denaci mają siniaki na rękach i nogach, a to znaczy, że albo ktoś ich krępował z dużą siłą, albo...

– ...że przed śmiercią byli przenoszani. I że nie zrobiła tego jedna osoba. No proszę. Nasz tajemniczy Johnny miał współlnika. Przezorny zawsze przygotowany. Mogło tak być. Widziałem to miejsce. Niedobrze, że nie zostało od razu dokładnie przeszukane, ale najwidoczniej nasi tureccy koledzy po fachu mają inne metody działania albo mówiąc wprost i nie owijając w bawełnę, najzwyczajniej w świecie olali sprawę.

Klaudia uniosła brwi ze zdumienia. Rzadko zdarzało się jej słyszeć takie słowa z ust szefa.

– Na miejscu zbrodni zawsze można znaleźć wiele detali mówiących o sposobie jej popełnienia, a często także i o samym mordercy. Tam pod samym murem było wystarczająco dużo miejsca, żeby kilka osób mogło się schować. Myślę, że morderca chciał mieć pewność, że oboje nie żyją, zanim zrzuci ich ze skały.

– Sara zeznała, że jak tylko wróciła na miejsce i nikogo nie zobaczyła, wyjrzała przez uchyloną bramę. Od razu się cofnęła, bo przeraziła ją przepaść za murem, ale nikogo nie widziała – wtrąciła przytomnie Klaudia.

– Patrzyła pewnie na wprost i nie rozglądała się na boki. Pamiętaj, że była zdenerwowana i zdezorientowana. Do tego nie czuła się wtedy najlepiej. Nie podejrzewała, że coś mogło im się stać, tylko że gdzieś poszli. Zobaczyła, że tam nie ma żadnej drogi, więc nie szukała dalej w tym miejscu. Z drugiej strony to może i lepiej. Nie wiadomo, co by się stało, gdyby faktycznie morderca ze współnikiem tam był. Prawdopodobnie nie przeżyłaby kolejnego z nim spotkania.

– Najpierw ciąża ustrzegła ją przed wypiciem trucizny, a teraz jeszcze to... Dziewczyna ma szczęście. Albo ktoś nad nią czuwał. A może... – Policjantkę nagle olśniło. – Szefie, czy przyszło panu do głowy, że ona mogła mieć z tym coś wspólnego?

– Z zabójstwem rodzonej siostry? – Tumegård spojrział na nią ze zdziwieniem. Jego koleżanka musi się jeszcze wiele nauczyć. – Widzisz, dziecko, tutaj twój obiektywizm przeszkadza i marnujesz przez niego niepotrzebnie czas. One były bardzo ze sobą żyte. Możesz mi wierzyć, bo znałem je i osobiście, i z opowiadań ich babki, którą mam zaszczyt uważać za swoją przyjaciółkę.

Klaudia pomyślała, że bardzo chciałyby poznać kobietę, która „zaszczycała” przyjaźnią jej szefa. Tymczasem Tumegård kontynuował swój wywód.

– Po śmierci ich matki Emma opiekowała się Sarą, chociaż była tylko dwa lata od niej starsza. Były najlepszymi przyjaciółkami. To niemożliwe, żeby Sara maczała palce w zabójstwie siostry. Żeby ci się coś równie głupiego nie wymysknęło przy Wetterbergu, bo pierwszy cię stąd wyrzucę – ostrzegł podwładną. – Chcesz ze mną pracować, to najpierw zbieraj informacje, a dopiero potem wyciągaj wnioski. Nie odwrotnie.

Klaudię, nieprzyzwyczajoną do takich ostrych połajaneł, dosłownie zmroziło. Najwyraźniej trafiła w jakiś czuły punkt. No nic, w przyszłości będzie pamiętać, żeby nie myśleć na głos. Uznała, że teraz po prostu zignoruje otrzymaną reprimendę. Nie odpowiedziała, tylko znacząco spojrzała na zegarek, a następnie zgarnęła papiery i położyła je obok segregatora z dokumentami z Turcji.

– Czy Wetterberg jest punktualny? Bo powinien już tu być.

25.

Była dwunasta w południe. „Najgorsza godzina na wychodzenie z domu” – pomyślał. Zaparkował samochód w pełnym słońcu, na parkingu przed komisariatem. Miejsca pod drzewami były niestety zajęte. Gdy otworzył drzwi, poczuł się jak w saunie. Nie docierał do niego najmniejszy powiew wiatru, chociaż morze było blisko i spodziewał się, że będzie czuć morską bryzę. Wysiadł z auta i szybkim krokiem przeszedł przez dziedziniec. Po chwili wchodził już do klimatyzowanej recepcji komendy policji w Visby.

– Dzień dobry, panie Wetterberg. – Młoda policjantka przywitała go z uprzejmym uśmiechem. – Proszę przyjmując moje najszczerze wyrazy współczucia z powodu śmierci córki.

Jan, który ostatnio codziennie słyszał podobne formułki, uprzejmie jej podziękował. Nauczył się reagować na nie z wdzięcznością, chociaż wiedział, że nie są do końca szczerze. Każdy mówił to samo, ale czy naprawdę mogli odczuwać to, co on? Co większość z nich wiedziała o utracie bliskiej osoby?

– Zapewniam pana, że wszyscy dokładamy starań, aby ustalić i odnaleźć mordercę.

Policjantka najwyraźniej chciała, żeby ją zapamiętał. W końcu nie był zwyczajnym petentem. Ludzie często rozpoznawali go na ulicy, a co dopiero tutaj, w komendzie.

Uśmiechnął się i podziękował.

– Jestem umówiony z komisarzem Tumegårdem. Gdzie go znajdę?

– Jest na pierwszym piętrze, w małej sali konferencyjnej. Schodami na górę i w lewo.

Od razu znalazł odpowiednie drzwi.

– Dzień dobry, komisarzu. Nie spóźniłem się zbyt długo?

Tumegård na jego widok wstał od stołu.

– Proszę, niech pan siada. Młodsza komisarz Jassem asystuje mi przy tym dochodzeniu. Czego się pan napije? Straszny upał dzisiaj na zewnątrz.

– Nietypowo jak na Gotlandię, to prawda. Poproszę colę, jeśli to nie kłopot.

– Żaden. – Klaudia wyszła do automatu po napój.

– Przepraszam, że musiał się pan do nas fatygować. Chciałem, żeby porozmawiano z panem w Sztokholmie, ale Marta wspominała, że zostaje pan u nas jeszcze kilka tygodni.

– Tak, to prawda.

– Jak się czuje Sara?

– Powoli się uspokaja. Znajome otoczenie i poczucie bezpieczeństwa, jakie daje jej pobyt w Romie, mają zbawienny wpływ na jej stan.

– Pogrzeb był bardzo ładny. – Tumegård czuł się w obowiązku wyrazić swoje zdanie w tej kwestii, aczkolwiek zaraz wydało mu się, że palnął głupotę.

Na szczęście Jan zachował stoicki spokój.

– O, tak. Jeszcze raz dziękuję za przybycie. Tak wiele osób odprowadzało Emmę i Antona w ich ostatniej drodze. Większości nawet nie znałem. Mieli bardzo wielu przyjaciół..

Wetterbergowi zaszklili się oczy. Odkasznął. Usiadł naprzeciwko komisarza i otworzył puszkę z coca-colą przyniesioną przez Klaudię.

– Czy są jakieś nowe ustalenia w śledztwie? Czy sekcja zwłok wykazała coś, czego nie zauważyli w Antalyi?

– Niewiele. – Tumegård bezradnie rozłożył ręce. – Nie znamy trucizny, którą otruto pańską córkę. Przepuszczamy, że to coś z zostawionych bez nadzoru magazynów Armii Radzieckiej. To może wskazywać na byłego wojskowego, ale niekoniecznie. Wszystko, co znajduje się w Rosji, zostało mniej lub bardziej sprywatyzowane, jeżeli wie pan, co mam na myśli. Nikt nie wie, w czyim posiadaniu są obecnie wytwory myśli technicznej poprzedniego systemu. Dotyczy to uzbrojenia, ale też wszystkiego, co znajdowało się w wojskowych laboratoriach. Aż dziwne, że nie wybuchła jeszcze jakaś groźna epidemia.

– Cokolwiek to było, życia jej nie wróci – stwierdził ze smutkiem Wetterberg, a Tumegård skinieniem głowy przyznał mu rację.

– Skupiamy się na zidentyfikowaniu mordercy. Dlatego chciałbym ponownie przesłuchać Sarę.

– Nie będzie z tym problemu. Kiedy ma się u was pojawić?

– Może jutro? Powiedzmy... o jedenastej?

– Myślę, że nie planowała nic na ten dzień. A nawet jeżeli tak, to na pewno zmieni plany. Osobiście ją przywiozę.

– Bardzo dziękuję. Zanim przejdę dalej, mam do pana pytanie. Proszę wybaczyć, jeżeli wyda się panu dziwne. Czy zlecał pan komuś opiekę nad córkami, kiedy mieszkały w Visby?

– Nie rozumiem. Jak to „zlecał opiekę”? – Jan nie krył zdumienia.

– Czy ktoś na przykład zdawał panu relację z tego, co tam robią, z kim się spotykają? – dopytywał komisarz.

– Co za pomysł! To dorosłe kobiety. Często rozmawialiśmy i tak jak one mnie, tak i ja mogłem je o wszystko zapytać. Zawsze mieliśmy ze sobą doskonały kontakt. Dlaczego miałbym zlecać innym sprawdzanie tego, co dziewczynki robią? Same mi o tym opowiadały.

– Zapytam więc wprost. Czy zlecił pan komuś śledzenie córek albo jednej z nich?

– O czym pan mówi?! Oczywiście, że nie. Czy ktoś je śledził?

– To tylko domniemanie. Niepotwierdzona informacja. Tak się któregoś razu wydawało Emmie i podzieliła się swoim przypuszczeniem z koleżanką. Ale pewnie tylko jej się zdawało. Nikt inny z jej znajomych o tym nie wspominał.

– Wie pan, komisarzu, nie jestem aż tak popularny, żeby uganiało się za moimi dziećmi.

– Skoro już jesteśmy przy panu, chciałbym się dowiedzieć czegoś o osobach, które mogły chcieć panu w jakiś sposób zaszkodzić. Czy ma pan jakichś wrogów?

Wetterberg uśmiechnął się z przekąsem.

– Już w Turcji mnie o to pytano. Panie komisarzu, wie pan, kim jestem i czym się zajmuję. Oczywiście, że mam wielu nieprzyjaciół, a nawet wrogów. Ale czy któryś z nich posunąłby się aż tak daleko, żeby

zabić? Nikt taki nie przychodzi mi do głowy.

– Może ktoś, kto czyha na pańskie stanowisko? Proszę wybaczyć, ale po utracie dzieci mógłby pan nie chcieć wrócić do polityki i zabójca, a właściwie jego zleceniodawca osiągnąłby zamierzony cel.

– Sugeruje pan, że mamy w Riksdagu morderców?

– Niczego nie sugeruję. Ale jestem pewien, że są osoby, które ze szczerego serca źle panu życzą. I nie chodzi mi o niezadowoloną część naszego społeczeństwa.

– Właściwie tak. Jest ktoś taki. Ale od złości do zlecenia zabójstwa droga daleka.

– Proszę pozwolić mi o tym zdecydować. To, co panu wydaje się absurdalne, dla nas może okazać się istotną poszlaką. O kim pan myśli?

– O moim największym politycznym wrogu, Thomasie Johanssonie.

– Tym rasiście ze Szwedzkich Demokratów? – Klaudia zbyt późno ugryzła się w język.

Tumegård zamilkł i z niecierpliwością czekał na reakcję Wetterberga.

– Widzę, że też pani za nim nie przepada? – Jan spojrzął z zainteresowaniem na młodą dziewczynę, która wcześniej przyniosła mu napój. Od razu ją polubił. – Tak, to ten sam.

– Jest w partii opozycyjnej – stwierdził Tumegård.

Będzie musiał porozmawiać z Klaudią, żeby w przyszłości trzymała język na wodzy. On też nie lubił Johanssona, ale przenigdy nie nazwałby go głośno rasistą.

– Czy to nie naturalne, że się nie lubicie?

– W zasadzie tak, ale my się nie lubimy również prywatnie. Mamy różne stare zatargi i nieraz osobiste animozje znajdowały ujście na parlamentarnej mównicy. Znamy się stanowczo za długo i za dobrze. Nawet moja zmarła żona go znała. Byli na tej samej uczelni.

– Razem studiowali? – zainteresowała się Klaudia.

– Nie, Thomas był jej wykładowcą czy jakimś asystentem. Nie pamiętam.

Jan w zamyśleniu pogładził się ręką po czole, jakby chciał wydobyć z zakamarków pamięci wspomnienia ze swoich studenckich czasów.

– Czyli ten Johansson to właściwie pana stary znajomy? – dopytywała policjantka.

– Raczej stary nieprzyjaciel. Ale coś w tym jest. Znamy się od bardzo dawna.

– I nie miał pan z nim jakiegoś nowego zatargu? Proszę powiedzieć, o co się ostatnio spieraliście.

– Niedawno głosami opozycji, a więc również Johanssona, parlament zatwierdził ustawę o adopcjach zagranicznych. Ja byłem przeciw. Nie mam na to dowodów, ale podejrzewam, że nie wszystko dzieje się zgodnie z prawem przy takich adopcjach, a nie ma jak tego potem sprawdzić. Zdarzało się, że ślad po dziecku urodzonym w Szwecji ginął natychmiast, jak tylko znalazło się za granicą. Rozumiem, że nowe rodziny zmieniają adoptowanym dzieciom nazwiska, a nawet imiona, ale przypuszczam, że niektóre z tych malców spotyka tragiczny los. Pamięta pan może historię z Holandii, gdy się okazało, że trójka niepełnosprawnych chłopców została wykorzystana jako dawcy organów dla synów saudyjskiego multimilionera?

– To były dzieci ze Szwecji? – spytała z przerażeniem Klaudia.

– Nie, te akurat pochodziły z imigranckich rodzin mieszkających w Holandii. Ale zabrano je rodzinom, obiecując leczenie i lepsze życie, a tymczasem spotkała je śmierć. Takie rzeczy się dzieją. Byłoby łatwiej, gdyby policja i służby socjalne w różnych krajach ze sobą współpracowały.

– To prawda – przyznał Tumegård. – Całkowicie się z panem zgadzam. Czasami ciężko od obcych służb wyciągnąć jakieś informacje. Coś o tym wiem. A wcześniej o co się kłóciliście?

– Właściwie to nie pamiętam. Po prostu się nie lubimy. Johansson jest nacionalistą i nawet publicznie nie kryje swoich poglądów. To jest chyba dla mnie najgorsze. Ale on zawsze taki był, również wtedy, gdy jego partii nie było w parlamencie, a on wygłaszał swoje herezje na łamach prawicowej prasy i w prywatnych telewizjach. Ale to prędeż ja chciałbym go usunąć z Riksdagu niż on mnie.

– Czyli nie może pan zarzucić Johanssonowi nic konkretnego? – dopytywał Tumegård. – Spróbujemy z nim porozmawiać, ale jeżeli nie będzie chciał, to nie będziemy mogli nic zrobić. Chroni go immunitet, wie pan o tym.

– Bywa, że prawo jest niedoskonałe.

– Gdyby coś się jednak jeszcze panu przypomniało, to proszę dać mi znać.

– Nie wiem, czy ma to jakieś znaczenie dla śledztwa, ale przypomniła mi się scena, jaka miała kiedyś miejsce w Riksdagu, na korytarzu obok sali plenarnej. Wraciałem właśnie z toalety na pierwszym piętrze.

Dochodziłem do schodów, gdy usłyszałem wzburzony głos Johanssona, który rozmawiał z kimś przez telefon. Sądząc po tym, co usłyszałem, kłócili się. Johansson krzyczał, że nie ma czegoś takiego jak przedawnienie zobowiązania. Dodawał, że co prawda nie kazał rozmówcy poprawiać źle wykonanej pracy, ale to nie znaczy, że ich rachunki są wyrównane. Potem tamten coś mówił, a Johansson słuchał. Na koniec powiedział: „Proszę sobie jakoś zorganizować czas. Liczę na pańską uczciwość”.

Tumegård ze zdziwieniem patrzył na przesłuchiwanego, zastanawiając się, dlaczego ten tak dokładnie zapamiętał tamtą rozmowę. Dla niego brzmiała całkiem niewinnie.

– I nie wie pan, czego mogła dotyczyć ta wymiana zdań? – zapytał.

– Nie mam pojęcia.

– Może rozmawiał z kimś, kto wykonywał jakieś prace u niego w domu, na przykład ze stolarzem albo kafelkarzem? Czy pana zdaniem tak mogło to wyglądać?

– Tak, to bardzo możliwe. Nawet prawdopodobne. Słyszałem, że Johansson buduje sobie domek letniskowy na Gotlandii, nad jeziorem w Tingstäde. Zapewne ma pan rację. To pewnie był jakiś stolarz albo elektryk, który wcześniej coś spartaczył.

– Przyda nam się ta informacja. Panie Wetterberg, z mojej strony to wszystko. Dziękuję, że się pan do nas wybrał. Gdyby chciał się pan podzielić z nami jakąkolwiek informacją dotyczącą Johanssona albo swoich córek, proszę o telefon. – Tumegård podał Wetterbergowi swoją wizytówkę. – Czekam jutro na Sarę.

Wsiadając na parking do swojego nagrzanego jak piekarnik samochodu, Jan zastanawiał się, na ile istotna byłaby informacja o zagranicznej przestępczej działalności Johanssona. Zataił to przed komisarzem. Nie miał żadnych dowodów na poparcie swoich przypuszczeń, a bezpodstawne oskarżenia kierowane pod adresem szwedzkiego posła mogłyby się obrócić przeciwko niemu samemu oraz policji i bardziej zaszkodzić dochodzeniu, niż pomóc. Czy jego dawna rozmowa z Johanssonem i groźba, że zgłosi na policję jego domniemany udział w wątpliwej renomy konkursach piękności dla dziewczynek w Niemczech, Belgii i Holandii, mogła mieć znaczenie? Czy jego przecucia były słuszne? Czy Thomas Johansson naprawdę stał za zniknięciami dzieci, które przyjeżdżały na imprezę z jednym z rodziców, a potem wraz z nim zniknęły? Doskonale zdawał sobie sprawę, że jest to odważna hipoteza. Ale nie można było wykluczyć, że przypadkowo trafił w dziesiątkę i właśnie to popchnęło jego najzagorzalszego politycznego wroga do działania i wynajęcia płatnego zabójcy. Tylko dlaczego ofiarą padła jego zupełnie niewinna córka, na dodatek nieorientowana w meandrach polityki i niezająca sobie sprawy z jego niesnasek z Johanssonem? Czyżby to miało być ostrzeżenie?

Jan włączył silnik i usłyszał przyjemny szum klimatyzacji. „Potwornie gorący dzień” – pomyślał. Zastanawiał się, czy komisarzowi uda się wydobyć coś z Johanssona, o ile oczywiście będzie go w ogóle przesłuchiwać. Policjant zrobił na nim bardzo dobre wrażenie, ale Jan wiedział, że tym razem komisarzowi przyjdzie zmierzyć się z wyjątkowo szcwanym lisem. Pytanie tylko, czy Johansson naprawdę byłby zdolny do zabicia dziecka...

26.

Następnego dnia Sara nie czuła się najlepiej i nie mogła przyjechać do Visby. O ósmej rano zadzwoniła Marta i zostawiła wiadomość dla komisarza, że wnuczka ma zawroty głowy i nie powinna wstawać z łóżka. Tumegård zmartwił się jej stanem zdrowia. Zatelefonował do Romy i z nadzieją w głosie zaproponował, że w takim razie on do nich pojedzie po południu i przesłucha Sarę w domu. Marta zgodziła się na takie rozwiązanie i zaprosiła komisarza na obiad. W luźnej atmosferze przy stole będzie im się dobrze rozmawiało. Tyle że jej zięcia nie będzie, bo zaraz po lunchu wyjeżdża na parę dni do Sztokholmu. Komisarz uśmiechnął się z zadowoleniem. Pomyślał, że od śmierci żony rzadko jadał domowe obiady, a jego znajoma słynęła przeciwieństwo z dobrej kuchni.

Zwołał zwyczajową poranną odprawę i przedstawił zebrane przez grupę dochodzeniową materiały. Poprosił Klaudię, żeby sprawdziła, kiedy i gdzie mogliby porozmawiać z Thomasem Johanssonem.

Zwrócił jej jednocześnie uwagę, że nie może to wyglądać na regularne przesłuchanie, gdyż parlamentarzysta z racji swojej funkcji w Riksdagu podlega ochronie prawnej. Tumegård doskonale zdawał sobie sprawę, że mogą liczyć tylko na dobrowolną współpracę tego kontrowersyjnego polityka. A niestety przypuszczał, że nie będzie łatwo ściągnąć go na komisariat. Uznał, że najlepiej zrobi, jeśli wybierze się na kontynent i spotka się z nim na jego terenie, w Sztokholmie.

– Czy taka rozmowa w ogóle coś nam da? – zapytała młoda policjantka z powątpiewaniem.

– Nie musimy wierzyć we wszystko, co usłyszymy.

– Dla mnie ten człowiek jest z gruntu niewiarygodny.

– Musimy zadawać takie pytania, żeby każda odpowiedź była dla nas wskazówką – zasugerował Tumegård.

– Przydałby się wam podręczny wykrywacz kłamstw – zauważył technik kryminalistyczny Gustavson. – Sam chciałbym taki mieć.

– Znamy twoje uzależnienie od gadżetów. – Klaudia zaczęła się śmiać. – Ale tu muszę przyznać ci rację. Też chciałabym mieć coś takiego. Na przykład jako breloczek do kluczy.

– Trzymałabyś go w kieszeni i wibrowałaby za każdym razem, gdy twój rozmówca zaczynałby fantazjować.

– Od razu wiedziałabym, kiedy jakiś palant zaczyna mnie czarować. – Klaudia nie mogła przestać się śmiać.

– Bardzo pomysłowe, ale jeszcze wrócimy do tego tematu – Tumegård sprowadził tych dwoje na ziemię. – O nieistniejących nowinkach technicznych porozmawiacie sobie później.

Komisarza irytowały te bezsensowne przekomarzanki młodzieży, jak nazywał wszystkich współpracowników dużo młodszych od siebie. Tak naprawdę tylko ze swoją asystentką, Katriną, zawsze potrafił znaleźć wspólny język. „Jesteśmy jak te dinozaury” – pomyślał. „A Klaudia jest trochę za bardzo przemądrzała”. Ale z Wetterbergiem znalazła porozumienie, a między nim a komisarzem były co najwyżej dwa albo trzy lata różnicy...

Klaudia po raz kolejny poczuła się przywołana do porządku, ale nie wiedziała, dlaczego komisarz się jej czepia. Chyba nie najlepiej układała im się współpraca. Stwierdziła, że trzeba czym prędzej opuścić „pole rażenia”.

– Szeffie, to może ja pójde już do siebie i ustalę, kiedy możemy spotkać się z Johanssonem... – zaproponowała.

– Tak, bardzo dobrze. Na razie dowiedz się, gdzie jest. Może akurat u nas nad jeziorem wizytuje budowę swojego domku letniskowego? Jak skończymy, zaraz do ciebie przyjdę.

Tumegård nie chciał, żeby Klaudia od razu organizowała ich wyjazd na kontynent. Jeszcze wpadnie na pomysł zamawiania biletów na samolot. Oczywiście nigdy by się do tego nie przyznał, ale tajemnicą poliszynela było, że komisarz boi się latać. Klaudia, jako stosunkowo nowa w zespole, mogła jednak nie zdawać sobie z tego sprawy. Głupio byłoby potem wszystko odkręcać i oddawać bilety.

Tuż przed zakończeniem zebrania do salki konferencyjnej na pierwszym piętrze zajrzała Katrina i ze zwykłą miną zameldowała, że z Bogoty przysłała odpowiedź na list, który wystosowali dwa tygodnie wcześniej w sprawie rodziny Rodrigueza.

Już po chwili komisarz siedział przed ekranem swojego komputera i czytywał się w zawity tekst w języku angielskim. Wyglądało na to, że rodzina chłopaka nie miała żadnych powiązań z kartelami i że byli to zwykli, ciężko pracujący i niezbyt zamożni ludzie. Co oczywiście nie wykluczało udziału samego chłopaka w zbrodni. Komisarz niedawno dowiedział się od Marty, że jej unuczka jest w ciąży z Kolumbijczykiem, a to sprawiło, iż trzeba było się mu lepiej przyjrzeć. Wszak Rodriguez mógł na przykład zlecić zabójstwo Sary, nie chcąc wikłać się w dziecko i stały związek.

Jednak i ta teoria upadła, i to jeszcze tego samego dnia. Gdy po południu w trakcie pysznego obiadu przygotowanego przez Martę rozmawiał z dziewczyną, okazało się, że Rodriguez nie wie o ciąży. Sara nie wiedziała, jak to wyznać ukochanemu. On był zajęty chorobą matki i szukał dla siebie dobrze płatnej pracy, żeby podreperować domowy budżet. Ona z kolei opowiadała mu głównie o śledztwie w Turcji, a potem o pogrzebie Emmy. Na pytanie o to, dlaczego nie przekazała mu tak ważnej wiadomości, odpowiedziała, że nie zna powodu. Potem nieco już obrażona dodała, że dziecko to wyłącznie jej sprawa, podziękowała za posiłek, wstała od stołu i wyszła do swojego pokoju. „Przesłuchanie” dobiegło końca.

Komisarz spojrział zdezorientowany na Martę, ale ta wzruszyła ramionami.

– Mnie nie pytaj. Też uważam, że powinna była mu powiedzieć.
– Nie rozumiem tego. Pokłócili się?
– Chyba nie, ale kto ich tam, młodych, zrozumie. Chłopak przyjedzie, to się dowie. Sara i tak cały czas może liczyć na naszą, to znaczy Jana i moją, nieograniczoną pomoc. Cieszę się, że jest tu ze mną i że rodzina się powiększy. A co u twoich dzieci? Masz wnuki, Rolfie?
– Nie. Ale czasami myślę, że byłbym ostatnią osobą, która by się o tym dowiedziała – wyznał z rezygnacją. – Wiesz, że Johan i Monika mieszkają w Göteborgu?
– No i co z tego? To przecież nie koniec świata.
– Tak, ale moje dorosłe dzieci mają już swoje życie i chyba nawet nie chcą, bym stał się jego częścią. A mnie bardzo brakuje rodziny, zwłaszcza teraz, kiedy jestem coraz starszy, a moja żona nie żyje. Zostałem sam jak pies. Już dawno doszedłem do wniosku, że chciałbym się przenieść na kontynent, jak będę na emeryturze. Być blisko dzieci.
– Myślisz o przejściu na emeryturę? Przecież ty masz dopiero pięćdziesiąt pięć lat. – Marta nie kryła zdumienia.
– Miałem taki plan, zanim wynikła sprawa morderstwa Emmy. Znałem ją, może niezbyt dobrze, ale jednak. Poza tym chciałbym znaleźć sprawcę także ze względu na ciebie. Wiesz, że uważam cię za swoją przyjaciółkę, a przecież nie wolno zawodzić przyjaciół w potrzebie.
Marta spojrzała na niego z wdzięcznością i czule poklepała go po ramieniu.
– Wiem, Rolfie, wiem. Wierzę, że znajdziesz tego zbrodniarza i posadzisz go za kratkami, chociaż ja najchętniej widziałabym go na krześle elektrycznym. Z natury jestem łagodna, ale teraz żałuję, że zniesiono karę śmierci. A jeżeli chodzi o twoje dzieci, to według mnie, zanim podejmiesz jakiegokolwiek kroki związane z przejściem na emeryturę i ewentualną przeprowadzką, po prostu z nimi porozmawiaj – mówiła, zbierając talerze i wkładając je do zlewu. – Powiedz im, co czujesz. Wyznaj, że jesteś samotny, że chciałbyś się z nimi częściej widywać. Nie wiem dlaczego, ale teraz nikt z nikim nie rozmawia, wszyscy są tacy zagonieni. A przecież zwyczajna rozmowa może wiele wyjaśnić. Wiesz przecież, Rolfie, że ludzie, a przynajmniej większość z nich, nie są telepatami. Twoich dzieci też to dotyczy. Zapewne ani córka, ani syn nie zdają sobie sprawy, że tak bardzo za nimi tęsknisz. Może gdyby o tym wiedzieli, częściej zaglądaliby do rodzinnego domu. Podejrzewam, że sprawy wrócą na właściwe tory, jak tylko doczekasz się wnuków. Dziadkowie to bardzo pożyteczna instytucja!
Tumegård westchnął. Z tego, co wiedział, żadnemu z jego dzieci nie spieszyło się, żeby zostać rodzicem, a przecież czas leciał. W duchu zazdrościł Marcie, która doczekała się wnuków, a teraz miał się jej urodzić prawnuczek albo prawnuczka, zresztą wszystko jedno – dziecko to dziecko.
– Napijesz się kawy? – zapytała z uśmiechem, wytrącając go z rozmyślań. – Upiekłam na deser szarlotkę. Zaraz ukroję nam po kawałku. Zawsze powtarzam, że posiłek nie jest kompletny bez deseru.
Komisarz przytaknął i po chwili delektował się swoim ulubionym cappuccino, a kawałek szarlotki kusząco rozgościł się na jego talerzyku. Tymczasem Marta sączyła mocną czarną kawę z odrobiną czekolady.
– Chciałbym cię jeszcze o coś poprosić. Zapytaj Sarę, czy przed wyjazdem nie odniosła wrażenia, że ktoś śledzi ją i jej siostrę.
Marta zamarła z filiżanką uniesioną nad spodkiem.
– Co ty mówisz? Ktoś śledził moje wnuczki?
– Nie wiemy. – Komisarz starał się mówić spokojnie. – To tylko podejrzenia. Dowiedziałem się tego od jednej z koleżanek Emmy, już nie pamiętam, jak się nazywała. Twoja starsza wnuczka zwierzyła się jej, że odniosła wrażenie, jakby była śledzona.
Marta odstawiła filiżankę z takim impetem, że omal jej nie rozbiła. Na śnieżnobiałym obrusie pojawiły się bure plamy kawy.
– Mówiłeś o tym mojemu zięciowi?
– Tak. Myślałem, że może to on kogoś wynajął, ale okazało się, że nie miał z tym nic wspólnego.
– Znam go długo i jestem pewna, że nigdy nie wpadłby na tak idiotyczny pomysł. Kto więc śledził te biedne dziewczyny? Nie wygląda to dobrze, zaczynam się bać o Sarę. Może trzeba jej przydzielić ochronę?
– Spokojnie, Marto, nie chciałem cię zdenerwować. Pamiętaj, że nikt tego nie potwierdził. – Komisarz starał się uspokoić przyjaciółkę. – Emmie mogło się tylko tak wydawać. Dlatego muszę wiedzieć, czy Sara także odniosła takie wrażenie. Jeżeli to potwierdzi, zastanowimy się, co dalej.

- Zapytam ją jeszcze dzisiaj. Chyba że poszła spać. Ale na pewno nie zapomnę i zaraz do ciebie zadzwonię – przyrzekła. – Muszę tylko pamiętać, żeby wypytać ją delikatnie, ze względu na jej stan, dlatego zmuszona jestem prosić cię o cierpliwość. Jeżeli dzisiaj uznam, że nie jest w nastroju na takie rozmowy, zrobię to jutro albo dopiero za parę dni. To jej pierwsza ciąża i Sara niezbyt dobrze ją znosi. Wymiotuje, ma zawroty głowy i jest wiecznie niewyspana. Nie chcę dokładać jej zmartwień.

Na szczęście Tumegårdowi udało się na tyle uspokoić Martę, że w końcu mogli zmienić temat rozmowy na znacznie przyjemniejszy. Posiedzieli razem jeszcze około godziny, rozmawiając o dzieciach i rodzinie. Wspominali stare czasy i wymieniali się spostrzeżeniami na temat tego, jak bardzo wszystko wokół nich się zmieniło. Dobrze im się rozmawiało. Komisarz tryskał energią, a Marta cały czas się uśmiechała.

Wracając wieczorem do Visby, Tumegård specjalnie nadłożył drogi i wybrał mało uczęszczaną szosę przez las. Samochodem delikatnie kołysało na wybojach. Złapał się na tym, że wciąż myśli o sobie jako o małym chłopcu, który wszędzie widzi błękitnooką, blondwłosą nimfę.

27.

Ciepły letni deszcz zaczął padać poprzedniego dnia wieczorem. Był już bardzo potrzebny. Upały, które od wielu dni nawiedzały Gotlandię, dały się we znaki nie tylko mieszkańcom, ale nawet turystom, którzy przyjechali na wyspę w poszukiwaniu słońca. A przede wszystkim przyrodzie. Teraz w końcu wracała do życia.

Z pokładu promu, który wypływał rano z terminalu w Visby, w strugach deszczu trzy czarne wieże katedry były prawie niewidoczne. Słońce schowało się za gęstymi, nisko zwisającymi chmurami. Visby zniknęło na horyzoncie. Było ciemno i ponuro, ale prognozy nie przewidywały pogorszenia pogody. Nie spodziewano się silnego wiatru i podróż do Nynäshamn zapowiadała się spokojnie.

Komisarz Tumegård niemal od razu po wejściu na pokład skierował się do restauracji samoobsługowej. W jadalni siedziało już kilku kierowców tirów, zjadając coś z apetytem. Promem podróżowało wielu pasażerów, w tym rodziny z dziećmi, i komisarz wiedział, że za chwilę będzie mógł zapomnieć o możliwości zjedzenia śniadania w spokoju – wszystkie stoliki będą zajęte, a całe pomieszczenie zmieni się w jakiś rodzaj przedszkola, pełnego krzyków i hałasów małych pasażerów. Nie żeby miał coś przeciwko dzieciom, ale co za dużo, to niezdrowo. Niemal wszyscy pasażerowie jak stado wygłodniałych sępów rzucali się na jedzenie, i to bynajmniej nie dlatego, że dokuczał im głód. Czas spędzony w restauracji po prostu pomagał im w przewyciężeniu nudy i skróceniu podróży, która wszystkim się dłużyła, zwłaszcza kiedy na dworze siąpił deszcz czy było zimno.

Klaudia, która obiecała, że za chwilę dołączy do swojego szefa, najwyraźniej była wyjątkiem od powyższej reguły. Niezależnie od pogody lubiła stać na górnym pokładzie i obserwować uwijającą się przy załadunku załogę, wjeżdżające ciężarówki, a potem oddalający się brzeg. Nie przeszkadzała jej deszcz. Wychylona przez reling patrzyła na ciągnący się za rufą kilwatek, od czasu do czasu chowając swoje niesforne jasne włosy pod kapturem ochraniającym jej głowę. Zawsze uważała, że podróż morska, nawet taka trzygodzinna, ma w sobie coś romantycznego, chociaż zazwyczaj, żeby nie tracić czasu, latała do Sztokholmu samolotem. Teraz, ze względu na swojego szefa, który miał awersję do latania, zyskała trochę czasu dla siebie.

Nie chciała jeszcze schodzić do restauracji. Nie była głodna i nie miała ochoty uczestniczyć w tym zbiorowym szaleństwie pod nazwą „Hurra, płyniemy statkiem!”. Rodzice stali w kolejce po jedzenie, dzieci biegały pomiędzy stolikami i choć nie można powiedzieć, że wrzeszczały, to na pewno nie siedziały spokojnie jak aniołki. Wszystko to razem przypominało weekend w IKEA. Na pokładzie była za to prawie sama, bo deszcz skutecznie wypłoszył innych pasażerów. Stała pod małym daszkiem koło wyjścia z wewnętrznych schodów i patrzyła na morze. Było spokojne i miało stalowy kolor.

W pewnym momencie promem zatrzęsło, aż musiała przytrzymać się metalowego uchwytu w ścianie. Dziób się uniósł, a potem gwałtownie opadł. „Wpłynęliśmy na duży kamień” – pomyślała.

Gdy była mała i płynęła gdzieś z rodzicami, tak właśnie tłumaczyła współpasażerom uderzenia fal. Z zamyslenia wyrwał ją cichy stukot. Po pokładzie turlała się w jej stronę mała zielona puszką chipsów Pringles. Odruchowo schyliła się i ją podniosła.

– Dziękuję za uratowanie mojego śniadania – usłyszała słowa wypowiedziane po angielsku.

Jakiś mężczyzna z uśmiechem wyciągnął rękę. W drugiej trzymał puszkę coca-coli. Musiał cały czas tam stać, ale wcześniej go nie zauważyła. I nic dziwnego, jego ciemnogrnatowa kurtka przeciwdeszczowa niemal zlewała się z pokładem.

Podawała mu chipsy.

– Widzę, że zdrowo się pan odżywia – rzuciła z przekąsem.

– Straszny hałas w tej IKEA. – Ruchem głowy wskazał w stronę tłumów w części restauracyjnej. – Poza tym lubię, jak pada.

Klaudia patrzyła na niego zdumiona. Jakby czytał w jej myślach. Ona też lubiła patrzeć na deszcz. Wyciszał ją.

– Nie przeszkadza pani, że mówię po angielsku? – zapytał. – Mój szwedzki jest dość marny. Wszystko rozumiem, ale mówienie jest dla mnie koszmarem.

Policjantka uważnie przyglądała się pasażerowi. Tak na oko miał nie więcej niż czterdzieści lat, może nawet mniej, bo nieogolona twarz i potargane na wietrze i deszczu ciemne włosy chyba go postarzały. No i ten kaptur na głowie. Był szczupły, trochę wyższy od niej, ale niedużo, i cały czas się uśmiechał. Nie żeby szczyrzył zęby – uśmiechały się jego ciemnoszare oczy. Klaudia nie mogła oderwać od niego wzroku.

– Nie jest pan stąd?

– Ojciec urodził się niedaleko Sztokholmu. Właśnie coś tu dla niego załatwiam. Ja mieszkam w Londynie.

– Droga z Londynu do Sztokholmu nie prowadzi przez Gotlandię. Ktoś pana źle pokierował. – Klaudia o mało się nie zakrzusiła, próbując opanować śmiech.

– To tylko drobne sprawy zawodowe. – Machnął ręką. – A pani jest stąd?

– I tak, i nie. Zależy, o co pan pyta.

– Christian, a właściwie Chris albo Krzys, jeżeli dasz radę wymówić – przedstawił się, wyciągając rękę.

– Klaudia.

Miał delikatne, długie palce i mocny uścisk. Przytrzymał jej dłoń dłużej, niż było to konieczne przy powitaniu.

– A to „Krzys” to po jakimu? – zapytała z ciekawością, z zakłopotaniem wysuwając rękę z uścisku.

– Mama tak do mnie mówi. To po polsku. Dziadkowie byli Polakami. Udało im się wydostać z kraju zaraz po wojnie. Mama urodziła się już w Londynie, ale było dla niej ważne, żeby mówić po polsku. Mnie też nauczyła. Gorzej ze szwedzkim, bo tata sam prawie wszystko zapomniał.

– Ja też mam polskie korzenie, ale moja babcia nigdy w domu nie mówiła w tym języku. Szkoda, bo chętnie bym go poznała.

– Jak chcesz, to cię nauczę. Jeżeli masz czas. Teraz masz pewnie urlop? Niech zgadnę, mieszkasz na kontynencie i spędzałaś wakacje na Gotlandii. Deszcz cię wystraszył i postanowiłaś skrócić pobyt. Trafiłem?

– Nie. Zupełnie nie. Chcesz jeszcze jedną szansę?

– Dobra. To może tutaj pracujesz?

– Brawo.

– Naprawdę pracujesz na tym promie? I teraz masz przerwę?

– Nie na promie. Pracuję na Gotlandii.

– Nie mów, że codziennie dojeżdżasz promem do pracy. Ciężkie życie macie w tej Szwecji. – Chris śmiał się teraz serdecznie, a Klaudia mu wtórowała.

Stali tak dość długo, śmiejąc się i żartując. Nowy znajomy opowiedział dziewczynie, że jego ojciec jako dziecko wyemigrował ze Szwecji do Anglii, a teraz trzeba było załatwić jakieś sprawy spadkowe, bo zmarł ktoś z dalszej rodziny. Ojciec nie czuł się na siłach i poprosił syna, żeby się tym zajął. Dla lubiącego podróże Chrisa nie był to żaden problem. Właściwie nigdy nie mógł dłużej usiedzieć w domu. Do Sztokholmu przyleciał oczywiście samolotem, ale gdyby mógł, wszystkie wyprawy odbywałby drogą morską. Kochał wodę – w kontakcie pośrednim i bezpośrednim. Uwielbiał statki, ale mógł też cały dzień siedzieć nad wodą i w wodzie, a wszystkie wakacje spędzał, żeglując, pływając albo nurkując.

Klaudia opowiedziała mu, że jeszcze do niedawna mieszkała w stolicy, ale przeprowadziła się na Gotlandię ze względu na ciocię, która wymagała opieki. Prawie się posprzecali, gdy Chris udowodniał wyższość urlopu spędzonego na łonie natury w Walii nad zwiedzaniem Luwru i zamków nad Loarą. Wydawało się, że znają się od dawna, a nie dopiero od godziny. Wspaniale im się rozmawiało. Nie zauważyli nawet, jak minęła im połowa podróży. Dopiero telefon od komisarza sprowadził Klaudię z powrotem na ziemię.

– Szeft mnie wzywa. Muszę iść.

– A więc jednak tu pracujesz.

– No, właściwie tak. Wychodzi na to, że jednak pracuję na promie.

Wymienili się numerami telefonów i postanowili umówić na piwo, gdy tylko Chris znowu będzie w okolicy. Obiecał przyjechać niedługo, a Klaudia zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczy. Nieraz już spotykała facetów, którzy zauroczeni prosili ją o numer telefonu i obiecywali spotkanie. Z reguły nie dzwonili, poza jednym, który nawet umówił się z nią na randkę, ale przy bliższym spotkaniu okazał się wyjątkowym durniem. Nie miał jej nic do powiedzenia oprócz zdawkowych komplementów, a kiedy dowiedział się, kim jest z zawodu, wpadł w taką panikę, że Klaudia doszła do wniosku, iż musi być na bakier z prawem. Niestety nie miała okazji sprawdzić swoich podejrzeń, ponieważ adorator zniknął jej z pola widzenia.

Stanowczo za często trafiała na zwyczajnych podrywaczy, którzy chcieli ją zaciągnąć do łóżka, nie doceniając jej inteligencji. Jej ciotka powiedziała kiedyś, że jasne włosy i szarozielone oczy, odziedziczone po „tym Szwedzie”, jak z pogardą nazywała ojca Klaudivy, sprawiają, że wygląda jak typowa słodka idiotka, którą bez problemu można uwieść. Kto wie, może miała rację. Dziewczyna nawet kiedyś myślała o tym, żeby przefarbować sobie włosy na czarno, ale gdy miała okazję przymierzyć podobną perukę i przejrzeć się w lustrze, doszła do wniosku, że nie jest to najszcześniejszy pomysł. Zawsze ścinała włosy na krótko, ale to nie odstręczało od niej mężczyzn ani podrywaczy. Zapuşciła je znowu dopiero za sprawą Marcusa, ale i tak miała krótszą fryzurę niż wcześniej – włosy sięgały jej do szyi.

Komisarz obserwował rozrabiające dzieciaki, zastanawiając się, jak by to było, gdyby był dziadkiem jednego z nich. Nie wiedział, czy wolałby wnuka, czy wnuczkę, chyba lepiej dogadywałby się z chłopakiem, ale dziewczynki są takie słodkie. Uśmiechnął się na wspomnienie małej Moniki, która stanowczo za szybko dorosła. W końcu jednak znudziło mu się przyglądanie rozbrykanym brzdącom i niezwracającym na nie uwagi rodzicom. Kupił w pokładowym sklepiku gazetę i siedział teraz na fotelach blisko recepcji, próbując czytać, ale jakoś nie mógł się skupić na tekście. Wciąż myślał o czekającym go spotkaniu z kontrowersyjnym politykiem. W końcu rzucił w kąt gazetę, uznawszy, że najwyższy czas omówić strategię ze swoją pomocnicą. Nie wiedział, czego się spodziewać po Johanssonie, a Klaudia mogła znowu się z czymś niepotrzebnie wyrwać. Miała taki niewyparzony język.

– Jestem. Smaczne było śniadanie? – Policjantka usiadła na sąsiednim wolnym miejscu. Była w doskonałym humorze.

– Obfite i mało urozmaicone. Długo cię nie było. Myślałem, że też przyjdiesz do restauracji coś zjeść.

– Nie jestem głodna. Wzięłam sobie kawę na wynos. – Pokazała duży papierowy kubek.

– Musimy porozmawiać. Mówiłaś, że kiedy najłatwiej dorwać tego Johanssona?

– Codziennie je lunch w bistro przy Hornsgatan. Pojedziemy tam prosto z promu.

Umówili się, że tylko Tumegård będzie zadawał pytania. Jeżeli Klaudia będzie chciała coś dodać albo o coś dopytać – ma najpierw zwrócić się do niego. Nie miała nic przeciwko temu. Doskonale zdawała sobie sprawę, że trudno jej będzie utrzymać język za zębami, ale tym razem postanowiła nie odzywać się bez potrzeby, żeby nie zasłużyć na kolejną burę od szefa. Zaplanowali wszystko dokładnie. Wiedzieli, na co zwrócić uwagę i jakie informacje koniecznie muszą wyciągnąć od parlamentarzysty.

Półtorej godziny później siedzieli nad kawą i kanapkami z łososiem w niewielkim barze w eleganckiej dzielnicy Sztokholmu – Södermalm. Minęło trzydzieści minut, a Thomasa Johanssona ciągle nie było. Klaudia coraz bardziej nerwowo rozglądała się po restauracji.

– Zadzwoń do jego biura – powiedziała i wyciągnęła komórkę.

Po chwili zgłosiła się sekretarka parlamentarzysty. Klaudia się przedstawiła i przypomniała, że już wcześniej rozmawiała przez telefon.

– Tak, wiem, że pytała pani dwa dni temu o szefa. Przykro mi, ale mnie też nie uprzedził. Wie pani, jest lato. Nie ma tu co robić. Nic nie poradzę na to, że nagle wyjechał.

– Wie pani dokąd?

– Bukowałam mu bilet do Zurichu. Potem miał wypożyczyć auto.

– Czy mówiła mu pani, że będziemy próbowali się z nim skontaktować?

– Tak, coś wspominałam. Mówił, że nie ma nic do powiedzenia policji, a wszystkie pytania należy kierować do niego na piśmie, na adres biura prasowego parlamentu. Ustosunkuje się do nich po powrocie z wakacji.

Klaudia podziękowała za informacje i się rozłączyła.

– No to sobie porozmawialiśmy. – Tumegård nie krył irytacji, a jego partnerka miała taką minę, jakby zaraz miała się rozpłakać. – Trudno, nic się nie stało. I tak nic by nam nie powiedział. Pewnie odmówiłby odpowiedzi na jakiegokolwiek pytanie. Nic na to nie poradzimy. Ma do tego prawo.

Teraz Klaudia się zdziwiła. Bała się, że szef będzie miał do niej pretensje, a tu taka wyrozumiałość z jego strony...

– To co w takim razie robimy?

Mieli jeszcze wiele godzin do odejścia powrotnego promu na wyspę. Plan dnia trochę im się posypał.

– Chce pan zobaczyć, gdzie kiedyś mieszkałam?

Komisarz zgodził się z ochotą, pojechali więc do Östermalm. Klaudia pokazała mu kamienicę, w której na trzecim piętrze mieściło się dawniej jej mieszkanie. Odwiedzili też szkołę, do której chodziła, bibliotekę i jej ulubione sklepy. Opowiadała o starych koleżankach i lokalach, w których się spotykały. Potem w supermarkecie kupili z komisarzem lody waniliowe z orzechami i zjedli je, siedząc na ławce w parku.

Klaudia dopiero w drodze powrotnej do Visby przypomniała sobie, że zamierzała zadzwonić do Marcusa i wypić z nim szybką kawę. Zdała sobie sprawę, że jej niegdysiejszy chłopak jest już dla niej jedynie wspomnieniem. Co prawda miłym, ale dość odległym. Gdyby miała wybór, poszłaby na kawę z poznanym na promie Chrisem.

Dziewczyna uśmiechnęła się do swoich myśli. Nie umknęło to uwadze jej szefa, ale komisarz o nic nie pytał. Z doświadczenia wiedział, że tak będzie najlepiej.

Widok roześmianej Klaudii sprawił za to, iż Tumegård obiecał sobie odezwać się do córki. Była prawie w tym samym wieku co jego młoda współpracownica. Nie pamiętał, czy od czasu, gdy Monika skończyła szkołę podstawową, kiedykolwiek spędzili podobny dzień – na beztroskim nicnierobieniu i dobrej zabawie. Dorosła córka nie znajdowała dla niego zbyt wiele czasu. Tak, Marta miała z pewnością rację, że powinien porozmawiać z dziećmi. Doszedł do wniosku, że koniecznie musi coś zrobić, żeby być bliżej bliskich mu osób. Od śmierci żony był ciągle sam i zaczynało mu to coraz bardziej doskwierać. Przed oczami ujrzał po raz kolejny postać długowłosej blondynki w szortach, jadącej leśną drogą na rowerze.

28.

Podróż nie była długa, ale wyraźnie go zmęczyła. Przecenił swoje siły. Powinien był wybrać samolot zamiast wielogodzinnej jazdy samochodem. W jednym z tuneli przed samym Oslo ból był już tak silny, że zaczęło mu się robić ciemno przed oczami. Musiał szybko zjechać na przydrożny parking i odpocząć. Na niewiele się to jednak zdało, bo czuł się coraz gorzej. Poza tym ogarniała go bezsilność, bodaj po raz pierwszy w życiu. I było to dla niego całkowite zaskoczenie. Szybko sięgnął do schowka, by wyjąć blister z tabletkami, i natychmiast połknął dwie kapsułki, popijając je łańczywie wodą z plastikowej butelki.

Źle się czuł już od dawna. W końcu znalazł czas, żeby pójść do lekarza, który z marsową miną kazał mu zrobić niezbędne testy. Nie odpowiedział na jego pytanie, czy to coś poważnego; twierdził, że będzie mógł coś orzec dopiero, kiedy zobaczy wyniki. To wzbudziło w pacjencie podejrzenia, że coś jest nie tak, ale pewności nabrał, kiedy ktoś z laboratorium, gdzie wykonywał badania, zadzwonił do niego,

by zapytać o zgodę na udzielanie informacji najbliższej rodzinie. Nigdy wcześniej nie zadawano mu takich pytań. Zdziwił się, bo przecież wtedy jeszcze nic go nie bolało. Był pewien, że lekarz kazał mu zrobić standardowe badania okresowe. W pierwszej chwili pomyślał, że to kara boska. A może to wszystko ze strachu. Idziesz do dentysty z bolącym zębem, a w poczekalni od razu ci się poprawia i już nawet nie pamiętasz, który ząb ci dokuczał. Tyle że u niego było odwrotnie. Niemożliwe, żeby naprawdę był poważnie chory...

Mniej więcej po półgodzinie poczuł się na tyle dobrze, by wyruszyć w dalszą drogę, która jakoś dziwnie mu się dłużyła. Wreszcie nawigacja poinformowała go, że zaraz będzie u celu, i faktycznie po krótkiej chwili ujrzał otoczoną wysokim płotem klinikę. W duchu przyznał, że miejsce wyglądało tajemniczo – nigdzie żywego ducha, za to pełno kamer monitoringu. Chwilę stał przed zamkniętą bramą, po czym ta – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – sama się otworzyła. Zaparkował blisko eleganckiego wejścia, obok kilkunastu innych pojazdów z zagranicznymi rejestracjami. Z zadowoleniem stwierdził, że niektóre auta, w tym najnowszy model sportowego porsche, były z najwyższej półki cenowej. Wydawało mu się, że pomiędzy autami mignął mu znany francuski aktor, którego nazwiska nie mógł sobie w tej chwili przypomnieć, a o którym ciągle rozpisywały się szwedzkie brukowce. Wszystko to razem dodało mu odwagi i upewniło, że znalazł się we właściwym miejscu. Tu na pewno go wyleczą. Nikt znany i bogaty przecież nie przyjeżdżałby z tak daleka do słabego ośrodka medycznego.

Zameldował się w przyszpitalnym hotelu, gdzie – ku swemu niezadowoleniu – musiał podać prawdziwe nazwisko, żeby klinika mogła rozliczyć koszty pobytu w ramach jego prywatnego międzynarodowego ubezpieczenia. Pielęgniarka w recepcji zapisała wszystkie dane, nie zwracając na niego specjalnej uwagi. Najwidoczniej ani jego twarz, ani nazwisko jej nie mówiły. A może, przyzwyczajona do znanych pacjentów, nauczyła się zachowywać kamienną twarz? Dostał klucz do pokoju i plan badań na następny dzień.

Klinika, w której lekarze, jak mniemał, wkrótce wyleczą go z jego przypadłości, mieściła się w wielkiej, przedwojennej, pięciopiętrowej kamienicy, oddalonej od centrum miasta. Za skrzyżowaniem był duży park ze stawem i wyspą. „Urokliwa okolica” – pomyślał. „Cicho i spokojnie. W sam raz, żeby szybko wrócić do zdrowia”.

Wypakował rzeczy, przebrał się i zszedł do restauracji, która mieściła się na parterze domu. Było do niej również osobne wejście od ulicy, ale i tak większość gości stanowili pacjenci kliniki i ich rodziny. Przy samych drzwiach dojrzał informację o obowiązującym zakazie fotografowania na terenie obiektu. Znalazł mały stolik pod oknem i usiadł.

– Dobry wieczór, panu. – Kelner zjawił się bezszelestnie. – Czy jest pan naszym pacjentem?

Z niekłamana ulgą zauważył, że pracownik restauracji jest wysokim, niebieskookim blondynem. Zapewne rodowity Norweg. Najwyraźniej kierownictwo placówki nie zatrudnia obcokrajowców ani imigrantów. I chwala Bogu!

– Dobry wieczór. Tak, to widać?

– Nie. – Kelner się uśmiechnął. – Nie dlatego pytam. Czy dostał pan od lekarza prowadzącego zalecenia w kwestii diety? Pacjenci często o tym zapominają, więc naszym obowiązkiem jest zwracać im na to uwagę.

– Dopiero przyjechałem, z lekarzem zobaczę się pierwszy raz jutro rano.

– W takim razie, jeżeli nie ma pan problemów z żołądkiem, polecam lekkiego łososia z grilla z brokułami, a do tego krem z warzyw. Wszystko przygotowywane jest w naszej kuchni ze świeżych produktów i nie zawiera konserwantów.

– Brzmi wspaniale. Do tego butelkę chablis poproszę.

– Przykro mi, ale alkoholu nie podajemy – oświadczył z uśmiechem kelner. – Za to wysokość rachunku za posiłek zostanie doliczona do całkowitego kosztu leczenia u nas i pokryje ją pańskie ubezpieczenie.

– Skoro tak, to poproszę herbatę.

– Oczywiście. Proszę się rozgościć, a ja zaraz wszystko przyniosę.

Podobało mu się, że nikt go tutaj nie rozpoznawał. Był zwykłym chorym człowiekiem, zagranicznym pacjentem, jakich wielu w tej znanej prywatnej klinice onkologicznej. Przy sąsiednich stolikach siedziały większe grupy ludzi i słychać było przeróżne języki. Na jednego pacjenta przypadało czterech, pięciu odprowadzających i wspierających go członków rodziny albo przyjaciół. Wydawało się, że oprócz niego

nie ma nikogo ze Szwecji. Słyszało się głównie angielski, niemiecki i rosyjski, ale to może dlatego, że tych języków używali kelnerzy. „Skandynawowie pewnie się tu nie leczą” – pomyślał. Gdyby nie prześladowająca go chęć zachowania anonimowości, też kładłby się teraz do łóżka w jakimś sztokholmskim szpitalu.

Zastanawiał się, czy to ostatni dzień, w którym to on decyduje o swoim życiu, zależnym od pracy, interesów i przyjemności, ale nie od choroby. Rozmowa telefoniczna z lekarzem dała mu do myślenia, ale ciągle nie mógł uwierzyć, że coś mogłoby się w tej kwestii nagle zmienić. Za miesiąc powinien być w Hamburgu. Bardzo nie chciał, żeby taka okazja przeszła mu koło nosa. Włożył w ten konkurs wiele pracy i środków, ale on odbędzie się z nim albo bez niego. Tam nikt nie przejmie się jego stanem zdrowia. Konkurencja w biznesie jest ogromna, a hieny tylko czekają, żeby innym powinęła się noga. Musi wierzyć, że wyzdrowieje. Podobno pozytywne nastawienie i siła woli to połowa sukcesu w walce z chorobą. Nie, to nie może być koniec. Szczególnie teraz, kiedy wszystko zaczynało się tak doskonale układać i kiedy udało mu się pozbyć groźnego przeciwnika. Teraz, kiedy droga do prawdziwej kariery i jeszcze większych pieniędzy stała przed nim otworem. Byłaby to niezwykła ironia losu.

29.

Jesień miała się już ku końcowi. Dni były coraz krótsze i bardziej pochmurne. Od samego rana padał śnieg, co było nietypowe jak na gotlandzki klimat. Ulice i domy pokryły się warstwą białego puchu. Wcześniej w tym roku. Ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że śnieg nie poleży długo na ulicach, na to było jeszcze za ciepło.

Sara zaparkowała swoją toyotę, którą dostała w prezencie od taty, na podjeździe koło innego samochodu i z trudem wygramoliła się z auta. Do rozwiązania zostało jeszcze wiele tygodni, ale ona już czuła się zmęczona i ociężała. Nie przytyła więcej, niż to przewidywały poradniki dla przyszłych matek, które ciągle czytała, podobnie jak blogi przyszłych i świeżo upieczonych mam, a mimo to najmniejszy wysiłek zaczynał sprawiać jej trudność. Po całym dniu wykładów była wykończona, jakby przebiegła maraton, a nie siedziała wygodnie w sali lekcyjnej. Na szczęście wymioty i zawroty głowy, które tak bardzo dały się jej we znaki w pierwszym trymestrze, w końcu ustąpiły i mogła normalnie funkcjonować. Wyliczyła, że uda jej się skończyć semestr przed urodzeniem córeczki, i zamierzała tego dokonać pomimo niesprzyjających okoliczności.

„Nie jest fajnie być samotną matką” – pomyślała. Marta starała się wyręczać ją we wszystkich cięższych pracach, ale ona wolałaby, żeby był przy niej Rodriguez. Niestety nie mieli już ze sobą kontaktu. Po tym, jak się okazało, że chłopak nie będzie mógł wrócić po wakacjach do Szwecji, coraz rzadziej się kontaktowali, a w czasie spotkań na Skypie mieli sobie coraz mniej do powiedzenia. Już nawet nie miała ochoty informować go, że będą mieli dziecko. To była jej córka.

W końcu całkiem przestali do siebie dzwonić. Ostatni mail od niego dostała miesiąc temu, ale nie miała ochoty odpisywać. Przybiła ją wiadomość o stanie zdrowia niedoszłej teściowej i jej kosztownej operacji. Ubezpieczenie ojca, kierownika w fabryce mebli, okazało się niewystarczające – zabrakło pieniędzy na pokrycie rachunku ze szpitala. Na domiar złego matka Rodrigueza musiała kontynuować leczenie w domu i zażywać drogie leki, a to skutecznie rujnowało skromny rodzinny budżet. Sara próbowała jakoś pomóc, udało się jej nawet przekonać ojca, aby finansowo wsparł rodzinę jej chłopaka, ale Rodriguez nie chciał przyjąć od nich ani grosza; wolał sam zarobić na pokrycie kosztów drogiego leczenia szpitalnego niż skorzystać z czyjejkolwiek pomocy. Postanowił nie wracać do Szwecji i na miejscu, w Bogocie, pracować na utrzymanie rodziny. Może gdyby wiedział o dziecku... Ale Sara była zbyt dumna. Nie chciała, żeby musiał wybierać pomiędzy matką i swoją rodziną a ukochaną i dzieckiem. Zresztą, chociaż na jego wsparcie nie mogła liczyć, zarówno ojciec, jak i babcia byli zachwyceni perspektywą przyjścia na świat dziecka i zaoferowali swoją pomoc we wszystkim, czego tylko mogłaby potrzebować.

Sara załatwiła formalności jeszcze w sierpniu. Spakowała wszystkie swoje rzeczy i zwolniła pokój w kampusie studenckim. Brat Antona, Elliot, okazał się w tej kwestii niezwykle pomocny. Nosił kartony i torby, ciągle jej przypominając, że nie powinna się przemęczać. Przygotował także wszystkie rzeczy, jakie zostały po Emmie w jej i Antona mieszkaniu. Dzień, w którym Sara znowu na stałe wprowadziła się do domu w Romie, został ogłoszony świętem rodzinnym. Marta nie posiadała się z radości. Właściwie jedynym minusem tej sytuacji była konieczność dojeżdżania na uczelnię, ale Sara lubiła jazdę samochodem.

Przez jakiś czas cała rodzina – Marta, Jan oraz jego ciężarna córka – mieszkali razem, ale pod koniec października Jan, któremu udało się sprzedać swoje mieszkanie w Sztokholmie, wyszukał dla siebie nieduży domek w Vibble koło Visby, niedaleko od córki i teściowej. Zrezygnował z polityki i twierdził, że wcale nie żałuje. Bez problemu udało mu się znaleźć pracę w Region Gotland, gdzie zajmował się organizacją pomocy dla najbardziej potrzebujących mieszkańców wyspy. Był w tym naprawdę dobry, a znajomości w stolicy i przyjaciele w kręgach władzy okazywały się zawsze najmocniejszym argumentem, gdy któryś z lokalnych urzędników zaczynał robić problemy i przedkładał procedury nad dobro społeczne.

Sarze przypomniało się, że Marta prosiła ją, by punktualnie wracała z zajęć na uczelni, ale dziewczyna nie spodziewała się, że będą mieli gości. W kuchni przy dużym stole siedział komisarz Tumegård.

– Dzień dobry, Saro. Pięknie wyglądasz.

Młoda kobieta, która właśnie weszła do pomieszczenia, rozciągała wokół siebie jakąś magiczną aurę. Emanowała spokojem i dostojeństwem. Zupełnie nie przypominała roztrzęsionej i nieustannie popłakującej dziewczyny sprzed czterech miesięcy. Najwyraźniej perspektywa macierzyństwa miała na nią zbawienny wpływ.

– Dzień dobry, komisarzu – powiedziała, zdejmując kurtkę i wieszając ją na haczyku. – Dawno pana u nas nie było.

Babcia wymieniła z gościem znaczące spojrzenia i tajemniczo się uśmiechnęła.

– Czekamy na ojca. Siadaj. Komisarz chce nam wszystkim coś powiedzieć.

– Złapaliście mordercę? – Sara aż krzyknęła.

– Niestety nie, dziecko. Nie mam dla ciebie aż tak dobrych wiadomości.

Marta poszła do kuchni i nałożyła na talerz klopsiki z żurawiną, które podała wnuczce. Sara dosłownie rzuciła się na jedzenie, jakby co najmniej od tygodnia nie miała nic w ustach. Tumegårdowi przypomniały się czasy, kiedy oboje z żoną czekali na dziecko. Jego ciężarna małżonka też jadła z takim apetytem.

– Kiedy tata ma przyjechać? – zapytała Sara między jednym kęsem a drugim.

– Dzwonił, że jest w drodze. Zraz będzie.

Po chwili dało się słyszeć tupanie na schodach i w drzwiach ukazał się Wetterberg.

– Co to za narada rodzinna? O, dzień dobry, komisarzu. – Jan, otrzepując kurtkę z mokrego śniegu, wszedł do kuchni. – Czyżby miał pan dla nas dobre wiadomości?

– Bardzo mi przykro, ale jest wręcz przeciwnie. Chciałem się z państwem podzielić wszystkimi informacjami, jakie udało się nam zebrać w toku śledztwa. Niewiele tego niestety.

– Nie odnaleźliście Johnny'ego... – westchnęła Sara.

– Nic o nim nie wiemy. Pewniakiem był tylko przedział wiekowy, inteligencja i wysportowana sylwetka. Nie wiemy, gdzie go szukać. Kolor włosów, a nawet oczu mógł już kilkukrotnie od tego czasu zmienić. Poza tym zniknął jak kamfora. Nie uderzył ponownie ani w rejonie Turcji, ani nigdzie indziej. O ile dane tureckiej policji oraz Europolu są wiarygodne. Co nasuwa przypuszczenie, że nie był zdesperowanym psychopata, ale raczej profesjonalnym zabójcą.

– Ale kto mógł chcieć naszej śmierci? – Sara położyła łokcie na stole i podparła głowę dłońmi.

– Źle się czujesz, dziecko?

– Nie, babciu. Jestem tylko trochę zmęczona. Proszę mówić dalej, komisarzu.

– Braliśmy pod uwagę kilka hipotez. Rozmawialiśmy z wieloma osobami i sprawdziliśmy ich kontakty oraz bilingi. Tych, którym udało się uniknąć spotkania z policją, sprawdziliśmy bez ich wiedzy. Nie znaleźliśmy absolutnie nic, co łączyłoby ich z jakimkolwiek nieznanym nam, podejrzanym osobnikiem.

– Z kim pan rozmawiał, jeżeli może pan to zdradzić? – dopytywał Jan.

– Pamięta pan tę dziennikarkę z Aftonbladet, Martinę Liljestrand?

– Tę, która urządziła mi awanturę na ulicy? Była niespełna rozumu.

– Zraz potem straciła pracę. Właśnie za swoje zachowanie wobec pana.

– Nie wiedziałem o tym. To nie była moja zasługa. Nie panowała nad nerwami.

– Oczywiście. Doniósł na nią pracujący z nią fotograf. Na wszelki wypadek sprawdziliśmy ją, bo mogła na przykład chcieć się na panu zemścić za niespodziewane zakończenie kariery dziennikarskiej.

– I co?

– Od wielu miesięcy mieszka w Barcelonie. Ma hiszpańskiego narzeczonego i spodziewa się dziecka. Ułożyła sobie życie i ma szczęśliwą rodzinę.

– Zupełnie o niej zapomniałem. Jak pan do niej dotarł?

– Jak powiedziałem – komisarz zrobił poważną minę – sprawdziliśmy dużo różnych osób, które mogły odnieść kiedyś wrażenie, że chciał im pan zaszkodzić.

– Rozmawiał pan z Thomasem Johanssonem?

– Nie. Zniknął zaraz po tym, jak zapowiedzieliśmy się z wizytą u niego w Sztokholmie. Sekretarka przekazała nam, żebyśmy wysłali mu pytania mailem, co też uczyniliśmy, a on rzeczywiście na nie odpowiedział. Napisał, że nigdy nie żywił do pana poważnej urazy, a ostre kłótnie w parlamencie miały podłoże wyłącznie polityczne. Udało nam się też sprawdzić jego billingi. Znaleźliśmy jedną niewyjaśnioną rozmowę przychodzącą, z wieczora w dniu zniknięcia Emmy i Antona. Trwała dosłownie kilkanaście sekund. Ktoś dzwonił z angielskiego numeru internetowego operatora Lycamobile. Zapytany o to przez sztokholmską policję Johansson przypomniał sobie, że rzeczywiście odebrał jakiś telefon, ale była to pomyłka. Połączenie trwało osiemnaście sekund. Dzwoniliście nawet na ten numer, ale odebrało jakieś dziecko, które nie znało szwedzkiego.

– Czyli moi wrogowie nie są wcale prawdziwymi wrogami – stwierdził ponuro Jan. Nie zależało mu co prawda na posiadaniu zastępu wrogów, ale w skrytości ducha podejrzewał, że za zabójstwem Emmy stoi ktoś, kogo on zna i komu musiał jednak zależeć za skórę.

– Na to wychodzi. Muszę wspomnieć również o moim podejrzeniu w stosunku do pani narzeczonego – zwrócił się do Sary.

– Co? Z jakiego powodu podejrzewał pan Rodrigueza?

– Sprawdzaliśmy jego samego i jego rodzinę pod kątem powiązań mafijnych. Proszę się nie gniewać, musiałem mieć pewność, że nie jest zamieszany w tę zbrodnię.

– I jak pan to sprawdził?

– Policja z Bogoty okazała się nad wyraz uczynna – stwierdził z przekąsem. – Poprosiłem też o pomoc starego znajomego z CIA...

– No, jak pan włączył do śledztwa nawet CIA...

– Saro, daj dokończyć panu komisarzowi. – Babcia ostro przerwała wnuczce, którą rozżłościł pomysł, że ojciec jej dziecka mógł chcieć zabić ją i jej siostrę.

– Jak mówiłem, znajomy z Waszyngtonu stanowczo zaprzeczył, jakoby rodzina Ardila Guzman miała jakiegokolwiek powiązania z kartelami narkotykowymi. Przyglądali się im przez cztery tygodnie.

– Dotarł pan do jakichś nagrań z monitoringu w Visby? Pamięta pan, o co mnie pytał u siebie w komisariacie?

– Tak, pamiętam. Saro – znowu spojrzał na dziewczynę – nie odniosłaś wrażenia, żeby ktoś cię obserwował, prawda?

– Babcia mnie o to pytała. Ale nie, niczego takiego nie zauważyłam. Nie pamiętam co prawda dokładnie tego dnia, o który panu chodziło, ale na pewno nie widziałam żadnych podejrzanych ludzi koło siebie. Z tym że ja nie zwracałam uwagi na otoczenie. Emma zawsze była uważniejsza i martwiła się o wszystko za nas obie.

– Odpowiadając na pana pytanie o monitoring – zwrócił się do Jana – niestety minęło zbyt dużo czasu, żeby uzyskać jakieś nagrania. Ani nagrań z kamer na terenie kampusu, ani tym bardziej z miejskiego monitoringu nie przechowują tak długo.

– Czyli oprócz obrazu mordercy mojej siostry, który mam wyryty w głowie, nie znaleziono zupełnie nic – stwierdziła dziewczyna.

– Tak to niestety wygląda – przytaknął komisarz. – Bardzo mi przykro. Jeżeli nie wydarzy się nic nowego, będę zmuszony zamknąć to śledztwo.

– Komisarzu, wierzymy, że zrobił pan wszystko, co w pańskiej mocy – zapewnił go Wetterberg.

Był co prawda rozczarowany wynikiem śledztwa, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że Tumegård niczemu nie jest winny. Pretensje mógł mieć co najwyżej do tureckiej policji.

– Dziękuję za te słowa.

– Słyszałem, że wybiera się pan na emeryturę po Nowym Roku. Nie za wcześnie?

– Nie zamierzam rezygnować z pracy jako takiej. Mąż mojej asystentki, Katriny, zakłada prywatną agencję detektywistyczną. Tym chciałbym się zająć.

– Czyli dalej będzie pan w pewnym sensie stróżem prawa? – Jan się uśmiechnął.

– Zawsze. Tak jak pan socjaldemokratą.

– I oczywiście zawsze możesz nas odwiedzać, Rolfie. Teraz już zupełnie bezinteresownie – zapewniła z uśmiechem Marta.

– O tak. Mając zaprzyjaźnionego prywatnego detektywa, będziemy się czuć bezpieczniej. Zapraszamy, komisarzu. Ja muszę się już pożegnać, bo obiecałem wrócić do biura. – Jan wstał i podał Tumegårdowi

rękę. – Dziękuję za wszystko, co pan zrobił dla naszej rodziny.

– Proszę mi wierzyć, że chciałem zrobić dużo więcej. Może jeszcze kiedyś uda się rozwikłać tę zagadkę... Ja też już pójdę.

Komisarz zdjął płaszcz z wieszaka w holu i wyszedł razem z Wetterbergiem.

Szczerze mówiąc, już wiele tygodni temu stracił nadzieję, że kiedykolwiek uda mu się schwytać mordercę. Bez wątpienia tym razem miał do czynienia z profesjonalistą wysokiej klasy, umiejętnie zacierającym wszelkie ślady. Chociaż cały jego zespół intensywnie pracował nad tą sprawą, nie posunęli się ani trochę do przodu. Jedyne, co udało się ustalić, to fakt otrucia Emmy i Antona jakąś zaawansowaną, nowoczesną substancją trującą. I tyle. Nie było wyjścia – komisarz w końcu musiał dać za wygraną i z bólem serca zakomunikował to Marcie i jej krewnym. Miał jednak nadzieję, że kiedyś jego kolegom uda się jeszcze otworzyć tę sprawę. Kto wie, może zabierze się za to ktoś młodszy i bystrzejszy od niego. Co prawda miał świadomość, że schwywanie sprawcy i tak nie zwróciłoby życia Emmie, ale być może dzięki temu można by odpowiedzieć na pytanie, dlaczego zginęła.

Sara i Marta zostały same.

– Babciu, jeżeli komuś zlecono zabicie Emmy i mnie, to dlaczego morderca mnie nie odnalazł i nie dokończył zadania? – spytała dziewczyna, a Marta zauważyła, że wstrząsnął ją dreszcz.

– Nie wiem, dziecko. Może coś mu pokrzyżowało plany? Ale dziękujmy Bogu, że tak się stało!

– Czy jestem bezpieczna? – W oczach Sary malowało się przerażenie.

– Gdyby ten parszywiec miał w planach pozbawienie cię życia, to już byś nie żyła. Tak mi się wydaje. Zresztą, po co miałyby cię zabijać? Twój ojciec na szczęście wycofał się z polityki, z nikim nie wojuje, nie ma już wrogów. Za co i kto miałyby się na nim mścić?

– A więc to koniec?

– Uznajmy, że tak. Gdyby ktoś chciał cię skrzywdzić, to najpierw miałyby ze mną do czynienia! Już ja bym mu pokazała, co to znaczy zadzierać z naszą rodziną!

Marta z łagodnym uśmiechem objęła wnuczkę i delikatnie pocałowała ją w czoło.

30.

Od trzech godzin siedział przed komputerem. Musiał dać oczom odpocząć. Przyglądał się zdjęciom i czytał raporty – własne i ludzi, którzy czasami dla niego pracowali. Nic z tego nie wynikało. Wciąż nie wiedział, jak wykonać powierzone mu zadanie. Fakt, tym razem nie było łatwo, ale on przecież powinien już przywyknąć do trudności. Zresztą w jego fachu obowiązywała zasada: im trudniej, tym drożej, powinien się więc cieszyć, a tymczasem wciąż nie wiedział, jak się zabrać za wykonanie zlecenia. Władimir Lutchenko, rosyjski przedsiębiorca i milioner, nie rozstawał się ze swoją ochroną. Co prawda dużo podróżował po Rosji i republikach nadbałtyckich, ale zawsze wszystko było tak zorganizowane, że tylko najbliżsi mu ludzie wiedzieli, gdzie dokładnie będzie i z kim się spotka. Nie korzystał z liniowych samolotów, wszędzie latał własnym śmigłowcem albo niedużym gulfstreamem. Drogę z lotniska, zawsze małego i dobrze strzeżonego, pokonywał oczywiście kuloodpornym samochodem, którego nie powstydziliby się w swoim orszaku sam prezydent Stanów Zjednoczonych.

Wstał od stołu, wzięt piwo z lodówki i wyszedł przed dom.

Noc była parna. Wiejący za dnia wiatr od morza zupełnie ustał. Zanosilo się na burzę, a wokół panowała cisza jak makiem zasiał. Tylko szyszki chrzęściły mu pod nogami. Gęste chmury pokryły niebo, skutecznie blokując światło księżyca i gwiazd, przez co niewiele widział. Na szczęście dobrze znał tę okolicę i teraz prawie po omacku zszedł na plażę. Usiadł na jednym z licznych kamieni. Tafla wody stała nieporuszona. Wokół nie było żywej duszy.

Po raz kolejny od przyjazdu pomyślał, że zakup tego starego domku myśliwskiego był jedną z lepszych decyzji, jakie podjął w życiu. Kochał to miejsce. Kilkanaście kilometrów od granicy z Estonią, odgródzone od lądu gęstym lasem, z niedużą kamienistą plażą. Ryby, grzyby i dzika zwierzyna. Tylko

paru sąsiadów – starszych, uczciwych ludzi. Żadnych zwariowanych turystów. Czuł się tu naprawdę jak u siebie.

Rozebrał się i wszedł do wody. Była przyjemnie chłodna. To uczucie, gdy cały się zanurzał, a ręce same układały się do pierwszego ruchu... Tak wyglądała wolność. Kochał wodę i nie mógłby bez niej żyć. Wypłynął daleko w morze i położył się na plecach, by odpocząć. Ciemności nocy zelżały i ustąpiły miejsca nieśmiałemu światłu poranka. W oddali, ponad lasem wschodziło słońce. Zawrócił.

Zmęczenie fizyczne przywróciło mu jasność umysłu. Uznał, iż zlecenie jest trudne, ale przecież nie niemożliwe do wykonania. Po chwili intensywnego myślenia doszedł do wniosku, że Lutczenko będzie musiał zrobić sobie przerwę od użerania się z politykami i konkurencją. Zaczyna się lato, a jego córka właśnie skończyła liceum. Szykują się ostatnie rodzinne wakacje w życiu Rosjanina. A on miał sprawić, że będą to ostatnie jego wakacje w ogóle.

Wyszedł na brzeg, zgarnął zostawione na kamieniu rzeczy i wbiegł na górę po drewnianych schodach. W domu owinał się szlafrokiem i usiadł przy komputerze. Wstukał długi ciąg znaków i otworzył folder z kalendarzem przemysłowca, prowadzonym przez jego sekretarkę. „Jak można być tak lekkomyślnym” – westchnął z uśmiechem. Dziesięciu uzbrojonych po zęby goryli obstawy, a hasła nie zmieniali od przynajmniej ośmiu tygodni. Niektórzy sami ściągają na siebie kłopoty. Teraz praca nad planem kolejnego zabójstwa nabrała tempa. Wiedział, dokąd pojedzie w przyszłym tygodniu.

Przez następne godziny pracował bez wytchnienia. Nagle w dolnym rogu ekranu wyskoczyła ramka z ostrzeżeniem, a w pokoju rozbłyśło niebieskie światło i rozległ się niezbyt głośny, przeciągły, wibrujący dźwięk. Ktoś minął jeden z detektorów ruchu rozstawionych w pobliżu domu. Spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma trzydzieści. Uśmiechnął się do siebie. Po kilku minutach rozległo się pukanie do drzwi. Wstał od komputera i poszedł otworzyć. W progu stała starsza pani. Była malutka i pomarszczona, a na jej twarzy malowały się dobroć oraz spokój. Pomyślał, że gdyby istniały anioły i któryś z nich jakimś cudem spadłby na ziemię, a potem zestarzał się jak zwykli śmiertelnicy, to wyglądałby dokładnie tak jak ona.

– Dzień dobry, Eriku – powiedziała z rozbijającym uśmiechem. – Tak ciężko pracujesz całym dniami. Pomyślałam, że przyda ci się porządne śniadanie.

– Dzień dobry, babciu Nino. To bardzo miło z twojej strony, ale jesteś dla mnie zbyt dobra.

– Moje dziecko, nie można się tak przepracowywać. Wy, artyści, tracie poczucie czasu, a jeść trzeba regularnie.

– Jaki tam ze mnie artysta, babciu...

– Pisarze to też artyści, ludzie sztuki. Zobaczysz, jeszcze będą sobie wszyscy twoją książkę wyrwać z rąk. Na pewno będzie świetna. Tymczasem weź to. Upiekłam specjalnie dla ciebie. Zobacz, jeszcze ciepły. Będziesz miał na kilka dni.

Staruszka wyjęła z kosza okrągły bochenek chleba owinięty w lnianą ściereczkę.

– Nie wiem, jak ci dziękować. Zapach świeżego chleba to najcudowniejsza rzecz na świecie. Przypomina mi dom.

– Masz tu jeszcze mleko, ser i trochę pasztetu z zająca. Weź wszystko razem z koszykiem. Później mi oddasz.

– Odwdzięczę się złowionymi rybami, tak jak ostatnio. Czy może wolisz, żebym coś dla ciebie upolował?

– Eriku, nie gniewaj się na mnie, ale jakoś nie umiem sobie ciebie wyobrazić ze strzelbą w rękę. Dobre z ciebie dziecko, ale nie bierz się za coś niebezpiecznego, o czym nie masz zielonego pojęcia.

– Widziałas przecież, że broń wisi w korytarzu.

– Tak, tak. Stara broń myśliwska poprzedniego właściciela tego domu. Pamięta jeszcze wojnę. Tylko byś sobie krzywdę zrobił.

– Wejdiesz na herbatę? Zjemy razem.

– Nie, dziecko. Nie przeszkadzaj sobie w pisaniu. Zresztą mój Wasyl zaraz wróci z lasu i będę miała co robić z królikami, które przyniesie.

– Kocham cię, babciu. Dziękuję za śniadanie.

Serdecznie uściskał i ucałował staruszkę. Miała łzy w oczach. Uwielbiała tego delikatnego młodego człowieka.

– Na zdrowie, chłopcze. Bóg z tobą.

Starsza kobieta oddaliła się ścieżką w stronę wsi. Zaniósł koszyk z jedzeniem do kuchni. Ukroił sobie kromkę i posmarował ją pasztetem. Z kanapką w zębach podszedł do komputera i zresetował alarm. „Wspaniali ludzie” – pomyślał. Nina i Wasyl byli dla niego jak rodzina. Jedyna, jaką miał. Natela też by ich pokochała.

31.

Od dwóch dni męczyła się ze spisem eksponatów z epoki wikingów. Z tym, co było wystawione jako ekspozycja stała – czyli unikatowym srebrem wikingów, mieczami i hełmami z wielu bitew znaczących bogatą historię wyspy – poszło łatwo, ale znacznie gorzej radziła sobie z częścią zbiorów znajdujących się w magazynie w podziemiach. Tu już nic się nie zgadzało. Wikingowie prowadzili grabieżcze wyprawy na całym świecie i zostało po nich dużo ciekawych przedmiotów do pokazania. Aż za dużo. Gdyby jeszcze ci, którzy zdejmowali je z półek, żeby je sobie obejrzeć, zrobić im zdjęcia czy je naszkicować, odkładali eksponaty na to samo miejsce, z którego je zabrali... Ale najwidoczniej nikt nie miał takiego zwyczaju i teraz tam, gdzie powinny być hełmy, znajdowała jakieś garnce z bliżej nieokreślonej epoki. Pomieszenie z poplątaniem.

Po raz kolejny stanęła między regałami i zaczęła odhaczać poszczególne pozycje z trzymanej w ręku listy. Coraz bardziej ją to irytowało. „Złośliwość przedmiotów martwych” – pomyślała. Odnosiła nieodparte wrażenie, że katalogowane przedmioty żyją własnym życiem i gdy nikt tego nie widzi, przemieszczają się po regałach w magazynie.

Sara pracowała w Muzeum Historycznym w Visby od półtora roku. Musiała się jeszcze dużo nauczyć, ale zdobywanie wiedzy sprawiało jej ogromną przyjemność. Dużo większą niż kiedyś, gdy zajęcia na uniwersytecie były tylko sposobem na wypełnienie wolnego czasu. Fakt, że została matką, zmienił jej nastawienie o sto osiemdziesiąt stopni. Ze zwariowanej studentki przeistoczyła się w odpowiedzialną, silną, dorosłą kobietę. Teraz miała jasny plan na życie; dokładnie wiedziała, czego chce i jak może to osiągnąć. Dzięki zaangażowaniu Marty i ojca udało jej się skończyć studia z tylko niewielkim poślizgiem. Jej córeczka, Kristina, była ich oczkiem w głowie. Za parę miesięcy miała pójść do pierwszej klasy.

*

Zbliżała się godzina siedemnasta, a wraz z nią koniec pracy na dziś. Znowu czegoś brakowało w spisie, który robiła, ale nie miała ochoty się tym już teraz przejmować. Odłożyła dokumenty i wyłączyła komputer. Jutro. Wszystko załatwi jutro. Dzisiaj jest umówiona z ojcem, który od rana zajmuje się Kristiną. Mają po nią podjechać i razem pójść na lody. W końcu jest taki piękny, ciepły dzień – szkoda czasu na ślęczenie przy komputerze czy przeglądanie zakurzonych eksponatów.

Zamknęła biuro i wyszła przed budynek muzeum. Już z daleka zobaczyła samochód ojca.

– Cześć, tato. Hej, słoneczko! Jak tam, dobrze się bawiłaś z dziadkiem? – Uściskała córeczkę.

– Było super! – Kristina podsłakiwała, trzymając w ręce ulubionego misia, Rufusa.

– Witaj, kochanie. Jak ci minął dzień? – spytał ojciec.

– Jak zwykle. Spokojnie i bez spektakularnych osiągnięć. Nie wychodzi mi ten „spis powszechny” wikingów.

– Co to jest spis powszechny? – zainteresowała się dziewczynka.

– Nic, co mogłoby zainteresować taką młodą damę jak ty. Straszne nudy. Wsiadaj do samochodu. – Dziadek otworzył drzwi auta. – Zgodnie z umową zapraszam was na lody.

– Hurra! – krzyknęła mała.

Była śliczną dziewczynką, bardzo podobną do swojego południowoamerykańskiego ojca. Miała długie ciemne włosy, lekko śniadą cerę i ogromne brązowe oczy z długimi rzęsami. Sara patrzyła na nią z zachwytem. Zresztą nie tylko ona. Wiele osób uśmiechało się na widok ślicznej dziewczynki, a Jan

dosłownie oszalała na jej punkcie, i to już od dnia, kiedy po badaniu USG okazało się, że jego córka wyda na świat dziewczynkę. Sara myślała, że ojciec będzie tym faktem nieco rozczarowany. Skoro sam miał dwie córki, mógł marzyć o wnuku. Ale Wetterberg z entuzjazmem przyjął wiadomość o płci dziecka, a następnego dnia kupił nienarodzonej jeszcze wnuczce pierwszą lalkę. Niestety Kristina nigdy nie lubiła lalek. Przedkładała nad nie wszelkiego rodzaju pluszowe misie, króliczki i inne zwierzątka. Jej ukochany Rufus też był zresztą prezentem od dziadka.

Przejechali kawałek i znaleźli zacienione miejsce na parkingu w sąsiedztwie licznych kawiarni na Stora Torget. Usiedli w kawiarnianym ogródku. Kelner przyniósł im wszystkim lody, a do tego dla dorosłych kawę, a dla dziewczynki sok w kartoniku. Jan odczepił słomkę i włożył ją do otworu w kartonie, ale najwyraźniej trochę zbyt gwałtownie, bo oblał się przy tym sokiem jabłkowym.

– Jesteś zdenerwowany czy mi się wydaje, tato?

– Eee, może trochę.

– Co się stało? – Sara znalazła w torebce chusteczki i wytarła koszulę ojca, a potem stolik.

– Dostałem dzisiaj dziwną przesyłkę. Rano, kiedy przywiozłem Kristinę, znalazłem to na progu.

Wyjął spod marynarki leżącą na krześle mały pakunek i pokazał go córce.

– Co to za pudełko?

– W środku jest książka. Otwórz.

Ojciec wręczył jej nowiutki egzemplarz, jeszcze pachnący farbą drukarską. Dziewczyna odruchowo odwróciła książkę, by spojrzeć na tylną okładkę, gdzie zwykle znajdowało się zdjęcie autora wraz z krótką notką biograficzną, ale tym razem znalazła tam tylko logo wydawnictwa.

– *Polityczne przekręty*, autor Stefan Persson – przeczytała Sara. – O czym to?

– Jeszcze nie przeczytałem całej, ale jeden rozdział był zaznaczony żółtą karteczką. O ustawie o zagranicznych adopcjach i jej skutkach.

– Pamiętam, jak się przejmowałeś tą ustawą. Czy to nie było w dwa tysiące jedenastym roku? Kiedy latem zginęła Emma?

– Tak. Zły rok.

– Dawne dzieje. Znasz tego Perssona?

– Nie. Nazwisko nic mi nie mówi, ale to może być ktokolwiek, na przykład dziennikarz. A może to tylko pseudonim literacki. Nie mam jednak wątpliwości co do tego, kto za tym wszystkim stoi.

– Kto?

– Thomas Johansson.

Sara otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Ten, którego sprawdzano jako potencjalnego zleceniodawcę morderstwa? Jesteś pewien?

– Tak. Nie wiem, czy sam to wszystko napisał, czy ktoś notował jego opowieść. Ale to na pewno on. To jego język.

– Dawno o nim nie słyszałam, a przecież kiedyś był barwną postacią. Ciągle gdzieś wygłaszał te swoje nacjonalistyczne przemówienia i walczył z napływem imigrantów. Artykuły o nim można było znaleźć we wszystkich kolorowych czasopismach.

– Rzeczywiście – przyznał Jan, wsypując cukier do stojącej przed nim filiżanki z kawą. – Jakoś tak nagle zniknął z życia publicznego. Nie mogę powiedzieć, że się za nim stęskniłem.

– Ciekawe, gdzie teraz nakłania do złego. Wspominałeś wtedy, że prowadził jakieś niejasne interesy za granicą?... Kochanie, odłóż tę łyżeczkę, bo zaraz pobrudzisz sobie bluzkę – zwróciła się do córeczki.

Kristina wpakowała łyżeczkę do buzi, uważając, że to najlepsze miejsce na jej „odłożenie”, i uśmiechnęła się szeroko do mamy.

– Tak, ale równolegle z udziałem w pracach w parlamencie. To zastanawiające. Nie wiem, co się z nim stało. Chyba nie zajął się na starość pisaniem pamiętników...

– A może nie żyje?

Jan pokręcił przecząco głową.

– Wątpię. To był bardzo znany i popularny polityk. Co ja mówię, traktowano go prawie jak celebrytę. Informacja o jego śmierci nie umknęłaby naszej uwadze, ale zapytam starych znajomych.

– Kto to jest celebryta? – wtrąciła się Kristina.

– To taki ktoś, kto nie robi nic znaczącego, ale kogo wszyscy znają. Pokazują go w telewizji i piszą o nim w gazetach – wyjaśniła jej matka.

– Jeżeli ten pan jest celebrytą, to każdy powinien wiedzieć, gdzie jest i co robi.
– Nasza mała mądryla. – Sara mocno ucałowała córkę.
– Mądra i piękna. Po mamie – dodał Jan. – Jeszcze dzisiaj skontaktuję się z kilkoma kolegami z Riksdagu. Jestem pewien, że będą coś wiedzieli o Johanssonie.

Przy sąsiednim stoliku ktoś gwałtownie wstał, tak że Sara aż się odchyliła, żeby jej nie uderzył.

– *Prostitie, pażatsta.* – Jakaś nastolatka przepaszajaco uśmiechała się do Sary.

Wstając od stołu, przy którym siedziała z rodzicami, zbyt energicznie odsunęła krzesło.

– *I'm sorry. I didn't see you* – dodała po angielsku.

Sara wyrozumiała się uśmiechnęła i odpowiedziała również po angielsku, że wszystko jest w porządku. Ale i ona kogoś nie zauważyła. Po drugiej stronie ulicy, w niewielkim bistro siedział mężczyzna o ciemnoblond włosach i stalowoszarych oczach i przez szybę uważnie przypatrywał się całemu zajściu.

32.

Klaudię obudziło łaskotanie po twarzy. Kot Rumik delikatnie obwąchiwał jej oczy, usta i nos. Nawet nie poczuła, kiedy wskoczył na łóżko. Zaraz znajdzie sobie coś ciekawego do wylizywania i zacznie ugniatać swoimi malutkimi łapkami jej szyję, jak to robi codziennie na dzień dobry. Była sobota i nie musiała wcześniej rano wstawać do pracy, ale kot nie rozróżniał jeszcze dni tygodnia. Na pewno niedługo się nauczy, bo jak wszystkie koty, był bardzo mądrym zwierzątkiem.

Która mogła być godzina? Otworzyła ostrożnie oczy. Puchata kuleczka kręciła się w kółko w zagłębieniu kołdry, szukając najwygodniejszej pozycji do ułożenia się obok niej. Za wcześniej przyszedł. To nie był jeszcze czas przytulania.

Na dworze było zupełnie ciemno, a więc musiał być środek nocy. Latem przecież słońce wcześniej wstaje. Sięgnęła ręką do budzika. Dopiero druga piętnaście. Dlaczego o tej porze kot nie spał? Coś musiało obudzić małego rozrabiakę, który wczoraj, wykończony godzinną zabawą piłeczkami i papierkami, padł jak nieżywy w swoim koszyku.

Znalazła to zabiedzone maleństwo, gdy robiąc porządek w bagażniku swojego wystuzonego saaba, wyrzucała niepotrzebne rzeczy do śmietnika na tyłach komendy. Coś strasznie piszczało pomiędzy stojącymi tam torbami. Kiedy je odsunęła, ujrzała brudną szaroburą kuleczkę szczerzącą ostre jak igiełki ząbki, przeraźliwie przy tym miauczając i sycząc na zmianę. Klaudia nie miała pojęcia, jak kociak zdołał wejść do jej bagażnika, ale zauważyła, że biedactwo jest wychudzone i ma zaropiałe oczka. Podniosła kotka ostrożnie i włożyła do kartonu, który znalazła obok. Nie wiedziała, czy nie będą go chcieli od razu uspić, jeżeli zawiezie go do weterynarza, więc postanowiła sama się nim na razie zająć. Potem wymyśli, co dalej.

W domu delikatnie umyła kota wilgotną szmatką, a oczy przetarła mu mocną herbatą, jak poradziła jej ciocia. Do niewielkiej porcelanowej miseczki nalęła mleka wymieszanego z ciepłą wodą i roztartym żółtkiem. Ku jej wielkiej radości kotek przeżył.

Po kilku dniach – ogrzany, odpchlony i odkarmiony – wyglądał już zupełnie inaczej i w niczym nie przypominał kupki nieszczęścia, którą znalazła przy śmietniku. Dwa tygodnie później pojechała z nim do przychodni weterynaryjnej i zgłosiła zgubę. Kotek został przebadany, zaszczepiony i wpisany oficjalnie do rejestru szwedzkich kotów jako Rumik. Tym samym stał się pełnoprawnym obywatelem Szwecji i mieszkańcem Visby.

Klaudia pokochała go od pierwszej chwili. Ciocia – na początku nastawiona bardzo sceptycznie – też była zachwycona maleństwem. Był względnie greczny, przynajmniej jak na małego łobuziaka, i starał się odwzajemniać miłość i zainteresowanie, jakimi codziennie obdarzały go kobiety.

Zazwyczaj spokojnie przysypiał noc aż do rana. Co teraz mogło go obudzić? Może ciocia wstawała do toalety i to przstraszyło kociaka? Mieszkali ze sobą od niedawna, więc mały jeszcze nie oswoił się

z panującymi w ich domu zwyczajami.

Ciocia Klaudii często budziła się w nocy, a potem nie mogła zasnąć. Zapalała wtedy światło, chodziła po mieszkaniu i zdarzało się, że trzasnęła drzwiami albo stuknęła czymś o drewnianą podłogę. Ale tym razem w domu panowała zupełna cisza, starsza pani musiała więc wciąż spać w swoim łóżku. Co obudziło kociaka?

Klaudia wstała ostrożnie, żeby nie obudzić pochrapującego Rumika, i podeszła do balkonu. Pomiędzy drzewami, w słabym świetle latarni dostrzegła jasnego SUV-a, zaparkowanego na wprost ich furtki, a obok szcuptłą męską sylwetkę. A może to była wysoka kobieta, krótko ostrzyżona? Postać stała pod drzewem, paliła papierosa i wpatrywała się w jej okna. Gdy skończyła, wsiadła do samochodu od strony pasażera i wóz odjechał.

Policjantka jeszcze przez jakiś czas wpatrywała się w miejsce, gdzie zatrzymał się samochód. Zastanawiała się, kim była owa tajemnicza osoba. Jeżeli to był mężczyzna, to wyglądał na nastolatka, ale co nastolatek mógł robić pod domem jej ciotki w środku nocy? Nie można oczywiście wykluczyć, że to jakiś zagubiony turysta, ale godzina była zbyt późna nawet jak na błądzącego po mieście przybysza. Klaudia wiedziała, że o tej porze na wyspę nie przypływa żaden prom. Jest też prawdopodobne, iż ów tajemniczy nieznajomy bądź nieznajoma najzwyczajniej w świecie pomylił domy albo nawet ulice. Szkoda, że nie dojrzała numeru rejestracyjnego samochodu. Mogłaby to przy okazji sprawdzić w pracy.

– No nie, zaczynam mieć chyba manię prześladowczą – powiedziała cicho sama do siebie. – Będę teraz sprawdzać numery wszystkich wozów stojących na mojej ulicy. Ciekawe, kto miałby śledzić mnie albo moją ciotkę. Na pewno ktoś się pomylił.

Odeszła od okna i ostrożnie wślizgnęła się z powrotem do ciepłego łóżka. Rumik przeciągle ziewnął i zaczął wylizywać sobie brzuszek.

W tym samym czasie, gdy Klaudia naciągała na siebie kołdrę, kilka ulic dalej jasny SUV zatrzymał się na pustym o tej porze parkingu przy restauracji niedaleko terminalu promowego. Do najbliższego połączenia z Oskarshamn zostało prawie pięć godzin, więc jego kierowca postanowił się zdrzemnąć. Mężczyzna był wściekły i potwornie zmęczony, ale jednocześnie zadowolony. „Głupia dziwka” – pomyślał. Teraz, gdy wie już, kim ona jest i jak ją znaleźć – nie daruje jej. Nie można bezkarnie niszczyć życia innym. Matka będzie z niego dumna. Uśmiechając się pod nosem, wygodnie umościł się w fotelu i zapadł w błogi sen.

33.

Wraz z rozpoczęciem letnich wakacji dla policjantów w Visby rozpoczął się kolejny pracowity sezon. Latem, kiedy na Gotlandię zjeżdżały tłumy szwedzkich i zagranicznych turystów, przestępczość wzrastała nieproporcjonalnie w stosunku do liczby stróżów prawa. Zgłoszenia o pijackich awanturach, wandalizmie i drobnych kradzieżach stanowiły codzienność, a cała komenda policji miała pełne ręce roboty. Tak było i tym razem: nie było nawet mowy o letnich urlopach, co nie spodobało się większości pracowników.

– Przykro mi to mówić, ale sytuacja wymaga od nas pracy na najwyższych obrotach. – Tak szef Wydziału Kryminalnego, komisarz Erik Lindberg, rozpoczął poranną odprawę. – Wiedzieliśmy o tym już wcześniej, dlatego prosiłem, by każdy z nas planował swój urlop najwcześniej na wrzesień. Może się mylę, Karl? – rzucił w stronę młodego człowieka w okularach, siedzącego tuż obok Klaudii, która wyglądała na nieco znużoną.

Karl Gustavson, technik kryminalistyczny, nie należał do ulubionych współpracowników szefa. Właściwie nie można się było przyczepić do jego pracy, bo znał się na robocie laboratoryjnej, ale Erika denerwował jego niepoważny stosunek do rzeczywistości. Sam bardzo odpowiedzialny i poukładany, nie mógł znieść ciągłych żartów i kawałów, jakie wymyślał Gustavson. Ponadto irytowało go jego skąpstwo. Lindberg nie był rozrzutny, ale kiedy wypadało – zawsze potrafił zaprosić wszystkich na kawę czy drinka. Karl z kolei zawsze był pierwszy, żeby napić się na czyjś koszt. Lindberg nie mógł sobie przypomnieć, czy jego podwładny kiedykolwiek postawił komuś choćby jedno piwo, na przykład z okazji własnych

urodzin. Przeważnie miał wtedy jakąś sprytną wymówkę i znikał w pośpiechu z biura, gdy tylko zdążyli mu złożyć życzenia.

– Nie mylisz się, Erik, ale wyjazd, o którym ci wczoraj wspominałem, nie był zaplanowany. Nie mam wpływu na choroby w rodzinie. Brat mnie potrzebuje właśnie teraz i chciałbym pojechać na kilka dni do Kopenhagi. – Technik uśmiechał się przepraszająco.

– Z tego, co pamiętam, twój brat nie jest w Danii sam, a ty nie jesteś lekarzem – sucho stwierdził Lindberg. – Przykro mi, ale muszę odmówić. Jestem pewien, że cały czas masz bezpośrednie połączenie z bratem i nawet w tej chwili dokładnie słyszysz i widzisz, co robi i jak się czuje. Prawda?

Gustavson znany był ze swojego zamiłowania do wszelkiego rodzaju gadżetów i nowinek technicznych. Jeżeli ktoś na drugim końcu świata wymyślił coś, co wiązało się z mikrofonami, kamerami, komputerami albo smartfonami – on to natychmiast kupował. Niewątpliwie miał do tego smykałkę, czym różnił się od masy snobów, którzy kupują te urządzenia tylko po to, by pochwalić się nimi przed całym światem, a potem nie potrafią ich nawet uruchomić. Tymczasem Karl umiał się tymi wszystkimi skomplikowanymi przedmiotami posługiwać. Mało tego, bez najmniejszego problemu rozgryzał działanie urządzeń nabytych przez kolegów z wydziału i nie potrzebował do tego nawet instrukcji obsługi.

– To nie to samo. – Gustavson poczuł się urażony.

– Taką mamy pracę – odrzekł krótko szef, nieco zły na Karla, że nie daje mu przejść do meritum. – Ja też wysłałem żonę z synami na wakacje i mógłbym teraz uzalać się nad swoim ciężkim losem.

– Ty to wymyśliłeś, więc nie wolno ci narzekać – odburknął technik.

– Słuchajcie... – Klaudia miała już dość sprzeczki kolegów. – Za chwilę doprowadzą mi chłopaka, który wczoraj po pijanemu uszkodził kilkanaście samochodów zaparkowanych przy domu towarowym. Muszę go przesłuchać. Czy moglibyśmy przejść do ważniejszych spraw?

– Urlopy to jest ważna sprawa. – Gustavson się nie poddawał. – Jak wszyscy, to wszyscy. Jakobsen jest teraz w Tybecie i śmieje się z naszego poświęcenia i wewnętrznych ustaleń.

– Nasz rzecznik prasowy, Sten Jakobsen, zaplanował swój wyjazd rok temu, zanim podjąłem decyzję o zawieszeniu letnich urlopów. Ale proszę bardzo. Jeżeli komuś nie podoba się moja decyzja, może skorzystać z przysługującego mu prawa i zameldować o tym naczelnikowi. Może nawet zaskarżyć mnie do sądu pracy. Ale jeżeli się nie dogadamy, to sami stworzymy zagrożenie dla mieszkańców i turystów przebywających na wyspie.

– Ja będę pracować całe lato. Nie ma problemu. – Klaudia natychmiast wsparła szefa, a Lindberg spojrzął na nią z wdzięcznością.

Zawsze mógł na nią liczyć i bardzo dobrze im się razem pracowało. Klaudia też była zadowolona i od kiedy to właśnie Erik przejął obowiązki komisarza Tumegårda po odejściu jej dawnego szefa na emeryturę, czuła się w pracy znacznie lepiej. Nic dziwnego – Lindberg, w przeciwieństwie do jej poprzedniego przełożonego, bezstannie udzielającego jej połajanek, szanował jej zdanie i cenił ją za skrupulatne wypełnianie obowiązków. Doceniał także jej pomysłowość i wrażliwość. Oczywiście nie obyło się bez tarć między nimi, a Klaudia dla świętego spokoju nieraz ustępowała, ale zawsze potem okazywało się, że rację ma właśnie Lindberg. Policjantka niemal od samego początku ich wspólnej pracy doceniała jego wiedzę i metodyczność, chętnie się też od niego uczyła.

– Dziękuję, Klaudio. Ktoś chciałby jeszcze coś powiedzieć? – Lindberg spojrzął na resztę wydziału.

Podniosło się kilka rąk i dało się słyszeć średnio entuzjastyczne: „Okej, pracujemy całe lato”.

– W takim razie dziękuję. Możemy się udać do swoich spraw. Szczęśliwie nie wydarzyło się na razie na Gotlandii nic poważnego. A ty poradzisz sobie z tym pijakiem? – zwrócił się do koleżanki.

– Tak, to nastolatek. Przyjechał z Malmö z kilkoma kolegami, mają tutaj kumpla z Kappelshamn. Nieźle musieli zabalować. Wczoraj po południu, kiedy go zatrzymano, był tak pijany, że nie dało się z nim rozmawiać. Mam nadzieję, że w końcu wytrzeźwiał i bez zbędnych ceregieli wytłumaczy mi, dlaczego skopał tyle samochodów, wgniatając im drzwi i urywając boczne lusterka.

– Jeżeli będzie cokolwiek pamiętał.

– Mamy nagrania z monitoringu. Trudno będzie mu się wykręcić z tej parkingowej eskapady.

– Daj znać, gdybym mógł ci pomóc.

– Dziękuję. Będziemy musieli chyba tylko pojechać do Kappelshamn, do rodziców jednego z chłopców, bo on nie ma nawet szesnastu lat. Bez opiekunów nie możemy go przesłuchać.

– Okej, zadzwoń do nich i się umów.

Najczęściej pracowali właśnie we dwójkę. Mieli z Lindbergiem wypracowaną metodę przesłuchań – odmianę gry w złego i dobrego policjanta. Siedzieli razem w pokoju, ale tylko jedno z nich zadawało pytania osobie przesłuchiwanej i zazwyczaj był to Erik. Gdy już nic nie można było wyciągnąć z podejrzanego, Lindberg przeproszał i wychodził na chwilę, a wówczas do akcji wkraczała Klaudia. Jak gdyby nigdy nic rozpoczynała z podejrzanym grzecznościową rozmowę, na przykład o filmie, który niedawno oglądał, o jedzeniu czy ćwiczeniach na siłowni. Gdy nawiązali nic porozumienia, partner się pojawiał i tłumaczył, że ma coś ważnego do zrobienia. Prosił, żeby Klaudia sama kontynuowała przesłuchanie. To zawsze działało. Czasem zamieniali się rolami, ale to Klaudia lepiej się odnajdywała jako dobra policjantka, współczująca i ludzka.

Nabrały się jednak ten, kto uwierzyłby w jej łagodny i spokojny charakter. Wszyscy w komendzie wiedzieli, że ta drobna kobietka o wyglądzie słodkiej blondynki bynajmniej aniołem nie jest i kiedy trzeba, umie pokazać pazurki. Niektórzy współpracownicy do dzisiaj nie potrafili jej rozgryźć, chociaż pracowali z nią od ośmiu lat. Klaudia umiała być jednocześnie słabą i zagubioną kobietą oraz silną i odważną policjantką. Lindberg niejednokrotnie zastanawiał się, czy jego żona, Linda, też z wymagającej ciągłej pomocy osoby po jego wyjściu do pracy przeistacza się w supermatkę i groźnego zarządcę domu. Chyba tak, bo inaczej ich rodzina nie funkcjonowałaby tak perfekcyjnie. Widocznie wszystkie kobiety tak mają.

Tego dnia Klaudii jakoś nie szło odgrywanie roli bezkompromisowej funkcjonariuszki szwedzkiej policji. Przesłuchiwała sprawcę zniszczenia mienia, pokazała mu nagranie z kamery monitoringu miejskiego i uzyskała wystarczające w tej sytuacji przyznanie się do winy, ale myślami była zupełnie gdzie indziej. Nie dawał jej spokoju obraz chłopca – albo młodej kobiety – z papierosem, stojącego przy samochodzie koło jej domu. Zastanawiała ją i niepokoiły głucho odbierane przez nią o różnych porach dnia i nocy. Próbowwała wewnętrznymi kanałami ustalić ich źródło, ale połączenia trwały zbyt krótko, a numer dzwoniącego nigdy się nie wyświetlał.

Czasami odbierała w pracy prywatne telefony, które musiały być dla niej ważne, bo uśmiechała się wtedy tajemniczo i wychodziła z pokoju kontynuować rozmowę na korytarzu. Ale teraz koledzy ze zdziwieniem zauważyli jej nerwowe reakcje na dźwięk dzwonka własnej komórki. Ciotka, przy której kilkakrotnie odebrała taki tajemniczy telefon, twierdziła, że dziewczyna ma po prostu cichego wielbiiciela.

Tak bardzo chciałyby opowiedzieć o nękającym ją prześladowcy swojemu przyjacielowi, ale rozprawienie się z „cichym wielbiicielem” mieściło się w jej policyjnych kompetencjach. Wstydziała się więc pokazać, że coraz bardziej działa jej to na nerwy.

Spotykała się z mężczyzną, o którym nikomu nie mówiła, a ich wzajemne relacje były równie poważne, co nietypowe. Rozumieli się bez słów i czasami wystarczyło im, że tylko siedzieli obok siebie, trzymając się za ręce. Coraz częściej zastanawiała się, co będzie dalej, dokąd ich to zaprowadzi. Ze swej strony nie chciała podejmować żadnych zobowiązań ani nie oczekiwała tego od swego partnera. Nauczona wcześniejszymi doświadczeniami, nie wierzyła w poważny związek na odległość, a Christian, którego poznała wiele lat temu, nie zamierzał na stałe przeprowadzić się do Szwecji.

Od czasu ich pierwszego spotkania na promie minął rok i kilka miesięcy. Gdy do niej zadzwonił, mówiąc, że jest w Sztokholmie i chciałby się z nią zobaczyć, ją samą zdziwiło, jak bardzo ucieszył ją ten telefon od – bądź co bądź – obcego człowieka. To był piątek, a ona właśnie wychodziła z pracy. Niemal od razu po zakończeniu rozmowy wskoczyła na prom i po czterech godzinach siedzieli już razem, jedząc hot dogi. Potem znowu długo się nie odzywał, a Klaudia nie wybierała się do Wielkiej Brytanii, żeby móc odwzajemnić się telefonem: „Hej, jestem w pobliżu. Masz czas na piwo?”. Za każdym razem, gdy pisał do niej albo dzwonił, powtarzał, że nie może przestać o niej myśleć. Że nie wie, co takiego się stało, i nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak bardzo chce chociaż usłyszeć jej głos albo zobaczyć w poczcie przychodzącej znajomy adres e-mail. Klaudia czuła podobnie, chociaż nie przyznałaby się do tego głośno. Nie chciała niczego przyspieszać. Żadne z nich nie było gotowe na podjęcie poważnej życiowej decyzji. Poza tym ona ze względu na ciotkę, którą się opiekowała, nie mogła przenieść się na drugi koniec Europy, gdyby mężczyzna ją o to poprosił.

Jako dziennikarz i fotograf, do tego wolny strzelec, niezwiązany na stałe z żadnym magazynem, Christian pracował w wielu miejscach. Miał szerokie zainteresowania i o wszystkim potrafił napisać tak, że powstawała z tego ciekawa historia. W internecie i w prasie artykuły jego autorstwa niemal zawsze

publikowano pod tajemniczymi inicjałami, więc Klaudia chwilę zajęło, zanim nauczyła się rozpoznawać jego styl.

Pomimo że oboje byli bardzo zajęci, czasami udawało im się gdzieś razem wyjechać na kilka dni. Chociażby do Bazylei, gdzie ona zwiedzała miasto, podczas gdy on spotykał się ze swoimi informatorami i pisał o niejasnych powiązaniach koncernu farmaceutycznego z miejscowymi – i nie tylko – politykami. Innym razem znaleźli oboje czas na dwutygodniowe wakacje na Ibizie. Christian nauczył ją wtedy nurkować i skakać na główkę, a ona pokochała bezproduktywne wylegiwanie się na plaży. Cudownie było z nim rozmawiać i po prostu być razem.

Teraz jednak nie widzieli się już od miesiąca, a z krótkich maili wynikało, że Chris jest bardzo zajęty w Londynie. Nawet gdyby miała poważniejszy problem niż dziwne telefony, nie zwracałaby mu tym głowy.

*

Chcąc wreszcie zamknąć sprawę małego wandalę, członka grupy rozbijającej samochody na miejskim parkingu, Klaudia w towarzystwie swojego szefa wczesnym rankiem wyruszyła do Kappelshamn. Droga była długa, ale cudowne widoki wynagrodziły im trudy podróży. Zgodnie z obowiązującym prawem przesłuchanie chłopaka odbyło się w towarzystwie rodziców, którzy solennie obiecali, że poświęcą synowi więcej czasu. Ojciec i matka szesnastolatka sprawiali bardzo dobre wrażenie, byli mili i serdeczni, a winowajca zdawał się czuć swobodnie w ich towarzystwie. Klaudia pomyślała, że nie jest to typowy zaniedbany przez rodziców nastolatek, odraagowujący stresy i brak rodzicielskiej uwagi chuligańskimi wybrykami. Na szczęście chłopak niczego sam nie demolował, towarzyszył tylko kolegom. Jego kumplami z Malmö zajmie się tamtejsza policja, a w jego przypadku skończyło się jedynie na upomnieniu.

W drodze powrotnej Lindberg zaproponował, że pokaże jej Jungfrun, największy rauk na Gotlandii.

– Wiesz, że z tą skałą wiąże się pewna legenda? W jedenastym wieku Likajrs den Vise sprowadził do domu niewolnika o imieniu Helge, w którym zakochała się jego córka Öllgard. Rozgniewało to Likajrsa, ale oznajmił niewolnikowi, że będzie mógł poślubić jego córkę, musi tylko znieść ją z czubka skały. Dzielný chłopak wziął ukochaną na plecy i zaczął schodzić. Podstępny ojciec, widząc, jak się sprawy mają, strzelił do niego z łuku, a strzała trafiła w głowę chłopaka. Młodzi wpadli oboje do morza i zginęli w falach oceanu. Prawda, że romantyczna historia? Kobiety takie uwielbiają.

– Chyba mam w takim razie za dużo hormonów męskich, bo jakoś to na mnie nie działa – stwierdziła Klaudia, ale widząc rozczarowanie na twarzy kolegi, szybko dodała: – Ale dzięki za tę historyjkę. Powinnam lepiej poznać dzieje Gotlandii, w końcu tutaj mieszkam.

Po powrocie z Kappelshamn musieli jeszcze skończyć przesłuchanie przerażonego nastolatka, do którego właśnie dotarło, jak bardzo narozrabiał na sklepowym parkingu. Był skłonny dobrowolnie poddać się karze.

„Gdyby wszystkie sprawy były takie proste...” – pomyślała Klaudia. Może ten sezon będzie na tyle spokojny, że znajdzie czas na rozwiązanie nękających ją zagadkowych telefonów.

Oczywiście jeśli Ciamajda jej na to pozwoli. Niewidziana od lat koleżanka z czasów szkolnych, z którą Klaudia miała sporadyczny kontakt telefoniczny, odezwała się nagle. Tak naprawdę miała na imię Irene, ale nikt nigdy tak do niej nie mówił. Dlatego gdy przedstawiła się przez telefon, Klaudia nie od razu zaskoczyła, kto mówi. Spotykały się od czasu do czasu, gdy obie mieszkały w Sztokholmie. Teraz jednak koleżanka przyjechała do Klintehamn, bo postanowiła nauczyć się jeździć samochodem. Dotąd to jej mąż prowadził, ale teraz była świeżo po rozwodzie. Wszystkim, którzy ją pytali, dlaczego nie ma jeszcze prawa jazdy, wyjaśniała, iż Sztokholm jest zbyt zatłoczony, a ona jako świeżo upieczony kierowca z pewnością będzie się gubić w labiryncie tamtejszych ulic. Gdyby los rzucił ją na Gotlandię, sprawa nabrałaby innego tempa, tam byłoby to dziecinnie proste. Drogi puste, z rzadka tylko widać jakieś samochody. Teraz nadarzyła się okazja. Irene planowała odwiedzić Klaudię, rozejrzeć się po okolicy, a ponieważ chciała zmienić swoje życie po rozwodzie, postanowiła tak jak jej koleżanka osiąść na wyspie. Przynajmniej przez okres wakacji, bo potem niestety musiała wracać na uczelnię.

Swoją śmiały plan szybko wcieliła w życie. Wynajęła małe mieszkanie w Klintehamn przy Odvaldsväg i oznajmiła Klaudii, że będzie się uczyć prowadzić samochód, a ona ma jej w tym pomóc.

Najpierw trzeba było kupić jakiś pojazd, dlatego za radą przyjaciółki nabyła w Hemse starego forda fiestę. Klaudia postawiła go przed nieczynnym od lat budynkiem Auktionshus, gdzie Ciamajda nie mogła nikogo przejechać, bo cały ten teren należący do gminy był opuszczony. Policjantka uznała, że to idealne miejsce do nauki dla kogoś, kto po raz pierwszy trzyma w rękach kierownicę. Jej fajtłapowata koleżanka będzie mogła tam do woli ćwiczyć jazdę w przód i w tył.

Irene zyskała swoje przezwisko, bo panicznie bała się piłki na wuefie. Nosiła okulary i obawiała się, skądinąd zasadnie, że ktoś je stłucze, uderzając ją piłką. Ponieważ była bardzo zdolna i chętnie pomagała innym, była powszechnie lubiana, ale przezwisko Ciamajda przylgnęło do niej na stałe. Wcale zresztą się o to nie obrażała. Z czasem okulary zamieniła na szkła kontaktowe i pozbyła się szpecącego ją trądziku. Wyrosła na atrakcyjną młodą kobietę, otoczoną sporą gromadką adoratorów. Na własnej skórze przekonała się jednak, że nadmiar wielbicieli wcale nie gwarantuje szczęścia w miłości. Wybrała chyba najgorszego ze wszystkich. Ich związek niemal od początku okazał się jednym wielkim nieporozumieniem i oboje się w nim męczyli, ale na rozwód zdobyli się dopiero po latach, kiedy małżonek Irene zainteresował się swoją sekretarką. Ciamajda zbyt szybko się tym nie przejęła, a rozstanie potraktowała jako okazję do zmiany życia. Pierwszym krokiem była przeprowadzka na Gotlandię na całe wakacje, a drugim – nauka jazdy.

Klaudia wiedziała, że jej koleżanka nigdy wcześniej nie próbowała prowadzić samochodu i liczy na jej wsparcie, ale od razu zastrzegła, że nie będzie mogła poświęcić jej zbyt wiele czasu, najwyżej weekendy, bo ma pracę i starą ciotkę, którą się opiekuje. Ciamajda była wniebowzięta, że będzie mogła sama prowadzić samochód, i od razu postanowiła wziąć byka za rogi. Poważne ćwiczenia miały zacząć w poniedziałek rano. Dzień wcześniej Klaudia pokazała jej dokładnie, jak działają sprzęgło, hamulec i gaz, a Irene na moment usiadła nawet za kierownicą. Ku zaskoczeniu policjantki całkiem dobrze szła jej jazda w kółko. W niedzielę wieczorem Klaudia odstawiła przyjaciółkę do Klintehamn i umówiły się na kolejny dzień.

W poniedziałek rano policjantka odebrała telefon od kandydatki na kierowcę. Już po wymianie pierwszych zdań zorientowała się jednak, że coś jest nie tak.

– Irene, powiedz, co się naprawdę dzieje. Znam cię nie od dziś i słyszę, że coś narozrabiłaś, a przynajmniej tak mi podpowiada mój policyjny instynkt.

Usłyszała ciężkie westchnienie przyjaciółki.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć... – zaczęła Irene niepewnym głosem.

– Zwyczajnie, nie owijając w bawełnę.

– No więc... nieco uszkodziłam samochód – jęknęła.

– Co? Jak to uszkodziłaś?! Co się stało?! Miałaś wypadek?! Przecież wyraźnie ci mówiłam, żebyś nie wyjeżdżała z tego cholernego placu! – Klaudia nie potrafiła ukryć zdenerwowania. Co ta Ciamajda znowu zrobiła?!

– No i nie wyjechałam – zapewniła Irene. – Ale miałam strasznego pecha. Chciałam poćwiczyć jazdę do tyłu i kiedy tak sobie jechałam, nagle walnęłam prosto w drzewo. Nie wiem, skąd ono się tam wzięło, wcześniej go nie widziałam.

Klaudia wyrzuciła oczami. No tak, drzewa, jak wiadomo, mają taki wredny zwyczaj, że nagle wyrastają z ziemi, robiąc na złość niczego się niespodziewającym kierowcom. Przypomniała sobie, że na placu rzeczywiście rośnie jakieś drzewo, ale tak wielkie, że jedynie ślepiec mógł go nie zauważyć.

– Irene, ja z tobą zwiariuję! Chyba nie jechałaś do tyłu na pełnym gazie?

– Eee, właściwie to tak – wystękała Ciamajda.

– Przecież mówiłam: jedź wolno, wolniuteńko, jak ślimak. Dopiero zaczynasz, musisz nabrać wprawy, jak każdy na początku.

– Wiem, wiem, przepraszam – jęknęła. – Przyjedziesz tutaj i zobaczysz, czy da się coś zrobić z tym cholernym autem?

– Dobrze, zaraz tam będę.

Na miejscu zastała Ciamajdę krążącą z ponurą miną wokół „tego cholernego auta” i nerwowo palącą papierosa. Rzut oka wystarczył, by Klaudia się zorientowała, że pojazd do niczego się nie nadaje. Tył został uszkodzony, szyba i lampy były zbite.

– No, moja droga, gratuluję – powiedziała z przekąsem policjantka. – Masz już na swoim koncie pierwszy rozbity samochód! Nie chcę cię martwić, ale to – powiedziała, wskazując roztrzaskany pojazd –

można oddać już tylko na złom.

Ciamajda wyglądała na niepokieszoną.

– Ojej, naprawdę? To co teraz robimy? Wzywamy pomoc drogową czy jak?

– Daj spokój, zapłacisz fortunę. Zobaczę, czy działa silnik. Jeśli tak, same tak pojedziemy.

Klaudia wsiadła za kierownicę i ostrożnie przekręciła kluczyk w stacyjce. Odetchnęła z ulgą. Na szczęście silnik działał bez zarzutu.

– Wiesz co, mam inny pomysł. Zostawimy auto tutaj, a ja wrócę po nie w sobotę. Teraz nie mam czasu.

– Jejku, dziękuję ci! – Ciamajda rzuciła się koleżance na szyję i ucałowała ją w oba policzki. – A może przy tej okazji zrobimy sobie babski dzień? Przyjdiesz do mnie, ugotuję obiad, wypijemy wino albo coś innego. Co ty na to?

Klaudia zgodziła się bez wahania. Ciamajda może nie nadawała się na kierowcę, ale gotowała wyśmienicie.

– A tak w ogóle – paplała Irene – to ja chyba dam sobie spokój z tą nauką jazdy. Skoro nawet na Gotlandii nie jestem w stanie opanować sztuki prowadzenia samochodu, to najwidoczniej zupełnie się do tego nie nadaję.

Klaudia z uśmiechem objęła przyjaciółkę.

– No i co z tego? Stać cię przecież na taksówki. Poza tym masz mnóstwo innych talentów.

– Ciekawe jakich...

– Na przykład... – Klaudia udała, że głęboko się nad tym zastanawia. – Już wiem! Umiesz wybierać wyjątkowych idiotów na mężów!

Obie wybuchły śmiechem.

34.

Przez okno dachowe wpadały do pokoju promienie porannego słońca.

Jak zwykle, gdy był sam w domu, o czymś zapominał. Tym razem nie zastąpił wieczorem okien w sypialni. W pomieszczeniach na dole nigdy się tego nie robiło, ale u góry, gdzie wszystkie okna były w dachu i słońce budziło domowników czasami bladym świtem, Linda pilnowała, żeby rolety były zawsze na noc spuszczone. Zezłościło go własne roztargnienie, przez które został właśnie niepotrzebnie obudzony. Nie dość, że światło słoneczne drażniło go w oczy, to zaraz na poddaszu miało się zrobić gorąco. A przecież sam się uparł, żeby zamontować tu specjalne rolety, które odbijały światło i utrzymywały we wnętrzu niższe temperatury. Szkoda, że wczoraj wieczorem nie pamiętał, by je zasunąć.

Klnąc cicho pod nosem, Lindberg wstał i pozastaniał okna, po czym doszedł do wniosku, że pomimo zbyt wczesnej pory jest już głodny. Zszedł do kuchni, włączył ekspres do kawy i usiadł przy stole. Sięgnął po najnowszy numer „Miesięcznika Żeglarskiego”, który przyszedł wczoraj pocztą, i wyjął go z folii. Pijąc kawę i zagryzając ją czerstwą bagietką, przeczytał o regatach organizowanych na jakimś jeziorze w Niemczech i nagle uświadomił sobie, że przesunięcie wszystkim urlopów na wrzesień było jednak złym pomysłem. Nie dość, że siedział w lipcu sam w domu, to jeszcze przechodziła mu koło nosa taka fajna impreza.

Uwielbiał żeglować. Jego żona też była w tym dobra. Kilka lat temu, gdy spędzał z rodziną urlop na Majorce, wypożyczyli jacht i pływali przez cały tydzień po Morzu Śródziemnym. Zarzucali kotwicę w małych zatoczkach i nurkowali w krystalicznie czystej wodzie, a potem wylegiwali się na białym piasku, zbierali kolorowe muszle albo grali w piłkę. Chłopcy byli oczywiście zachwyceni, zresztą nie tylko oni – wszyscy zgodnie uznali, że to były jedne z najlepszych wakacji w ich życiu. Nie to co teraz. Linda z synami za chwilę pobiegnie na plażę w Costa del Sol, a on powlecze się do pracy. Żeby na komendzie było jeszcze coś ciekawego do roboty poza przyjmowaniem zgłoszeń o drobnych kradzieżach

i uganianiem się za małoletnimi wandalami, którym na wakacjach odbija. Westchnął z rezygnacją i postanowił dla relaksu pobiegać przed pracą.

Nie było jeszcze szóstej, gdy ubrał się w dres i sportowe buty. Tuż koło osiedla, na którym mieszkał, był park. O tej porze mógłby tam pobiegać bez obawy, że co kawałek będzie zaczepiany przez znajome kobiety z dziećmi albo starsze panie, które lubiły sobie z nim pogawędzić. Wszyscy wokół wiedzieli, że został słomianym wdowcem, i uczynne sąsiadki oferowały mu swoją pomoc „w razie potrzeby”, jak tylko taksówka z jego żoną i dziećmi zniknęła za zakrętem w drodze na lotnisko. Dobrze, że mógł się wówczas wymigać od rozmów z tymi „uczynnymi” damami i pojechać do pracy.

Wyszedł przed dom. Powietrze było rześkie i wilgotne, a jego nozdrza mile łechtał zapach świeżo skoszonej trawy. Żeby nie biegać między domami i ogrodami, skierował się w stronę ulicy, po której o tej porze nie przejeżdżały żadne samochody. Biegł prostą, asfaltową drogą wśród drzew i zastanawiał się właśnie, czy ktoś jeszcze wstał tak wcześnie jak on, gdy zobaczył nadbiegającego z naprzeciwka swojego sąsiada, Olafa Oeklanda. Ten machał do niego z daleka i uśmiechał się.

– Cześć, Erik! – zawołał Olaf.

– Cześć. Zaskoczyłeś mnie. Myślałem, że tylko ja tak wcześnie wstałem.

– Bardzo lubię letnie poranki. Codziennie biegam o tej porze.

– Naprawdę? Nie miałem pojęcia.

– Nie widziałeś mnie nigdy rano?

– Zwykle nie wstaję tak wcześnie. Zapomniałem zasłonić okna w sypialni i słońce mnie obudziło. Normalnie jeszcze bym spał. – Spojrzała na zegarek. – Dopiero za pięć minut zadzwoniłby mi budzik. A ty tak codziennie o tej porze? Zimą też?

– Nie, bez przesady. Biegam tylko, kiedy jest słońce. Zimą raczej siłownia.

– Świetnie wyglądasz, Olaf – stwierdził Erik.

Nie była to tylko zwykła kurtuazja. Jego znajomy rzeczywiście prezentował się znacznie lepiej niż wtedy, gdy widział go po raz ostatni. Był szczuplejszy, ładnie opalony, a jego starannie ogolonej twarzy nie szpecił kilkunniowy zarost.

– Zeszczupłałeś. Dawno cię nie widziałem. Chyba ostatni raz rozmawialiśmy jesienią. Co u ciebie słychać?

Lindberg przypomniał sobie, że musi uważać na to, o czym rozmawia z sąsiadem, ze względu na jego kłopoty z psychiką. Od czasu historii sprzed lat z wyrzucaniem mebli i sprzętu AGD przez okno, która skończyła się dla Oeklanda kilkumiesięcznym pobytem w szpitalu psychiatrycznym, ze względu na dobro rodziny trzymał go raczej na dystans. Co prawda Olaf zachowywał się ostatnio spokojnie, ale Erik, który zdołał się co nieco dowiedzieć o chorobie dręczącej Oeklanda, nie mógł mieć przecież pewności, czy jego stan się nie pogorszy, a na bruku przed jego domem znowu nie wylądują jakieś sprzęty wyrzucane w szale przez okno.

Teraz wydawało się, że sąsiad czuje się dobrze, więc pewnie stosuje się do zaleceń lekarza i regularnie przyjmuje leki.

– Jakiś czas temu wzięłem się za siebie – przyznał Olaf. – Lata leczę, najwyższy czas zadbać o kondycję. Chociaż nigdy specjalnie nie uprawiałem sportów, o ile pamiętasz. Nie to co ty.

– Pracujesz jeszcze?

– Właściwie nie. Czasami tylko pomagam w sklepie.

– Szkoa, że już wracasz. Może kiedyś wybierzemy się razem pobiegać? Jeśli uda mi się wcześniej wstać.

– Świetny pomysł. A może jutro, przy sobocie, zamiast biegania, przejedziemy się na rowerach do Kneippbyn? – zaproponował Oekland. – To tylko trzy kilometry stąd. Pewnie ostatni raz byłeś tam, gdy chłopcy byli jeszcze mali, co? Moglibyśmy zrobić sobie małe wakacje. Park wodny jest super, nie tylko dla dzieci. Pamiętaj, nie samą pracą człowiek żyje.

– Jakbyś czytał w moich myślach. – Zaskoczonemu Erikowi spodobał się ten pomysł. – O ósmej?

– Niech będzie.

– To do jutra!

– Miłego biegania. I uważaj na samotne kobiety!

Oekland, śmiejąc się, pobiegł w stronę domu i po chwili zniknął między domami.

„Będę miał jutro prawdziwe wakacje” – pomyślał zadowolony Lindberg. Kto wie, czy to nie ostatni taki spokojny weekend. Sezon turystyczny rozkręcał się z dnia na dzień i ani się obejrzy, jak będzie codziennie jechał do pracy jak na wojnę i wychodził z niej pokonany przez dziesiątki niedyscyplinowanych obywateli.

Wziął głęboki oddech. Uśmiechnął się do siebie i pobiegł w stronę pustego parku.

35.

Nie było jeszcze siódmej, gdy Kristina z radosnym okrzykiem wpadła do sypialni Sary.

– Jestem już gotowa!

Dziewczynka kręciła się w kółko i podskakiwała, gubiąc przy tym źle zapięte buciki.

– Wstawaj, mamó! Zapomniałaś? Nie idziesz dzisiaj do pracy. Jedziemy na wycieczkę!

Sara przecierała oczy. Właśnie rozpoczęła swój zasłużony urlop i po raz pierwszy od dawna nie musiała wcześniej rano wstawać. Spojrzała na zegarek, a potem na córkę. Dziewczynka sama się ubrała i uczesała. W trochę tylko potargane włosy wpięła ponad dziesięć spinek różnych kształtów i kolorów, a sukienkę założyła tył na przód. W dodatku na plecach miała brzydką plamę po majonezie, który wczoraj przy kolacji spłynął małej z kanapki na kolana. Sara była pewna, że wieczorem włożyła tę sukienkę do kosza z brudną bielizną.

– Chodź do mnie. – Wyciągnęła rękę do małej. – Kto cię tak elegancko ubrał?

– Sama. Przecież nikogo innego tu nie ma.

– Jak to nie ma? Jest przecież Marta.

– Jestem wystarczająco duża, żeby ubierać się sama. A prababcia śpi.

– Na tej sukience jest plama.

– Wyprałaś ją wczoraj.

– Nie wyprałam, tylko wrzuciłam do kosza na pranie.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– A dlaczego nie zapytałaś?

Dziewczynka wskoczyła do łóżka matki i zaczęła ją łaskotać.

– Wstań już, dobrze? – poprosiła przytyłym głosem. – Widzisz, jaką mam poplamioną sukienkę? Trzeba znaleźć czystą.

O dalszym spaniu nie było mowy. Sara wstała, wzięła córeczkę za rękę i śmiejąc się, zeszła z nią na dół do kuchni. W międzyczasie wstała też babcia Marta. Zjadły śniadanie, w trakcie którego podekscytowana Kristina wylała na siebie mleko, przez co brudna sukienka definitywnie wylądowała w praniu. Umyły się, przebrały i po dziesiątej były gotowe, żeby rozpocząć pierwszy dzień wakacji matki i córki. Sara dużo wcześniej układała plany na sobotę i zaproponowała ojcu, żeby wybrał się z nimi, ale odmówił. Dziwiła się trochę, że ostatnio nie ma dla nich czasu, ale stwierdziła, że widocznie jest zajęty w urzędzie. Okres urlopowy dla jednych był wytchnieniem, ale dla tych, którzy urlopu nie mieli, to był czas zdwojonego wysiłku. Ludziom zawsze przypominało się coś niecierpiącego zwłoki do załatwienia właśnie wtedy, gdy większość pracowników miała wolne.

Gdy rozmawiali niedawno przez telefon, Sara słyszała w głosie ojca zniecierpliwienie. Widocznie naprawdę był bardzo zajęty. Dowiedziała się tylko, że dzwonił do kolegów z parlamentu i pytał o Johanssona. Facet faktycznie zniknął z polityki i z mediów. Żył, ale jego dni były policzone. Rak zżerał mu kolejne narządy. Próbował kuracji w Norwegii, gdzie podobno czynili cuda, ale nie w jego przypadku. Zbudował dom nad jeziorem Tingstädeträsk i przeprowadził się tam na stałe ze Sztokholmu. Teraz leżał w szpitalu na Gotlandii.

Ojciec chyba nie odwiedza starego nieprzyjaciela? Sara zaczęła się nad tym zastanawiać. Nie, to niemożliwe. Co za głupi pomysł.

– Babciu, zapraszamy cię z nami do lunaparku i na lody. – Sara zwróciła się do Marty sprzątającej w kuchni.

- Dziękuję bardzo, ale mam coś do zrobienia w domu.
- To nie może poczekać?
- Jedźcie i bawcie się dobrze. Później wszystko mi opowiecie.
- Jak chcesz. Kristina, nie zabierasz ze sobą Rufusa?
- Nie. Był niegrzeczny i za karę musi dzisiaj zostać w domu. Włożyłam już do samochodu zieloną piłkę, tę od dziadka.
- No to jedziemy. Pa, babciu.

*

Rodzinny wypad zaczęły od wesołego miasteczka, które dziesięć dni temu przyjechało do Visby i zainstalowało się na placu na przedmieściu, gdzie miało stać aż do końca lipca. Sara i Kristina jeździły samochodzikami i kręciły się na karuzeli ze zwierzętami, a w tunelu krzywych luster wygłupiały się i śmiały ze swojego zniekształconego odbicia. W jaskini strachu, jadąc w wagoniku, równocześnie krzyknęły, kiedy jakaś urwana ręka przejechała im po twarzach. Kristina z wypiekami opowiadała potem mamie, jak się bała, bo myślała, że to prawdziwa dłoń! Bawiły się fantastycznie. Kupiły sobie sok i lody. A kiedy w końcu zaliczyły wszystkie atrakcje, które park rozrywki przewidział dla mniejszych dzieci, Sara zaproponowała obiad w jednej z restauracji na starym mieście. Wsiadły do samochodu i skierowały się w stronę centrum.

Na Stora Torget jak zwykle były tłumy. Letnie popołudnie przyciągnęło mieszkańców i turystów, którzy przechadzali się po brukowanych uliczkach, wstępowali do licznych kawiarni i galerii. Było gwarnie, wesoło i oczywiście średniowiecznie.

Usiadły przy stoliku w ogródku i u miłej młodej kelnerki zamówiły nuggetsy z frytkami dla Kristiny oraz sałatkę dla Sary. Śmiały się i żartowały, chociaż nie tak głośno jak wcześniej. Obie były już trochę zmęczone.

- Mogę się pobawić piłką? - zapytała mała.

- No cóż, nie za bardzo. Albo się bawisz, albo jesz, nie da się połączyć tych dwóch czynności. Poza tym - ciągnęła Sara - jesteśmy w restauracji. Co będzie, jak twoja piłka nagle wyląduje w czyjejsz zupie?

Dziewczynkę ta perspektywa najwyraźniej bardzo rozbawiła, bo roześmiała się głośno.

- Mamo, proszę. - Zrobiła przymiłną minkę. - Będę uważać, obiecuję! Nikomu nie wrzucę piłki do zupy. Ani nawet do lodów.

W końcu Sara zrezygnowana dała jej piłkę, którą dziewczynka położyła obok siebie na krześle. Ze smutkiem pomyślała, że jej babcia miała rację, mówiąc, iż musi popracować nad konsekwencją i nie ustępować córce we wszystkim. Łatwo powiedzieć...

Sara sięgnęła po pieprz, żeby doprawić sałatkę, ale kiedy odstawiała pieprzniczkę na miejsce, przypadkiem spojrzała w bok i dosłownie znieruchomiała, jakby ktoś rzucił na nią zaklęcie zamieniające ją w kamień. Instynkt macierzyński kazał jej natychmiast spojrzeć na córkę, która bawiła się piłką, uważając, by nie opuścić jej na ziemię. Tymczasem matka zobaczyła zjawę z przeszłości.

Przy sąsiednim stoliku usiadł starszy od Sary, ale wciąż młody i przystojny mężczyzna. Skinął na kelnerkę i poprosił o wodę w butelce. Był ubrany ze sportową elegancją - w modne spodnie, polo i letnią marynarkę, a krótko ostrzyżone ciemnoblonde włosy niewątpliwie dodawały mu szyku. Położył na stole markowe okulary z przyciemnianymi szklami i spojrzął przed siebie. Wówczas Sara dostrzegła jego oczy - oczy, których nigdy nie zapominała. Te stalowoszare tęczówki nieraz prześladowały ją we śnie. Nie mogła się mylić, przy sąsiednim stoliku siedział Johnny. Ten sam, który niegdyś oczarował ją i jej siostrę w Alanyi tylko po to, by później zabić Emmę i jej chłopaka. Sara poczuła, jak krążąca w niej krew zmienia się w kryształki lodu. W życiu nie była tak przerażona. Gdyby wyciągnęła rękę, mogłaby dotknąć jego ramienia. Człowieka, który zabił jej siostrę...

Jednocześnie uświadomiła sobie, że mężczyzna najprawdopodobniej jej nie poznał. Nie mógł widzieć jej oczu, gdyż cały czas miała na sobie duże okulary przeciwsłoneczne. Poza tym w niczym nie przypominała tamtej zwiariowanej dziewczyny sprzed sześciu lat. Po różowych włosach i kolczykach w brwiach i nosie nie było śladu. Zeszczupiała, a z ciemnymi, gładko zaczesanymi do tyłu włosami wyglądała na starszą, niż była w rzeczywistości. Dwa lata temu zrobiła sobie operację nosa, a potem

makijaż permanentny. Nie, nawet jeżeli Johnny był profesjonalistą i miał fotograficzną pamięć, nie mógłby jej rozpoznać. Była inną osobą.

W pewnej chwili Kristina upuściła piłkę, która potoczyła się wprost pod nogi mężczyzny. Schylił się i podniósł zgubę. Z uśmiechem podał ją dziecku, mówiąc:

– *Here you are.*

„Ten brak akcentu” – pomyślała Sara. Już wtedy w Turcji zwróciła na to uwagę. Nie była natomiast pewna, czy jego głos się zgadza. Tego jednego nie zapamiętała.

Starła się skupić na swojej sałatce i gorączkowo myślała, co powinna teraz zrobić. Jest w miejscu publicznym, więc on chyba nie stanowi dla nich zagrożenia. Ale czy na pewno? Był zawodowcem, wystarczyłyby mu sekundy, żeby zrobić im krzywdę. Zagrożenie cały czas było realne. Co go tutaj w ogóle przywiodło? Czyżby nie były z córką bezpieczne? Nie, musi chodzić o coś innego. Jest świetnym aktorem, ale gdyby wiedział, że to ona... Jego spojrzenie, gdy podawał piłkę Kristinie, było zupełnie obojętne. Nie wiedział, kim one są. A więc nie chodziło o nie.

Ta myśl dodała Sarze odwagi i pomogła jej odzyskać względny spokój. Wiedziała, że musi zachować chłodny umysł, nie wolno jej było stracić panowania nad sobą.

Gdy tylko Johnny skończył pić i wstał od stołu, ona też się podniosła. Zostawiła pieniądze na stoliku i razem z córką ruszyła za mężczyzną, trzymając się cały czas w przyzwoitej odległości, żeby jej nie zobaczył. Nie uszedł daleko. Po chwili otwierał już drzwi do hotelu – apartamentowca przy Nedre Finngränd. Postanowiła poczekać za rogiem jeszcze przez kilka minut, tak na wszelki wypadek.

– Mamo, czemu stoimy? – spytała zniecierpliwiona Kristina i pociągnęła ją za rękę. – Chodźmy już!

– Spokojnie, skarbie. – Sara starała się ukryć zdenerwowanie. – Mama musi coś sprawdzić. Może policzysz wszystkie czerwone samochody na tej ulicy?

Mała wyciągnęła paluszek i w powietrzu wskazywała kolejne czerwone pojazdy.

– A pomarańczowy to też czerwony? – spytała zciekawiona.

Sara w milczeniu pokręciła głową. Wychyliła się zza zakrętu i spojrzała w kierunku budynku, za którego bramą przed chwilą zniknął Johnny. Liczyła się z tym, że mógł ją jednak zauważyć i celowo wejść gdziekolwiek, żeby ją zmylić. Ale mężczyzna nie opuszczał hotelu, do którego dało się wejść od frontu i przez szeroko otwartą bramę wychodzącą na podwórze. Zapewne to drugie było zamknięte na noc, ale w ciągu dnia otwierano bramę dla dostawców żywności i pościeli z pralni.

– Osiem! – krzyknęła triumfalnie Kristina. – Tu jest osiem czerwonych samochodów!

– Świetnie, kochanie, teraz policz żółte.

– Ale tu nie ma żółtych! Są tylko niebieskie!

– To policz niebieskie! A ja zadzwonię do dziadka i powiem mu, jaka z ciebie świetna matematyczka.

Sara czym prędzej sięgnęła do torebki po telefon i wybrała numer ojca. Dokładnie wiedziała, co należy teraz zrobić. Najpierw zawiadomi tatę, a zaraz potem wezwie policję. Może powinna zadzwonić też do Marty? Ona na pewno zna numer telefonu do tego emerytowanego komisarza, który prowadził śledztwo. Jest detektywem, przyjaźnią się...

Po krótkiej chwili w słuchawce usłyszała zmęczony głos ojca.

– Tak, córeczko?

– Tato, przed chwilą widziałam Johnny’ego.

– Kogo widziałas?

– Człowieka, który był wtedy w Alanyi. Mordercę Emmy.

– Boże, co ty mówisz?! Nic ci nie jest? Czy on też cię widział?

– Tak, ale mnie nie rozpoznał.

– Co z Kristiną?

– Jest razem ze mną. Nie denerwuj się, nic nam się nie stało.

– Gdzie jesteście?

– Na Nedre Finngränd, koło hotelu.

– Jesteś pewna, że to był on?

– Tak, tato.

– A gdzie on teraz jest?

– Wszedł do hotelu. Jest tu tylko jedno wejście, no i szeroki wjazd na podwórze, na którym nikogo nie ma. Ale dopóki tam stałam, nie widziałam, żeby wychodził. Pewnie tutaj mieszka.

- Nic nie rób. Czekaj na mnie, zaraz przyjadę. Dojeżdżam już do Visby. Zaparkuję i zaraz tam będę.
- Pięć! – znowu usłyszała głos Kristiny. – Tu stoi pięć niebieskich samochodów!
- Wiemy już, że świetnie liczysz, ale jestem ciekawa, czy rozpoznasz też ich marki...

Kristina umiała rozpoznać logo niemal każdego producenta, co było zasługą dziadka. Nauczył tego swoją wnuczkę, a potem rozpierała go duma, kiedy ta bezbłędnie nazywała marki samochodów, uprawiając tym w zdumienie zwłaszcza żeńską część jego znajomych.

Ojciec rzeczywiście zjawił się po kilku minutach. Opowiedziała mu dokładnie przebieg spotkania w restauracji i opisała wygląd mężczyzny, który jako ostatni sześć lat temu widział jej siostrę i jej chłopaka. Tymczasem zniecierpliwiona Kristina, na którą zaaferowani dorośli nie zwracali uwagi, zaczęła płakać. Nie było innego wyjścia, jak tylko ją stamtąd zabrać. Ojciec polecił Sarze wracać na Stora Torget i się nigdzie nie ruszać.

- Zadzwoń tylko na policję – powiedziała dziewczyna.

- Na razie nigdzie nie dzwoń. Z tym zawsze zdążymy. Wejdę tam i najpierw sam się rozejrzę.

- Ależ, tato...

- Nie zna mnie. A nawet jeżeli kiedyś widział moje zdjęcie, to ja też wyglądam teraz trochę inaczej, prawda? Nic mi nie będzie.

- Chodzi mi o to, że koniecznie trzeba zawiadomić policję. Nie chcę, żebyś szedł tam sam. Tato, to zawodowy morderca!

- Co to morderca? – dopytywała się zaciekawiona dziewczynka, rękawem wycierając łzy.

- Ktoś bardzo, bardzo zły – wyjaśnił jej dziadek. – Dlatego mama zaraz cię stąd zabierze. Saro, wiem, co robisz. Poza tym nie zamierzam z nim rozmawiać. Uspokój się, nic mi się nie stanie. I na litość boską, wytrzymaj małej nos!

Sara martwiła się o ojca, ale był uparty tak samo jak ona, więc nie było sensu go przekonywać, że nawet przebywanie w jednym budynku z kimś takim jak Johnny może okazać się niebezpieczne.

Wróciły z córką do restauracji. Usiadły przy tym samym stoliku co wcześniej i podeszła do nich ta sama młoda kelnerka.

- Witamy ponownie. Czyżby panie o czymś zapomniały? Może o deserze?

- Właśnie tak. – Sara zdobyła się na uśmiech. – Poproszę duże lody z owocami dla tej damy i kawę dla mnie.

- Oczywiście.

Kelnerka zniknęła, a Sara odetchnęła głęboko i sięgnęła po swoją komórkę. Z pamięci wystukała numer telefonu.

- Cześć, Elliot. Nie masz przypadkiem ochoty przyjechać na Gotlandię? Mamy cudowną pogodę.

- Przyjedzie wujek Elliot! Przyjedzie wujek Elliot! Hurra, hurra, hurra! – podśpiewywała radośnie Kristina, machając nogami.

36.

Jan Wetterberg stał przez kilka minut obok niedawno odremontowanego apartamentowca i zastanawiał się, co zrobić. Co prawda zapewnił właśnie córkę, że na pewno nic mu się nie stanie, ale tak naprawdę nie był tego pewien. Wiedział natomiast, że tę sprawę musi załatwić sam.

Rozejrzał się powoli dookoła. Nie dojrzał w pobliżu nikogo znajomego. Przeszedł na drugą stronę ulicy i pewnym ruchem otworzył drzwi hotelu.

- Dzień dobry, panu. – Młody, nieco znużony recepcjonista grzecznie skinął głową. – Czym mogę panu służyć?

Jan spodziewał się, że padnie takie pytanie, ale szczerze powiedziawszy, nie bardzo wiedział, jakiego rodzaju pomocy oczekuje od obsługi hotelu. Najchętniej poprosiłby o numer pokoju człowieka, który uszedł tutaj piętnaście minut temu, ale tego typu propozycja mogłaby nie spotkać się z należnym zrozumieniem.

– Czy macie jakieś wolne pokoje?
– Chwileczkę, już sprawdzam. – Chłopak wszedł do komputerowego systemu rezerwacji. – Tak. Mamy jeden pokój. Na drugim piętrze, z własnym tarasem.
– Chciałbym go obejrzeć.
– Proszę zaczekać. Zaraz tam z panem podejść. Proszę tymczasem usiąść. – Wskazał wygodne kanapy w lobby. – Może napije się pan czegoś?
– Nie, dziękuję.
Po kilku minutach recepcjonista prowadził już Jana bocznym korytarzem na ostatnie piętro hotelu.
– Macie wielu gości.
Jan uznał, że może uda mu się wyciągnąć od chłopaka jakieś informacje.
– Tak, mamy doskonałą lokalizację, a w Visby jak każdego lata jest mnóstwo turystów.
– Z ostatniego piętra musi być piękny widok.
– To prawda.
– Czy ludzie zatrzymują się u was na dłużej, czy raczej na jeden, dwa dni?
– Bardzo różnie.
Recepcjonista był uprzejmy, ale nie dawał się wciągnąć w rozmowę.
– Już jesteśmy. Proszę za mną.
Weszli do pokoju, który swoim wyposażeniem i roztaczającym się z tarasu widokiem skojarzył się Janowi z apartamentem dla nowożeńców. Mógłby być miejscem akcji amerykańskiego filmu z gwiazdorską obsadą.
– To nasz najdroższy, ale też najlepszy apartament – poinformował go z dumą pracownik hotelu.
– Nie dziwię się, że jest najdroższy. Bardzo elegancki. Czy dużo macie takich pokoi?
– Nie, ten jest jedyny. Pozostałe mają wyposażenie standardowe i są dużo mniejsze.
– Na tym piętrze też?
– Tak, ale wszystkie inne pokoje są zajęte.
– Rozumiem. Jeszcze się zastanowię. To raczej pokój dla dwojga. Szukam czegoś mniejszego.
Gdy opuszczali apartament, na końcu korytarza trzasnęły drzwi. Wyszedł z nich elegancko ubrany mężczyzna w jasnej marynarce. Wetterberg widział go tylko od tyłu, ale nie miał żadnych wątpliwości, że to ten sam człowiek, którego opisała Sara. Odruchowo zacisnął pięści, ale jego twarz nie wyrażała wzburzenia. Nigdy w życiu nie był niczego tak pewien jak tego, że tę sprawę musi załatwić sam.

37.

Klaudia przez cały dzień uzupełniała i sprawdzała stare raporty. Komisarzowi Lindbergowi nagle przypomniało się, że Komenda Główna jeszcze w maju prosiła ich, tak jak wszystkie inne lokalne jednostki, o dane do corocznych statystyk dotyczących przestępczości. Zupełnie wyleciało mu to z głowy. Poprosił Klaudię, żeby szybko się z tym uporała, ale jak przyszło co do czego, to się okazało, że ich własne sprawozdania nie są kompletne i trzeba je najpierw zaktualizować oraz wprowadzić wszystko do komputera. Dziewczyna na dobre utknęła w papierach.

Od rana wertowała stare notatki, przeglądała komputerowe pliki i wydzwaniała do kolegów, prosząc ich o przypomnienie sobie jakichś szczegółów, które koniecznie trzeba było wpisać w puste rubryki formularzy. Policjantka, podobnie jak jej koledzy, traktowała papierkową robotę jak dopust boży. Ze względu na to, że sporządzanie raportów końcowych było najmniej wdzięcznym etapem śledztwa, wielu policjantów zaniedbywało tę kwestię. Klaudia doskonale zdawała sobie sprawę, że w puste rubryki mogła wpisać cokolwiek, bo pewnie i tak nikt nie zajrzy ponownie do tych dokumentów, ale na to była zbyt uczciwa.

Kiedy wskazówki na ściennym zegarze zbliżyły się do szesnastej, zdała sobie sprawę, że nie zrobiła dzisiaj nic istotnego i właściwie zmarnowała cały dzień. Ślęczenie nad raportami solidnie ją zmęczyło, bolały ją oczy i kręgosłup. Postanowiła już pójść do domu.

Była na parkingu, gdy stwierdziła, że ciocia i Rumik mogą zaczekać. Na pewno są zajęci sobą i ona nie jest im w tej chwili do niczego potrzebna. Ciocia, która na początku w kółko gderała, że bezdomny kotek oznacza tylko choroby i nieporządek w domu, teraz nie wyobrażała sobie bez niego życia. Codziennie spełniała jego zachcianki i znajdowała siły, żeby się z nim bawić. A on się odwdzięczał, mrucząc i zasypiając na jej kolanach. Cioci ubyło lat, a Klaudii przybyło wolnego czasu.

Zdecydowała, że pojedzie na spacer. Wsiadła do samochodu i skierowała się w stronę ogrodu botanicznego. Na szczęście miała specjalną przepustkę, bo zaparkowanie samochodu w obrębach muru, do tego latem, było właściwie niemożliwe.

Ten założony przez społeczników w XIX wieku obiekt znajdował się niemal w centrum miasta i zawsze ją zaskakiwał, a jednocześnie uspokajał. W myśl zasady, że do przyrody każdy powinien mieć dostęp, ogród botaniczny był otwarty cały czas, a wstęp pozostawał darmowy. Roślinność śródziemnomorska znalazła w nim doskonałe warunki, co potwierdzało tezę o najłagodniejszym w całej Szwecji klimacie Gotlandii. Klaudia, której po przekroczeniu bram ogrodu zdawało się zawsze, że w czarodziejski sposób przeniosła się do Włoch lub Hiszpanii, uwielbiała chodzić po wypielegnowanych alejkach albo siadać na trawie pod ogromnym platanem.

Wzięła głęboki wdech i poczuła ciężki zapach róż, co jak zwykle nastroiło ją bardzo romantycznie. Jedyne, czego żałowała w tej chwili, to tego, że nie było z nią Christiana. „Szkoda, że jego życie toczy się na innej wyspie” – pomyślała ze smutkiem. Doskonale wiedziała, że jego ewentualna przeprowadzka na Gotlandię jest nierealna. Praca Chrisa wiązała się z ciągłymi podróżami, wiecznie przemieszczał się z miejsca na miejsce. Doskonale rozumiała, że w Londynie jest mu łatwiej i mieszkać, i pracować, wszak to wielkie miasto, tętniące życiem przez całą dobę. A na Gotlandii mieli tylko średniowieczne zaułki i czas płynący wolno wśród krzewów pnących róż i drzew tulipanowca. I właśnie na tym polegał urok tego miejsca. Klaudia pomyślała, że oddałaby naprawdę wiele, gdyby mogła mu to wszystko w tej chwili pokazać.

Nawet sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać, ale pomimo iż ich związek był dość luźny, coraz bardziej go kochała i coraz częściej tęskniła za nim na co dzień. Wyjęła z torby telefon, żeby zadzwonić do ukochanego, ale szybko zmieniła zdanie. Nie, nie będzie mu przeszkadzać. Doskonale wiedziała, że gdyby miał czas, to sam by do niej zatelefonował.

Ostatni raz głęboko odetchnęła zapachem kwiatów i ruszyła w kierunku bramy ogrodu. Planowała jeszcze wstąpić do cukierni i kupić kawałek ciasta. Wiedziała, że sprawi tym przyjemność cioci – starsza pani była strasznym łasuchem. Klaudia z kolei lubiła słuchać jej wspomnień, które snuła, zając się słodkościami. Najwidoczniej przynieszone przez siostrzenicę ciasta przywodziły jej na myśl smaki zapamiętane z rodzinnego domu w Łodzi, skoro zawsze przy tej okazji raczyła dziewczynę jakąś dykteryjką z przeszłości. A to opowiedziała o zakochanym w służącej kominiarzu, który zawsze we wtorki przynosił stodycye – jakieś lizaki wielkości świeczki, zwane „pędzlami Matejki” (ten Matejko to polski malarz), albo czekoladę o nazwie Kinowa, ze zdjęciami popularnych aktorów i aktorek, które ciocia i jej siostra potajemnie wykradały dziewczynie. Innym razem opowiadała, jak świeżo zatrudniona kucharka Rózia za nic nie mogła nauczyć się gotować koszernych potraw i kiedyś od nich uciekła, widząc macę, do której, jak jej powiedziano, Żydzi mieli dodawać krew chrześcijańskich dzieci (Klaudia zastanawiała się, jak ktoś o zdrowych zmysłach mógł uwierzyć w te brednie). Mówiła o pierwszych zauroczeniach miłosnych, kłótniach rodziców i o żydowskich świętach. Jej siostrzenica, której matka niechętnie wracała wspomnieniami do rodzinnej Łodzi, była zauroczona tymi opowieściami. Za każdym razem miała wrażenie, że może chociaż na chwilę zajrzeć do tego nieistniejącego już świata swoich żydowskich przodków.

Zastanawiając się, jaką też anegdotę usłyszysz od ciotki tym razem, policjantka zaparkowała samochód na jednej z wąskich brukowanych uliczek i pieszo przeszła kawałek w stronę Stora Torget. Szukając wzrokiem szyldu cukierni, w której kiedyś kupiła doskonały placek ze śliwkami, nagle kątem oka zauważyła znajomą postać. No nie! Przecież to jej Chris! Co on tu robi? Wyglądało, jakby na kogoś czekał.

Nie zastanawiała się dłużej. Chociaż wiedziała, że nie powinna, postanowiła zadzwonić do Christiana, skoro wbrew wcześniejszym zapewnieniom o intensywnej pracy w Londynie pojawił się znowu

w Szwecji, i to w jej mieście. Jak mógł się z nią nie skontaktować? Zbyt mocne były jej uczucia do niego, żeby mogła odpuścić i udawać przed samą sobą, że go nie widziała. Pewnie na Gotlandię przywiodła go praca, ale powinien był od razu do niej zatelefonować. Gdyby był zajęty, przecież by się mu nie narzucała. Ale nawet jeżeli był zapracowany, to nic przecież nie stało na przeszkodzie, by chwilę porozmawiać. Klaudia była coraz bardziej rozdrażniona tą sytuacją i zachowaniem partnera, który raz zapewniał, że mu na niej zależy, i dzwonił z Anglii tylko po to, by usłyszeć jej głos w słuchawce, a innym razem przyjeżdżał do Visby i nie dawał znaku życia.

Wyjęła z kieszeni telefon i wybrała angielski numer komórkowy przyjaciela. Stała za daleko, żeby coś usłyszeć, ale widziała, jak Christian spogląda na ekran swojego iPhone'a. Jeden sygnał, drugi, trzeci... Już miała się rozłączyć, gdy usłyszała znajomy głos: „Tu Christian Behrens. Nie mogę odebrać telefonu. Po usłyszeniu sygnału – zostaw wiadomość”.

Teraz zdenerwowała się jeszcze bardziej. Widział, że to ona, i specjalnie przełączył ją na pocztę głosową. Ewidentnie jej unikał. Ale nie z nią takie numery! Była wściekła i najchętniej rozbiłaby jakiś talerz albo chociaż kopnęła stojący obok niej kosz na śmieci. Musiała się niestety powstrzymać, bo policjantce nie wypadało w ten sposób zachowywać się na środku ulicy, poza tym nie chciała zwracać na siebie jego uwagi.

Trzymana w ręce komórka zaczęła wibrować. Rzut oka na wyświetlacz wystarczył, by wrócił jej dobry humor, a przyjemne ciepło rozlało się po jej ciele. Chris oddzwaniał. „Dobre i to” – pomyślała z zadowoleniem.

– Halo? – Starła się, by jej głos brzmiał najobojętniej na świecie.

– Cześć, kochanie. Widziałem, że dzwoniłaś, ale nie mogłem odebrać. Co słychać?

Jego głos był spokojny i opanowany. Żadnej ekscytacji, że jest tak blisko niej. Nic z tego nie rozumiała, ale była gotowa się w to bawić.

– Nic takiego. Co robisz?

– Pracuję. Mam tyle spraw na głowie, że nie wiem, czym najpierw się zająć. A ty?

– Tak samo. Wiesz, jak to jest. Na Gotlandii latem zawsze dzieje się coś, co przysparza policji dodatkowej roboty.

– Jesteś na komendzie?

– Tak, a gdzieś by indziej – skłamała bez zająknięcia. Jeżeli takie są reguły tej gry, to proszę bardzo!

– Tylko nie pracuj za ciężko.

„Cóż za wzruszająca troskliwość” – pomyślała z wściekłością.

– Kochanie, muszę kończyć. Przepraszam, ale czeka mnie niedługo ważne spotkanie i chciałbym się jeszcze trochę do niego przygotować.

– Jasne, ja też wracam do moich zajęć. Miło było cię usłyszeć.

– Mnie również. Kocham cię, wiesz?

– Ja ciebie też.

„Akurat” – pomyślała. W co on gra? Stoi siedemdziesiąt metrów od niej i łyże jak pies.

Usiadła na ławce i przez kilka kolejnych minut patrzyła na Chrisa, który nawet raz nie spojrzął w jej stronę. Zobaczyła, jak podchodzi do niego niewysoka, elegancka, ubrana na sportowo kobieta po pięćdziesiątce. Klaudia zdążyła obrzucić ją badawczym spojrzeniem – towarzyszka jej partnera może nie była najmłodsza, ale niewątpliwie była atrakcyjna. Kto wie, może Christian lubi też takie kobiety. Dziewczyna przyglądała się, jak para się wita, a potem oboje odeszli razem w bliżej nieznanym kierunku. Może do hotelu na szybki numererek? Nie, nie była zazdrosna. Raczej zżerała ją ciekawość, a może i strach. Musiała się dowiedzieć, o czym Chris jej nie mówi. Ruszyła w bezpiecznej odległości za nimi, ale gdy doszła do rogu, już ich nie było.

Klaudia sama nie wiedziała, czy ma ochotę mimo wszystko go odnaleźć i zabić na miejscu, czy woli się rozpłakać. Stała tak jeszcze chwilę, aż w końcu zawróciła i weszła do cukierni.

*

Christian siedział w kawiarni i przerażony bał się oderwać oczy od swojej dziewczyny, która przechodziła właśnie na drugą stronę ulicy. Nerwowo odsunął filiżankę z kawą, rozlewając przy tej okazji swoje latte na rozłożone na stoliku dokumenty.

– Czy wszystko w porządku? – zapytała siedząca obok kobieta, sięgając po serwetkę, by wytrzeć papierę.

– Nie. Tamta kobieta – wskazał na odchodzącą Klaudię – to właśnie Klaudia Jassem.

– O, to może niech usiądzie z nami? Od razu zapytam ją o kilka rzeczy. Zaoszczędzi mi to wizyty w magistracie.

– Ona nic nie wie.

– Nie powiedział jej pan?

– Nie.

– Myśli pan, że go widziała?

– Na pewno. I dlatego dziesięć minut temu dzwoniła. A ja nie przyznałem się, że jestem w Visby.

Kobieta popatrzyła na niego z politowaniem. Co ci mężczyźni mają w głowach? Oni naprawdę muszą pochodzić z innej planety. A już na pewno jej klient.

– Proszę wybaczyć szczerość, ale skoro i tak rozmawiamy poza moim biurem... To bardzo nierozsądne, co pan zrobił.

– Klaudia o niczym nie wie – powiedział ponuro, nerwowo mnąc w dłoni opakowanie po brązowym cukrze, którego zawartość wcześniej wyspał do filiżanki.

– Czego nie wie? O domu?

– O domu też. I o mojej rodzinie.

Behrens miał minę zbitego psa. Wyglądał jak dwunastolatek, który nie dość, że został przyłapany przez rodziców na pokątnym paleniu papierosów, to jeszcze na dodatek wypalił dziurę w dywanie. Patrzył błagalnym wzrokiem na kobietę, na twarzy której malowało się coraz większe zdumienie.

– I na osobę, która nic o panu nie wie, chce pan przepisać cały swój majątek?

38.

Jeszcze raz spojrzął na leżącą na stole białą kopertę. Kto mógł mu to podrzucić? Nikt nie wiedział, że jest na Gotlandii. Nawet jego zleceniodawca.

Otworzył szeroko okno, z którego widać było dachy sąsiednich zabudowań, i sięgnął po papierosy. Palenie w hotelu było zabronione, ale czujnik dymu znajdował się na tyle daleko, że nie powinien zareagować. Zresztą będzie wydmuchiwał dym na zewnątrz. Przypomniał sobie, jak Natela prosiła go wielokrotnie, żeby rzucił papierosy. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, zwłaszcza w przypadku człowieka tkwiącego w szponach nałogu tak długo jak on – przecież zaczął palić, mając piętnaście lat, i tak już zostało. Uśmiechnął się. „Nie potrafię, kochanie” – pomyślał. „To silniejsze ode mnie. Te przekłete papierochy przejęły nade mną kontrolę”.

Wziął do ręki kopertę i wyjął poczwórnie złożoną kartkę. Zwykłą, bez żadnych zdobień, taką, jaką można kupić w każdym sklepie papierniczym. Przyglądał się jej i czytał treść już kilkanaście razy. Trzy zdania po angielsku, nakreślone drobnym, nierównym charakterem pisma. „Johansson zastawił na ciebie pułapkę i chce cię wydać policji. Leży umierający w szpitalu onkologicznym w Visby. Kocham cię”. Najbardziej zagadkowe było to „kocham cię”. Kto mógł to napisać? Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie może zlekceważyć tego ostrzeżenia, bo po Johanssonie rzeczywiście można się było spodziewać wszystkiego. Również zdrady. Prawdę mówiąc, nigdy go nie lubił i uważał go za wyjątkowo podłego człowieka. Nie oznacza to oczywiście, że jego pozostali zleceniodawcy byli ludźmi kryształowymi i chodzącymi wzorami cnót. Co to, to nie, przecież im wszystkim zależało na czyjejś śmierci, ale w Johanssonie było coś tak wstrętne, że aż go od niego odrzucało. Dobrze, że umiera.

Przypomniało mu się ostatnie zlecenie, jakie wykonywał dla tego człowieka. Wędrował wtedy po wąskich, brudnych uliczkach. Pogoda była równie piękna jak teraz. Zawsze lepiej pracowało mu się latem niż jesienią czy zimą. Dobrze, że nie musiał zabijać tej drugiej dziewczyny. Mała była sympatyczna i wyjątkowo mu się podobała, chociaż miała takie zwariowane włosy i dużo kolczyków. Z racji wykonywanego fachu znał się na ludziach, wiedział, że jest zadziorna i odważna, a poza tym czuła

do niego sympatię. A może nawet coś więcej? Przeważnie nie miało to dla niego żadnego znaczenia, ale tym razem odczuwał z tego powodu dziwną satysfakcję. Wiedział, że to zasługa doświadczenia nabytego w tym fachu i umiejętności postępowania z ludźmi, a przede wszystkim zdobywania ich zaufania. Gdyby Johansson kazał mu wywiązać się z umowy do końca, oczywiście nie miałby skrupułów, ale pasowało mu, że mógł darować jej życie. „Miała farta” – pomyślał. I niech tak zostanie. W innym życiu mogłaby mu się spodobać jako kobieta. Szkoda, że inne życie nie istniało.

Od lat już o tym nie myślał, podobnie zresztą jak o Johanssonie, aż do dnia, kiedy trafił do niego ten dziwny list z ostrzeżeniem. A więc jaką pułapkę mógł zastawić ten stary dureń? I w ogóle skąd wiedział, że ma zamiar zawitać na Gotlandię? Przecież gdyby nie kolejne zlecenie, które miał do wykonania, nie byłoby go tutaj. Johansson nie mógł wiedzieć o Lutcencie. A może to właśnie on był prawdziwym zleceniodawcą jego aktualnego zadania. Może było ono jedynie pretekstem, aby ściągnąć go na Gotlandię? Nie, to niemożliwe. Zlecenie dostał co prawda anonimowo, ale już dwa miesiące temu i gdyby nie doskonała ochrona oraz zapobiegliwość Rosjanina, dawno zlikwidowałby go w jakimś innym miejscu. Poza tym chodziło o dużo większe pieniądze, niż stary dziad kiedykolwiek widział w całym swoim życiu. Pech chciał, że jeszcze nie załatwił sprawy, więc nie mógł po prostu opuścić wyspy.

Powinien przygotować nowy plan, ale nie było na to czasu. Okoliczności zmuszały go do działania.

Zgasił papierosa i zamknął okno. Niedopałek wrzucił do ubikacji i spuścił wodę. Wziął do ręki kopertę i zszedł do recepcji, gdzie z uśmiechem przywitał go młody recepcjonista.

– Czy macie jakieś białe koperty? Chciałbym wysłać list.

– Całych białych nie mamy. Tylko z nadrukiem naszego logo.

– I papier pewnie też firmowy?

– Tak, oczywiście. Czy jeden komplet panu wystarczy? – Recepcjonista trzymał w ręku podłużną, sztywną kopertę z niebieskim logo hotelu.

– Nie, dziękuję. Rozmyśliłem się. A gdybym chciał, żebyście przekazali komuś, kto tu mieszka, wiadomość, to wsuniecie list pod drzwi?

– Nie robimy takich rzeczy. Proszę przynieść list, a my włożymy wiadomość do przegródki w recepcji. Pana znajomy dostanie go, gdy będzie odbierał klucz.

– Dziękuję za informację. Później go napiszę i przyniosę.

– Jak pan sobie życzy.

Wrócił na górę. Nie było się nad czym zastanawiać. Ktoś wie, że jest w Visby i gdzie dokładnie mieszka. Musi zmienić hotel. Jak tylko załatwi sprawę ze starym, wymelduje się z apartamentowca przy Nedre Finngränd. Jeżeli rzeczywiście Johansson zlecił jego zabójstwo, to niewykluczone, że teraz jest pod czujną obserwacją któregoś z kolegów po fachu, mimo że nie zauważył, by ktoś go obserwował. Faktem jest, że nie był zbyt czujny i mógł coś przeoczyć, a poza tym w jego branży co chwilę pojawiają się nowe twarze i nowi fachowcy, nie wszyscy rzucają się w oczy. Przecież on sam robił, co mógł, by nikt na niego nie zwracał uwagi...

Położył walizkę na podłodze, otworzył ją i wyjął ze środka jedną z przygotowanych strzykawek. Ostrożnie umieścił ją w kieszeni marynarki. Potem spakował swoje rzeczy. Jak zwykle kiedy opuszczał pokój hotelowy bądź inne lokum, w którym mieszkał, przygotowując się do wykonania zlecenia, dokładnie wytarł uchwyty mebli i klamki. Sprawdzał, czy nie zostawił śmieci i widocznych śladów swojego pobytu. Tym razem co prawda zdarzyło mu się kilka razy rozmawiać z pracownikami recepcji, ale wątpliwe, by ci młodzi chłopcy go zapamiętali. A jeżeli nawet, to mało prawdopodobne, aby mieli na tyle dobrą pamięć, by na podstawie ich opisów można było wykonać portret pamięciowy. W holu apartamentowca ani w samej recepcji, a nawet przed wejściem do budynku nie było kamer monitoringu. Był bezpieczny.

Zanim zabierze się za Lutcenkę, musi się rozprawić z Johanssonem, ale to powinno pójść gładko. Przecież nie może sprawić mu problemów wyeliminowanie słabego, umierającego na raka człowieka, który zapewne jest przypięty do różnych rurek i urządzeń. Prosta sprawa. Poza tym pójdzie tam po południu, kiedy w szpitalu zazwyczaj jest mniej personelu niż rano, ale za to więcej odwiedzających. Jeszcze tylko kupi jakieś kwiaty po drodze, przecież nie wypada iść z wizytą do starego przyjaciela z pustymi rękoma...

39.

Policja została powiadomiona o siedemnastej trzydziści. Zdenerwowana kobieta chaotycznie tłumaczyła oficerowi dyżurnemu, że jest pielęgniarką i właśnie znalazła w szpitalu dwa trupy. Ciągłe zapewniała, że obaj zmarli na pewno nie żyją, bo sprawdzała kilka razy.

Komisarz Lindberg wszedł do samochodu i czterdzieści minut później wjeżdżał na parking pracowniczy przy tylnym wejściu do szpitala onkologicznego. Czekał tam już na niego pracownik ochrony, który zaprowadził komisarza na pierwsze piętro.

– To tutaj. – Wskazał na drzwi jednego z pomieszczeń. – Zaraz jak tylko nasz lekarz dyżurny, którego natychmiast zawołano, stwierdził zgon obu mężczyzn, zamknąłem pokój na klucz.

– Czy ruszано zwłoki? – zapytał rutynowo policjant.

Ochroniarz przecząco pokręcił głową.

– Nie. Było dla nas jasne, że nie zmarli śmiercią naturalną, więc staraliśmy się niczego nie dotykać. Lekarz sprawdził tylko ich puls i kiedy się upewnił, że obaj nie żyją, wszyscy opuściliśmy pokój. Aha, jeszcze tylko wyłączył całą aparaturę, do której pacjent był podłączony. Zresztą zaraz pan zobaczy.

Po przekroczeniu progu pokoju szpitalnego, w którym wydarzyła się zbrodnia, policjant ujrzał niecodzienny widok. Na łóżku, ciągle jeszcze podpięty do specjalistycznych urządzeń i monitorów, chociaż teraz już wyłączonych, leżał siwy, wychudzony mężczyzna. Twarz miał spokojną. Można by wręcz powiedzieć, że malowała się na niej błogość. W jego ramieniu tkwiła wbita strzykawka. Trochę w poprzek, plecami do komisarza, leżał na nim drugi mężczyzna. Nie widział jego twarzy, gdyż była wtulona w poduszkę chorego, ale wyglądał na dużo młodszego niż pierwszy denat. Na prześcieradle widoczna była sporej wielkości plama krwi, ale podłoga była zaskakująco czysta. Leżały tam tylko czyste okulary przeciwsłoneczne i duży bukiet kwiatów.

– Kim są denaci? – Komisarz zwrócił się z tym pytaniem do ochroniarza.

– Nasz pacjent to Thomas Johansson. Nie wiemy, kim jest drugi mężczyzna.

– Pacjent to ten pod spodem, jak rozumiem?

– Tak.

Lindberg pochwalił ochroniarza za zabezpieczenie miejsca zbrodni. Podziękował za udzielenie informacji i poprosił o ponowne zamknięcie pokoju.

– Nasz technik kryminalistyczny powinien tu być lada moment. Do czasu jego przybycia pomieszczenie musi zostać zamknięte, nikomu nie wolno do niego wchodzić.

– Muszę wrócić do swoich obowiązków. Bardzo chciałbym tu zostać i pilnować drzwi, ale nie mogę.

– Oczywiście, zaraz będzie tu ktoś z naszych, a tymczasem poproszę o klucz. Gdzie znajdę lekarza, który widział ciała, i pielęgniarkę?

– Lekarz na pewno jest gdzieś na oddziale, a pielęgniarka czeka na pana w pokoju na końcu korytarza.

„Szkoda, że nie ma tu komisarz Jassem” – pomyślał Lindberg. Utknęła widocznie w Väskinde, gdzie ktoś zgłosił dewastację przydomowego ogródka. Swoją drogą, po co ona tam pojechała? Wystarczyło wysłać patrol mundurowych. Chyba jej się nudziło, bo strasznie się dzisiaj od samego rana rwała do pracy. Gdy tylko odebrała zgłoszenie, natychmiast ruszyła pod wskazany adres. A przecież tu miałyby co robić.

Spojrzał przez okno i zauważył, że na parking podjechał właśnie Karl Gustavson. Postanowił na niego poczekać.

– Co mamy? – spytał zaintrygowany technik, rozglądając się po szpitalnym korytarzu.

– Dość zagadkowy zgon – powiedział Karl, ruchem ręki wskazując kierunek, w którym powinni się udać. – Nie żyje dwóch mężczyzn: jeden to pacjent szpitala, a ten drugi... Nikt nie wie, kim jest. Wygląda, jakby przyszedł z wizytą, bo na podłodze leżą kwiaty, pewnie to on je przyniósł. Obaj denaci leżą na łóżku, jeden na drugim. Wygląda na to, że pacjent został otruty. W jego ramieniu tkwi jakaś igła. A ten drugi... No nie wiem, liczę na to, że uda ci się coś ustalić.

– Mówisz, że leżą jeden na drugim? – zachichotał Gustavson. – Może to para kochanków, którzy chcieli sobie pobaraszkować, i... – Urwał nagle, widząc wściekłe spojrzenie komisarza. Zapomniał, że jego przełożony nie znosi, kiedy żartuje się na miejscu przestępstwa. – To gdzie są zwłoki?

Erik w milczeniu jeszcze raz wskazał palcem na drzwi sali, w której znaleziono ofiary, po czym odwrócił się na pięcie i bez słowa skierował się tam, gdzie czekała na niego pielęgniarka.

Kobieta siedziała zapłakana w pokoju socjalnym obok dyżurki. Najwyraźniej była w szoku, co policjanta nieco zdziwiło, wszak pracowała w szpitalu onkologicznym, gdzie co chwila ktoś umierał, powinna być przyzwyczajona do takich sytuacji, a tymczasem ona zachowywała się tak, jakby po raz pierwszy widziała nieżywego człowieka. Ale nie było czasu na zbędne sentymenty – komisarz Lindberg chciał się od niej jak najwięcej dowiedzieć, zanim kobieta zapomni o jakimś istotnym szczególe. Później i tak wezwie ją na oficjalne przesłuchanie, ale rozmowa zaraz po tragedii z osobą, która pierwsza znalazła się na miejscu zbrodni, zawsze dużo wносиła do śledztwa.

– Dzień dobry. Jestem komisarz Erik Lindberg i chciałbym chwilę z panią porozmawiać – przywitał się z młodą, skośnooką kobietą.

– Jay Jung – powiedziała i głośno wydmuchała nos w chusteczkę.

– Czy to pani pierwsza zobaczyła denatów?

– Tak, ja.

– Jeden z nich to wasz pacjent, a ten drugi?

– Nie wiem, jak się nazywa.

– Znała go pani?

– Nie. Nie mam pojęcia, kto to jest.

– Może wcześniej odwiedzał chorego?

– Nikt go nie odwiedzał. Oprócz tego policjanta.

– Jakiego policjanta?

– Tego, który tu z nim siedział.

Lindberg spojrział uważnie na kobietę. „Chyba się przejęzyczyła” – pomyślał. „Widać, że szwedzki nie jest jej językiem ojczystym”.

– Widziała pani w pokoju pacjenta jakiegoś policjanta?

– Tak, właśnie to powiedziała.

– Jak wyglądał?

– Jak policjant. – Pielęgniarka wzruszyła ramionami. – Był wysoki, w mundurze, z odznaką i miał broń. Johansson mówił później, że to policjant, który go chroni. Wie pan, oni chyba się lubili, bo rozmawiali i się śmiali.

Erik nie posiadał się ze zdumienia. Podrapał się po głowie, ale postanowił, że sprawę owego „policjanta” wyjaśni nieco później, na komendzie. Jeżeli przydzielono Johanssonowi kogoś do ochrony, to znajdzie na ten temat jakieś informacje. Na pewno to nie był nikt z jego ludzi, bo wówczas musiałby wyrazić zgodę na oddelegowanie pracownika, a tego nie zrobił. Niewykluczone, że był to ktoś z prywatnej firmy ochroniarskiej, ale w mundurze, który wydał się pielęgnowarce podobny do policyjnego, stąd to nieporozumienie. Ostatecznie doszedł do wniosku, że lepiej nie drażnić tematu. Kobieta gotowa była się jeszcze bardziej zestresować.

– O czym rozmawiali? – zapytał.

– O niczym specjalnym. Jak tam weszłam, mówili o pogodzie. Johansson żałował, że nie ma siły wyjść do ogrodu.

– O której godzinie weszła pani do pokoju chorego?

– Było kilkanaście minut po siedemnastej. Najwyżej piętnaście.

– Czy zawsze o tej porze sprawdzała pani stan pacjenta, może podawała leki?

– Nie. Leki podajemy wcześniej, a do wieczornego obchodu została jeszcze godzina.

– Po co więc pani tam weszła?

– Siedziałam w dyżurce, gdy włączył się alarm w jednym z urządzeń, do których był podłączony pacjent w swoim pokoju. Sprzęt pracuje dobrze, ale czasami się zdarza, że pacjent zbyt gwałtownie się poruszy albo sam coś wyłączy, wtedy u nas zaczyna piszczeć.

– Co dokładnie oznacza to piszczenie, jak pani to nazwała?

– Że urządzenie straciło kontakt z pacjentem – wyjaśniła spokojnie.

– Słucham? Co takiego? – Lindberg otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– No, że na przykład pacjentowi zsunął się klips od pulsoksymetru albo pompa infuzyjna przestała podawać lek.

– A nie oznacza może, że pacjent umarł? – zapytał wzburzony.

– Tak też się zdarza – odparła kobieta takim tonem, jakby mówiła o pryszczu wyskakującym na nosie pacjenta.

– Czy wszystkie leki podawane są przez pompę?

– Nie. Czasami dajemy coś dodatkowo, na przykład w kroplówce...

– Czy używacie też strzykawek?

– Pacjent ma założony wenflon. Można odłączyć pompę i w to miejsce podać inny lek. Pyta pan o tę igłę wbitą w jego ramię? To nie nasza. Nasze mają inne końcówki.

Komisarz skinął głową i zapisał informację w swoim notatniku.

– Do innej aparatury nie był podłączony?

– Był. Do elektrokardiografu i jeszcze do monitora funkcji życiowych.

– Czy wszystkie te urządzenia w ten sam sposób alarmują w razie „utruty kontaktu z pacjentem”?

– Nie.

– No więc w którym urządzeniu włączył się alarm?

– Nie wiem.

– Kim pani jest tutaj na oddziale?

– Pielęgniarką.

– I nie rozróżnia pani urządzeń, do których podłączeni są chorzy?

Lindberg coraz bardziej żałował, że nie ma z nim jego partnerki. Ona lepiej radziła sobie ze zdenerwowanymi kobietami gadającymi od rzeczy. Ta dziewczyna ewidentnie coś kręci. Albo jest tak przerażona, że wszystko jej się myli.

– Sprawdziłam, który to pacjent, i wyłączyłam alarm. Potem tam poszłam.

– Weszła pani do jego pokoju natychmiast, gdy sprzęt zaszygnał nieprawidłowość? – Lindberg czuł, że zaraz wybuchnie.

– Właśnie nie. To się regularnie zdarzało i nie wydawało mi się to niczym szczególnym – mówiła zadziwiająco spokojnie. – Już kilka razy poprawiałam panu Johanssonowi wlew pompy morfinowej. Ciągłe coś mu przeszkadzało. Denerwował się, że przez te wszystkie rurki i przewody obie ręce ma unieruchomione, i sam uwalniał sobie prawą, żeby móc pisać. Nawet rano mówił, że prawa ręka jest mu potrzebna.

– Co pisać?

– A jakieś tam swoje zapiski. Czasami rozwiązywał krzyżówki. Poza tym on nie lubił, jak do niego przychodziłam.

– Dlaczego?

Lindberg znów dojrzał łzy w oczach pani Jung.

– Chciał, żeby zajmowały się nim wyłącznie szwedzkie pielęgniarki.

– A pani jest skąd?

– Siedem lat temu przyjechałam tu z Goheung w Korei.

Komisarz zrozumiał, że dziewczyna musiała zrobić coś nagannego i panicznie boi się utraty pracy. A poza tym chyba nie czuje się zbyt pewnie w szwedzkim środowisku. Postanowił jeszcze przez chwilę się postarać i wykazać anielską cierpliwością.

– No więc ile czasu upłynęło od momentu, gdy usłyszała pani alarm, do chwili, gdy weszła pani do pokoju chorego?

Pielęgniarka spuściła wzrok i zaczęła nerwowo ścisnąć trzymany w ręku plastikowy kubeczek z wodą.

– Nie pamiętam.

– Nie jestem pani szefem i nie zamierzam kwestionować pani kwalifikacji zawodowych ani oskarżać o zaniedbania na oddziale. Nie w tej sprawie tu przyjechałam. Proszę się uspokoić. Nie przekażę tej informacji pani przełożonemu. Muszę po prostu wiedzieć, o której godzinie włączył się alarm, skoro nie zauważyła pani, które urządzenie wysłało sygnał.

Dziewczyna wytarła zażawione oczy, odchrząknęła i zrezygnowanym wzrokiem spojrzała na komisarza.

– Alarm włączył się w elektrokardiografie. Odczekałam dziesięć, może piętnaście minut, zanim poszłam do Johanssona. Nienawidziłam go. Ubliżał mi przy każdej okazji i złośliwie rozsypywał przynieszone lekarstwa. Zdarzało się, że czymś we mnie rzucał. Czasami krzyczał, że takiej małpie jak ja nie

wolno zbliżyć się do białego człowieka, i kazał wzywać inną pielęgniarkę. Robiłam wszystko, żeby mieć z nim jak najmniej do czynienia.

Lindberg patrzył przerażony na kobietę. Nie wiedział, jak zareagować na te informacje. Czekala piętnaście minut, żeby sprawdzić, czy jej pacjent przypadkiem właśnie nie umiera! Długo coś zapisywał w swoim notesie, aż w końcu z westchnieniem zapytał:

– A więc było to około siedemnastej?

– Tak.

– Dziękuję. Na razie to wszystko. Wezwiemy panią jeszcze na komisariat w celu złożenia oficjalnych zeznań.

Przestraszona Koreanka wyszła, cicho zamykając drzwi. W myślach już pewnie żegnała się ze swoim miejscem pracy, a może nawet spodziewała się natychmiastowego aresztowania. Lindberg doskonale zdawał sobie sprawę, że kobieta nie jest bez winy, ale mimo wszystko trochę jej współczuł, co zresztą bardzo go zaskoczyło. Chyba mięknie na stare lata...

Komisarz poprosił mundurowego, który w międzyczasie się pojawił, żeby spisał dane pracowników szpitala, mających styczność z pacjentem, a sam udał się do gabinetu lekarza dyżurnego. Zapukał, a kiedy usłyszał zaproszenie, otworzył drzwi i wszedł do środka. Siedzący w gabinecie lekarz, szpakowaty mężczyzna w średnim wieku, spojrzął na niego znad okularów, odkładając długopis, którym uzupełniał coś w papierach.

– Dzień dobry. Komisarz Lindberg z policji w Visby. Chciałbym z panem porozmawiać na temat dzisiejszego, nazwijmy to, incydentu.

– Doktor Alvar Andersson. Chodzi panu o to morderstwo? – zapytał retorycznie i zdjął okulary. Najwidoczniej używał ich tylko do pisania i czytania. – Przykro mi, ale nie będę panu w stanie pomóc. Mamy tu dziś istne urwanie głowy. – Uśmiechnął się przeprasząco. – Wie pan, to oddział onkologiczny, leżą tu wyłącznie ciężkie przypadki...

Komisarz skinął ze zrozumieniem głową.

– Rozumiem. A może po dyżurze wpadnie pan do nas na komendę? O ile nie będzie pan zbyt zmęczony.

– Jakoś wytrzymam. Zajrzę do was rano – obiecał, wkładając okulary.

– Jeszcze jedno, doktorze: czy znał pan tego drugiego mężczyznę?

– Nie, nigdy w życiu go nie widziałem. Wygląda na to, że przyszedł do Johanssona po raz pierwszy. Nikt go zresztą nie odwiedzał poza tym policjantem, który go pilnował.

– Jest pan pewien, że to był policjant, a nie zwyczajny ochroniarz? – indagował Lindberg. – Może pomylił pan mundury?

– Pokazał mi legitymację. Właściwie nie czytywałem się w to, co tam jest napisane, ale była to z pewnością wasza legitymacja. Nie sądzę też, żebym pomylił mundury – stwierdził lekarz. – Wie pan, tak się składa, że miałem wujka w policji i jako mały chłopiec bardzo chciałem zostać policjantem. Marzyłem o takim mundurze. Wątpię, żebym się pomylił. Chociaż wie pan co... – Mężczyzna sprawił wrażenie, jakby nagle go olśniło. – Jego buty!

– Co z butami?! – zainteresował się komisarz.

– Były jakieś inne, niepasujące do munduru. Nawet pomyślałem, że pewnie zmieniliście przepisy na mniej rygorystyczne, bo wyglądały na wyjątkowo wygodne. Nie były to oczywiście buty typu adidas, ale takie, jakie nosi się do strojów o nieco swobodniejszym charakterze.

– Niech pan chwilę poczeka, zaraz wrócę i obiecuję, że zajmę panu tylko minutkę.

Wyszedł z gabinetu i po chwili przywołał mundurowego, który właśnie rozmawiał z jakąś blondwłosą pielęgniarką. Komisarz odniósł wrażenie, że ich konwersacja nie dotyczyła podwójnego morderstwa dokonanego na terenie szpitala.

– Przepraszam, ja tylko zbieram dane... – tłumaczył się nieco zakłopotany funkcjonariusz, jak dziecko przyłapano na wydfubrywaniu rodzynków z ciasta.

– Dobra, dobra. – Przełożony lekceważąco machnął ręką. – Chodźcie ze mną do gabinetu lekarza i pokażcie mu swoje buty.

– Buty?!

– Tak, buty, no już, chodźcie.

Po chwili lekarz z uwagą przyglądał się obuwiu funkcjonariusza w mundurze.

– Czy to były takie buty? – spytał komisarz.
Lekarz przecząco pokręcił głową.
– Nie, jak już wspomniałem, tamte wyglądały na dużo wygodniejsze, miały bardziej sportowy fason.
– Dziękuję, jesteście wolni. – Komisarz lekko pchnął mundurowego w kierunku drzwi.
Wszystko się coraz bardziej gmatwało. Najwidoczniej mieli do czynienia z jakimś oszustem.
– Przepraszam, panie komisarzu, ale ja naprawdę nie mam dla pana czasu. Wie pan, obowiązki zawodowe...
– Tak, tak, oczywiście. Widzimy się jutro na komendzie – powiedział Lindberg, łapiąc za klamkę. – Do widzenia! Aha, jeszcze jedno, potrzebna mi będzie dokumentacja waszego pacjenta.
– Oczywiście, niech pan poprosi o to w recepcji. Mogą ją tam dla pana skserować.
Lindberg w zamyśleniu skierował się do sali, w której leżały zwłoki i w której pracował już Gustavson. Wcześniej myślał, że ochronę Johanssonowi przydzieliła policja w Sztokholmie, wszak był on znanym politykiem i byłym parlamentarzystą, ale uwagi lekarza dotyczące butów naprowadziły go na inny trop. Może Gustavson, pracujący od godziny na miejscu zbrodni, ustali coś, co rozjaśni mu w głowie.
– Opowiadaj: co tutaj mamy? – zapytał, wchodząc do sali.
Po uzyskaniu zgody lekarza sądowego z Solny nieboszczycy zostali rozdzieleni. Oba ciała leżały teraz obok siebie – jedno na łóżku oddziałowym, a drugie na przywiezionym specjalnie przez sanitariuszy łóżku do transportu pacjentów. W drugim ciele, tuż pod sercem, tkwił wbity aż po rękojeść nóż.
– Dokładnie dowiemy się wszystkiego po sekcji zwłok – powiedział Gustavson. – Zawiadomiłem już Zakład Medycyny Sądowej w Solnie. Przyślą lekarza i swoich ludzi po zwłoki. Powiem ci tylko, że morderca wbił w ramię chorego strzykawkę, najprawdopodobniej z jakimś lekiem, może trucizną, a może czymś zwiotczającym mięśnie. Zdaje się, że tym momencie nadział się na nóż, który pacjent trzymał w prawej ręce. Jakby był przygotowany na ewentualny atak. Wygląda na to, że obaj zmarli bardzo szybko. Powiedziałbym nawet, że morderca natychmiast. Jest stosunkowo mało krwi jak na ranę kłutą.
– Słyszałam, że macie tu coś interesującego. – Do pokoju weszła Klaudia Jassem, którą zawiadomiono, że jest potrzebna w szpitalu. Jak tylko skończyła badać akt wandalizmu w sąsiedniej miejscowości, zaraz przyjechała do Visby.
Rzuciła okiem na leżące obok siebie dwa ciała. Pomyślała, że najwidoczniej w twierdzeniu jej ciotki, że ten zakład to umieralnia, a nie szpital, w którym leczy się ludzi, było sporo racji. Po chwili jednak musiała odwrócić głowę. Przeszył ją dreszcz. Chociaż Gustavson uparcie powtarzał, że do widoku trupów można przywyknąć, ona nie potrafiła. Po wielu latach pracy w policji udało jej się na tyle opanować swoje reakcje, że koledzy nie zauważali, kiedy czasami robiło jej się słabo na widok czyichś zmasakrowanych zwłok.
– Lepiej późno niż wcale – przywitał ją Gustavson, ignorując jej reakcję na ciała. – Załapałaś się na końcówkę imprezy. Niedługo ich zabiorą. – Wskazał na nieboszczyków.
– Kto to jest?
– Starszy to Thomas Johansson – odparł Lindberg.
– Johansson, ten polityk?
– Chyba ten sam. A co, znałaś go?
– Strasznie wygląda. Nie spotkałam go nigdy osobiście, chociaż mało brakowało.
– Miał ostatnie stadium raka. Tego drugiego jeszcze nie zidentyfikowaliśmy.
Klaudia z uwagą przyglądała się młodszemu z mężczyzn. Miał szeroko otwarte oczy i spierzchnięte, rozwarłe usta. Jakby ostatkiem sił próbował łąpać resztki powietrza.
– Wydaje mi się – powiedziała bardzo powoli – że skądś go znam.

Temperatura obniżała się bardzo powoli. Cały czas było gorąco, chociaż słońce przesuwano się już za drzewa, zmierzając w kierunku linii horyzontu. Jeszcze chwila i wszystko wokół spowije chłodny cień, jak zwykle w późne, leniwe lipcowe popołudnie.

Kristina grała w piłkę z wujkiem Elliotem. Słońce nagrzało ziemię i oboje biegali boso, wesóło przy tym pokrzykując. Wcześniej gonili się, robiąc głupie albo straszne miny, i polewali się wodą z węża ogrodowego. Marta śmiała się, że wreszcie ktoś go właściwie wykorzystuje. Nakrywając do kolacji przy dużym drewnianym stole, który od początku lata stał w ogrodzie, przyglądała się owej dwójce z uśmiechem. Na granatowo-białym obrusie w kratę rozłożone były już ciemne kamionkowe talerze, a w szklankach tkwiły żółte serwetki. Przyniosła z kuchni kolejny półmisek i postawiła go obok dzbanka z lemoniadą i wielkiej misy ziemniaków posypanych koprem. Do tego podała śledzie na słodko. Obok, na tacy stał tort kanapkowy z krewetkami, świeżymi ogórkami, pomidorami i zieloną sałata. Zapowiadała się fantastyczna letnia uczta.

Sara leżała na hamaku z zamkniętymi oczami i udawała, że śpi. „Wspaniale jest spędzać urlop w domu” – pomyślała. Jest środek tygodnia, a ona od rana nic nie robi, tylko wyleguje się na słońcu, popija zimne napoje i rozmawia z najbliższymi. Gdyby tylko żyli Emma i Anton... I gdyby nie Kristina, która cały czas była oczywiście najważniejszą osobą w życiu Sary, ale jednocześnie nie pozwalała jej zapomnieć o Rodriguezie...

Myśli dziewczyny uciekły w stronę innego mężczyzny, który odgrywał coraz istotniejszą rolę w jej życiu. Sama przed sobą musiała przyznać, że Elliot, brat Antona, stał się jej naprawdę bliski. Nawet nie zauważyła, kiedy to się wydarzyło. Był jak prawdziwy przyjaciel, na dobre i na złe, z którym zawsze mogła o wszystkim porozmawiać, tym bardziej że nadawali na tych samych falach. Ze względu na córkę nie zamierzała się jednak z nikim wiązać. Może kiedyś... Teraz tego nie chciała. A może nie potrafiła? Przecież dawno już przestała czekać na powrót Rodrigueza. A jeżeli w głębi duszy jednak na to liczyła?... „W życiu dzieje się tyle rzeczy, na które nie mamy wpływu” – pomyślała.

Znowu przypomniał jej się Johnny. I ten podły Thomas Johansson.

Tego dnia, gdy zobaczyła człowieka, który zamordował jej siostrę, ojciec opowiedział jej, co Johansson napisał w swojej książce.

Siedzieli z Kristiną w restauracji, gdy wrócił z rekonesansu w hotelu. Udało mu się ustalić, w którym pokoju mieszka Johnny. Powiedział wtedy, że tę sprawę musi załatwić sam, i miał przy tym bardzo zawzięty wyraz twarzy.

Ona chciała powiadomić przynajmniej Rolfa Tumegårda, z którym przyjaźniła się babcia, a który przecież prowadził tamto śledztwo. Jednak ojciec stanowczo zabronił jej rozmawiać o tym z kimkolwiek. Zdenerwował się nawet, gdy powiedziała o telefonie do Elliota. Wydawało jej się, że dobrze zrobiła, informując brata zamordowanego o tym, że znalazła mężczyznę, który jest winny wszystkich ich nieszczęść, ale ojciec miał inne zdanie.

Nie mogła zapomnieć, co powiedział jej wtedy ojciec, w zaciszu restauracji.

– Posłuchaj, dziecko. Zastanawiałem się, czy ci o tym mówić, bo może to będzie zbyt wielki ciężar dla ciebie, ale w końcu uznałem, że musisz wiedzieć.

Kristina na szczęście ich nie słuchała. Skupiła się na kolorowaniu obrazka w książeczkę, którą razem z kredkami przyniosła jej przed chwilą kelnerka.

– Miałaś zginąć razem z Emmą. To Johansson. To on wydał na was wyrok, a wszystko przez to, że chciał uderzyć we mnie. Tak się składa, że jakiś czas temu prowadziłem swoje prywatne śledztwo w sprawie jego powiązań ze światem przestępczym w Niemczech. W końcu zdobyłem na tyle mocne dowody, że mogłem ujawnić swoje podejrzenia, a ten przekłęty Johansson musiał się jakoś o tym dowiedzieć. Zamiast jednak uderzyć we mnie, wymierzył cios w mój najczulszy punkt... Wynajął płatnego zabójcę, żeby dopadł moje dzieci. Tak, kochanie – powiedział, widząc zdziwienie malujące się na jej twarzy. – Ten sympatyczny Johnny, którego tak polubiłaś, był profesjonalnym zabójcą, opłaconym przez tę kanalię. Jak wiesz, dzięki twojej ciąży, o której wówczas nie miałaś pojęcia, udało mu się dopaść tylko Emmę. Anton zginął przypadkowo, a ty przypadkowo przeżyłaś. Dziękuję Bogu, że wkrótce po tym wycofałem się na dobre z wielkiej polityki – zakończył, chowając twarz w dłoniach.

Wspomnienie tamtego popołudnia wracało do Sary jak bumerang. Teraz też zastanawiała się, czy gdyby ojciec nie wycofał się z polityki, morderca zaatakowałby ponownie. Czy ona też kiedyś będzie miała tak zawziętego wroga? A może już gdzieś żyje ktoś, kto nienawidzi jej tak bardzo, że byłby gotowy

zabić... No ale przyjaciół na szczęście też ma. Dobrze, że jest Elliot, któremu wszystko zawsze może opowiedzieć.

Wstała z hamaka i poszła pomóc Marcie w kuchni.

– Weź sztućce i dzbanek z mlekiem – poprosiła babcia.

– Dla nas czworga czy może spodziewamy się kogoś jeszcze? – Sara mrugnęła porozumiewawczo do Marty.

Babcia się uśmiechnęła. Były komisarz Tumegård, a teraz prywatny detektyw, rzeczywiście często ich od jakiegoś czasu odwiedzał. Sara widocznie to zauważyła, chociaż Marta starała się, jak mogła, żeby tę zacieśniającą się przyjaźń ukryć przed rodziną.

– Nie, dzisiaj nikogo się nie spodziewamy – odparła. Po chwili jednak dodała: – A może jednak tak. – Wskazała wjeżdżający właśnie na podwórko terenowy samochód Jana. – Ten to wie, kiedy się pojawić.

– Kolacja w ogrodzie, tato! – zawołała przez otwarte okno Sara.

Wetterberg wszedł do kuchni z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Widzę, że idealnie trafiłem.

– Myj ręce, zaraz siadamy do stołu. Wszystko już naszykowane.

– Niestety, nie zostanę z wami, choć bardzo bym chciał. Jutro lecę do Kolumbii i mam mało czasu...

– Co? – Zdziwione Sara i Marta zareagowały prawie równocześnie.

– Tyle się ostatnio dzieje wokół nas ważnych rzeczy, że postanowiłem odnaleźć Rodrigueza i dowiedzieć się, czy jeszcze pamięta Szwecję i czy nie chciałby na stałe dołączyć do naszej rodziny.

– Tato, co ty wygadujesz? – Sara usiadła oniemiała na taborecie. Pomyślała, że chyba oszalała. – Czy nie uważasz, że powinieneś uzgodnić to ze mną?

– Nie chciałybyś, żeby Kristina wychowywała się z ojcem? Żeby go w końcu poznała? Przecież w Kolumbii także ma dziadków, jakieś ciotki, wujków, swoich kuzynów. Tam są jej korzenie, tak samo jak w Szwecji. Nie możesz odcinać od nich swojego jedyne dziecko!

– Tak, ale...

Sara na próżno szukała w głowie sensownych argumentów, by wybić ojcu z głowy ten nedorzeczny pomysł. Z nadzieją spojrzała na babcię, ale ona nie okazała się tym razem pomocna.

– O której godzinie masz lot? – zapytała rzeczowo teściowa Jana.

– Przed południem, jakoś po jedenastej. Nie było biletów na lot ze Sztokholmu, więc lecę z Kopenhagi. Zaraz mam prom do Oskarshamn.

– Nie wolałeś lecieć do Kopenhagi samolotem?

Jan spojrział na Martę z dezaprobatą i nie odpowiedział na pytanie.

– Tato, przecież Rodriguez nawet nie wie o istnieniu Kristiny. Jak sobie to wszystko wyobrażasz? – wydusiła z siebie jego córka.

– Wszystko będzie dobrze, zaufaj mi. Elliot jest w ogrodzie?

– Tak. Razem z Kristiną.

– Pójdę się z nimi pożegnać.

Po dwóch minutach ojciec był już z powrotem przy samochodzie.

– Chodź, zamknij za mną bramę – krzyknął do Sary.

– Co mam zrobić? Zamknąć bramę? – zdziwiona spojrzała na babcię. – Przecież nigdy jej nie zamykamy. Babciu, tata zwariował.

Marta wzruszyła obojętnie ramionami.

– Idź do niego.

Sara była coraz bardziej przerażona zachowaniem ojca. Kiedyś czytała, że u ludzi w jego wieku mogą występować objawy choroby psychicznej, nawet jeżeli w młodości byli zdrowi. Kiedy jednak zbliżyła się do stojącego przed samochodem Wetterberga, ten przytulił ją mocno i spojrział córce głęboko w oczy. W jego wzroku nie było ani krzty szaleństwa.

– Im mniej wiesz, tym lepiej. Przez jakiś czas mnie nie będzie.

– Tato, co się stało? Dokąd ty jedziesz?

– Mówiłem ci, jutro przed południem mam samolot z Kopenhagi do Bogoty. Wszystko będzie dobrze. I pamiętaj, żebyś nie opowiadała nikomu o książce. A teraz zamknij za mną tę bramę.

– Tato, dlaczego? Co się dzieje?

Jej pytanie pozostało bez odpowiedzi. Ojciec już wsiadł do samochodu i odjechał. Stała na ulicy i patrzyła za nim, aż auto zniknęło za zakrętem. Nic z tego nie rozumiała.

Elliot z Kristiną podeszli do niej.

– Kiedy dziadek wróci? – zapytała dziewczynka.

– Za jakiś czas – odparł wujek. – Na pewno pierwsza się o tym dowiesz. A teraz leć umyć ręce i siadaj do stołu. Zaraz przyjdziemy. I zabierz ze sobą Martę! – zawołała za biegnącą już w stronę domu małą.

– Co tata ci powiedział? – zapytała Sara, gdy Kristina zniknęła w drzwiach.

– Tylko tyle, że mam się wami zaopiekować.

– Powiedział ci, że jedźcie do Kolumbii?

– Do Kolumbii? Nie. Mówił tylko, że musi wyjechać na jakiś czas. Po co miałybyście lecieć do Kolumbii?

– Elliot, nie wiem, o co tu chodzi. Boję się o niego.

– Może postanowił zrealizować nasz plan?

– Nie wygłupiaj się. Bez urazy, ale twoja intryga była mocno naciągana. Gdybyś chciał zarabiać, pisząc kryminały, umarłbyś z głodu. – Dała mu lekkiego kuksańca w bok.

– Nie mów, że pomysł wzajemnego napuszczenia na siebie Johanssona i Johnny'ego ci się nie spodobał. Też się z tego śmiałaś.

– Było mi to potrzebne, żeby odreagować stres po spotkaniu z mordercą i po zapoznaniu się z tą całą historią opisaną w książce. Ale widziałeś przecież, ojciec się nie śmiał.

– Kiedy? Gdy rozmawialiśmy w niedzielę?

– Myśmy się wygłupiali, snując teorie spiskowe, a on siedział poważny. Co on wymyślił?

Sara martwiła się, że ojciec planuje zrobić jakąś głupotę.

– To był naprawdę dobry pomysł – upierał się Elliot. – Zawiadamiamy Johanssona, że płatny zabójca, z którego usług kiedyś korzystał, jest w Visby, żeby go zabić. Potem wysyłamy informację do Johnny'ego, że jego niegdysiejszy zleceniodawca chce go wydać w ręce policji. Swoją drogą, ciekawe, po co ten człowiek w ogóle tu przyjechał...

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. – Sara aż się wzdygnęła na wspomnienie stalowoszarych oczu zabójcy.

– Powinnaś była go zapytać.

– No *sorry*. Jakoś się nie złożyło.

Sara trzepnęła Elliota w ramię. Znowu się uśmiechała.

– Chodźmy coś zjeść.

Weszli do domu, żeby umyć ręce przed kolacją. W radiu ustawionym na lokalną stację właśnie zaczynały się wiadomości z dziewiętnastej. Wchodząc do kuchni, w której były drzwi do ogrodu, usłyszeli, jak spiker beznamiętnym głosem oświadcza: „Dzisiaj po południu w szpitalu onkologicznym w Visby zmarł były wykładowca uniwersytecki, parlamentarzysta i członek Szwedzkich Demokratów, Thomas Johansson. Miał sześćdziesiąt lat. Rodzinie i przyjaciołom składamy serdeczne wyrazy współczucia”

41.

Po raz piąty w ciągu ostatnich paru dni wybierał ten sam numer telefonu. Miał niemal absolutną pewność, że i tym razem nie uda mu się z nią porozmawiać. Był skłonny przyznać, chociaż wcale tak nie myślał, że wina leżała po jego stronie, i za wszystko na wszelki wypadek przeprosić. Niestety Klaudia nie odbierała połączeń, co uznał za irracjonalne zachowanie. Zastanawiał się, czy porozmawiałaby z nim, gdyby zadzwonił z jakiegoś innego, najlepiej szwedzkiego numeru, ale później doszedł do wniosku, że to byłoby nieuczciwe z jego strony. Uciekanie się do podstępów było poniżej jego godności. Dotychczasowe mijanie się z prawdą uważał za usprawiedliwione, nie czuł, że oszukuje przyjaciółkę. Kilkakrotnie robił rachunek sumienia i za każdym razem stwierdzał, że ani razu jej nie okłamał. Najwyżej zataił parę

faktów. Ale przecież to wszystko nie miało znaczenia. Najważniejsze było, że ją kochał i był gotów zmienić dla niej całe swoje życie. Gdyby tylko chciała go wysłuchać...

Christian nie bardzo wiedział, co jeszcze może zrobić. Pomysł z kupieniem wielkiego bukietu róż i osobistym wręczeniem go obraźliwej dziewczynie na komisariacie tylko na początku wydał mu się atrakcyjny. Z czasem doszedł do wniosku, że nie jest to najlepsze rozwiązanie. Po pierwsze: mogło jej tam wcale nie być, a po drugie: nie wiedział, jak ona na takie przedstawienie zareaguje. Sytuacja, zamiast się wyjaśnić, mogłaby się jeszcze bardziej skomplikować. Nie chciał też sterczeć pod jej pracą, bo mogłaby pojawić się w towarzystwie kolegów i go zignorować, a jemu nie wypadłoby za nią krzyknąć na parkingu. Tam na pewno wszędzie są kamery, potem cała komenda śmiałaby się z niej, że ma szalonego chłopaka. Nawet nie wiedział, czy jej współpracownicy o nim kiedyś słyszeli. Przecież on także nie wszystkim opowiadał o swojej szwedzkiej miłości. A jeżeli nigdy im o nim nie mówiła, to mogliby go wziąć za zwykłego prześladowcę – to by oznaczało dla niego poważne tarapaty. Łatwiej byłoby czekać na nią pod domem, ale nie chciał rzucać się w oczy. Klaudia czasami wracała bardzo późno, a siedzący wiele godzin w samochodzie obcy mężczyzna obserwujący okolicę na pewno zwróciłby uwagę sąsiadów. Zresztą wiedział, że mieszka z ciotką. Bał się zdenerwować chorą na serce starszą panią.

I wtedy przyszła mu do głowy pewna myśl. Dziewczyna opowiadała mu kiedyś, że jej ciotka urodziła się w Polsce i wyjechała stamtąd jako dwunastolatka. Może będzie jeszcze pamiętała mowę ojczystą. Powinna się ucieszyć, słysząc znajomy język. On radził sobie z polskim całkiem nieźle i teraz postanowił wykorzystać to jako argument na swoją korzyść. Spróbuje przekonać panią Alinę, żeby się z nim wstawiła u Klaudii.

Jak wymyślił, tak zrobił. Bez problemu trafił na Polhemsgatan i zaparkował na wprost furtki, pod którą kiedyś wysadzał Klaudię, gdy wracali z wieczornego spaceru. Miał szczęście. Starsza pani siedziała na ganku w bujanym w fotelu. Obok niej, na pluszowym kocyku wylegiwał się szary, pręgowany kotek.

Kiedy Christian zbliżał się do furtki, kot podniósł głowę, przeciągnął się i wygramolił z kocyka. Potem kilkoma susami pokonał schody i majestatycznie kroczył gościowi na spotkanie. „Jak się po polsku woła na koty?” – gorączkowo myślał mężczyzna. Przypomniał sobie w ostatniej chwili.

– Kici, kici! – zakrzyknął na tyle głośno, żeby nie tylko kot go usłyszał, ale przede wszystkim ciotka Klaudii.

Rzeczywiście, Alina, która wodziła wzrokiem za Rumikiem, zwróciła uwagę na tajemniczego mężczyznę. Kot zatrzymał się na trawie i z niepokojem patrzył na obcego, próbując zrozumieć, czego ten od niego chce. „Trudno” – pomyślał Christian. „Może ze starszą panią będzie łatwiej”. Tylko co tu powiedzieć? Z matką rozmawiał zawsze po polsku, ale ponieważ ostatnio wyłącznie się kłócili, nie przebierając w epitetach, żaden sensowny zwrot nie przychodził mu do głowy.

– Dzień dobry, pani – zawołał jednak po szwedzku.

Im więcej czasu spędzał na Gotlandii, tym lepszy był jego akcent, chociaż i tak wszyscy wokoło rozmawiali z nim po angielsku. Trudno w takich warunkach uczyć się języka.

Staruszka wstała z fotela i trzymając się balustrady, obserwowała Christiana.

– Dzień dobry. Czego pan chce?

– Jestem znajomym Klaudii.

– Nie ma jej. Jeszcze nie wróciła z pracy.

– Tak, wiem. Chciałbym z panią porozmawiać. Czy mogę wejść?

– Ma pan obcy akcent. Skąd pan jest?

– Przyjechałem z Anglii.

– Przyjechał pan do Klaudii? Nie może się pan u nas zatrzymać. – Starsza pani przyglądała mu się badawczo.

– Mieszkam w hotelu. Chcę tylko z panią porozmawiać.

– Może pan usiąść ze mną w ogrodzie – zgodziła się łaskawie. – Tylko proszę pomóc mi zejść po schodach. Z tyłu domu jest stół i krzesła.

Christian wziął panią Alinę pod rękę i powoli sprowadził ją ze schodów. Potem okrążyli dom i doszli do kolorowych, plastikowych mebli stojących na wyłożonym kostką brukową małym placu przylegającym do muru. Usiedli przy stole. Po chwili dołączył do nich kot, który ułożył się na trawie w bezpiecznej odległości.

– A więc kim pan jest? – zapytała bez ceregieli ciotka Klaudii.

– Nazywam się Christian Behrens i jestem chłopakiem pani wnuczki.
– A ja nazywam się Alina Goldstein i nie jestem jej babką. Ale niech będzie. I tak nigdy wcześniej o panu nie słyszałam. Klaudia nie mówiła, że się z kimś spotyka. – Kobieta spojrzała na niego spode łba. Chris z trudem przełknął ślinę. Z nerwów w gardle urosła mu gula. Ostatni raz czuł się tak na egzaminach w czasach studenckich.

– Przykro mi, bo ja o pani ciągle słyszę – powiedział z uprzejmym uśmiechem. – Wiem na przykład, że jako dziecko mieszkała pani w Polsce.

– Co to ma do rzeczy?

– Moi dziadkowie byli Polakami i właściwie mama też jest Polką. Nauczyła mnie języka. To było dla niej bardzo ważne.

– A szwedzkiego kto pana uczył?

– Ojciec jest Szwedem.

– Stąd?

– Nie, z Eskilstuna.

– A dziadkowie skąd byli, z jakiego miasta? – dopytywała zaintrygowana starszka.

– Z Żydaczowa.

– Nie znam. – Wzruszyła ramionami. – To chyba mała miejscowość. Gdzie to jest?

– Niedaleko Lwowa, nad Stryjem. To taka rzeka.

– To akurat wiem – powiedziała nieco urażona.

Rozmowa nie za bardzo się kleiła. Starsza pani przyglądała się przybyszowi z rezerwą.

– Kiedy wyjechali z Polski? – zapytała po dłuższej chwili milczenia.

– Zaraz po zakończeniu wojny, gdy granice były jeszcze słabo strzeżone. Jak tylko się okazało, że do władzy doszli komuniści, i zaczęło się wyłapywanie wrogów nowego systemu. Mieszkali wtedy pod Warszawą. Babcia była w ciąży, a dziadek był wysokiej rangi wojskowym. Karierę w wojsku zaczynał przed wojną i bał się, że go aresztują. Uciekli do Londynu.

– Czasami to jedyne wyjście – westchnęła, kiwając ze zrozumieniem głową. – Ale czy z komunistami nie dało się dogadać? Przecież to też byli Polacy.

– Nie, proszę pani. To byli wstrętnei bolszewicy, mordercy. A poza tym dużo było wśród nich Rosjan i Żydów, którzy występowali się komu popadło. Sama hołota się wtedy dorwała do władzy.

Alina spojrzała na niego złowrogo, ale mężczyzna, niezrażony, kontynuował swój wywód:

– Prawdziwi Polacy zmuszeni byli ukrywać się albo emigrować. Tak samo jak pani przed wojną.

– Ile pan ma lat?

– Czterdzieści.

– To dużo za dużo, żeby być takim ignorantem – wymamrotała pod nosem.

– Słucham? – nie zrozumiał.

– Proszę pomóc mi dojść do domu – zażyczyła sobie starsza pani cicho, ale stanowczo, energicznie wstając z krzeselka.

Behrens zdziwił się, ale posłusznie wykonał polecenie. Przy schodach starszka na moment przystanęła. Patrząc karcącym wzrokiem, wysyczała mu prosto w twarz:

– *Bakimen aos!*

– Przepraszam, nie rozumiem.

Christian nie wiedział, jak zareagować. Nie znał znaczenia tych słów, nie wiedział nawet, w jakim zostały wypowiedziane języku.

– To w jidysz. A teraz żegnam. Już się pan nasiedział.

– Ale...

– I proszę się tu nigdy więcej nie pokazywać.

Kobieta weszła po schodach, mocno trzymając się poręczy. Nawet się nie odwróciła. Kot wbiegł zaraz za nią i razem zniknęli za powoli zamykającymi się drzwiami.

Christian nie rozumiał, co się właśnie wydarzyło. Co takiego zrobił? Przecież był miły i z ochotą wykonywał prośby ciotki. Co ona powiedziała? „To w jidysz” – jeszcze dźwięczało mu w uszach. Wyjął z kieszeni swojego iPhone’a i wpisał hasło w wyszukiwarkę. Hasło, które się wyświetliło, omal nie ścięło go z nóg: „Jidysz – jeden z języków żydowskich. Używany na terenach Europy Wschodniej. Wyraz żydowskiej tożsamości i czynnik tworzący kulturę Żydów”.

„No pięknie” – pomyślał. „No to się popisałem...”

42.

W porze lunchu odezwała się komórka Klaudii. Policjantka spojrzała na wyświetlacz, na którym pojawił się napis „Ciamajda” Przyjaciółka miała przyjechać na Gotlandię na wakacje, właściwie to wczoraj miała dzwonić i umówić się z nią na spotkanie.

– Hej, Klaudia. Dzwonię dopiero teraz, bo jestem w szpitalu w Visby. Miałam atak astmy, tak zaczęłam się dusić, że moja sąsiadka, niezwykle wścibska osoba, zadzwoniła po pogotowie. Chyba dobrze zrobiła, bo nie zabrałam ze sobą lekarstwa.

– Nie wiedziałam, że chorujesz aż tak poważnie – zdziwiła się Klaudia, a po chwili przywołała w pamięci obraz koleżanki palącej papierosa po tym nieszczęsnym wypadku na placu. – Ale skoro masz astmę, to nie powinnaś palić. Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, że sama sobie szkodzisz?

– Po pierwsze: nie choruję poważnie, a ataki miewam, jak się zestresuję albo bardzo czymś zdenerwuję. Wystarczą wtedy dwa wzięwy z inhalatora, ale akurat go ze sobą nie miałam. A po drugie: palę naprawdę sporadycznie, góra dwa, trzy papierosy na miesiąc. I obiecuję ci solennie, że z tym skończę. Ale nie po to do ciebie dzwonię, żeby gadać o moich nałogach. Wczoraj przyszedł list od prawnika mojego eks. Przyjaciółka, która opiekuje się moim mieszkaniem, otworzyła pismo i przesłała mi skan. Mój były mąż domaga się ode mnie alimentów. Rzucił pracę i chce, żebym mu płaciła jakąś kosmiczną kwotę, bo jego standard życia nie może się obniżyć z powodu rozwodu. Gdybym miała słabe serce, to dostałabym zawału. A tak dostałam tylko ataku astmy. Ale już wszystko jest pod kontrolą.

– Chcesz, żebym przyjechała do szpitala?

– Nie, jutro wyjdę i chyba wrócę już do Sztokholmu. W szpitalu zrobiło się bardzo tłoczno, bo zamordowali jakiegoś polityka. Wiesz coś o tym?

– Trudno, żebym nie wiedziała. Pracuję w dochodzeniówce, zamordowane osoby to moja specjalność.

– Jedna z pielęgniarek opowiadała mi, że do morderstwa doszło pod okiem policjanta. To było ponoć nawet podwójne morderstwo. Czy to prawda?

– Zaraz do ciebie przyjadę, poczekaj.

Klaudia miała nadzieję, że może Irene dowiedziała się czegoś ciekawego, ale trochę się rozczarowała. Ciamajda paplała o wszystkim, w tym o morderstwie, ale nie powiedziała nic, co wniosłoby istotne informacje do sprawy. Potwierdziła się jedynie wiadomość o policjancie pilnującym polityka. Wszyscy pracownicy wiedzieli, że jest pilnowany, w końcu był to ważny i do tego kontrowersyjny polityk. Klaudii udało się przy okazji dotrzeć do jednego z ochroniarzy, który miał zastrzeżenia co do umundurowania policjanta, a konkretnie do jego obuwia. Tłumaczył sobie jednak, że olbrzym ma nietypowy rozmiar stopy, więc może nie pasowały na niego buty z przydziału. Najwyraźniej mieli do czynienia z oszustem, ale czy to rzucało jakieś nowe światło na sprawę?

Czegoś nowego się jednak dowiedziała. Rzekomy policjant musiał być bardzo wysoki, skoro ochroniarz nazwał go olbrzymem. Inni tego nie zauważyli, może dlatego, że widzieli go siedzącego? Nie było o tym żadnej wzmianki w raportach.

43.

Następnego dnia Lindberg pojawił się w pracy dużo wcześniej niż zwykle. Była dopiero szósta trzydzieści, kiedy wszedł na komisariat i przywitał się z oficerem dyżurnym. Chciał mieć trochę czasu dla

siebie, żeby zebrać myśli i przeanalizować ostatnie wydarzenia. Zaraz po siódmej miał przyjechać doktor Andersson, a on chciał jeszcze raz przejrzeć zeznania pielęgniarki i raport sporządzony przez swojego technika kryminalistyki. Nie przepadał za Gustavsonem, ale musiał przyznać, że ten odwalił wczoraj kawał dobrej roboty. Siedział chyba do północy, skoro tyle rzeczy udało mu się zbadać.

Ledwie komisarz zajął miejsce przy biurku, zadzwonił telefon.

– Lindberg, słucham?

– Dzień dobry, komisarzu. Tu Paula Fogert z SVT24. Nie przeszkadzam?

„Zaczyna się” – pomyślał zrezygnowany. Nie lubił mieć do czynienia z mediami. Jak oni się dowiedzieli o sprawie?

– Dzień dobry. Szczerze mówiąc, tak. Przeszkadza pani.

– W takim razie krótko. Czy to prawda, że wczoraj w szpitalu w Visby znaleziono zwłoki byłego posła z ramienia Szwedzkich Demokratów, Thomasa Johanssona, i że miał wbitą w ramię strzykawkę z trucizną?

Lindberg z przerażeniem pomyślał, że zapowiada się kolejna sprawa, w której to prasa i telewizja będą nadawać ton i tempo. A wszystko przez tego cholernego Johanssona, prawdziwą gwiazdę brukowców. Komisarz pracował już na tyle długo w zawodzie, by wiedzieć, że dziennikarze potrafią czasami dokopać się do najgłębiej skrywanych szczegółów, do tego robią to dużo szybciej niż policjanci. Ludzie nie chcieli albo bali się rozmawiać z policją, ale w przypadku mediów nie mieli takich skrupułów. Wiele razy osobiście tego doświadczył. Świadkowie tłumaczyli, że stali za daleko, żeby coś zobaczyć, albo niewyraźnie słyszeli. Że nie są pewni co do czyjegoś wyglądu. A potem w wiadomościach wieczornych widział, jak ci sami ludzie ochoczo opowiadali o zajściu tylko dlatego, że ktoś podsunął im pod nos mikrofon. Niech ich wszystkich szlag trafi! Z trudem opanował irytację.

– Przykro mi. Nie udzielamy żadnych informacji w tej sprawie.

– Komisarzu, proszę mnie nie traktować jak wroga.

Dawna znajoma Lindberga, która odzywała się regularnie, gdy tylko ich grupa śledcza zajmowała się jakąś ciekawą sprawą, była uparta. On jednak nie zamierzał wdawać się z nią w tej chwili w dyskusję.

– Zapraszam jutro na konferencję prasową. Sam dopiero zapoznaję się z faktami i nie mam pani nic do powiedzenia na ten temat.

– O której godzinie jutro?

– Proszę kontaktować się z naszym działem prasowym. A teraz, pani wybaczy, mam bardzo dużo pracy. Do widzenia.

Wściekły odłożył słuchawkę. Skąd wiedzieli o strzykawce? Musiał być przeciek ze szpitala. Niemożliwe, żeby ktoś od nich zdradził dziennikarzom takie rewelacje. Pewnie przekupili kogoś z personelu kliniki albo ktoś postronny coś zobaczył, przechodząc akurat korytarzem. Ciekawe, kto zatelefonuje następny. Przypominał sobie, że jego poprzednik miał asystentkę, która odbierała wszystkie połączenia z miasta i świetnie sobie radziła z natrętnymi dziennikarzami. Katrina była jak zaporą przeciwczołgowa. „To był dobry wynalazek” – pomyślał z rozrzewnieniem.

Przekierował telefon na informację ogólną, chociaż wiedział, że recepcjonistka pojawi się tam nie wcześniej niż za godzinę. Niech sobie dzwonią. Znalazł kartkę, na której napisał dużymi literami: „GDYBY DZWONILI DZIENNIKARZE, PROSZĘ NIE UDZIELAĆ ŻADNYCH INFORMACJI. KONFERENCJA PRASOWA JUTRO, GODZINA ZOSTANIE PODANA PÓŹNIEJ. PROSZĘ NIKOGO Z MEDIÓW DO MNIE NIE PRZEŁĄCZAĆ”. Podpisał się, a potem zaniósł notatkę na dół i zostawił przy stanowisku funkcjonariusza dyżurnego z dziennej zmiany, odbierającego telefony w centrali komendy. Nie było jeszcze nawet siódmej i pracownicy dopiero zaczęli się schodzić.

Wrócił do siebie i zagłębił się w lekturze raportu Karla. Szczególnie zainteresował go fragment o narzędziach zbrodni. Strzykawka była co prawda jednorazowa i zdaniem Lindberga wyglądała jak każda inna, ale Gustavson ustalił, że ma oznakowania charakterystyczne dla dystrybutora sprzętu medycznego z Estonii. Z kolei nóż był bardzo profesjonalny. Podobnych używali członkowie oddziałów specjalnych w fińskiej armii. Strzykawkę pewnie morderca przywiózł ze sobą, ale skąd, do cholery, stary Johansson, umierający na raka polityk, wziął taki nóż, i to na dodatek w szpitalu?

Na razie Lindberg nic z tego nie rozumiał. Otworzył folder zatytułowany przez Karla „Gość ze zranionym sercem”. „Ten to zawsze coś wymyśli” – zełościł się. Dobrze, że nie napisał „ze złamanym sercem”. Jak by nie można było normalnie wpisać imienia i nazwiska. Wyświetlił pośmiertne zdjęcie

jednego z denatów, a następnie jego akta z Europolu. „Erik Walters, Łotysz, profesjonalny zabójca. Trzydzieści osiem lat, służba wojskowa w Łotwie, potem gruntowne przeszkolenie w służbach specjalnych. Osem języków, studia wyższe” – czytał z coraz większym zdumieniem. „Jego pojawienie się odnotowano w krajach Europy, Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu. Nieuchwytny? Do teraz. Komisarz uśmiechnął się z przekąsem. Niesamowity przypadek. Ironia losu. Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka wszedł doktor Andersson.

– Dzień dobry, komisarzu.

– Dzień dobry, doktorze. Zapraszam.

– Codziennie pan tak wcześnie zaczyna dzień czy dzisiaj wyjątkowo ze względu na mnie? – zapytał gość, uśmiechając się szeroko.

– Przyznam, że powodów jest kilka. Może kawy?

– Nie, dziękuję. Tyle ich wypiliśmy w ciągu ostatniej doby, że samo słowo „kawa” źle mi się już kojarzy.

Lindberg ze zrozumieniem pokiwał głową. Jemu też, zwłaszcza kiedy prowadził skomplikowane śledztwo, zdarzało się wlewać w siebie hektolitry kawy, a potem sam dźwięk syczącego ekspresu w domu przyprawiał go o odruch wymiotny.

Andersson usadowił się wygodnie na sofie. Widać było, że jest zmęczony po całonocnej pracy.

– Ciężki dyżur? – zapytał komisarz.

– Tak. Mieliśmy takie jedno niespodziewane wydarzenie. Wie pan, o czym mówię. – Lekarz uśmiechnął się bez wyrazu. – W dodatku zaraz po wyjściu policji przyjechała jakaś dziennikarka, potem druga, z całą ekipą telewizyjną. A przecież było już bardzo późno. To jest chore. Za nic mają dyskreję i spokój pacjentów. Musiałem wydać zakaz wpuszczania kogokolwiek obcego na teren szpitala. Tylko pracownicy i rodziny leczących się u nas osób. Aż do odwołania.

– Zgadzam się z panem, to chore. Przez tę ich medialną histerię często nie da się pracować.

– I jeszcze ta nieprzyjemna historia z pielęgniarką – kontynuował doktor.

– Przejdźmy zatem od razu do rzeczy. Nie chcę panu zabierać czasu, który pewnie wolałby pan wykorzystać na odpoczynek po długim dyżurze.

– Proszę pytać.

– Jak bardzo chory był Thomas Johansson?

– Umierający. Zostało mu kilka tygodni.

– Próbowaliście go jeszcze ratować?

– Nie było takiej możliwości. Rak płuc z przerzutami. Podawaliśmy leki przeciwbólowe. Jego stan fizyczny był zadowalający, biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej się znajdował. Nie cierpiał.

– Dlaczego leżał u was, a nie w hospicjum?

– Uznano, że należą mu się pewne względy z powodu pełnionych przez niego funkcji. Mieliśmy wolne łóżko. Nie był to dla nas problem. On podobno bardzo nie chciał trafić do hospicjum.

– Dlaczego?

– Pobyt w szpitalu, nawet w takiej sytuacji, zawsze daje małą nadzieję na wyzdrowienie. Nawet jeżeli pacjent zdaje sobie sprawę ze swojego ciężkiego stanu.

– A jak czuł się psychicznie?

– Ostatnio jakby lepiej. Wcześniej był zupełnie zrezygnowany, osamotniony. Z tego, co wiem, miał rodzinę, ale nikt go u nas nie odwiedzał. Dopiero po wizycie tego policjanta jakby odżył. Wróciły mu siły i chęć życia.

– No właśnie. Wczoraj wspomniał pan, że ten domniemany policjant pokazał panu legitymację. Zapewne też się przedstawił. Pamięta pan jego nazwisko? – spytał komisarz z nadzieją.

Lindberg pomyślał, że właściwie i tak nie ma to żadnego znaczenia, bo już wczoraj Klaudia ustaliła, że nikt nie wysyłał do szpitala żadnego policjanta. Ani mundurowego, ani po cywilnemu. Pytanie o to zaskoczyło wszystkich w komendzie w Visby, ale również w Sztokholmie. Klaudii udało się dotrzeć do odpowiednich osób pomimo późnej godziny. „Jest niesamowita” – pomyślał z dumą komisarz.

– Niestety nie – odpowiedział po namyśle doktor. – Na imię miał chyba Lars i jakieś krótkie nazwisko. Naprawdę nie wiem.

– Nic nie szkodzi. O czym pan z nim rozmawiał?

- Poinformował mnie, że na policję przysłyż pogróżki pod adresem Johanssona. Ktoś groził mu śmiercią z powodu jakiejś książki czy czegoś takiego, przydzielono mu więc ochronę.
- Książki? O jakiej książce mowa?
- Nie wiem, komisarzu. Nie pytałem. Powtarzam tylko to, co powiedział ten człowiek.
- Domyśla się pan pewnie, że to nie był prawdziwy policjant?
- Teraz już tak, zwłaszcza po naszej wczorajszej rozmowie na tematy, nazwijmy to, obuwnicze. Zapewniam pana jednak, że jego mundur wyglądał na prawdziwy. Był taki sam, jaki noszą funkcjonariusze na tutejszej komendzie. Teraz przypominam sobie jeszcze, jak mówił, że ponieważ ewentualny morderca może wejść przez okno, on nie będzie siedział na korytarzu, ale schowa się w sali, za parawanem. To rozwiązanie nawet bardziej mi odpowiadało, bo po co zwracać uwagę innych pacjentów, prawda?
- Tak, to logiczne – przyznał Lindberg. – Chociaż nie przypominam sobie przepisów umożliwiających umundurowanym funkcjonariuszom pilnowanie przebywających w szpitalu osób zza parawanu. A więc ten człowiek siedział cały czas w pokoju Johanssona?
- Cały czas nie. Pierwszy raz przyszedł przedwczoraj rano. Chyba krótko rozmawiali, bo kiedy przed dwunastą zaglądałem do pacjenta, był sam. Wyglądał na podenerwowanego, więc zleciłem podanie mu leku obniżającego ciśnienie.
- Był w złym humorze, bał się czegoś?
- Nie. Może źle się wyraziłem. Był podekscytowany. Jakby cieszył się na jakąś przygodę.
- Mówił coś o tym człowieku?
- Nie. Nawet zażartowałem, że mamy teraz na oddziale VIP-a, ale tylko się lekko uśmiechnął i nie skomentował.
- A potem, kiedy widział pan rzekomego policjanta ponownie?
- Przyszedł wczoraj rano, jeszcze przed porannym obchodem. I wtedy już rzeczywiście nie wychodził z pokoju numer siedem. Wstawiliśmy mu krzesło za parawan i tam siedział. Nikomu nie przeszkadzał.
- Proszę opisać jego wygląd.
- Był nijaki – stwierdził lekarz po krótkim namyśle. – Ale bardzo wysoki, ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów. Wie pan, to był duży facet, z serii tych, co to jak staną między tobą a słońcem, to wywołują zaćmienie, a przynajmniej tak ci się wydaje.
- Ile pan ma wzrostu?
- Metr osiemdziesiąt pięć.
- Włosy, kolor oczu, może coś szczególnego? – pytał inspektor.
- Chyba nosił okulary, takie bez oprawek. Oczy... chyba jasne... nie wiem. Nie pamiętam. On się niczym nie wyróżniał. Chociaż była jedna rzecz. Teraz sobie przypominam.
- Tak?
- Wydaje mi się, że mówił z fińskim akcentem. Na sto procent nie jestem tego pewien. Na pewno nie mówił po szwedzku tak jak pan czy ja. I zupełnie inaczej niż siostra Jay.
- Była wczoraj bardzo zdenerwowana.
- Wie pan, komisarzu, Johansson dawał jej w kość. Stary cap jej nie cierpiał i nie krył tego. Ale nic nie mogliśmy zrobić. Człowiek był już jedną nogą na tamtym świecie. Nie było sensu mu tłumaczyć...
- Tak, opowiadała. Bardzo nam pan pomógł, doktorze. Dziękuję, że chciał się pan do nas pofatygować z samego rana.
- Nie ma sprawy. Mam nadzieję, że szybko wyjaśnicie tę zagadkę. Nie chciałbym, żeby do mojego oddziału przylgnęło określenie „tam, gdzie mordują pacjentów” – Andersson się skrzywił. – Do widzenia.

44.

„Fin z fińskim nożem. To jedyne, co mamy” – pomyślał Lindberg. Może ten tajemniczy fałszywy policjant działał w porozumieniu z koreańską pielęgniarką. Pamiętał taką intrygę z jakiegoś filmu. Nie, to byłoby

już przekombinowane. Pielęgniarka zachowała się skandalicznie, ale raczej nie miało to związku z wizytą mordercy.

Przypomniało mu się, że Andersson wspomniał o jakiejś książce. Może Johansson coś napisał? Wstukał w wyszukiwarkę publikacji nazwisko polityka. Pokazały się liczne artykuły, które ten wydawał jeszcze w czasach pracy na uczelni i później w Riksdagu oraz wywiady udzielane prasie. Sprawdził w Google. Przeszedł nawet do katalogów anglojęzycznych. Pojawiły się dodatkowo liczne przemówienia, z którymi jeździł po kraju i zagranicą plus kilkaset nienawistnych komentarzy na jakimś forum. Wyglądało na to, że Johansson był popularny, ale jego skrajne poglądy wzbudzały duże emocje. O książce ani słowa. „Szkoda” – zmartwił się komisarz. To by nawet pasowało. Ktoś wynajmuje płatnego mordercę, Waltersa, żeby zlikwidował Johanssona za to, co ten o nim napisał. Widocznie książka była dopiero w fazie tworzenia i komuś zależało na tym, żeby się nie ukazała. Trzeba by odnaleźć rękopis albo notatki autora. Przecież nawet siostra Jung wspominała, że Johansson coś notował.

Z rozmyślań wyrwała go Klaudia, która właśnie zajrzała do pokoju.

– Dzień dobry. Widzę, że wcześniej dzisiaj zaczęłeś dzień.

– Właśnie wyszedł ode mnie doktor Andersson z onkologicznego. Mogłabyś zwołać resztę grupy dochodzeniowej na szybkie zebranie? Niech przyjdą do mnie za dziesięć minut.

*

Gdy tylko wszyscy się pojawili, Lindberg zreferował im, jak wygląda aktualna sytuacja. W końcu mają jakiś punkt zaczepienia – powinni zacząć od poszukiwań tajemniczego Fina, który w przebraniu policjanta towarzyszył Johanssonowi.

– Nie wiemy, jaką rolę odgrywał w tej historii. I dopóki go nie odnajdziemy albo chociaż nie ustalimy, kim był, chyba tego nie wymyślimy. Z pewnością nie był przyjacielem ani ochroniarzem Johanssona. Wydaje mi się, że z łatwością mógł powstrzymać mordercę, a jednak tego nie zrobił. Tym bardziej że, jak mówili pielęgniarka i lekarz dyżurny, miał przy sobie broń.

– Może to była tylko atrapa? – zapytał jeden z młodych policjantów, Peter Hellgrun.

– Może. Ale jeżeli miał prawdziwy mundur i, na co wszystko wskazuje, złe zamiary, to broń powinien był też mieć prawdziwą. Poza tym to najprawdopodobniej on wyposażył chorego w wojskowy nóż, bo nikt inny nie odwiedzał Johanssona w szpitalu. A wcześniej nikt z personelu nie widział u niego żadnego noża poza tymi, które wchodziły w skład szpitalnych sztućców.

– Sprawdziłem odciski palców na nożu – wtrącił się Gustavson. – Ale znalazłem tylko należące do Johanssona. Jest ich mnóstwo, ale wyłącznie jego.

– Zebrałeś odciski palców z pokoju?

– Tak. Udało się też pobrać wczoraj odciski od osób, które najczęściej wchodziły do pacjenta. Chciałem wyeliminować ich z kręgu podejrzanych, ale nie wiem, na ile to nam pomoże. Nie wszyscy byli wczoraj w pracy. Do tego dochodzą jeszcze sprzątaczkę i jakiś serwisant od klimatyzacji.

– Co to za człowiek?

– Sprawdziłem go. Od wielu lat wykonuje wszystkie naprawy na terenie szpitala. Był w pokoju numer siedem cztery dni temu. Nie ma pewności, czego dokładnie dotyczył, a na onkologii nikt nie przejmuje się sterylnością. To nie neonatologia.

– A co z odciskami na strzykawce, którą znaleziono w ramieniu denata?

– Czysta. Zupełnie nic. Co też jest zastanawiające. Jakby ktoś ją wytarł.

– Ten trzeci?

– Może po to, żeby specjalnie nas zmylić?

– Dziwna postać.

– Zajmijmy się Erikiem Waltersem – kontynuował komisarz. – Zawodowym mordercą i komandosem.

– Żołnierz rosyjskich sił specjalnych płatnym mordercą? – zdziwił się Hellgrun. – Przecież on był za młody na emeryturę. Może to Rosjanie chcieli zlikwidować Johanssona?

– Raczej nie. W aktach Europolu jest adnotacja, że Walters odniósł poważne rany w trakcie jednej z akcji. Zaczekaj... O, już mam: „złamane obie nogi, uraz wątroby i prawej nerki, utrata śledziony” – Komisarz czytał z ekranu komputera. – Po wypadku w czasie akcji odbicia jakichś zakładników

w nieczynnej fabryce Walters został zwolniony ze służby. A więc to ekskomandos. Motyw polityczny raczej bym wykluczył. Po odejściu ze służby pracował w sektorze prywatnym, że tak powiem.

– Jeżeli to taki zawodowiec, to na pewno zrobił niezłe rozeznanie w szpitalu, zanim się pojawił.

– Zapewne. Musiał wiedzieć, o której godzinie jest najspokojniej, kiedy nie ma obchodu ani nie roznoszą leków. Mógł się też orientować, że koreańska pielęgniarka nie lubi Johanssona i nie zareaguje natychmiast, gdy usłyszysz, że coś się z nim dzieje.

– Może powinniśmy rozważyć współudział kogoś ze szpitala?

– Na razie nie możemy niczego wykluczyć.

– Nie rozumiem, po co mordować człowieka stojącego nad grobem – odezwała się Klaudia. – Nie żeby było mi go żal, nie znosiłam drania i jego rasistowskich poglądów, ale to bez sensu.

– Szef oddziału, doktor Andersson, z którym przed chwilą skończyłem rozmawiać, zwrócił moją uwagę na książkę, która mogła być motywem zabójstwa. Niestety nie wiem, o jaki tytuł chodzi. Być może to jakaś praca zbiorowa o politykach i skandalach. Może uda się znaleźć jakieś informacje na prawicowych portalach. Dowiedźcie się, czy Johansson coś pisał. Może wspomnienia? Może ktoś nie chciał, żeby prawda wyszła na jaw?

– Spróbuję się czegoś dowiedzieć. Mam kilku znajomych w kręgach wydawniczych. – Karl zaofiarował się coś ustalić.

– Peter, jedź do szpitala i dowiedz się od personelu, czy ktoś zabierał z jego pokoju jakieś papiery albo książki. Może chory dał coś komuś na przechowanie. Wczoraj niczego takiego nie znaleźliśmy, przeszukując pomieszczenie.

– Dobrze. Wybiorę się tam za chwilę.

– Klaudia – komisarz zwrócił się do swojej partnerki – czy mogłabyś użyć swojego czaru i zmobilizować kolegów z Solny do przeprowadzenia autopsji naszych nieboszczyków poza kolejnością?

– Tak jest, szefie! – odpowiedziała dziewczyna wesoło. – I tak miałam zamiar zadzwonić do nich po zebraniu. Może uda mi się przyspieszyć sekcję.

– W takim razie dziękuję wszystkim za przybycie. I do roboty! Przeczytajcie uważnie raport Karla i akta, które przysły z Europolu. Sam też wracam do pracy. Pamiętajcie, że to w pewnym sensie priorytetowa sprawa. Media już się do nas dobijają. Ze względu na przeszłość Thomasa Johanssona będziemy pod ogromnym naciskiem z ich strony. I jeszcze jedna sprawa... – Komisarz zawiesił głos, a wychodzący już z pokoju odwrócili się z zainteresowaniem. – Był przeciek do mediów o tym, że Johanssona zabito, wstrzykując mu truciznę.

– Co takiego? – Klaudia była w szoku. – Kto tak powiedział?

– Wiadomo, że informacja nie wyszła ani od nas, ani od pracowników medycznych szpitala. Nikogo nie oskarżam. Chcę tylko zwrócić waszą uwagę na podchwytliwe, niby przypadkowe i nic nieznaczące pytania dziennikarzy. Łatwo dać się nabrać. Proszę wszystkich, żeby absolutnie nikt z nimi nie rozmawiał.

– Oczywiście, ani słowa.

Zebranie zostało zakończone i każdy wrócił do swoich zajęć.

*

Lindberg wydrukował akta Europolu dotyczące Erika Waltersa. Facet poniekąd mu imponował. „Młodo zaczął” – pomyślał. „I to perfekcyjne przeszkolenie... Tylko głupio skończył”. Na pewno nie przewidział, że pokona go ktoś tak chory i słaby jak Johansson.

Przyglądał się właśnie zdjęciom Łotysza, gdy usłyszał gromkie „Dzień dobry, chłopaku!?” W drzwiach stał komisarz Tumegård.

– Witaj, Rolf. Ale zrobiłeś mi niespodziankę! Wchodź, siadaj. Co cię tu sprowadza?

– Ja tylko na moment. Nie mam za wiele czasu. Zamierzam zmienić pracę i był mi potrzebny jeden papierek z naszych kadr.

– Już nie będziesz prywatnym detektywem?

– Zdrowia coraz mniej, a tam albo długie czekanie i wielogodzinna obserwacja, albo uganianie się za niewiernymi małżonkami i przepuszczającymi pieniądze rodziców nastoletnimi dziećmi. Przyjmą mnie

w firmie ochroniarskiej, która obstawia różne obiekty: od sklepów, przez budynki użyteczności publicznej, na dużych zakładach pracy kończąc. Coś się dla mnie znajdzie. A co u ciebie? Jak Linda i chłopcy?

– Wszystko w najlepszym porządku. Starszy syn za miesiąc kończy osiemnaście lat.

– Czas leci... Po dzieciach widać najlepiej. Masz ich zdjęcia?

– Tak, w telefonie, zaraz znajdę... Bo tu mam tylko takie. – Machnął aktami Waltersa. – Morderca i ofiara w jednym.

– Pokaż. Co to jest? – Tumegård z zainteresowaniem wziął do ręki papiery. – O Boże... Niemożliwe. Przecież to... On jest podobny do człowieka, którego kiedyś szukałem. Przed odejściem na emeryturę. Podwójne zabójstwo w Turcji. Z facetem takim jak ten widziano ofiary po raz ostatni.

– Tak? Nie pamiętam.

– Nie brałeś udziału w śledztwie. To było wtedy, kiedy na wakacjach w Stanach złamałeś nogę i z konieczności asystowała mi Jassem.

– Ach tak. – Erik uderzył się otwartą dłonią w czoło. – Już wiem, o czym mówisz. Jesteś pewien, że to ten sam człowiek?

– Nie mieliśmy wtedy jego zdjęcia, ale z opisu by się zgadzało. Niedoszła ofiara dobrze go zapamiętała i sporządzono portret pamięciowy. Klaudia nic nie zauważyła?

– Chyba nie widziała jeszcze tych dokumentów. Dopiero je dostaliśmy. Była zajęta czymś innym.

Lindberg wystukał numer wewnętrzny koleżanki i poprosił ją, żeby przysłała.

– Pamiętasz, jak jeszcze w szpitalu powiedziałaś, że jedna z ofiar wygląda znajomo? – zapytał ją Lindberg, jak tylko weszła do pokoju.

– Tak. Ten młodszy mężczyzna. Dlaczego?

Dopiero teraz zauważyła starego komisarza.

– Dzień dobry, komisarzu. Miło pana widzieć.

– Zobacz. – Rolf podał jej akta Łotysza. – Czy to nie nasz Johnny? Tak się nazywał ten morderca z Turcji, prawda? Pamiętasz?

– Oczywiście! – Klaudia nie zastanawiała się ani chwili nad odpowiedzią. – Cały czas pytałam sama siebie, skąd znam tę twarz. Od momentu, gdy zobaczyłam go martwego w szpitalu. To musi być on.

– Dlatego nie mogliśmy trafić na jego ślad. Profesjonalista. Nic dziwnego. Musicie wezwać Sarę Wetterberg. Ona jedna go znała. Jeżeli go rozpozna, to mamy mordercę jej siostry. Mój Boże, jak Jan wtedy rozpacział...

– Jan Wetterberg, polityczny rywal Thomasa Johanssona?

– Ten sam. A właśnie, coś mi się obito o uszy. Johansson został zamordowany w szpitalu?

– Walters go zabił.

– Wtedy, sześć lat temu braliśmy Johanssona pod uwagę jako zleceniodawcę morderstwa. Ale nie można mu było niczego udowodnić. Nie było nawet poszlak, nie mówiąc o śladach. Mówisz, że Walters zabił tego starego łobuza Johanssona? A kto zabił Waltersa?

– Walters nadział się na nóż, który miał przy sobie Johansson.

– Niemożliwe... W szpitalu miał przy sobie nóż? Co za czasy... Podejrzewam, że ciężkie śledztwo przed wami.

– Chcesz nam pomóc? – Lindberg zaczął się śmiać.

– Nie... Nie narzekam na swój rozkład dnia. Praca policyjna nie jest już dla mnie. Coraz więcej przemocy wokół.

Nerwowo spojrział na zegarek i dodał:

– Będę się zbierał. Wspaniale było was zobaczyć. Nie zapomnijcie zawiadomić Sary. Do widzenia.

*

Tumegård wsiadł do samochodu, który zostawił na parkingu przed komendą. Zanim włączył silnik, wyjął telefon komórkowy i nacisnął jeden z numerów ustawionych na szybkie wybieranie.

– To ja. Jesteś sama? Zaraz u ciebie będę.

45.

Klaudia zajrzała nieśmiało do pokoju Lindberga.

– Wiem, że mamy urwanie głowy, ale na czternastą mam umówione obowiązkowe kontrolne badanie w szpitalu, tym samym, gdzie zamordowano tych dwóch.

– A mamy jakiś inny szpital w Visby?

– No nie. Mówię o tym, bo chciałabym, żebyś mnie podwiózł. Tam trudno zaparkować, a po badaniu przydałby mi się spacer, żeby odreagować i wszystko przemyśleć. Poza tym na wezwaniu napisano „lazaret”. Nie „szpital”, jak na tablicach informacyjnych, czy „hospital”, ale „lazaret”.

– Okej, podwiozę cię za dziesięć minut. Zajrzę jeszcze raz na oddział, będzie nowa zmiana, to może dowiem się czegoś nowego.

Kiedy już siedzieli w samochodzie, Lindberg poprosił Klaudię o wytłumaczenie, o co chodzi z tym lazaretem.

– Widzisz, w Sztokholmie to po prostu szpital. A tutaj lazaret, który kojarzy się ze szpitalem wojskowym z czasów napoleońskich. Taka umieralnia dla żołnierzy. A ja wcale nie chcę umierać. Ten zawodowy zabójca był zapewne całkiem zdrowy, a nie żyje. I umarł w lazarecie...

– Tobie to nie grozi. Rutynowe badanie to nic groźnego.

– Tylko dlaczego wzywają mnie do lazaretu?

Zaśmiali się oboje.

– A co u twojego sąsiada?

– Bierze lekarstwa. Na razie jest dobrze, ale nigdy nie wiadomo.

Klaudia po wyjściu ze szpitala, zwanego w Visby nie wiadomo dlaczego lazaretem, ruszyła w kierunku parku, a potem przeszła przez bramę na Stare Miasto. Spacer po wiekowych uliczkach był jej teraz potrzebny. Próbowwała złożyć w całość poznane fakty i tajemniczą śmierć dwóch osób naraz.

46.

Podwójne morderstwo na Gotlandii ściągnęło do Visby dziennikarzy wszystkich możliwych mediów. Sam fakt popełnienia podwójnej zbrodni był sensacją, a do tego jedną z ofiar był znany polityk. Już poprzedniego dnia urywały się telefony od przedstawicieli prasy, radia i telewizji. Jakoś udało się ich spławić, nie udzielając żadnych informacji, ale komisarz był zmuszony wyznaczyć konferencję prasową. W dodatku rzecznik prasowy policji, Sten Jakobsen, ciągle wędrował gdzieś po krajach Dalekiego Wschodu, w związku z czym to na Lindberga spadł obowiązek poinformowania mediów o postępach w śledztwie.

Komisarz traktował konferencje prasowe jak prawdziwy dopust boży. Od takich rzeczy był Sten. Gdy zdarzało się, tak jak teraz, że sam musiał radzić sobie z tymi wygłodniałymi sępami, jak nazywał dziennikarzy, od rana czuł ogromną presję. Najchętniej nikomu z zewnątrz nie zdradzałby żadnych szczegółów dotyczących prowadzonego dochodzenia. Niestety tamci i tak zawsze się czegoś dowiadywali swoimi kanałami, a gdy nie dostawali informacji od policji, sami wyciągali wnioski, często zbyt pochopne i zupełnie absurdalne. Z dwojga złego lepiej było im rzucić jakiś ochłap informacji i mieć nadzieję, że na pewien czas to wystarczy. Jednocześnie ich pogoń za sensacją nie znała granic i każda ujawniona przez policję okoliczność rodziła nowe pytania. Będzie musiał niezłe się nagimnastykować, żeby nic nie powiedzieć, a jednocześnie usatysfakcjonować dziennikarzy. „Podstawowe informacje pewnie i tak już mają” – pomyślał. A więc zacznij od tego, co i tak wiedzą.

Lindberg wszedł do sali konferencyjnej. Zobaczył wycelowane w jego stronę mikrofony, kamery i dyktafony, a za nimi reporterów z notatnikami w dłoniach. Napór dziennikarzy spowodował, że w ostatniej chwili zdecydowano się przenieść konferencję do największej sali w budynku komendy.

Thomas Johansson, pomimo że od dawna nie udzielał się w polityce, był w dalszym ciągu barwną postacią i jego zagadkowa śmierć wzbudziła ogromne zainteresowanie. Tym razem pojawili się nie tylko przedstawiciele lokalnych mediów, ale również rządowych dzienników porannych i wieczornych, nie zabrakło nawet korespondentów największej szwedzkiej stacji radiowej, Sveriges Radio, ani reporterów komercyjnych kanałów telewizyjnych i oczywiście kilkusobowej ekipy SVT24, z Paulą Fogert na czele. Jednym słowem – obecni byli przedstawiciele wszystkich znanych komisarzy redakcji krajowych, a należało się spodziewać, że również zagranicznych, których nie rozpoznawał. W sali wyczuwało się atmosferę napięcia i podniecenia.

– Witam państwa – zaczął.

Szum natychmiast ucichł i zapanowała pełna wyczekiwania cisza.

– Jak wszyscy doskonale wiecie, w środę po południu na oddziale szpitala onkologicznego w Visby znaleziono zwłoki dwóch mężczyzn: Thomasa Johanssona, znanego polityka i byłego parlamentarzysty z ramienia Szwedzkich Demokratów, oraz poszukiwanego przez policję wielu krajów płatnego mordercy, Łotysza, Erika Waltersa. Johansson przebywał w tym szpitalu od trzech miesięcy. Był w ostatnim stadium raka płuc. Kilka lat temu przeprowadził się ze Sztokholmu na Gotlandię. Nie znamy jeszcze wyników sekcji zwłok, którą zajmuje się Instytut w Solnie, ale prawdopodobnie Walters zabił Johanssona, wstrzykując mu substancję zwiotczającą mięśnie. Sam również nie przeżył spotkania. Zginął z ręki Thomasa Johanssona. Jak na razie nie wiemy, kto zlecił mu zabójstwo Johanssona.

– W jaki sposób zginął Erik Walters? – Jedna z dziennikarek już zaczęła zadawać pytania.

– Czy Johansson był uzbrojony?

– Czy są jacyś inni podejrzani?

– Jak ciężko chory człowiek dał radę pokonać zawodowego mordercę?

– Komisarzu, prosimy o więcej szczegółów.

Pytania sypały się jedno za drugim. Zaczynało go to denerwować.

– Ze względu na dobro śledztwa nic więcej nie mogę państwu powiedzieć. Jeżeli będą jakieś nowe informacje, natychmiast państwa powiadomimy. Do widzenia.

Odetchnął z ulgą. Udało mu się nie wpaść w żadną pułapkę zastawioną przez te sępy. Wyszedł z sali i zaraz zniknął na schodach. Nie chciał, żeby ktoś go jeszcze o coś dopytywał. Zdarzało się, że pomimo zakończenia konferencji prasowej niektórzy reporterzy czatowali z mikrofonem i kamerą na korytarzu, zadając niewygodne pytania i nagrywając reakcję przepytывanego policjanta. Nie znosił takich sytuacji. Zastanawiał się, jak rzecznik prasowy to wytrzyma.

Znalazł Klaudię, która właśnie kończyła rozmowę telefoniczną.

– ...nieustająco. Koniecznie musimy się umówić następnym razem. Do zobaczenia wkrótce. – Koleżanka odłożyła słuchawkę z triumfalnym uśmiechem. – Są wyniki sekcji. Doktor Sjöberg właśnie je przysłał.

– Później przeczytam. Coś ciekawego?

– Tak jak przewidywał Karl, Johanssonowi wstrzyknięto środek zwiotczający mięśnie. Zmarł szybko, gdyż dodatkowo oddychanie uniemożliwił mu ciężar leżącego na nim Waltersa. Gdyby go nie zabito, sam umarłby w przeciągu dwóch tygodni. Nowotwór zaatakował już wszystkie organy. To były jego ostatnie dni.

– A Walters?

– Nóż wszedł dokładnie tam, gdzie powinien, pod serce. Zmarł prawie natychmiast. Nie stwierdzono żadnych innych obrażeń u żadnej z ofiar. Mam na myśli, że nikt ich nie dobijał. Załatwili się sami.

– Może właśnie o to chodziło temu trzeciemu?

– Taki trochę anioł śmierci?

– A może miał porachunki z Waltersem...

– I wolał wyręczyć się konającym Johanssonem? Dość ryzykowne, biorąc pod uwagę jego stan zdrowia.

– Za dużo niewiadomych – podsumował Lindberg. – Najgorsze, że po sekcji dalej nie wiemy nic nowego. Nie mamy niczego, co popchnęłoby śledztwo do przodu... Idę porozmawiać z Sarą Wetterberg. Dołącz do nas, jak tu skończysz. Będziemy w pokoju przestuchań.

– Nie poradzisz sobie beze mnie?

Bardzo chciała usłyszeć od Erika, że docenia jej pomoc. Ostatnio potrzebowała potwierdzenia, że jest dobra i że daje radę.

W domu miała kłopot z ciotką, która była na nią obrażona, ale nie chciała powiedzieć, o co jej dokładnie chodzi. Od kilku dni zachowywała się idiotycznie i właściwie rozmawiała wyłącznie z kotem Rumikiem. Opowiadała mu o jakichś nacjonalistach i proteście ławkowym. Klaudia wiedziała, że w najbliższym czasie będzie musiała skontaktować się z jej lekarzem. Demencja najwyraźniej dała o sobie znać. Do tego jeszcze ta sytuacja z Christianem...

Cały dzień robiła, co mogła, żeby nie myśleć o swoim pokręconym życiu i skupić się wyłącznie na pracy, w której musiała być najlepsza. Tylko tutaj była w stanie nad wszystkim zapanować.

Lindberg uśmiechnął się szeroko i poklepał ją po ramieniu.

– Jesteś niezastąpiona w rozmowach z kobietami. Nie poradzę sobie bez ciebie – powiedział.

47.

Komisarz był wyraźnie zdenerwowany. Przywitał się z Sarą i usiadł ciężko przy stole.

– Dobrze, że pani przysła – zwrócił się do dziewczyny.

– Prosił pan, więc jestem. Zawsze chętnie pomogę policji – powiedziała z nieco wymuszonym uśmiechem.

– Długo musiała pani czekać?

– Killkanaście minut. Powiedziano mi, że jest pan na konferencji prasowej.

– Przepraszam, muszę czasami robić takie rzeczy. W zastępstwie rzecznika prasowego, który wyjechał. Skończyła już pani pracę na dzisiaj?

– Mam urlop. Jeszcze dwa tygodnie.

– Nie chciała pani gdzieś wyjechać z córką?

– Przyjechał mój znajomy z Lund. Może później razem się gdzieś wybierzemy. Ale chyba raczej nie za granicę. W Szwecji jest tyle cudownych miejsc, które chciałabym pokazać małej.

Do komisarza dołączyła Klaudia, która wcześniej zdążyła się przyjrzeć pannie Wetterberg. Gdyby nie wiedziała, że to ona, zapewne by jej nie poznała. Zamiast dziewczyny z mnóstwem kolczyków w rozmaitych miejscach zobaczyła poważną młodą kobietę z nienaganną fryzurą, ubraną z niewymuszoną elegancją. Jedynie markowe trampki na jej bosych stopach i lekka opalenizna świadczyły o tym, że korzysta z uroków lata.

– Szczęśliwi ci, co na urlopie – westchnęła policjantka. – My pracujemy całe wakacje.

– Tym chętniej wam pomogę. Wspominał pan, komisarzu, że mam kogoś rozpoznać, czy tak? – Sara zwróciła się do Lindberga.

Lindberg położył przed nią zdjęcia Waltersa. Najpierw te z akt Europolu.

– Czy zna pani tego człowieka?

– Erik Walters – przeczytała. – Obywatel Łotwy. Nie wiedziałam, że tak się nazywa.

– Widziała go pani kiedyś?

Zapadło wyczekujące milczenie. Sara wyglądała na zamyśloną. Z pozoru pustym wzrokiem wpatrywała się w zdjęcie leżące przed nią na stole. W stalowe oczy i zimny wzrok człowieka, którego twarz prześladowała ją przez ostatnie sześć lat. Pokój przesłuchań przestał nagle istnieć. Usłyszała wyraźnie głos Johnny'ego, który niósł się w jej głowie echem, gdy pytał: „Nie wiecie przypadkiem, czy można tu bezpiecznie zjeść?”. Zamknęła oczy. Ujrzała półmrok restauracyjki i zalane słońcem ulice. Palmy, wygrzewające się w słońcu gekony i cztery puste krzesła stojące pod murem. Przypomniał jej się strach, który wtedy ją ogarnął, gdy czuła się zupełnie bezradna i nikt nie umiał jej pomóc. Spadała ze skał w bezdenną przepaść. Szybko otworzyła oczy. Znowu wszystko było na swoim miejscu.

– Tak – odezwała się cicho. – To morderca mojej siostry.

– A więc widziała go pani w Turcji? – zapytała Klaudia.

– Tak, w Alanyi. Spędziliśmy razem trochę czasu. My, to znaczy Erik, który przedstawił się nam jako Johnny, moja siostra Emma, jej chłopak Anton i ja. Oczywiście zanim ich zabił. – Jej usta zaczęły drżeć. Wyjęła chusteczkę z torebki i otarła łzy. – Czy mogłabym poprosić o coś do picia? Może być woda.

– Oczywiście. – Lindberg wstał i podszedł do stojącej w rogu butli z wodą do picia. Nalał pełen kubek i postawił go przed Sarą. – Zdenerwowałem panią, przepraszam. Ale musieliśmy mieć pewność, że to on.

– Co teraz zrobił? – zapytała wystraszona.

– Proszę się nie martwić. Nic pani nie grozi.

– Złapaliście go? – Sara wytrzeszczyła oczy. – Jak?

– „Znaleźliśmy go” byłoby bardziej adekwatnym sformułowaniem – stwierdził ponuro komisarz, podsuwając jej zdjęcia zwłok Waltersa ze szpitala i stołu sekcyjnego.

Sara zaczęła się krztusić. Od chwili, gdy zyskała pewność, że to on stoi za śmiercią siostry, jej najbliższej przyjaciółki, wiele razy wyobrażała sobie, że go zabija. Teraz ulżyło jej, gdy usłyszała, że ktoś zrobił to za nią.

Gdy skończyła kaszleć i chusteczką wytarła sobie twarz i bluzkę, zapytała:

– Nie żyje? – Zaczęła się głośno śmiać. – Niemożliwe!

Takiej reakcji ani Lindberg, ani Klaudia się nie spodziewali. „To nerwy” – pomyślał komisarz.

– Słyszała pani na pewno o śmierci Thomasa Johanssona. W szpitalu w Visby.

– Tak, słyszałam w radiu. Co on ma z tym wspólnego?

– To on zabił Erika Waltersa vel Johnny’ego.

Sara przestała oddychać. Zakręciło jej się w głowie.

– To niemożliwe – wyszeptła.

– Wszyscy są zdziwieni na wieść o tym, że starszy, umierający człowiek poradził sobie z zawodowym zabójcą. A jednak tak właśnie się stało.

Sara tępym wzrokiem wpatrywała się w stół. Lewą ręką trzymała się krzesła, żeby z niego nie spaść. Myśli kotłowały się w jej głowie. „Im mniej wiesz, tym lepiej. Przez jakiś czas mnie nie będzie!” Czy jej ojciec miał z tym coś wspólnego? Przykazał jej nie mówić o książce. „Dobrze, nic o książce!”

Klaudia wpatrywała się w Sarę.

– Kiedy ostatni raz widziała pani mordercę swojej siostry? – zapytała.

Lindberg zdziwiony spojrział na swoją partnerkę. „O co ona pyta?” – pomyślał. Ale postanowił zaufać koleżance.

– W sobotę.

– W ostatnią sobotę? Tydzień temu? – Lindberg nie krył zdziwienia, a jednocześnie podziwu dla bystrości umysłu Klaudii. Że też wpadła na takie pytanie... Jak ona to zauważyła?

– Proszę opowiedzieć – chłodno poprosiła komisarz Jassem.

Sara opowiedziała o dniu spędzonym z Kristiną w lunaparku, a potem o obiedzie w restauracji na Stora Torget. Opowiadanie pozwoliło jej uporządkować informacje, przywróciło jasność umysłu i w końcu ją uspokoiło. Powiedziała o wszystkim, co się wtedy wydarzyło, niczego nie ukrywając. Ona mówiła, a oni słuchali, nie przerywając. Aż doszła do momentu, gdy zatelefonowała do ojca.

– Nie pomyślała pani, żeby zawiadomić policję?

– Nie – odpowiedziała bez namysłu.

– Dlaczego?

– A co moglibyście mi zrobić? Ja powiedziałabym, że to on, on powiedziałby, że mnie nie zna. Wylegitymowałyby się wam fałszywymi dokumentami i musielibyście puścić go wolno. Nie byłoby tak? – Spojrzała na Klaudię kpiącym wzrokiem.

– Proszę kontynuować.

– Ojciec kazał mi i córce wrócić do restauracji, a sam poszedł do hotelu, żeby się rozejrzeć. Potem wrócił do nas, mówiąc, że wie, w którym pokoju mieszka Johnny. To znaczy Walters.

– I co było dalej?

– Nic. Ojciec odwiózł nas do Romy, a sam zapewne pojechał do siebie, do Vibble.

– Nie rozmawialiście o tym, co zrobicie z informacjami na temat mordercy?

– Oboje nas ta sytuacja zaskoczyła.

– O czym pani wtedy myślała? Jadąc samochodem.

- O córce. Bałam się o nią. Usnęła na tylnym siedzeniu, a ja ciągle na nią zerkałam.
- Gdzie jest teraz pani ojciec?
- Wyjechał do Kolumbii.
- Kiedy?
- W czwartek rano. Właściwie to w środę wieczorem.
- Czyli kiedy?

Klaudia uważnie przyglądała się Sarze. Było dla niej oczywiste, że dziewczyna co prawda nie kłamie, ale nie mówi też całej prawdy. Używała wielu słów i wyczerpująco odpowiadała na pytania, ale tak, jakby starała się nic nie powiedzieć. Policjantka odniosła wrażenie, że pannie Wetterberg zależało jedynie na stworzeniu pozorów szczerzej współpracy z policją.

- Ojciec był u nas w środę po południu. Powiedział, że następnego dnia leci do Bogoty. Samolot miał około jedenastej, ale z Kopenhagi, bo ze Sztokholmu nie było biletów. Wieczorem wsiadał na prom do Oskarshamn.

- Jest już na miejscu?

- Nie wiem.

- Jak to pani nie wie? - dociekała Klaudia.

- Nie kontaktował się ze mną.

- Czy to nie wydaje się pani dziwne?

- Nie, dlaczego? - Dziewczyna wzruszyła ramionami. - Może nie ma zasięgu albo coś jest nie tak z internetem.

- Po co pani ojciec poleciał do Bogoty? Czy to ma coś wspólnego z pani dawnym chłopakiem, Rodriguezem? - Klaudia trzymała w ręku akta sprawy z 2011 roku i teraz coś w nich sprawdzała. - Rodriguez Ardila Guzman, zgadza się?

- Tak. Właśnie tak. Ojciec doszedł do wniosku, że najwyższy czas, by Rodrigo poznał Kristinę, swoją córkę.

- Dlaczego akurat teraz?

- Nie mam pojęcia.

- Próbowала pani sama dzwonić do ojca?

- Nie.

- Dlaczego? Nie martwi się pani o niego? Kolumbia jest daleko, podróż długa. Nie interesuje panią, co robi, czy rozmawiał już z pani chłopakiem?

- Martwię się o tatę, ale jest dorosły i wie, co robi. - Po twarzy Sary widać było, że walczy z narastającą irytacją. - Do tej pory jakoś radził sobie bez mojej opieki. A Rodriguez od dawna nie jest już moim chłopakiem. Nasz kontakt urwał się jesienią dwa tysiące jedenastego roku.

- I nie próbowała pani nigdy do niego dzwonić? Porozmawiać na portalu społecznościowym albo skontaktować się przez jakiś komunikator?

- Próbowалаm. Po urodzeniu dziecka. Telefon był wyłączony, to znaczy numer był nieaktywny. Rodriguez zniknął z Facebooka i Skype'a. Mail wysłany na adres, którego wcześniej używał, wrócił do mnie. Nie wiedziałam, gdzie go szukać. A później już nie próbowałam.

- Czy pani ówczesny chłopak mógł mieć coś wspólnego z zabójstwem pani siostry w Turcji?

- Na pewno nie. To zostało sprawdzone. Zapytajcie komisarza Tumegårda. Powinno to zresztą być w aktach, które pani trzyma. - Sara wyzywającym wzrokiem spojrzała na policjantkę.

„Ona o coś walczy” - pomyślała Klaudia. „Kogoś kryje. Rodrigueza czy ojca? A może jeszcze kogoś innego?” Ta rozmowa zaczynała przypominać pojedynek, w którym obie cały czas atakowały.

- Wspomniała pani na początku o znajomym z Lund, który do pani przyjechał. - Lindberg włączył się do przesłuchania. - Kim on jest?

- To Elliot Kjell, brat Antona.

- Po co przyjechał?

- Zaprosiłam go na wakacje.

- Od kiedy jest na Gotlandii?

- Przyjechał w niedzielę po południu.

- Dobrze się znacie?

– Przyjaźnimy się od jakiegoś czasu. Po śmierci Emmy i jego brata zbliżyliśmy się do siebie. To on przekonał rodziców, że powinni się zgodzić na pochowanie Antona na naszym cmentarzu razem z Emmą. Pomysł był mój, ale on go poparł.

– To pani aktualny chłopak? – Sara zadała pytanie, akcentując słowo „aktualny”.

– Nie widzimy się zbyt często. Nie, to nie jest mój aktualny chłopak.

– Czy ma pani jego zdjęcie?

– Tak.

Sara wyjęła telefon i pokazała im zdjęcia Elliota z Kristiną i Martą.

– Ile ma wzrostu? – zapytał Lindberg. – Nie wygląda na bardzo wysokiego.

– Zawsze był niższy od Antona. Niecałe metr osiemdziesiąt, może sto siedemdziesiąt pięć centymetrów. Nie wiem.

– Za mało – westchnął komisarz.

– A powinien mieć więcej, bo...?

– A nie, tak tylko powiedziałem. – Lindberg się zmieszał. – Będziemy chcieli z nim porozmawiać. Nie przyjechał tu przypadkiem z panią? Może czeka w samochodzie?

– Nie. Sama sobie radzę z prowadzeniem auta. Został w domu z Kristiną. Przekażę, żeby do was podjechał.

– To nic pilnego. Może być w poniedziałek – spokojnym tonem stwierdził Lindberg.

Komisarze liczyli na to, że dowiedzą się od Sary czegoś interesującego. Przełożony Klaudii również doszedł do wniosku, że dziewczyna wie więcej, niż im mówi, i że próbuje coś przed nimi ukryć. Doświadczenie podpowiadało mu jednak, że najlepszą metodą na zmuszenie kogoś do mówienia nie jest zadawanie w kółko tych samych pytań, ale milczenie. Osoba przesłuchiwana nie wytrzymuje napięcia i w końcu pęka. W tym wypadku ta metoda się jednak nie sprawdziła. Dziewczyna siedziała spokojnie i uśmiechała się do nich uprzejmie.

– Czy macie państwo jeszcze jakieś pytania? – zapytała. – Bo jeżeli nie, to chciałabym już wrócić do domu.

– To na razie wszystko – odparła po zastanowieniu Klaudia. – Skontaktujemy się z panią, jeśli następne przesłuchanie będzie konieczne.

– Jeszcze raz dziękujemy za przybycie – dodał Lindberg.

Sara opuściła pokój przesłuchań, czując na sobie badawczy wzrok dwójki funkcjonariuszy.

Kiedy tylko zniknęła za zamkniętymi drzwiami, Klaudia poczuła złość na samą siebie. Wiedziała, że powinna była inaczej to rozegrać. „Co ona ukrywa?” – zastanawiała się.

Tymczasem Lindberg przeglądał stary raport ze śledztwa z 2011 roku.

– Ile wzrostu ma jej ojciec? – zapytał.

– Nie więcej niż sto osiemdziesiąt centymetrów.

– To leżymy – z rozczarowaniem westchnął komisarz.

– Widziałeś jej reakcję na wiadomość, że Walters nie żyje? Tego nie zagrała. Była autentycznie zaskoczona.

– To prawda – przytaknął Lindberg. – A gdy usłyszała, że to Johansson go zabił, właściwie nawet się przestraszyła. Ale nie powiedziała nam wszystkiego. Szkoda, że nie możemy jej zatrzymać do czasu, aż porozmawiamy z Elliotem Kjellem. Na pewno uzgodnią między sobą, co powinien przemilczeć, gdy się u nas pojawi.

Komisarz zamilkł, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał. Jego współpracownica również milczała, ale po chwili zapytała niespodziewanie:

– Gdyby coś zagrażało twoim dzieciom, co byś zrobił?

– Jej córce nic nie groziło – oświadczył zdumiony Lindberg.

Klaudia się nie odezwała.

– Chyba że rozmawiamy o układzie ojciec – córka. Myślisz, że Jan Wetterberg ma coś wspólnego z zabójstwem Waltersa? Szkoda, że nie możemy go o to zapytać.

Klaudia przypomniała sobie, jak bez zastanowienia gotowa była bronić małego kotka znalezionego przy śmietniku. A to przecież było tylko zwierzę, w dodatku zupełnie obce. Jak daleko posunąłby się rodzic, gdyby ktoś chciał skrzywdzić jego dziecko? Czy jest coś, czego by dla niego nie zrobił? Odpowiedź nasuwała się sama. Ale czy dla wszystkich była tak oczywista jak dla niej?

– Co byś zrobił? – ponowiła pytanie, patrząc komisarzowi prosto w oczy.

Lindberg spojrział na nią uważnie. Zaczynał rozumieć, o co naprawdę pyta partnerka. Po chwili pewnym i beznamiętnym głosem powiedział:

– Wszystko. Wiedząc, że mam do czynienia z zawodowym mordercą... Żeby chronić synów, zabiłbym bez wahania.

*

Tymczasem Sara, już spokojna i zrelaksowana, zmierzała na policyjny parking, gdzie zostawiła samochód. Co prawda nikt nie raczył jej wtajemniczyć w sprawy śledztwa, ale z odbytej właśnie rozmowy jasno wynikało, że ktoś zrealizował wymyślony przez Elliota plan pozbycia się obu nieprzyjaciół: Johnny'ego i Johanssona. Nie wiedziała, jaki był w tym wszystkim udział jej ojca, ale jedno nie pozostawiało dla niej najmniejszych wątpliwości – bez względu na konsekwencje musi chronić swoją rodzinę.

48.

Klaudia szła boso po plażę. Miękki, mokry piasek masował jej stopy, które co jakiś czas obmywała woda. Dzień był pochmurny i wydawało się, że za chwilę zacznie padać deszcz. Morze miało ciemnostalowy kolor. Wiał ciepły letni wiatr od zachodu, spieniając fale, które co chwilę rozbijały się o brzeg. Mewy, przeraźliwie skrzecząc, krążyły w oddali. Jedna z nich fruwała przez chwilę dokładnie nad jej głową, może licząc na jakiś poczęstunek. Nie doczekawszy się żadnego smakołyku, spokojnie odleciała do reszty stada. Gdyby nie brak słońca na plaży byłoby już zapewne dużo ludzi, pomimo wczesnej godziny. Gorsza pogoda zatrzymała ich w domach i Klaudia, która przyjechała tu na rowerze, była właściwie sama. Nie licząc chłopaka, który bawił się z psem jakieś sto metrów od niej.

Ten brak towarzystwa całkiem jej odpowiadał. Wyszła z domu, żeby w spokoju pomyśleć. Ostatnie dni były nadzwyczaj stresujące – w jej otoczeniu zachodziły zmiany, na które nie była gotowa. Traciła oparcie w najbliższych i grunt usuwał jej się spod nóg. A wszystko to negatywnie odbijało się na jej pracy. Nie mogła się skupić na rozwiązywaniu zagadki morderstwa, gdy jej życie prywatne było w rozsypane.

Ku jej wielkiemu strapieniu sytuacja z ciotką robiła się coraz poważniejsza. Najwyraźniej kobieta powoli traciła kontakt z otoczeniem. Od jakiegoś czasu rozmawiała wyłącznie z kotem, uważając wszystkich innych za swoich śmiertelnych wrogów. Klaudii wydawało się nawet, że ciocia się jej boi. Raz podsłuchiwała, jak mówi do Rumika, że może polegać tylko na nim, bo ludziom nie wolno ufać. Tłumaczyła mu, by zapamiętał, że nawet najbliższy człowiek może zdradzić i okazać się wrogiem. Tylko zwierzęta nigdy nie zawodzą. Dlatego tak go kocha.

Klaudii udało się skonsultować telefonicznie z lekarzem psychiatrą z przychodni, w której leczyła się ciocia, i umówić się z nim na spotkanie w przyszłym tygodniu. Nie dawał jej zbytniej nadziei na poprawę. Co prawda nie powiedział tego wprost, ale w jego głosie wyczuła wyraźną sugestię. Zresztą sama wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała zmierzyć się z tym problemem – przecież ciocia miała dziewięćdziesiąt lat, nic dziwnego, że demencja dała o sobie znać. To i tak późno, właściwie należałoby się cieszyć, że dopiero teraz. Nietypowe było tylko, że stało się to tak nagle, praktycznie z dnia na dzień. Lekarz stwierdził, że pełną diagnozę mógłby postawić po szczegółowych badaniach, ale zachodziła obawa, że pani Alina na takowe nie wyrazi zgody. Można to było załatwić inaczej, za pośrednictwem sądu, ale Klaudia nigdy nie posunęłaby się do tak drastycznej metody jak przymusowe leczenie. Poza tym nie była w stu procentach pewna, czy przyczyn zmiany zachowania starszej pani należy upatrywać wyłącznie w chorobie.

Pewnego razu, gdy wróciła z pracy, usłyszała dobiegającą zza ściany rozmowę. Zajrzała do pokoju cioci, myśląc, że ta mówi do siebie. Wyjątkowo kot nie dotrzymywał jej towarzystwa, bo siedział

w korytarzu, zajęty toaletą. Z pozoru niezrozumiały bełkot okazał się rozmową telefoniczną prowadzoną w języku, którego Klaudia nigdy wcześniej nie słyszała. Na widok siostrzenicy pani Alina pospiesznie przerwała połączenie, jakby nie chciała, żeby ktokolwiek ją podsłuchiwał. Nie zamierzała niczego wyjaśniać i tradycyjnie już zignorowała pytania dziewczyny. Jedno w tym wszystkim było nietypowe – starsza pani mówiła donośnym, pełnym głosem, śmiała się i odnosiło się wrażenie, że mówiła z sensem. Jak na kogoś z zaawansowaną demencją było to co najmniej dziwne. A może ciocia tylko udawała, że rozmawia przez telefon? Klaudia brała pod uwagę różne ewentualności. Postanowiła następnym razem nagrać taką rozmowę, by dowiedzieć się, w jak dużym oderwaniu od rzeczywistości żyje starsza pani.

Kolejnym tematem zaprzatającym głowę młodej policjantki, był jej „cichy wielbiciel”, którego po raz pierwszy zauważyła pewnej nocy przed swoim domem kilka miesięcy wcześniej. Ten tajemniczy osobnik nie dawał jej spokoju nawet w niedzielę, wydzwanając od piątej rano. Tak było i dzisiaj, kiedy dzwonek telefonu wyrwał ją ze snu. To właśnie ta osobliwa pobudka sprawiła, że tak wcześnie rozpoczęła dzień. Najprostszym rozwiązaniem byłoby oczywiście wyłączenie, a przynajmniej wyciszenie telefonu, ale ona nie mogła się do tego posunąć, gdyż w każdej chwili mogła dostać nagłe wezwanie do pracy.

Kiedy odbierała te tajemnicze telefony, nigdy nie wyświetlał się numer, a połączenia były bardzo krótkie. Mogłaby poprosić, żeby monitorowano jej telefon i rozmowy przychodzące, ale do tej pory się na to nie zdobyła. Po co, skoro ten ktoś nigdy się nie odzywał i po dziesięciu sekundach odkładał słuchawkę? Przez chwilę myślała nawet, że to może Christian sprawdza, czy odbierze, nie wiedząc, że to on dzwoni, ale szybko odrzuciła ten pomysł. To nie było w jego stylu. A może jednak? Jak dobrze go znała? Może tylko wmawiała sobie, że Behrens jest jej chłopakiem i przyjacielem, bo chciała, żeby tak było? Nie widują się przecież codziennie i ona tak naprawdę nie wie, jak wygląda jego życie. Wie tylko tyle, ile on sam jej mówi. Gdy zobaczyła go na ulicy z obcą kobietą, w pierwszej chwili pomyślała, że ją zdradza, ale później, kiedy zastanawiała się nad tym w domu, przyszło jej do głowy, że Chris może należeć do świata przestępczego, a ze spotkaną w Visby kobietą mógł omawiać jakieś brudne interesy. Znajomość z policjantką mogła być korzystna dla jego działalności. Albo wręcz przeciwnie – nie podobała się jego bossom lub ludziom, z którymi współpracował. Może unikał jej, żeby ją chronić?

Z jednej strony była na niego ciągle obrażona, ale z drugiej – mimowolnie go usprawiedliwiała. Co za brak konsekwencji... Musiała przed samą sobą przyznać, że go kocha.

„No dobrze” – zdecydowała. Musi zmierzyć się ze swoimi obawami, bo inaczej zwariuje. W sprawie cioci spotka się z psychiatrą, a Christianowi pozwoli się wytłumaczyć i opowiedzieć o kobiecie, z którą widziała go w Visby. Może ciocia jest tylko na nią o coś zła i poza tym dobrze się czuje, a mężczyzna jej życia spotkał się z osobą, która miała dla niego ważne informacje, potrzebne do nowego artykułu, który pisał...

Klaudia zdjęła przeciwdeszczową kurtkę, którą założyła rano ze względu na brzydką pogodę. Podwinęła nogawki płóciennych spodni i usiadła z podkulonymi nogami na kępie trawy. Obok położyła sportowe buty, które cały czas niosła w ręku. Zamknęła oczy i wystawiła twarz do słońca, żeby się choć trochę opaliła. Robiło się ciepło. Chmury odpłynęły, a słońce dodało jej energii. Skoro wie już, w jaki sposób przywrócić ład w swoim życiu osobistym, teraz może się zastanowić nad śledztwem.

Przesłuchanie Sary Wetterberg było dziwne. Patrząc z perspektywy czasu, uznała, że niepotrzebnie tak ją atakowała. Trzeba było udawać przyjaźń, współczuć jej, zamiast naskakiwać na dziewczynę. Przecież ona mogła mieć wciąż głęboko ukryte pretensje do Klaudii za to, że wtedy, sześć lat temu, policjantka nie odnalazła mordercy jej siostry. Może dlatego teraz nie chciała z nią rozmawiać. Z zachowania dziewczyny, jej reakcji i mowy ciała wynikało, że nie wiedziała nic o śmierci Erika Waltersa, nie znała też tajemniczego wielkoluda z Finlandii. Raczej mało prawdopodobne, że miała cokolwiek wspólnego z podwójnym morderstwem... Ale nie da się tego samego powiedzieć o jej ojcu. Wyjazd Wetterberga do Ameryki Południowej w momencie, gdy w mieście zjawia się niebezpieczny zabójca córki, był nielogiczny i wyglądał podejrzanie. Jasne, że nie urosł nagle o kilkanaście centymetrów i nie zaczął mówić z fińskim akcentem, ale może kogoś wynajął? To miało sens, ale Klaudia nie potrafiła sobie wyobrazić tego spokojnego i trochę nudnego mężczyzny umawiającego się z jakimś bandziorem i zlecającego mu rozwiązanie swoich problemów.

Siedziała tak i zastanawiała się, co ona byłaby gotowa zrobić, żeby zapewnić poczucie bezpieczeństwa swojemu dziecku, gdyby była matką.

W tym momencie jej komórka rozbrzmiała znajomą melodyjką. Czekwała na ten dźwięk, ale jednocześnie się przestraszyła. Dzwonił Christian.

Obiecała sobie przed chwilą, że porozmawia z nim, jeżeli mężczyzna po raz kolejny spróbuje się z nią skontaktować. Nie miała więc wyboru. Odebrała telefon.

- Jesteś tam, kochanie? – usłyszała zdziwiony głos mężczyzny.
- Tak, jestem.
- Dzień dobry.
- Cześć.
- Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że będziesz chciała ze mną rozmawiać.
- No widzisz, zaskoczyłam cię. Co słychać?
- Jestem w Londynie. A ty co robisz? Nie obudziłem cię?
- Nie, wcześniej dziś wstałam. Myślałam, że dzwonisz stąd.
- Musiałem wrócić. Problemy rodzinne.
- Coś poważnego?
- Nic, z czym bym sobie nie umiał poradzić.

Rozmowa się nie kleiła. Byłoby dużo łatwiej, gdyby siedział koło niej na plaży. Nie musieliby w ogóle rozmawiać. Patrzyliby na te same fale i mrużyli oczy przed tymi samymi promieniami słońca. Przytuliłaby się do niego i wszystko by się jakoś ułożyło. Ta rozmowa była bez sensu.

- Naprawdę jesteś w Anglii?

- Naprawdę. Wczorajem wyjeżdżam na parę dni do Irlandii. Będę robił reportaż o pewnym Niemcu, który poświęcił osiem lat życia na ratowanie dziedzictwa kulturowego Irlandczyków, w tym zrujnowanych budowli celtyckich i starych miejsc pochówku. W różnych miejscach na świecie organizował zbiórki pieniędzy i szukał sponsorów. Jakimś cudem udało mu się namówić do współpracy kilka prężnych organizacji irlandzkich z Nowego Jorku i Bostonu. Miejscowe władze w zasadzie go popierały, ale tak się złożyło, że nikt z owym pasjonatem nie zawarł żadnej umowy na piśmie. W międzyczasie zmieniły się przepisy i teraz chcą go obciążyć różnymi kosztami, o których wcześniej nie było mowy. A mieli mu zwrócić za wydatki. Nawet nie podziękowali za odrestaurowanie bardzo starej wieży, podobno pirackiej, i zbudowanie porządnej drogi na święte wzgórze, gdzie pradawni Irlandczycy kultywowali archaiczne obrzędy i modlili się do bogini Epony. Przy tym facet narobił sobie wrogów wśród społeczności lokalnych i nawet wymierne korzyści finansowe, jakie dzięki jego działalności odnoszą teraz poszczególne regiony ze względu na zwiększoną liczbę turystów, nie przekonują nikogo, żeby stanąć po jego stronie. To ciekawy temat.

Klaudia słuchała nieuważnie. Po co on jej to wszystko opowiada? Może zmyślił całą historię? Słyszac kogoś, kto zbyt dużo gada, zawsze kwitowała to w myślach słowami: „Ma uszkodzoną lewą półkulę mózgową”, ale Chris wcześniej tak się nie zachowywał. Może to nerwy? Powinna mu przerwać i zapytać o nazwisko tego Niemca, a potem sprawdzić w internecie, czy rzeczywiście ktoś taki istnieje. Zamiast tego zapytała o coś innego:

- Kim była kobieta, z którą spotkałeś się w Visby?

Po drugiej stronie zapadła cisza. Powinien był się spodziewać tego pytania, a mimo to nie przygotował sobie żadnej odpowiedzi. Po chwili Christian odchrząknął i cicho odpowiedział:

- Prawnikiem.
- Masz kłopoty?

Dotarło do niej, że fantazje na temat jego rzekomych powiązań z przestępcami, a może nawet całą organizacją o charakterze mafijnym, mogą się okazać prawdą. Jeżeli tylko mogłaby mu pomóc...

- Nie. Martwiłabyś się?
- Wiesz, że tak.

- To miłe, ale nie mam kłopotów. Frida zajmuje się odziedziczonym przez ojca domem w Sztokholmie. Jakiś czas temu przepisał go na mnie. Umówiliśmy się wtedy w Visby, bo spędzała urlop na Gotlandii.

Behrens zdał sobie sprawę, że rozmowa telefoniczna z Klaudią, której miał do powiedzenia tyle ważnych rzeczy, niczego nie załatwi. Musi się z nią zobaczyć. Musi ją trzymać za rękę i patrzeć w jej cudowne szarzielone oczy. Musi być najbliżej, jak to tylko możliwe, żeby udało mu się powiedzieć to, co trzeba. Co już dawno powinno być powiedziane. Wymykała mu się i oddalała. Zamiast się

cieszyć, że wreszcie słyszy jej głos, zaczął się irytować. Gdyby nie ten pieprzony materiał z Irlandii, na który miał zamówienie od redakcji jednej z londyńskich popołudniówek, bukowałby już bilet do Szwecji.

– Nie wiedziałam, że masz dom w Sztokholmie. Nic o tym nie wspomniałeś. Byłeś tak blisko mnie i nie odezwałeś się...

– Przepraszam. Miałem się z tobą skontaktować. Uprzedziłaś mnie i potem wszystko się skomplikowało.

– Ty to skomplikowałaś – powiedziała z lekkim wyrzutem w głosie.

– Oczywiście. Zawsze wszystko komplikuję! Dlaczego nie powiedziałaś, że mnie widziałaś? Mówiłaś, że jesteś w komendzie.

Klaudia miała wrażenie, że słyszy w jego głosie złość.

– A więc to moja wina?! To ty mnie pierwszy okłamałeś!

– Nie chcę się z tobą kłócić.

– Więc się nie kłóć!

– Jak tylko skończę tutaj, przyjadę do ciebie.

– Obejdzie się. Mam dużo pracy.

Natychmiast pożałowała słów wypowiedzianych pod wpływem impulsu, ale było już za późno, by naprawić błąd. Mogła liczyć tylko na to, że Chris jej nie posłucha. Nie darowałaby sobie, gdyby teraz po prostu powiedział: „Skoro tak sobie życzysz”, i rozłączył się.

Behrens nie miał siły tego słuchać. Chciał ją mocno do siebie przyciągnąć i pocałować, a przede wszystkim nie pozwolić, żeby mówiła takie okropne rzeczy. Nie wierzył, że naprawdę jest na niego aż tak zła. Od dawna był przekonany, że w Klaudii znalazł swoją drugą połówkę, i wiedział, że nie wolno im zepsuć tego, co ich łączy. Musi jej zaufać.

– Klaudia...

– Co?

– Potrzebuję cię... Nawet nie wiesz, jak ciężko mi bez ciebie. To wszystko nie ma sensu. Jesteś tam jeszcze?

– Tak.

– Kocham cię. Nikogo nigdy tak nie kochałem jak ciebie.

Kobieta ciężko westchnęła. Co miała zrobić? Dzieliły ich setki kilometrów. Tak bardzo za nim tęskniła. Gdyby tylko mogła poprosić szefa o kilka dni urlopu... Oczywiście to nie wchodziło w rachubę. Musi poczekać. Ale niech tak będzie. Zaczeka na niego.

– Przyjedź, jak będziesz mógł – powiedziała dużo spokojniejszym tonem.

49.

Zgodnie z umową, jaką zawarli w weekend, telefon Lindberga zadzwonił w poniedziałek punktualnie o szóstej.

– *Hello, this is your wake up call!*

– Cześć, Olaf. Dzięki. Daj mi piętnaście minut.

– Okej, za kwadrans czekam na zewnątrz.

Erik szybko wstał i począł do łazienki ochlapać się wodą. Wciąż nie mógł się dobudzić, chyba dlatego, że wciąż czuł w mięśniach sobotnią eskapadę. Przyjrzał się sobie w lustrze. „Cholera, robią mi się zakola” – pomyślał ponuro. Dobrze, że sąsiad namówił go na wspólne bieganie – najwyższy czas zabrać się za siebie.

Nie chciał pić kawy przed joggingiem, więc tylko wziął parę łyków wody z kranu. Umył zęby i przejechał palcami po włosach. Potem włożył dres i wsunął sportowe buty. Nalał zimnej wody do plastikowego bidonu, który przymocował do specjalnego pasa biodrowego. Linda kupiła mu go dwa

lata temu na gwiazdkę, ale wraz z wieloma innymi gadżetami sportowymi przeleżał ten czas w szafie. Dopiero teraz zrobiło się na tyle ciepło, że mógł zrobić z niego użytek. Dotąd zawsze wydawało mu się, że jego trasy biegowe nie są wystarczająco długie, żeby zabierać ze sobą coś do picia. Oekland miał bardzo dobry pomysł z tym codziennym porannym wspólnym bieganiem.

Gdy wyszedł przed dom, jego sąsiad już czekał i rozciągał mięśnie. Był w doskonałym nastroju, rześki oraz wypoczęty. „Jest starszy ode mnie, ale kondycję ma lepszą” – pomyślał z zazdrością Lindberg. „Wszystko przez to, że zaniedbałem regularne treningi. Koniecznie trzeba coś z tym zrobić”.

Dzień zapowiadał się słoneczny i upalny. Już teraz termometr pokazywał siedemnaście stopni, a było przecież dopiero po szóstej. Biegli niezbyt szybkim, równym tempem w stronę lasów położonych na południe od Pilhagen. Niedaleko mieściła się popularna siłownia, do której Lindberg kiedyś często zaglądał. Rozmawiali z Olafem o tym, że mogliby tam chodzić razem, gdy nadejdzie jesień i w deszczu będzie nieprzyjemnie biegać.

Po piętnastu minutach byli już w lesie i wykonywali zaplanowane ćwiczenia.

– Wszystko w porządku?

Erik dostrzegł, że jego kolega, zamiast wymachiwać rękami i nogami, stoi oparty o drzewo. Zwiesił głowę i ciężko oddychał. Poblądł, a na jego czole perliły się kropelki potu.

– Olaf, dobrze się czujesz? – Lindberg szybko podbiegł do sąsiada.

– Nie za bardzo – odpowiedział ten słabym głosem.

– Co ci jest?

– Pomóż mi – wyszeptał Oekland.

Nagle gwałtownie się zachwiał się i mało brakowało, a upadłby na ziemię. Lindberg przytrzymał go w ostatniej chwili.

– Boli cię coś? – zapytał.

– Nie, tylko kręci mi się w głowie. Nie mogę złapać oddechu i jest mi strasznie gorąco.

Erik zaniepokoił się nie na żarty. W lesie rzeczywiście było wyjątkowo ciepło, ale nie stali przecież w pełnym słońcu, tylko w cieniu. Lindberg powoli posadził Olafa na ziemi, pomógł mu oprzeć się o drzewo i polecił pochylić głowę. Wyjął chusteczkę, zmoczył ją wodą ze swojego bidonu i położył Olafowi na karku, a potem podał mu bidon.

– Pij małymi łykami – poradził. – Może jesteś odwodniony.

Mężczyzna wziął kilka łyków.

– Lepiej ci?

– Trochę...

Ale Lindberg zauważył z niepokojem, że Olaf wcale nie wygląda, jakby czuł się lepiej. Wręcz przeciwnie. I rzeczywiście, po kilkunastu sekundach Oekland stracił przytomność.

Erik zaklął pod nosem i ułożył go na boku w pozycji bezpiecznej, co miało ułatwić oddychanie i zapobiec ewentualnemu zachłystnięciu się, gdyby Olaf zaczął wymiotować wypitą wodą. Potem z ulgą stwierdził, że nieprzytomny mężczyzna oddycha, co prawda bardzo cicho i płytko, ale mogło być gorzej. Myśli przebiegały komisarzowi przez głowę z prędkością światła. Wiedział, jak udzielać pierwszej pomocy, był to przecież stały element szkoleń, ale praktyka okazywała się zawsze dużo trudniejsza od teorii. „Najpierw pogotowie” – pomyślał. No masz, nie wzięt ze sobą komórki! Została przecież w domu, podłączona do ładowarki. Obszukał Oeklanda – ten na szczęście miał telefon. Wybrał numer sto dwanaście. Jakoś udało mu się wytłumaczyć osobie przyjmującej zgłoszenie, gdzie się znajdują, ale na wszelki wypadek nie rozłączał się. Po chwili kobieta z centrali pogotowia ratunkowego ustaliła miejsce ich pobytu na podstawie sygnału wysyłanego przez aplikację na smartfonie. „Przewidujący ten Olaf! On sam nie pomyślał nawet o tym, żeby zabrać telefon, bo przecież wychodził tylko na chwilę.

Kobieta przyjmująca zgłoszenie zadawała rutynowe pytania, a wówczas Erik uświadomił sobie z goryczą, jak niewiele wie o swoim sąsiedzie. Nie potrafił powiedzieć, na co choruje Oekland i jakie leki przyjmuje na stałe. Wspomnił jedynie, że ostatnio wydawał się okazem zdrowia. Przypomniało mu się natomiast w odpowiednim momencie, że przyczyną omdlenia mogą być również zaburzenia psychiatryczne, więc poinformował dyspozytorkę pogotowia o wydarzeniu sprzed sześciu lat, kiedy jego sąsiad w ataku furii wyrzucił sprzęt przez okno.

Gdy skończył rozmawiać, obrócił wciąż nieprzytomnego Oeklanda na wznak i uniósł mu wysoko nogi. Żeby tylko nie przestał oddychać. Nie wiedział, co mogło spowodować omdlenie. Może jego sąsiad

chorował na serce? Powinien był mu o tym powiedzieć. Tylko kto chwali się własnymi dolegliwościami? Mógł mieć jakąś niezdiagnozowaną chorobę, ale przecież w sobotę na nic się nie uskarżał, a dość długo byli na słońcu, kąpali się w basenach i przejechali przynajmniej trzydzieści kilometrów na rowerach. Może się przeforsował? A może zapomniał wziąć rano jakieś lekarstwo? Kogo z rodziny albo znajomych sąsiada mógłby zawiadomić? Od lat mieszkali tak blisko siebie, a on nic o nim nie wiedział. Będzie musiał wypytać go o wszystko, jak tylko Olaf poczuje się lepiej. Przyjaciele powinni się sobą nawzajem interesować.

Tamten wiedział o nim wszystko – że Linda wyjechała, że Erik lubi czerwone wino i ciemne piwo. Pamiętał, kiedy i jak złamał nogę. Erik nie wiedział o nim nic. Ze wstydem sam przed sobą przyznał, że sprawy sąsiada zbytnio go nie interesowały. Ciągłe był zajęty tylko swoją pracą i swoją rodziną. A przecież lubił Oeklanda. Tym bardziej czuł się winny, że nigdy o nic nie pytał kolegi, dla którego był prawdopodobnie jedynym przyjacielem. Teraz, gdy zaczął się nad tym zastanawiać, nie mógł sobie przypomnieć, żeby widział kogoś odwiedzającego dom po drugiej stronie ulicy. Niemożliwe, żeby ten – bądź co bądź – sympatyczny człowiek nie miał żadnych krewnych ani znajomych. No tak, ale on sam też był u niego tylko jeden jedyny raz. Jeszcze przed tą historią z wyrzucaniem mebli przez okno.

Te ponure rozmyślenia przerwał mu sam Olaf, który lekko się poruszył. Najwidoczniej starania Erika odniosły pożądany skutek i krew zaczęła dopływać do mózgu, a omdlenie powoli ustępowało, bo Oekland otworzył oczy.

– Zaraz będzie tu pogotowie – powiedział szybko Lindberg. – Nie próbuj wstawać.

– Co się stało?

Widać było, że mówienie sprawia mu trudność. Jego głos drżał, a strużka potu spływała po czole. Erik obmył mu twarz mokrą chusteczką i zaczął się zastanawiać, skąd w nim nagle tyle czułości w stosunku do sąsiada.

– Straciłeś przytomność, ale już jest dobrze. Oddychaj spokojnie. Bierzesz jakieś leki? – zapytał z troską.

– W kieszeni mam dokumenty, wystarczy im podać personnummer, będą tam mieli całą historię mojej choroby. Daj mi trochę wody.

Olaf był ciągle blady, ale przytomny. Erik klęczał przy nim na ziemi, a ten trzymał go za rękę. Obaj się uśmiechali.

– Dziękuję – wyszeptał Oekland. – Że tu jesteś.

Lindberg pomyślał, że dawno nie czuł się nikomu tak potrzebny jak w tym momencie. Ostatni raz chyba, gdy rodzili się jego chłopcy, a on dotrzymywał towarzysztwa Lindzie w szpitalu. Wtedy co prawda ona psychicznie była w dużo lepszej kondycji niż świeżo upieczony tata, ale oficjalnie to on dodawał otuchy żonie.

Cała jego wieloletnia praca policjanta nie przyniosła mu nigdy tyle satysfakcji co dzisiejsze ratowanie Oeklanda. Poskramianie pijanych nastolatków, łapanie złodziei, a nawet morderców – nic nie mogło się równać z tym niewielkim wysiłkiem, jakim było wykonanie telefonu na pogotowie, podanie Olafowi wody i trwanie przy nim w trudnych chwilach.

W oddali słychać już było syrenę karetki pogotowia.

– Słyszysz? – powiedział Erik. – Już dojeżdżają. Zaraz dostaniesz fachową pomoc. Wszystko będzie dobrze.

– Nie zostawiaj mnie – poprosił kolega. – Ostatnio biegałem z jakimś dziwnym facetem. Przyczepił się do mnie wielkolud, Fin. Biegliśmy razem od początku trasy równoległej do muru Norra Hansegatan, a potem przez Kung Magnusväg. Gdy skończył się mur, on nagle skręcił i z tą swoją wielką sportową torbą pobiegł w kierunku szpitala. Nie powiedział mi, że idzie w swoją stronę. Po prostu mnie zostawił. Czuję się oszukany, ty byś tak nie robił. Gdyby wtedy coś mi się stało, to nie miałyby kto mnie ratować.

*

Komisarz, któremu pozwolono zabrać się karetką razem z pacjentem, siedział teraz na korytarzu szpitalnym i czekał na informacje o stanie zdrowia Oeklanda. Wcześniej widział, jak przewożą go na badania, podłączonego do tlenu i przenośnego EKG. Trzymał w ręce jego telefon. Zastanawiał się,

co by było, gdyby tamten umarł. Czy gdyby nie biegli tego ranka razem, Olaf dałby sobie radę bez niego?

W jakim stopniu jesteśmy odpowiedzialni za drugiego człowieka? Czasami obcego, a czasami spotkanego przypadkowo na ulicy, który potrzebuje naszej pomocy?

Erik sam siebie określał mianem osoby odpowiedzialnej i uczciwej. Przecież dbał o żonę i o synów, a z racji zajmowanego stanowiska troszczył się też o swoich pracowników. Nie był dla nich co prawda takim „dobrym wujkiem” jak stary komisarz Tumegård, który traktował ich wszystkich trochę jak dzieci, ale gdyby potrzebowali jego pomocy – na pewno by nie odmówił.

A potem nagle przypomniał sobie o swoich rodzicach, których nie widział od lat, bo jakoś się ostatnio nie składało. Dzwonił do nich co kilka miesięcy i wiedział, że dają sobie radę. To mu wystarczało. Ale czy gdyby któremuś z nich stało się coś na ulicy, znalazłby się ktoś, żeby im pomóc?

Falun, skąd pochodził i gdzie cały czas mieścił się jego rodzinny dom, było mu jakoś nie po drodze, szczególnie w czasie wakacyjnych wojaży. Przy okazji uświadomił sobie, że jego ojciec w tym roku kończy siedemdziesiąt lat – w listopadzie. To doskonała okazja, żeby zorganizować rodzinny zjazd. Poza tym jego synom przyda się wyprawa na północ, do dziadków, których znają głównie ze słyszenia, bo ostatni raz widzieli ich jakieś dziesięć lat temu. A może starsi państwo zechcieliby przyjechać na Gotlandię? Lindberg postanowił, że jeszcze dzisiaj, zaraz po pracy zatelefonuje do rodziców i zapyta, jak się czują. Upewni się, że nie mają planów na jesień, i zaproponuje urządzenie czegoś w rodzaju imprezy urodzinowej. Co tylko będą chcieli. Nieraz fundował im zagraniczne wycieczki, ale tym razem chodziło o coś zupełnie innego – wspólne spędzenie czasu. Wszystko jedno gdzie; ważne, że razem. Jak mógł wcześniej o tym nie pomyśleć? Linda z pewnością poprze jego pomysł. Już się cieszył na spędzenie swojego spóźnionego urlopu w taki nietypowy sposób.

Wypadek Olafa niespodziewanie obudził w nim głęboko skrywane pokłady empatii, o które sam siebie nie podejrzewał. Zawodowo troszczył się o ludzi jako o społeczeństwo, ale nie przekładało się to za bardzo na życie prywatne. I chyba nikt tego od niego do tej pory nie wymagał. Jego żona robiła to doskonale za nich oboje. Dopiero teraz to zauważył.

*

Otworzyły się drzwi i wychylił przez nie głowę młody, wysoki, ciemnoskóry lekarz.

– Komisarzu?

Lindberg wstał. Bardzo nie chciał usłyszeć złej wiadomości.

– Co z moim kolegą, doktorze?

– Opanowaliśmy sytuację. W dużej mierze dzięki panu. Uratował mu pan życie.

Erik głośno odetchnął.

50.

Dochodziło wpół do jedenastej, gdy wreszcie dotarł na komisariat. Ze względu na wypadek z Olafem był spóźniony, a przecież tego samego dnia miał przesłuchiwać przyjaciela Sary. Jeszcze ze szpitala zadzwonił do oficera dyżurnego i poprosił o powiadomienie Elliota Kjella, żeby nie przyjeżdżał wcześniej niż o dwunastej, ale mimo to denerwował się, że chłopak może jednak już na niego czeka. Nie chciał, by Klaudia sama go przesłuchiwała. Normalnie na pewno by sobie doskonale poradziła, ale ostatnio miała gorsze dni i wydawała się rozkojarzona. Ciekawe, co ją trapi.

Niezmiernie się zdziwił, gdy już na dole, jak tylko wszedł, poinformowano go, że Kjell czeka na niego „gdzieś u góry” i że „chyba komisarz Jassem się nim zajęła”.

Wbiegł po schodach i udał się od razu do pokoju Klaudii, ale nikogo tam nie zastał. Czyżby jednak zaczęła bez niego? Poszedł do siebie. Zebrał leżące na biurku dokumenty i wydruki, po czym skierował

się do pokoju przesłuchań. Z daleka zobaczył uchylone drzwi. Na korytarzu słychać było głośny śmiech dwojga ludzi. „Co jest?” – pomyślał, przyspieszając kroku, i zaintrygowany otworzył szerzej drzwi do pomieszczenia, w którym spodziewał się ujrzeć swoją współpracownicę i przesłuchiwanego przez nią młodego mężczyznę.

Klaudia siedziała przy stole, naprzeciwko Elliota. Przed obojgiem stały kubki z kawą, a pomiędzy nimi talerz z kawałkami domowego, chyba drożdżowego ciasta. Rozmawiali o jakimś filmie, którego akcja rozgrywała się w Afryce, i krytykowali zachowanie marokańskiej policji. Doskonale się bawili. To była zupełnie inna Klaudia niż ta, z którą pożegnał się przed weekendem w piątek wieczorem. Tryskała humorem i energią, a jednocześnie emanowała wewnętrznym spokojem. Była opanowana i gotowa stawić czoła całemu światu. Taką ją lubił.

– Dzień dobry, państwu – powiedział Lindberg, wchodząc i zamykając za sobą drzwi.

– Dzień dobry, komisarzy.

– Miło, że dotarłeś – skwitowała z uśmiechem policjantka. – Czekaliśmy cierpliwie. Przekazano mi informację o wypadku.

– Źle się zaczął ten tydzień.

– Jak twój znajomy?

– Musieli zatrzymać go na obserwacji. Stan przedzawałowy.

– Ile ma lat?

– Pięćdziesiąt parę.

– Dobrze, że akurat z nim byłeś, gdy to się wydarzyło.

– To prawda. Kto wie, jak by się to skończyło, gdyby biegał sam, jak to miał w zwyczaju.

Komisarz spojrzął na talerz z ciastem i z przyjemnością zauważył:

– Wygląda bardzo apetycznie. Nigdy jeszcze nie upiekłaś dla nas ciasta. Co to za okazja?

Klaudia zaczęła się śmiać.

– To nie ja. Elliot przywiózł.

– Sara umówiła się rano z koleżankami z muzeum i upiekła ciasto specjalnie na tę okazję – wtrącił ich gość. – Przywiozłem ją na dziesiątą do Visby i nie miałem później nic do roboty, więc przyszedłem. Liczyłem na to, że uda mi się mimo wszystko porozmawiać z państwem wcześniej niż dopiero w południe. Wieczorem wyjeżdżamy.

– Kto wyjeżdża? – dopytywał Lindberg.

Intuicja podpowiadała mu, że jak zwykle Klaudia chce być dobrym policjantem, tym serdecznym i przyjacielskim, więc to na nim spoczywa poprowadzenie przesłuchania, w tym także zadawanie nieprzyjemnych pytań.

– Zabieramy Kristinę, córeczkę Sary, na tydzień do Sztokholmu – wyjaśnił Elliot. – Sara chce odwiedzić też jakąś swoją koleżankę z podstawówki, która kilka lat temu wyprowadziła się stąd do stolicy. Taki spontaniczny wakacyjny wyjazd.

– A potem wszyscy wracacie razem na Gotlandię?

– Tak, mam urlop do końca miesiąca.

– Czym pan się zajmuje zawodowo?

– Skończyłem inżynierię środowiska. Pracuję w dużej firmie budowlanej w Lund.

– Co robi inżynier środowiska?

– Różne rzeczy, zależy od specjalizacji. Ja akurat projektuję instalacje wodne.

– Kiedy przyjechał pan na wyspę?

– W zeszłą niedzielę, popołudniowym promem.

– Na wakacje?

– Sara zadzwoniła do mnie w sobotę. Powiedziała, że ma urlop i spędza go z Kristiną w domu. Zapytała, czy nie chciałbym do nich dołączyć.

– Wspominała o mordercy Antona i Emmy? Źe widziała go w Visby? – wypaliła prosto z mostu komisarz Jassem.

Kjell się uśmiechnął.

– Tak. Skąd pani wie? Mówiła, że powinienem przyjechać i na własne oczy go zobaczyć. Powiedziała, że siedziały obok niego z Kristiną w restauracji. W pierwszym momencie się przestraszyła, ale on jej nie poznał. Jakby nie wiedział, kim jest.

– I co jeszcze panu powiedziała?

– O Johnnym?

– Tak. O tym spotkaniu w restauracji.

– Nic. Tylko tyle, że się bała o siebie i o córkę, ale niepotrzebnie, bo on jej nie poznał.

– Nie zdziwiło pana, że tak nagle zadzwoniła i zaproponowała panu spędzenie urlopu w Romie?

– Nie. Ucieszyłem się. Jesteśmy przyjaciółmi, a na Gotlandii latem zawsze jest miło.

– Czy w czasie pobytu tutaj widział się pan z ojcem Sary? Rozmawiał z nim?

– Tak – odpowiedział Elliot po krótkiej chwili zastanowienia. – Dwa razy. Tego dnia, kiedy przyjechałem, to znaczy w niedzielę wieczorem. Marta zrobiła małe przyjęcie, trochę ze względu na mnie. A później drugi raz, gdy przyjechał się pożegnać przed wyjazdem do Bogoty.

– Kiedy to było?

– W środę wieczorem. Nie pamiętam dokładnie, która była godzina, ale chyba przed siódmą, bo wkrótce potem były w radiu wiadomości i usłyszeliśmy o śmierci Thomasa Johanssona.

– Czy Wetterberg mówił, po co jedzie do Kolumbii? – dopytywał komisarz.

– Mnie nawet nie mówił, dokąd jedzie. Dowiedziałem się tego od Sary. Bawiliśmy się z jej córką w ogrodzie, gdy do nas przyszedł. Wziął małą na ręce i ją ucałował. Do mnie powiedział, żebym się opiekował jego dziewczynami, bo musi wyjechać na jakiś czas. Widać było, że się spieszy i nie może długo rozmawiać. Zaraz potem odjechał, a ja podszedłem do stojącej przy bramie Sary.

– Czy kontaktował się z panem później, pisał albo telefonował?

– Nie. Po co miałyby to robić? – Kjell wyglądał na zdziwionego pytaniem. – Zresztą z tego, co wiem, do Sary też się jeszcze nie odezwał.

– Czy to nie dziwne?

– Bynajmniej. Moi rodzice też nie mają zwyczaju dzwonić z podróży. Dla mnie to normalne.

– Czy Sara się nie denerwuje brakiem kontaktu?

– Ona trochę tak – przyznał przesłuchiwany mężczyzna. – Wczoraj wieczorem próbowała nawet do niego dzwonić, ale miał wyłączony telefon. Może tam nie ma zasięgu. W każdym razie nie dodzwoniła się. Sami wiecie, że najszybciej docierają złe wiadomości. To, że nie ma od Jana żadnych wieści, oznacza, że nic złego się nie wydarzyło. *No news is good news.*

– Tak pan myśli?

– Chcę wierzyć, że tak właśnie jest.

– Sugeruje pan, że powinniśmy skontaktować się z naszą ambasadą w Kolumbii?

– Nie, nic takiego nie sugeruję.

– Czy słyszał pan kiedyś, żeby Wetterberg planował pozbycie się Waltersa albo Johanssona? – zapytała bez ogródek Klaudia.

Kjell spojrzał na nią zdziwiony.

– Wetterberg? Nie, skąd. Nigdy nie mówił na ten temat ani słowa. I dlaczego miałby chcieć „pozbyć się”, jak to pani eufemistycznie ujęła, Johanssona? Przecież to był chory człowiek. Leżał od kilku miesięcy w szpitalu i umierał na raka. Wystarczyło poczekać. Zresztą oni się przecież znali jeszcze z Riksdagu. Byli kolegami.

– Tajemnicą poliszylnela było, że się nie lubili. Jan Wetterberg sam wskazał Johanssona jako podejrzanego w pierwszym śledztwie. Po śmierci pańskiego brata i Emmy.

– I dlatego miałyby go zabić? O ile pamiętam z tamtych czasów, nie było do czego się przyczepić w kwestii Johanssona. Policja to sprawdziła, prawda? Znaćcie przecież Jana. Wyobrażacie go sobie jako perfidnego mordercę?

– Jak spędza pan u nas czas? Co pan robi? – Klaudia niespodziewanie zmieniła temat.

– Albo siedzimy wszyscy w domu, albo razem gdzieś się włóczymy po okolicy. Zjeździliśmy wyspę wzdłuż i wszerz przez ten tydzień. Kristinie bardzo się podobało w Kneippbyn. Te wszystkie zjeżdźalnie, baseny i atrakcje jak z opowieści o Pippi. Mieliśmy doskonałego przewodnika po Gotlandii – roześmiał się. – Czyli Sarę. A wczoraj byliśmy cały dzień na Fårö.

– Życzymy w takim razie równie udanego pobytu w Sztokholmie – powiedział komisarz, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie ma więcej pytań do Kjella.

– Dziękuję. Na pewno taki właśnie będzie. Rozumiem, że to już wszystko?

– Tak, ale proszę do nas zatelefonować, gdyby skontaktował się z wami Jan Wetterberg. Oczywiście o nic go nie podejrzewamy, ale chcielibyśmy zapytać o kilka spraw.

– Oczywiście. Do widzenia.

Gdy za Elliotem zamknęły się drzwi, Lindberg popatrzył zmęczonym wzrokiem na swoją koleżankę. Klaudia machnęła tylko ręką.

– A tam... Nic nie wymyślimy.

– Nie mamy punktu zaczepienia. Zachowywał się całkiem normalnie.

– Sympatyczny chłopak.

– Bardzo miły. I niczego nam nie powiedział.

Komisarz wziął duży kawałek ciasta, które upiekła Sara, i wpakował sobie cały do ust.

*

Elliot czekał naprzeciwko wyjścia z Muzeum Historycznego. Zobaczył wychodzącą Sarę i szeroko się uśmiechnął.

– No i? – zapytała, gdy wyruszyli w stronę zaparkowanego za murem samochodu.

Nie zareagował od razu, wzruszył jedynie ramionami i zmienił temat. Dopiero gdy wyjechali z miasta na szosę do Romy, powiedział:

– Pytali, czy twój tata mówił coś o zabójstwie Johnny’ego albo Johanssona.

– Przecież nie odezwał się wtedy ani słowem – przytomnie zauważyła Sara.

– I dlatego zgodnie z prawdą powiedziałem, że nie.

– Ładnie to rozegraliśmy. Najlepszymi kłamstwami są półprawdy – powiedziała, a Elliot z uśmiechem skinął głową.

51.

Pomimo pełnej obsady w Wydziale Kryminalnym wszyscy pracowali bez wytchnienia. Turyści, którzy tłumnie zjechali do stolicy regionu, tradycyjnie przysparzali policji dodatkowej roboty. Interwencje w związku z nadużywaniem alkoholu i narkotykami, a także różnymi wybrzykami mniej lub bardziej pijanych przybyszów stały się codziennością.

Visby rozkwitało kolorami, a szczególnie energetyzującą czerwienią. Rozpoczął się właśnie Tydzień Średniowieczny – okres jarmarków, muzyki, tańców, wystaw ulicznych i przedstawień. Festiwal nawiązywał do czasów średniowiecznej Gotlandii i ówczesnej świetności samego Visby, wchodzącego wówczas w skład Hanzy i będącego jednym z najpotężniejszych portów Bałtyku. Trudno byłoby o lepsze miejsce dla takiego wydarzenia. W mieście zachowało się mnóstwo domostw z tych odległych czasów, a starówkę otaczał niemal trzyipółkilometrowy mur z aż czterdziestoma czterema wieżami obronnymi. Nawet nowsze domy nierzadko wznoszono na bazie średniowiecznych budowli. Co prawda czasem, chociażby zwiedzając ruiny kościołów, trzeba mocno wysilić wyobraźnię, by zobaczyć ich dawną świetność, ale w trakcie samego festiwalu można rzeczywiście odnieść wrażenie, że jakimś cudem zostało się przeniesionym kilkaset lat wstecz. Zwłaszcza gdy mija się spacerujące rodziny, których członkowie, począwszy od seniorów rodu, a na niemowlakach skończywszy, przebrani są w stroje z epoki. Nie brakuje nawet psów mających na głowach charakterystyczne czapeczki z dzwoneczkami. Gdyby ktoś przypadkiem nie miał stosownego odzienia, może je nabyć w stojących na ulicach i placach kramach stylizowanych na średniowieczne. Pewnym zgrzytem, psującym całe wrażenie, są tylko terminale do obsługi kart płatniczych, w jakie zaopatrzeni są niemal wszyscy sprzedawcy.

Na każdym rogu ulicy coś się działo, a większość imprez odbywała się za ogrodem botanicznym, gdzie na odcinku prowadzącym do morza skupiły się też liczne kramy. Kobiety haftowały chusty i wyrabiały plecionki niczym ich przodkinie przed wiekami, spędzające czas przy popołudniowych

pogaduszkach. Trefnisie żonglowali ogniem, niektórzy nawet próbowali go połykać. Niemal wszystkie obecne w mieście panie, niezależnie od wieku, przebrały się w długie lniane suknie i przywdziały średniowieczne nakrycia głowy, natomiast mężczyźni chodzili w strojach rycerzy i piratów, czasem okuci w ciężkie zbroje, gotowi do wzięcia udziału w licznie organizowanych turniejach rycerskich. Ci, którym takie osobliwe przebranie wydawało się zbyt ciężkie w upalne dni, wybierali stroje łuczników, dla których również organizowano turnieje. Hotele pękały w szwach, ale przyjezdni, dla których zabrakło miejsca, znajdowali schronienie w stylizowanych namiotach. Mogli przy tej okazji korzystać z rozstawionej w obozowisku średniowiecznej kuchni, gdzie przyrządzano posiłki w wielkich saganach zawieszanych nad ogniskiem. Zmęczeni całodziennymi harcami zażywali kąpeli w drewnianej balii ustawionej specjalnie w tym celu nad brzegiem morza.

Także w miejscowych restauracjach, może poza typowymi fast foodami, dało się skosztować dziczyzny z pieczonymi jabłkami – podstawowego menu mieszkańców Visby z wieków średnich. Ta średniowieczna sceneria sprawiała, że miasto wydawało się niemal tak władcze i potężne jak za dawnych lat. Fikcja mieszała się z rzeczywistością, a Visby i jego okolice wyglądało jak zaczarowane. Na ulicach słychać było średniowieczną muzykę, nie brakowało też bardów opowiadających dawne sagi. By wziąć udział w większych atrakcjach, trzeba było przejść przez ogród botaniczny, gdzie również serwowano napoje i specjały z minionych wieków. Finałowym wydarzeniem każdego festiwalu była wielka uczta na miejskim rynku, organizowana w niedzielę wieczorem. O dziwo, nigdy nie zdarzyło się jeszcze, żeby dla kogoś zabrakło miejsca czy – nie daj Boże – wysmienitego jadła. Ucztującym przygrywali oczywiście muzykanci, których w tym wyjątkowym dniu z przyjemnością słuchali nawet wielbiciele rapu i hip-hopu.

Kiedy Klaudia była jeszcze małą dziewczynką, jej rodzice zabrali ją na festiwal. Wspomnienie tego dnia wciąż rozniecało ciepło w jej sercu. Pamiętała swoją matkę odzianą w wyjątkowo piękną średniowieczną suknię, w której wyglądała jak księżniczka z bajki, i ojca udającego barda, co niezbyt mu wychodziło, ale nikt się tym specjalnie nie przejmował. Ona sama miała na sobie kolorowy strój trefnisia, w którym najbardziej podobały jej się okrągłe dzwoneczki przy szpiczastej czapce i butach z długimi noskami, aczkolwiek chodzenie w nich sprawiało jej pewną trudność. Jediną osobą w rodzinie, która nie podzielała zachwytów nad festiwalem, była jej ciotka, uważająca całe wydarzenie za „idiotyczną błazenadę”. W trakcie średniowiecznych zabaw z reguły zamykała się w domu i całym dniami oglądała swoje ulubione seriale.

Klaudia uśmiechnęła się do swoich wspomnień, trochę żałując, że nie może chociaż przez jeden wieczór poszwendać się po brukowanych uliczkach Visby i przynajmniej popatrzeć na tłumy przebierańców. Niestety nie wszyscy mogli cieszyć się letnimi atrakcjami.

Od podwójnego zabójstwa w szpitalu mijał już prawie miesiąc, a policji nie udało się ustalić nic istotnego, co mogłoby pchnąć dochodzenie do przodu. Śledczy wciąż stali w martwym punkcie.

A przecież robili, co mogli, by wyjaśnić tę skomplikowaną sprawę. Przede wszystkim przesłuchali ponownie byłą pielęgniarkę, Jay Jung, która oczywiście od razu po zdarzeniu w szpitalu została dyscyplinarnie zwolniona z pracy. Oskarżono ją o nieudzielenie pomocy pacjentowi w sytuacji zagrożenia życia, a tym samym o spowodowanie jego śmierci. Na domiar złego straciła szwedzkie uprawnienia do wykonywania zawodu i groziło jej więzienie. Nic zatem dziwnego, że stawiając się na przesłuchanie, była w jeszcze gorszym nastroju niż pierwszego dnia po zabójstwie. Nie dowiedzieli się od niej niczego nowego. Jak mantrę powtarzała tylko to, co już wcześniej im powiedziała. Była pewna, że nigdy nie widziała Waltersa. Pierwszy raz zobaczyła go, gdy był już martwy.

Skrupulatnie sprawdzono nagrania z kamer szpitalnego monitoringu, co jednak również w niczym nie pomogło. Potwierdziły się tylko przypuszczenia komisarza, że to Walters przyniósł bukiet kwiatów, który potem znaleziono na podłodze na miejscu zbrodni. Był to zresztą doskonały kamuflaż – mężczyzna z kwiatami nie budził niczyich podejrzeń w szpitalu, a do tego tak wielkim bukietem można było skutecznie zasłonić twarz. Gdyby nie „materiał porównawczy” w postaci zwłok, morderca pozostałby nierozpoznany. I to nawet kiedy sfilmowałyby go kamery monitoringu.

Odnaleziono serwisanta klimatyzacji, który zeznał, że był w pokoju Johanssona nie dłużej niż dwadzieścia minut, gdyż zjawił się tam wyłącznie po to, by wyregulować temperaturę. Zeznał, że odniósł wrażenie, iż był to wyłącznie pretekst, a chory specjalnie kazał go wezwać, żeby mieć z kim pogadać. Dlatego też większość czasu spędził nie na regulacji termostatu, ale rozmawiając z pacjentem. W zasadzie

nie miał zwyczaju rozmawiać z chorymi, ale wiedział, że Johansson jest już w ostatniej fazie choroby i nikt go nie odwiedza. Wydał mu się przygnębiony i zobojętniały, więc poświęcił mu trochę czasu. Zapytany przez Klaudię o to, czy widział u Johanssona jakieś notatki albo książki, powiedział, że nie. Na stoliku przy łóżku chorego leżały tylko gazety z krzyżówkami.

Peter Hellgrun przepytał kilkunastu pacjentów szpitala leżących na tym samym piętrze co Johansson, w tym wszystkie sprzątaczkę, i przeszukał po kolei magazyny z rzeczami pacjentów. Nie znaleziono niczego, co mogłoby wskazywać na to, że Johansson coś pisał. Za to kilka osób dziwiło się, że policja tak ich wypytuje, a przecież wystarczyłoby porozmawiać z „tym policjantem”, który pilnował pacjenta. Okazało się, że wielu członków personelu na oddziale, a nawet niektórzy chorzy, wiedzieli o nim, i wszystkim wydawało się najzupełniej naturalne, że były parlamentarzysta i pupilek niektórych mediów ma własnego ochroniarza. Nikt nie dostrzegał w tym nic podejrzanego. No, może poza pracownikiem ochrony i jednym z lekarzy, którzy zwrócili uwagę na dziwne buty fałszywego funkcjonariusza, ale o swoich wątpliwościach nikogo wówczas nie poinformowali.

Lindberg był sfrustrowany. Ani on sam, ani jego współpracownicy w dalszym ciągu nie mogli odnaleźć żadnego śladu rzekomego policjanta. Jego duch pojawiał się w zeznaniach kolejnych osób, ale nikt nie potrafił powiedzieć o nim nic konkretnego. Sporządzone portrety pamięciowe wzajemnie się wykluczały. Nikt z personelu szpitala nie zapamiętał wyglądu mężczyzny, tak jakby ten w mistrzowski sposób opanował sztukę kamuflażu. Trudno było nawet ustalić, ile mógł mieć lat. Przyjęli zatem dość szeroki przedział wiekowy: między dwudziestym piątym a czterdziestym piątym rokiem życia. Udało się także ustalić, że rzekomy policjant był bardzo wysoki i miał jasną cerę. Ktoś z przesłuchiwanym mówił o okularach i szczupłej sylwetce, ktoś inny nie zauważył okularów, ale pamiętał wąsy i muskularne ramiona. W dodatku człowiek ten nie zdejmował policyjnej czapki i jego twarz była kompletnie niewidoczna dla kamer. „Pieprzony kameleon” – pomyślał ze złością komisarz. Następny profesjonalista. Skąd się ich tyłu wzięło? Desant jakiś czy co? Johansson musiał być faktycznie potwornym typem, skoro aż dwóch płatnych morderców zajmowało się nim jednocześnie. Komisarz nie wiedział tylko, czy tajemniczy Fin miał za zadanie zabić starego, czy Waltersa.

*

Przeszukanie apartamentu hotelowego, w którym mieszkał Walters, tylko zaciemniło obraz sytuacji. Znalaziono przenośny komputer mordercy i po wielu dniach żmudnych wysiłków Gustavsonowi wreszcie udało się złamać hasło. Wyglądało na to, że mężczyzna miał córkę. Na pulpicie ustawione było zdjęcie słodko uśmiechającej się do obiektywu pięknej dziewczynki, o długich czarnych włosach i brązowych oczach.

Poza tym w laptopie było dużo zdjęć z całego świata, filmów i muzyki. I tylko jeden folder związany z działalnością zarobkową Łotysza, z którego wynikało, że Walters polował aktualnie na jakiegoś Rosjanina, Władimira Lutczenkę.

Nie znaleziono nic, co łączyłoby Erika Waltersa z Thomasem Johanssonem, więc teoria komisarza o tym, że ktoś zlecił mordercy zabójstwo polityka, przestała być taka oczywista. Właściwie Lindberg wiedział teraz jeszcze mniej niż na początku.

Przesłuchanie Elliota Kjella, który nie powiedział nic, o czym by wcześniej nie mówiła Sara, też nie wniosło nowych faktów do śledztwa. Albo mężczyzna udawał, albo rzeczywiście nie wiedział, co się stało z ojcem Sary.

Powinni jeszcze przesłuchać Jana Wetterberga, ale ten nie dawał znaku życia, co niezmiernie martwiło komisarza. Sara, do której już dwukrotnie w tej sprawie telefonowali, nie wydawała się zaniepokojona, więc prawdopodobnie wiedziała więcej, niż chciała powiedzieć.

Nic nie szło po myśli Lindberga. Wakacje mijały, a on nie ustalił niczego nowego w sprawie zabójstwa Johanssona i Waltersa. Im więcej czasu upływało, tym bardziej odległe było rozwiązanie zagadki. Powoli godził się z myślą, że po prostu wykończyli się nawzajem, bo chcieli. I coraz mniej interesowało go, dlaczego zrobili to akurat tu i teraz.

Od kilku dni Lindberg źle sypiał. Godzinami przewracał się z boku na bok, nie dając zasnąć Lindzie, a budził się na długo przed alarmem. Potem po cichu wymykał się z sypialni i schodził na parter. Także teraz, jak zwykle ostatnio, Erik siedział w kuchni z kubkiem świeżo zaparzonej kawy i przeglądał gazety. Miał jeszcze dużo czasu do wyjścia. Nie był na dzisiaj z nikim umówiony, a w śledztwie nie pojawił się żaden nowy trop ani informacja, która wymagałaby sprawdzenia. Nigdzie się nie spieszył. Znalazłby co prawda czas, żeby pobiegać przed pracą, ale nie chciało mu się samemu, a Oeklandowi, który w końcu poczuł się na tyle dobrze, że opuścił szpital i dalszą rekonwalescencję odbywał we własnym domu, nie wolno było się przemęczać. Przygnębiony nieposuwającym się do przodu dochodzeniem i sytuacją w domu, bez zainteresowania przerzucał strony lokalnego tabloidu „Gotlands Tidningar”. Plotki ze świata show-biznesu przeplatały się z ciekawostkami o szwedzkich sportowcach i mało istotnymi wiadomościami z rejonu. Standardowa intelektualna papka. Szczęśliwie nie było tam nic na temat nieudolności policji i ślimaczącego się śledztwa w sprawie zabójstwa Thomasa Johanssona.

Od powrotu rodziny z wakacji często się zdarzało, że to Lindberg pierwszy wstawał i schodził na dół. Jego żona spała albo udawała, że śpi. Nie było mowy nawet o włączeniu ekspresu do kawy, chociaż rano naprawdę nie miała nic lepszego do roboty. Skutecznie jednak omijała męża, nie chcąc od rana wywoływać awantur. Erik zastanawiał się nawet, czy jego małżeństwo nie przechodzi jakiegoś kryzysu. Nie kłócili się z Lindą, ale sytuacja była napięta. Przyczyną takiego stanu rzeczy był pomysł zaproszenia rodziców Erika na Gotlandię i spędzenia z nimi całego jego urlopu. To, co jemu wydawało się świetnym rozwiązaniem, Lindę doprowadzało do szału.

Przede wszystkim miała pretensje o to, że wcześniej tego z nią nie skonsultował – i w tym rzeczywiście było sporo racji. Miała mu za złe, że najpierw zaprosił rodziców, a dopiero potem zapytał ją o zdanie w tej kwestii. Tymczasem ona zaplanowała już na ten czas inne aktywności. Erik zadzwonił do niej, jeszcze kiedy była w Hiszpanii z chłopcami, i oznajmił, że będzie organizował przyjęcie dla ojca z okazji siedemdziesiątych urodzin. Jakoś to przełknęła, ale gdy się dowiedziała, że obchody mają potrwać całe trzy tygodnie, a rodzice zatrzymają się u nich – nie wytrzymała i zwymyślała go, wyrzucając mu skrajny egoizm. Uwadze Lindy nie umknęło, że po tym, jak uratował życie ich sąsiadowi, Olafowi Oeklandowi, jej mąż zrobił się szalenie rodzinny i towarzyski. Ciągłe zagadywał kogoś na ulicy, umawiał się na piwo z ludźmi, których oboje znali tylko z widzenia, pytał, jak się czują i co u nich słychać. Nie podobało jej się to. To dzięki niej rodzina wiodła dobrze zorganizowane życie bez niespodzianek, nie chciała, żeby obcy ludzie teraz w nie ingerowali. Co innego mówić komuś codziennie „dzień dobry” lub rozmawiać okazjnie przez telefon, a co innego ciągle widzieć obcych ludzi w swoim domu, na przykład po powrocie z zakupów. Nie mogła zrozumieć, o co mężowi chodzi. Nagle przestała mu wystarczać żona i dzieci. I na dodatek te zaplanowane na przełomie października i listopada trzy tygodnie z teściami! Ona nigdy by swoich rodziców nie zaprosiła na tak długo. Inna sprawa, że jej rodzice też nie mieliby ochoty spędzać wakacji w Pilhagen. Zawsze jeździli za granicę z zaprzyjaźnioną parą Duńczyków. Byli dużo bardziej „światowi” niż państwo Lindbergowie.

Erik próbował wytłumaczyć Lindzie, że w każdej chwili może przyjść informacja o śmierci albo chorobie kogoś, na kim im zależy, a z kim – nie wiadomo dlaczego – przestali utrzymywać kontakt. Wtedy będzie już na wszystko za późno i tylko do siebie będą mieli pretensje, że zaniedbali tę relację. Nie mogą zachowywać się tak, jakby mieszkali na bezludnej wyspie, i koncentrować się wyłącznie na potrzebach własnej rodziny. Jakby nikt inny ich nie obchodził. Może ktoś akurat czeka na pomoc albo liczy na zwykłe zainteresowanie, ale nie ma śmiałości poprosić. Jeżeli można zapobiec nieszczęściu, należy to zrobić. Nic ich to nie kosztuje.

Ona odpowiadała, że jego rodzicom nie dzieje się krzywda, mają z czego żyć, a w razie potrzeby, w przypadku pogorszenia się ich stanu zdrowia, są odpowiednie służby, które zareagują i się nimi zajmą. Powiedziała nawet, że Erik jest egoistą i stara się uspokoić własne sumienie kosztem najbliższej rodziny, nie licząc się z jej zdaniem.

Każda podejmowana przez Erika próba rozmowy na temat przyjazdu rodziców kończyła się ostrą wymianą zdań, aż w końcu przestali o tym wspominać. Oboje liczyli na to, że druga strona ustąpi,

wycofa się ze swojego stanowiska i przeprosi.

Im bardziej Linda się zacietrzewiała, tym bardziej jej mąż był zdecydowany gościć swoich rodziców tak długo, jak tylko będą chcieli zostać. Wymyślił nawet, że jak tylko zakończy męczące śledztwo, będzie raz w miesiącu jeździł na weekendy do Falun i zabierał ze sobą chłopców. Przykładem godnym naśladowania stała się dla niego Klaudia, opiekująca się swoją dziewięćdziesięcioletnią ciotką. Opowieści o komisarz Jassem stały się codziennym punktem dnia. Linda, słysząc o policyjnej partnerce męża, pukała się w głowę.

– Jest pewna różnica, nie widzisz tego? – mówiła. – Klaudia nie ma własnej rodziny, dzieci ani męża. Nikt oprócz niej nie jest w to zaangażowany. Nikt na tym nie cierpi.

– Dlaczego uważasz, że ucierpimy na kontaktach z moimi rodzicami? – zapytał z wyrzutem Erik.

Zirytowana Linda spojrzała na niego jak na idiotę, któremu trzeba tłumaczyć najprostsze sprawy. Zawsze tak na niego patrzyła, gdy rozmawiali na ten temat.

– To są dla mnie obcy ludzie. Dorośli, samodzielni. Tak naprawdę to ich nie znam.

– No niezupełnie – zaoponował. – Pamiętaj, że to właśnie oni mnie wychowali. I to dzięki nim masz takiego wspaniałego męża. – Umilkł, widząc na sobie wściekły wzrok żony. Najwyraźniej to nie była pora na żarty. – Może rzeczywiście długo już mieszkam poza rodzinnym domem, przez ten czas moi staruszkowie stali się zupełnie innymi ludźmi. Ale chcę ich na nowo poznać. I szczerze mówiąc, żałuję, że dopiero teraz o tym pomyślałem.

– Wyprowadziłeś się z domu dwadzieścia pięć lat temu. – Linda nie posiadała się ze zdumienia. – Do tej pory wystarczył ci kontakt telefoniczny.

– Dzwonię do nich cztery, pięć razy w roku. To mało.

– To dzwoń częściej.

– Ale ja chcę ich zobaczyć, zobaczyć, co robią, poznać ich znajomych. To oni zawsze wypytują o nas, o ciebie, Daniela, Niklasa. O sobie nie opowiadają.

– Rodzice mają własne życie. Po co się wtrącasz?

– Może mnie potrzebują.

– Rychło w czas sobie o tym przypomniałeś.

Zirytowana otworzyła zmywarkę z taką siłą, że omal nie uszkodziła drzwiczek. Erik udał, że tego nie zauważył.

– No i właśnie dlatego muszę nadrobić ten stracony okres.

– Może oni wcale sobie tego nie życzą.

– Rozmawiałem z nimi przecież. Bardzo się ucieszyli, słysząc o moim pomysle spotkania.

– I o twoich comiesięcznych przyjazdach też?

– Tak. Byli zachwyceni.

– Może nie chcieli ci sprawić przykrości. Poza tym powiedziałeś im, że ja też chcę, żeby mieszkali tu przez trzy tygodnie, a to nieprawda. Wynajmij im chociaż jakiś domek letniskowy albo pokój w hotelu. Nasz dom nie jest przygotowany na przyjęcie dodatkowych dwóch dorosłych osób.

– Zwariowałaś? Jak mam ich w listopadzie umieścić w domku letniskowym? Gdzie? Zresztą nie chodzi o to, żeby mieszkali w jakimś domku czy hotelu. Chcę być razem z nimi. To jest w tym wszystkim najważniejsze.

– Powinieneś spędzić urlop z synami. Im poświęcić swój wolny czas. Nauczyć ich czegoś nowego. To oni są najważniejsi.

– Wiele rzeczy możemy robić razem, w szóstkę.

– Na mnie nie licz.

– No to na przykład z samymi facetami. A ty w tym czasie pojedziesz sobie gdzieś z mamą. Do fryzjera albo chociażby pochodzić po sklepach.

– Dezorganizujesz nasze dobrze poukładane życie.

– W jaki sposób?

– A jeżeli będą wymagać specjalistycznej opieki? Kto im ją zapewni? Mówiłeś kiedyś, że twoja matka jest na jakiejś specjalnej diecie. Chłopcy nie powinni być w to wciągani.

– I to jest dla ciebie problem? Żeby na trzy tygodnie wykluczyć ze wspólnego jadłospisu produkty mleczne?

– Sam będziesz się nimi zajmował.

- To będę.
- Bardzo dobrze!

Niemal wszystkie dyskusje dotyczące przyjazdu rodziców Erika kończyły się w ten sam sposób: jego żona nie chciała ich u siebie i już. Kto wie, czy podczas pobytu na wyspie i zwiedzania okolicy nie zobaczą jakiegoś ładnego domu wystawionego na sprzedaż. W którym mogliby spędzić resztę życia, blisko syna. Wiele osób ulega urokowi tutejszej przyrody i łagodnego klimatu. Linda najbardziej obawiała się tego, że teściom może się spodobać mieszkanie razem z nimi, przeprowadzą się na Gotlandię i do końca życia będzie ich miała na głowie. Nie po to wyprowadzali się z kontynentu jako młode małżeństwo, zostawiając rodziców, żeby teraz musieć się nimi zajmować. Ważne są dzieci, za które są odpowiedzialni, i tylko one.

Linda wręcz panicznie bała się odpowiedzialności, jaka wiązała się z utrzymywaniem kontaktu ze starszymi ludźmi. Tego, że musiałyby zareagować, gdy źle się poczują albo czegoś będą potrzebowali. Uważała, że po to wszyscy w Szwecji płacą wysokie podatki, by na starość mieć zapewnioną godziwą opiekę, zarówno zdrowotną, jak i socjalną. Rodzina nie ma z tym nic wspólnego. Sama nie chciałyby, żeby dorosły syn i jej przyszła synowa uczestniczyli w jej życiu za dwadzieścia lat. Albo – nie daj Boże – podrzucali jej wnuki do opieki. Przynajmniej tak jej się w tej chwili wydawało. Tymczasem jej mąż miał w tej kwestii zupełnie odmienne zdanie. Gotowy był poświęcić ich dotychczasowy, spokojny byt, którego istnienie było głównie jej zasługą, żeby tylko wywołać chwilowy uśmiech na twarzy ojca i matki, którzy nie byli mu do niczego potrzebni. Nie mogła mu tego darować.

53.

Poranne zebranie grupy dochodzeniowo-śledczej trwało już od kilkunastu minut, gdy do małej sali konferencyjnej wpadł zdyszany Gustavson.

- Miło, że nas odwiedziłeś – z przekąsem zauważył Lindberg.
- Mam! Znalazłem! Jestem usprawiedliwiony.
- Co takiego znalazłeś?

Karl położył na stole elegancko zapakowany prezent.

- Nie wygłupiaj się. Nikt z nas nie ma dzisiaj urodzin. – Komisarz nie miał ochoty na żarty. – Gdzie byłeś?

- Pozory mylą. Otwórz. Tak mi to znajomi zapakowali. Czytałem całą noc.

Lindberg zaciekawiony zajrzał do pudełka. W środku leżała pachnąca nowością książka pod tytułem *Polityczne przekręty* autorstwa Stefana Perssona.

- Bardzo ładna czerwona okładka. Dobrze się komponuje z czerwoną wstążeczką na szarym pudełku. Twoi znajomi mają świetny gust – zauważył komisarz. – Co to jest?

- Nie wiem, kim jest ten Persson, ale to może być TA książka.
- Johanssona?! – Lindberg aż krzyknął ze zdumienia. – Żartujesz. Jak to znalazłeś?

- Napisałem na Fejsie, że szukam wspomnień jednego z naszych polityków – wyjaśniał, dumnie rozpierając się na swoim krześle. – Długo to trwało, ale koleżanka mojego brata, wiesz, tego, który mieszka w Kopenhadze, przypomniała sobie, że widziała niedawno u nich coś takiego. Do książki była dołączona adnotacja: „wielki skandal w wielkiej polityce” i „historia wymyślona”. Zdziwiła się, widząc ją na wystawie w jednej z duńskich księgarni. Publikacja była w języku szwedzkim, chociaż wydało ją największe duńskie wydawnictwo. Niebywałe!

- Czyli że u nas tego w ogóle nie ma? – zauważył przytomnie komisarz.

- Pytałem wcześniej w księgarniach, ale nikt tego tytułu nie kojarzył – przytaknął Gustaw. – To świeża pozycja. Jest dostępna w sprzedaży internetowej, ale najpierw musisz wiedzieć, czego szukasz, znać tytuł albo autora.

- Mów, co tam jest – powiedział Erik tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– To opowieść o wygodnym życiu jakiegoś prawniczego polityka. Dużo barwnych wątków, miejscami ewidentnie fabularyzowane non-fiction. Ani jedno nazwisko bohatera nie pokrywa się z rzeczywistością, ale mniej więcej można się domyślić, o kim autor pisze. Chociaż z drugiej strony wiele historii wygląda na wyssane z palca. Na przykład o mordowaniu ludzi i sprzedawaniu ich organów.

– U nas? – spytał zdjęty zgrozą komisarz, ale Karl nie wyglądał na przerażonego.

– W Niemczech, Francji, Beneluksie i w wielu innych miejscach – odpowiedział spokojnie.

– Może w Ameryce Południowej albo Afryce, ale chyba nie w Europie? Rzeczywiście, wydaje się to nieprawdopodobne.

– Wiele lat temu nasz parlament uchwalił prawo do adopcji zagranicznych, pamiętacie? – Karl rozejrzał się po kolegach, ale wszyscy kiwali przecząco głowami. – Chodziło o to, że dzieci z rodzin imigranckich, które urodziły się z jakimiś wadami genetycznymi i normalnie zostałyby porzucone przez biologicznych rodziców, mogły zostać legalnie adoptowane za granicą, jeżeli u nas nikt ich nie chciał. Tutaj – popukał palcem w okładkę książki – jest napisane, że adopcja w Niemczech czy Holandii to była tylko przykrywką, a tak naprawdę dzieci były kupowane przez gangi handlujące ludźmi. Niektóre z tych dzieciaków wcale nie były chore, bo przecież brak palca u ręki czy krótsza o centymetr jedna noga to nie jest żadna choroba. Wszystkie kończyły jako dawcy organów. Część z nich, głównie dziewczynki, lądowała w domach publicznych na całym świecie. Te upośledzone umyślowo stanowiły nawet pewną atrakcję dla klientów.

– Jak to na całym świecie? – wymamrotała przerażona Klaudia.

– No, w Europie, na Bliskim Wschodzie, w Afryce Północnej i... poczekaj... – Zaczął przerzucać strony, szukając odpowiedniego fragmentu. – W Indonezji, Kambodży i Birmie.

– To nie może być prawda... Rozumiem, Europa, Bliski Wschód, tam są pieniądze. Ale Kambodża czy Birma?

– Najłatwiej dorobić się w biednych krajach, gdzie koszty pracy są niskie. Nie wiedziałaś, że w Indiach czy na Filipinach jest mnóstwo milionerów?

Komisarz Jassem siedziała jak porażona, a jej twarz zrobiła się biała.

Nikt inny nie odezwał się słowem.

Gustavson, widząc, jakie wrażenie zrobiło na słuchaczach jego opowiadanie, kontynuował streszczanie książki:

– W tym samym rozdziale jest też mowa o konkursach piękności dla małych dziewczynek, organizowanych najczęściej w Hamburgu, ale nie tylko. Dziecko, które przyjeżdżało na konkurs w asyście tylko jednego z rodziców, ginęło bez śladu. Podobnie rzecz się miała z jego opiekunem, z tym że dorosły prawdopodobnie ginął od razu, a dziecko potem wysyłano dalej w świat, do wykorzystania jako dawcę organów lub w domach publicznych. Z tego, co pisze autor, wynika, że wielu znanych ludzi odnosiło regularnie ogromne korzyści finansowe, bazując na takim handlu żywym towarem. Politycy, prawnicy, ludzie show-biznesu i stróżę prawa na wysokich szczeblach...

Klaudii zrobiło się niedobrze. Ostatkiem sił wstała i wybiegła z sali konferencyjnej, gdzie odbywała się odprawa. Pędziła prosto do łazienki, ale o mało nie zwymiotowała po drodze. Kręciło jej się w głowie. Na szczęście pomogło zanurzenie jej na chwilę pod kranem z zimną wodą. Policjantka odzyskała równowagę.

Czy takie okropności mogły naprawdę mieć miejsce w XXI wieku? I szwedzki polityk brał w nich udział? „Mordercy i psychopaci” – pomyślała. „Chodzą spokojnie po ulicach naszych miast, a my się martwimy o to, że płatny morderca zlikwidował jednego z nich. Powinniśmy mu postawić pomnik”

Gdy po kilkunastu minutach wróciła do kolegów, Karl relacjonował już bardziej osobiste fragmenty *Politycznych przekrętów*, w których autor wspominał swoją tragicznie zmarłą największą miłość.

Gustavson skończył i zaległa cisza. Lindberg pierwszy zabrał głos:

– Paskudnie to wygląda – stwierdził. – Ale wydaje mi się, że nie wszystko, co zostało opisane w książce, jest prawdą. Musimy najpierw dokładnie ją przeczytać. – Spojrzał na mokre włosy Klaudii i jej bladą twarz. – Przynajmniej te fragmenty, które prawdopodobnie dotyczą zabójstwa córki Wetterberga.

Policjantka spojrzała na niego zdziwiona. Co, do licha, ma z tym wspólnego Wetterberg i jego zamordowana córka?

– Ciekawe, czy on to czytał – pomyślał na głos Hellgrun.

- Może zamówisz nam przez internet kilka egzemplarzy? – poprosił Lindberg. – Po jednym dla każdego.
- Nie ma problemu. Zaraz się tym zajmę.
- Jestem pewna, że nawet w najbliższej okolicy znalazłoby się z tysiąc osób, które chętnie wykończyłyby tego skurwiela Johanssona gołymi rękami – wycedziła Klaudia. – Sama bym to zrobiła, gdyby nie był już martwy.
- To prawda. – Komisarz zgodził się z nią bez wahania. – Lista potencjalnych zleceniodawców Waltersa gwałtownie nam się wydłużyła.
- Jak stąd do Kambodży – dodał Gustavson.

54.

Klaudia gapiła się na dwie kartki leżące przed nią na biurku. Co ją podkusiło, żeby wychodząc rano do pracy, sprawdzić skrzynkę na listy wiszącą na bramie?... Tylko zepsuła sobie dzień. Jakby mało miała problemów w firmie.

Najpierw od razu chciała wyrzucić dwie bladoniebieskie, średniej wielkości koperty, które wyjęła ze skrzynki. Była przekonana, że to jakieś reklamy, ale kiedy zobaczyła na nich swoje nazwisko odręcznie napisane bladoniebieskim długopisem, zmieniła zdanie. Tym bardziej że poza jej imieniem i nazwiskiem nie było tam nic więcej: ani adresu, ani nawet znaczka i stempla pocztowego. Nie było również nadawcy. Koperty były zalepione, ale ktoś dodatkowo przykleił taśmę klejącą w miejscach sklejenia. Ponieważ spieszyła się do pracy, niewiele myśląc, wrzuciła obie do samochodu, by otworzyć otrzymane przesyłki na komisariacie. Teraz, siedząc przy biurku, przyglądała się kartkom z ponaklejanymi kolorowymi literkami układającymi się w mało wybredne groźby pod jej adresem.

Podniosła słuchawkę i wcisnęła guzik oznaczony naklejką z napisem „Laboratorium”. Technik Gustavson zgłosił się po trzech sygnałach.

- Cześć. Chciałabym ci coś pokazać. Znajdziesz czas, żeby się temu przyjrzeć?
- Masz coś nowego w sprawie zabójstwa słynnego pisarza, autora bestsellera? – Karl miał specyficzne poczucie humoru.
- Wiesz, że się cieszę, że ten potwór nie żyje. Ale to zupełnie inna sprawa.
- Przynieś. Nie robię nic pilnego. Dla ciebie zawsze znajdę czas.
- Dzięki.

Natychmiast wstała i pospieszyła do laboratorium. Gustavson, ujrawszy w jej dłoniach dwie niebieskie koperty, wybałuszył oczy.

- Prowadzimy jakąś nową sprawę i Lindberg nie raczył mnie o tym poinformować?
- Nie – zaprzeczyła. – Wyjęłam je dzisiaj z własnej skrzynki pocztowej.
- To twoje?! – spytał Karl z niedowierzaniem, patrząc na widniejące na kopercie nazwisko koleżanki. Ostrożnie położył na stole oba listy i wyjął ich zawartość. – Musiałaś komuś bardzo zależeć za skórę. „ZNISZCZĘ CIĘ, SUKO. PRZYSZŁA TWOJA KOLEJ, DZIWKO” – przeczytał na głos.

- Możesz to sprawdzić?
- Technik kiwnął głową.
- Dobrze, że zatrzymałaś koperty – stwierdził. – Ale szkoda, że ich dotykałaś...
 - A ty zawsze zakładasz rękawiczki przed otwarciem korespondencji? – spytała poirytowana Klaudia.
 - Przepraszam, głupio powiedziałem. Ale widziałas przecież, że to nie są normalne listy.
 - Właściwie tak, masz rację. Ale kartek nie dotykałam.
 - Brawo. Rozsądnie.
 - Nie liczę, że znajdziesz jakieś wyraźne odciski palców, ale może powiesz mi chociaż coś o wyciętych literach albo kleju, którego użyto?
 - Wycięte litery to stara metoda. Zdania są krótkie, chociaż autor i tak zadał sobie sporo trudu, żeby równiutko wszystko podocinać. Litery mają różne kolory i różne fonty, ale na moje oko pochodzą z tej

samej gazety. Rodzaj papieru wskazuje na jakiś magazyn. Z kolei fakt, że twoje imię i nazwisko zostały napisane na kopertach odręcznie, wskazuje na amatora. Użył kiepskiego długopisu.

– Może sam papier i koperty powiedzą nam parę rzeczy o autorze?

– Zostaw je u mnie. Zaraz się temu wszystkiemu uważnie przyjrę. Ale jedno mogę ci powiedzieć od razu. – Wyjął z szuflady szczytce i delikatnie uniósł do światła jedną z kopert. Odłożył ją i wyszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Wrócił z podobną kopertą, tyle że białą. – Tak jak myślałem. Zobacz. – Położył przyniesioną kopertę obok tej pierwszej. – Format twojej jest nietypowy. Nie mamy takiego rozmiaru w Szwecji. Czasami do kartek okolicznościowych robi się większe koperty, ale nie aż tak. W dodatku z tyłu jest małe znaki wodny, coś jakby logo producenta. Nigdy wcześniej takiego nie widziałem. Sprawdzę to.

– Dziękuję.

– Dam ci znać, jak tylko czegoś się dowiem.

*

Komisarz Lindberg siedział przy komputerze w swoim gabinecie. Musiał napisać krótkie oświadczenie dla mediów. O tyle dobrze, że nie będzie go wygłaszać, bo Sten Jacobsen skończył urlop w Azji i z radością wrócił do swoich obowiązków rzecznika prasowego policji.

Komisarz postanowił nie ujawniać niczego, co dotyczyło osób trzecich w tym zabójstwie. Jakimś cudem do mediów nie wyciekła informacja o Finie, który ukrywał się w pokoju Johanssona. Jedna z gazet napisała nawet o nieudolności policji, która ochraniała byłego parlamentarzystę, a mimo to został on zamordowany. Dziennikarze natomiast dowiedzieli się o książce Johanssona i o tym, że w związku z jej wydaniem otrzymywał pogróżki. Bardzo dobrze. Komisarz był wdzięczny pracownikom szpitala, że nie rozpowiadali na prawo i lewo o szczegółach. Trzeba przyznać, że też mieli w tym swój interes. Opinia publiczna dowiedziałyby się, że to między innymi oni ułatwili obcemu człowiekowi dostęp do pacjenta.

W międzyczasie dwa razy dzwoniła do komisarza Paula Fogert z SVT24 z pytaniami o postępy w śledztwie. Wydawało jej się, że jest jego dobrą znajomą, ale on wyjątkowo nie lubił tej kobiety. Mimo to nie chciał być nieuprzejmy. Za drugim razem próbowała się dowiedzieć tylko jednego: dlaczego nie zamykają śledztwa, skoro wiedzą, że Johansson i Walters wykończyli się nawzajem? Pytała też oczywiście o *Polityczne przekręty*, ale Lindberg od razu poinformował ją, że policja nie będzie wyjaśniać żadnej z opisanych w książce historii.

Szkoda, że nie udało im się dowiedzieć, jaką rolę odegrał fiński wielkolud i kto wynajął Łotysza. Nie wierzył, że mógł to być Wetterberg. Nie płaciłby przecież mordercy własnej córki, a tamten nie podjąłby się wykonania zlecenia bez zaliczki. A w ogóle to gdzie on się podziewa? Wciąż nie wiedzieli, co dzieje się z ojcem Sary – udało im się jedynie ustalić, że ostatni raz korzystał ze swojego telefonu następnego dnia po wyjeździe, w godzinach porannych, natomiast kart kredytowych użył na promie i potem rano w Kopenhadze. Dalej – cisza. Bez nakazu nie mogli zrobić nic więcej, przecież Jan nie był o nic podejrzany, a spokojnych, porządnych obywateli nie można nękać, nawet jeżeli nagle decydują się na wyjazd do Bogoty i zrywają kontakty z rodziną.

Ciągle pozostawało wiele pytań, na które powinni odpowiedzieć, ale kolejne dni nie przynosiły żadnych nowych informacji. Wszystko to razem było coraz bardziej dobijające.

– Klaudia! – zawołał przechodzącą korytarzem koleżankę.

Komisarz Jassem zawróciła i stanęła w drzwiach.

– Coś nowego? – zapytała zmęczonym głosem.

– Właściwie nic. Dość już mam tego nieposuwającego się do przodu dochodzenia. Redaguję oświadczenie na konferencję prasową.

– Ja też mam dosyć. Musimy być na tej konferencji? – W jej głosie brzmiała nadzieja.

– Nie. – Komisarz uśmiechnął się pod nosem. On też nie lubił mediów. – Sten poradzi sobie bez nas. Muszę mu tylko wszystko przygotować.

– To całe szczęście. Nie mam teraz głowy do dziennikarzy. Będę u siebie, gdybyś później chciał pogadać.

Klaudia zamknęła się w swoim pokoju i usiadła na wysłużonym obrotowym fotelu. Przez dłuższą chwilę gapiła się przez okno, za którym nic się nie działo. Potem zamknęła oczy. Nie miała już siły do tego śledztwa. Teraz zaprzętały jej głowę własne kłopoty, przede wszystkim otrzymane anonimy. W myślach robiła rachunek sumienia, zastanawiając się, kiedy, gdzie i komu naraziła się tak bardzo, że zastrzyżyła na takie „dowody sympatii”. Anonimowych gróźb nie wysyła się nikomu bez powodu. Gdyby dotyczyły którejś z prowadzonych przez policję spraw, dostałby je raczej szef, nie ona. Czyżby mścił się na niej jakiś przesłuchiwany chuligan, przepijający pieniądze rodziców w trakcie szalonych wakacji na Gotlandii, któremu ona przerwała tę radosną zabawę? Niejeden z nich pochodził z bogatego domu i miał tatusia adwokata. Czasem wydaje się takiemu, że stoi ponad prawem i jakaś tam szeregowa policjantka z prowincji nie będzie mu dyktować, co wolno, a czego nie.

Chyba na wszelki wypadek powinna zgłosić, że ktoś jej grozi. Najpierw te głuche telefony, a teraz to. To nie był już tylko głupi żart. Zamyśliła się, usiłując przypomnieć sobie, komu ostatnio najbardziej zaszkodziła. No i ten ktoś znał jej adres. Nie, to mało prawdopodobne, żeby któryś z drobnych rzezimieszków w ten sposób brał na niej odwet.

Z odrętwienia wyrwał ją głos Erika.

– Nie przeszkadzam?

Przestała się kręcić w fotelu i otworzyła oczy.

– Oczywiście, że nie. Wchodź.

– Przyszedłem się ciebie poradzić w pewnej sprawie – powiedział. – Właściwie to w dwóch.

– W związku z oświadczeniem dla mediów czy ze śledztwem?

– Sten już rozmawia z tymi wygłodniałymi sępami. Chodzi o śledztwo. Przynajmniej w pewnym sensie. Jedna sprawa ma z nim niewielki związek. Druga jest całkowicie prywatna – powiedział nieśmiało i usiadł na krześle naprzeciwko biurka.

– Brzmi interesująco. – Klaudia chciała się uśmiechnąć, ale nie miała nastroju do kolejnych tajemnic i niespodzianek, więc zdobyła się tylko na grymas.

– Dostałem to niedawno. – Położył na jej biurku elegancki, nowoczesny smartfon. – Od tego mojego znajomego, któremu pomogłem. Wiesz, gdy biegaliśmy rano.

– Ach tak. Już kojarzę. Bardzo ładny prezent.

– Drogi.

– Uratowałeś mu życie. To ładnie z jego strony.

– No nie wiem. Zrobiłem tylko to, co każdy na moim miejscu powinien zrobić.

– W sensie... każdy policjant?

– Nie, nie tylko. Człowiek. Gdy jeden potrzebuje pomocy, drugi powinien mu tej pomocy udzielić. Nie należy się za to żadna nagroda. Nie mam racji?

– Coś w tym jest... Chcesz go zatrzymać?

– Nie. Nie powinienem być w ogóle go brać, ale Olafowi zależało, żeby mi go sprezentować. Nie miałem sumienia odmówić. Ale nie będę go używał.

– Dlaczego?

– Jakoś mi głupio i w dodatku... Nie wiem, co jest w środku – wyjaśnił nieco zawstydzony.

– Nie rozumiem. – Klaudia uniosła wysoko brwi. – Podejrzewasz, że twój znajomy coś tam zamontował i będzie cię śledził albo podsłuchiwał? To ten, z którym kiedyś miałeś kłopoty, prawda? Może w takim razie faktycznie lepiej nie korzystaj z telefonu. Ale możesz poprosić Karla, żeby ci go prześwietlił.

– Nie, nie. Nie o to mi chodziło. Pomijając, że źle się czuję z takim „dowodem wdzięczności”.. ten telefon jest dla mnie za mądry. Włączyłem go i przeraziła mnie liczba aplikacji. Ja tego zupełnie nie potrzebuję. Nie wiedziałbym, co z nimi robić.

Klaudia zaczęła się głośno śmiać. Na chwilę zapomniała o własnych kłopotach z prześladowcą. Ach, ten Lindberg...

– Erik, przecież każde dziecko potrafi się czymś takim posługiwać.

– Więc pewnie jestem po prostu za stary na tego typu zabawki. – Komisarz poczuł się urażony.

– No a ten Olaf? On też nie potrafi? Mówiłeś, że jest starszy od ciebie.

– On zna się na elektronice. Pracował wcześniej w dużym magazynie ze sprzętem RTV. Telefony też tam mieli.

– To może poproś go, żeby cię nauczył?

– No coś ty! Nie mogę się przyznać, że nic z tego nie rozumiem.

– To daj któremuś z synów.

– Ale oni mają swoje.

– No to co chcesz zrobić ze smartfonem?

– Pomyślałem, że dam go Karlowi. W rewanżu za znalezienie książki. Co o tym myślisz?

– Ale oficjalnie? Jako nagrodę?

– Nie, raczej zupełnie niezobowiązująco. Powiem, że dostałem telefon od kogoś, ale go nie potrzebuję.

On na pewno będzie wiedział, jak korzystać z takiego gadżetu.

– To prawda.

– Co myślisz o moim pomysśle?

– Jednego jestem pewna: Karl nie odmówi przyjęcia prezentu.

– Czy to będzie w porządku, jeśli mu go dam?

– Jak kolega koledze? Chyba tak. Wiesz, Gustavson nie ma skrupułów i zawsze bierze, jak dają. Nie będzie się zastanawiał dlaczego, tylko sam stwierdzi, że widocznie zasłużył, i się ucieszy.

– Fakt. On tak ma.

– Bardzo ładny ten telefon. Taki zgrabny, ma nowoczesny design. Karl z pewnością doceni twój gest.

A ta druga sprawa, którą do mnie miałeś?

W tym momencie ktoś zastukał we framugę i zanim Klaudia zdążyła powiedzieć „Proszę”, do pokoju wszedł technik kryminalistyczny.

– O wilku mowa – ucieszył się Erik.

– Ja do Klaudii, na chwilę.

Gustavson był trochę speszony obecnością Lindberga i nie wiedział, czy może przy nim ujawniać szczegóły prywatnej sprawy koleżanki.

– Poprosiłam Karla, żeby coś dla mnie ustalił. – Spojrzała na szefa. – Dostałam dzisiaj wstrętne anonimy. Oczywiście nie mam pojęcia od kogo.

– Grożą ci w związku ze śledztwem? – zapytał wzburzony komisarz.

– Przyszły do mojego domu. Zresztą nie ma tam nic konkretnego.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? To może być ważne!

– Dzisiaj je znalazłam. Miałam je właśnie oficjalnie zgłosić. Kompletnie nie rozumiem, kto to może być i w związku z jaką sprawą.

– Dowiedziałeś się czegoś, Karl?

– Dajcie mi trochę więcej czasu. Jeszcze nie zbadałem kartek. Ale wiem już, co to za znak wodny na kopercie.

– Tak?

– To koperty z kartek z życzeniami urodzinowymi dla królowej. Jedynych oficjalnych i aprobowanych przez Jej Królewską Mość.

– Coś ty...

– Nie słyszałem o takich. Składamy naszej królowej życzenia urodzinowe? I co to znaczy, że te są „jedyne aprobowane”? Każdy chyba może wysłać jej, co chce, jak już? – Lindberg był zaskoczony.

– Ja też o tym nie słyszałam. Chyba wysyła się życzenia razem z bożonarodzeniowymi. Czy Sylwia nie urodziła się przed samymi świętami?

Karl spojrzał na ich zdziwione miny. Uwielbiał przynosić im szokujące informacje. Wiedział, że tym razem wywoła jeszcze większe wrażenie niż zwykle. Zrobił teatralną pauzę i ceremonialnie obwieścił:

– Mam na myśli specjalne kartki z życzeniami urodzinowymi dla królowej Elżbiety II, w Anglii.

Sara siedziała w sypialni, bezmyślnie wpatrując się w kołyszące się za oknem drzewa.

Wydarzenia ostatnich tygodni wydawały jej się sennym koszmarem. Nie spodziewała się, że jeszcze kiedyś poczuje się tak jak wtedy w Turcji, gdy po wielu godzinach poszukiwań i rozmów z policją wróciła sama do hotelowego pokoju, nie odnalazwszy siostry i jej chłopaka. Tyle zła wokół, a ona nie mogła nic na to poradzić.

Stało się coś strasznego, ale nie rozumiała dokładnie co. To wszystko jeszcze do niej nie docierało.

Znowu miała przed oczami twarz Johnny'ego. Teraz wiedziała już, że naprawdę nazywał się inaczej i był płatnym zabójcą, chociaż już wcześniej sugerowała to szwedzka policja. Doskonale wykształcony i wyszkolony przez rosyjskie służby, gotowy na wszystko były komandos. Ciągłe nie mogła w to uwierzyć. Wtedy w Turcji nawet jej się podobał. Wydawało jej się, że ona jemu też. Morderca. Czy on też miał jakąś rodzinę? Czy kiedykolwiek kogoś kochał? Człowiek o kamiennym sercu. Ktoś taki nie mógł zaznać w życiu niczego dobrego. Jak to jest zabijać obcych ludzi za pieniądze? Pewnie trzeba ich najpierw trochę poznać. Czy jest wtedy łatwiej, czy trudniej? Czy nie prościej było zastrzelić ją, kiedy spacerowała rano sama po plaży? A później zapukać do drzwi pokoju hotelowego, w którym się zatrzymali, i rozprawić się z Emmą? Ach, prawda, zaskoczyła go wtedy tym spacerem. Powiedział chyba: „Żałuję, że mnie tam z tobą nie było”. Mógł zresztą zabić jej siostrę wieczorem w porcie, a z Sarą rozprawić się na końcu. Pewnie obserwował ich od samego przyjazdu. A może miał od tego ludzi? Już pierwszego dnia sami pokazali mu, gdzie mieszkają. Dlaczego robił wszystko, żeby go polubili? Sara nie mogła sobie darować, że dała się nabrać temu okrutnemu człowiekowi.

Odłożyła książkę, którą trzymała na kolanach. Czytała ją przez ostatnich kilka dni. Wcześniej ojciec ostrożnie dozował jej informacje zawarte w zapiskach Johanssona. Dopiero teraz udało jej się przebrnąć przez całość.

Dostała ją od Marty. Pewnego dnia, gdy zeszła rano do kuchni na śniadanie, babcia siedziała przy stole i na nią czekała. Miała bardzo poważną minę i Sara widziała, że coś ją trapi.

– Usiądź ze mną na chwilę – poprosiła Marta.

Sara naląła sobie kawy i zajęła miejsce obok.

– Dobrze się czujesz, babciu? – zapytała.

– Tak.

– Źle wyglądasz.

– To nieważne. Nie chodzi o mnie. – Odwróciła się na krześle i wysunęła jedną z szuflad kredensu, z której wyjęła książkę w czerwonej okładce. – Powinnaś to przeczytać – powiedziała, podając książkę dziewczynie.

– To ta, którą napisał Johansson, ukrywając się pod pseudonimem Stefan Persson? Tata mi opowiadał.

– Wiesz tyle, ile pozwoliłam, żeby ci powiedział. Czas, żebyś przeczytała wszystko.

Marta wstała, podeszła do Sary i pogładziła ją po włosach, a potem wyszła, zostawiając zdezorientowaną dziewczynę samą w kuchni.

*

Thomas Johansson był bardzo szczerzy w swojej opowieści. Chyba zdawał sobie sprawę z tego, że jego dni są już policzone, i przed śmiercią postanowił rozliczyć się z przeszłością. Uczciwość nigdy nie była jego mocną stroną, ale widocznie w chorobie przyszła na to pora. Polityk był ateistą, nie wierzył w piekło ani wieczne potępienie, ale zapewne miał jednak sumienie, skoro przed śmiercią odczuwał silną potrzebę wyznania prawdy i przyznania się do swoich grzechów, chociaż zapewne on sam nigdy nie użyłby takiego terminu. Ten jeden jedyny raz zdobył się na uczciwość i wyznał wszystko. Zapewne dobrze na tym zarobił. Pytanie tylko, do kogo trafiły tantiemy za publikację, bo jemu, człowiekowi stojącemu nad grobem, i tak na nic by się nie przydały.

Książka ukazała się pod pseudonimem, a nazwiska wszystkich bohaterów zostały zmienione, ale i tak wtajemniczeni doskonale wiedzieli, kto i o kim pisał. Nietrudno było rozpoznać występujące w powieści postaci, przynajmniej te ze Szwecji. Większość z nich nie działała już w polityce. Pokazywali się czasem w telewizyjnych programach publicystycznych jako komentatorzy bieżących spraw. Ale byli też tacy, którzy ciągle zasiadali w parlamentarnych ławach.

Johansson, wyćwiczony w konstruowaniu płomiennych przemówień i artykułów prasowych, napisał swoje wspomnienia prawie całkiem sam. Dopiero pod koniec pracy niezbędna mu była pomoc redaktora. Duże duńskie wydawnictwo, które wydało książkę, przewidując, ile narobi hałasu, zabezpieczyło się standardową formułką: „jakakolwiek zbieżność... wszelkie podobieństwo do osób i charakterów...”, i tak dalej. Wiadomo było, że na takiej historii można dobrze zarobić. Pomimo skandalu, jaki mogła wywołać, a może właśnie ze względu na niego, postanowiono niczego w niej nie zmieniać. Autor był już i tak śmiertelnie chory i nikt nie mógł mu nic zrobić. Był nietykalny zarówno dla obsmarowanych w książce kolegów, jak i wymiaru sprawiedliwości. Gdyby żył, cieszyłby się pewnie z ostrych reakcji, jakie jego opowieść wywołała w kraju, szczególnie w kręgach zbliżonych do Riksdagu.

Sara cicho westchnęła. Lektura książki ostatecznie przekonała ją, że to właśnie Johansson był największym, śmiertelnym wrogiem jej ojca. Poniekąd więc także jej samej. A najdziwniejsze było to, że przyczyną wszystkiego była miłość. Wielka i nieposkromiona miłość, jaką Johansson obdarzył pewną młodą studentkę – dawno temu, kiedy był asystentem na uniwersytecie w Uppsala. Zakochał się wówczas po raz pierwszy i jedyne, a przynajmniej tak twierdził w swojej książce. Obiektem jego westchnień była śliczna, młodsza od niego o sześć lat studentka Lotta Forslund. Los jednak nie był dla niego łaskawy i dziewczyna nie odwzajemniła uczuć wykładowcy. Wybrała swojego rówieśnika, Jana Wetterberga, za którego po jakimś czasie wyszła. Ale Johansson nie przestał jej kochać i przez całe lata łudził się, że dziewczyna wreszcie przejrzy na oczy, porzuci Wetterberga i wreszcie zrozumie, że to z nim powinna spędzić resztę życia.

Tymczasem Lotta nie wydawała się wcale nieszczęśliwa. Wręcz przeciwnie, trwała u boku Jana, a nawet urodziła mu dzieci: dwie dziewczynki, czego zazdrosny wielbiciel nie mógł jej wybaczyć. Ostatecznie doszedł do wniosku, że najprostszym sposobem zdobycia względów ukochanej będzie pozbycie się jej rywala. Wpadł na genialny w swojej prostocie pomysł, jak wyeliminować Wetterberga.

Ponieważ już wówczas był liczącą się postacią w świecie polityki, pociągnął za odpowiednie sznurki i wykorzystując swoje znajomości, do których nigdy otwarcie by się nie przyznał, znalazł młodego chłopaka, obcokrajowca, o którym mówiono, że podejmuje się różnych, niezbyt uczciwych zadań. Zlecił mu zabójstwo Wetterberga. Tamten się zgodził, bo oferowana w zamian kwota była atrakcyjna, a sprawa wydawała się mało skomplikowana. Miał spowodować wypadek, w którym zginie mężczyzna. Johansson przekazał mu wszystkie potrzebne informacje: kiedy, jakim samochodem i jaką drogą będzie jechała ofiara. Ponieważ ważne było, żeby towarzysząca mu kobieta wyszła z kraksy cało, Johansson zasugerował, żeby chłopak wjechał prosto w fotel pasażera. Założył, że będzie go zajmował Wetterberg, bo tego dnia małżonkowie mieli wracać z przyjęcia, a zazwyczaj przy takich okazjach żony nie piją alkoholu, by potem prowadzić.

Tym razem jednak Johansson pomylił się w swoich rachubach. Jan, tak wesoły w pracy, prywatnie był sztywniakiem. Na spotkaniu ze znajomymi pił niewiele i to właśnie on, a nie jego żona, zasiadł za kierownicą. W efekcie była ukochana Johanssona zginęła na miejscu, a jego rywal co prawda na wiele miesięcy wylądował w szpitalu, ale przeżył. Gniew i zacierzenie Johanssona tylko wzrosły. Teraz obwiniał Wetterberga nie tylko o odebranie mu ukochanej, ale również o jej śmierć.

W następnych latach Johansson poświęcił się biznesowi i polityce. Stał się znany i podziwiany, ale nigdy nie znalazł kobiety, która chociaż po części ukołaby jego tęsknotę za Lottą, i nigdy nie przestał planować zemsty na Janie. Atakował przeciwnika, kiedy tylko mógł. Najczęściej były to prawicowe media, w których wyśmiewał działalność społeczną i polityczne zaangażowanie Wetterberga. Od 2010 roku areną ataków zacierzonego Johanssena stał się Riksdag, gdzie obaj, reprezentując przeciwne partie, regularnie się spotykali. Groźba ze strony Wetterberga, że zgłosi odpowiednim organom swoje podejrzenia dotyczące brudnych interesów Johanssena za granicą i jego powiązań z mafią, stała się katalizatorem dalszych wydarzeń. Stary miał zbyt dużo do stracenia. Łącznie z głową. Przecież doskonale zdawał sobie sprawę, iż gdyby koledzy z gangu handlującego ludźmi uznali go za najsłabsze ogniwo, z pewnością dla własnego dobra postanowiliby go wyeliminować.

*

Sarą, która właśnie myślała nad tym, czego się dowiedziała z lektury książki Johanssona, wstrząsnął nagle silny dreszcz. „Światem rządzą przypadki” – pomyślała. Jak wyglądałoby jej życie, gdyby

osiemnaście lat temu zginął jej ojciec, a nie matka? Gdzie by teraz mieszkali i co robili? Czy gdyby nie pojechali na wakacje do Turcji, jej siostra i Anton wciąż by żyli, bo Johansson nie odważyłby się dopaść ich na terenie kraju? A może raczej w końcu straciłby cierpliwość i zlecił komuś takiemu jak Walters ich zabójstwo? Gdyby Rodriguez nie wyjechał do Kolumbii, czy jemu też stałaby się krzywda? Po minucie takich rozważań doszła do wniosku, że lepiej się nad tym nie zastanawiać. Trzeba żyć terazniejszością.

Wyjrzała przez okno. Zza ciasno przylegających do siebie chmur wyjrzało mętne słońce. Kristina zbierała jabłka, które wiatr strącił z drzewa. Niektóre były już na pewno mocno poobijane, ale dziewczynka i tak ostrożnie wkładała je do niewielkiego wiklinowego koszyka. „Moja najukochańsza kruszynka” – pomyślała Sara. Patrzyła na córkę z ogromną czułością i ciepłem. „Przygotujemy szarlotkę” – zdecydowała. Mała uwielbiała pomagać przy pieczeniu, robiąc przy tym w kuchni kosmiczny bałagan. Zaraz powie o tym pomysle Marcie. Niech zaprosi swojego znajomego, Rolfa Tumegårda, przyjaciela, o którym się w domu nie wspomina i który oficjalnie jest cały czas wyłączony „komisarzem”. Sara i tak orientowała się w sytuacji, chociaż udawała, że o niczym nie ma pojęcia. Wspaniale, że babcia znalazła sobie na starość bratnią duszę i mogła mieć własne tajemnice. To odejmuje lat. Uśmiechnęła się w myślach. Szkoda, że nie może zatelefonować do taty i jego też zaprosić na ciasto.

Właśnie wychodziła z pokoju, żeby porozmawiać z babcią, gdy rozdzwoniła się jej komórka. Na wyświetlaczu pojawił się nieznany numer.

56.

Wetterberg od prawie dwóch godzin spacerował po parku Tivoli, przyglądając się karuzeli i kolejkom górskim. Rozważał nawet przejażdżkę Star Flyerem, ale w końcu zrezygnował. Za wysoko jak dla niego. Po co niepotrzebnie ryzykować... Zjadł lunch w tłumnie odwiedzanej przez turystów chińskiej restauracji nad stawem, po którym w idealnej symbiozie pływały smocze łodzie i kaczki. Teraz siedział na ławce przed pałacem w stylu mauretańskim i przyglądał się bąbelkowej fontannie, która w założeniu miała upamiętniać działalność Nielsa Bohra, duńskiego fizyka zgłębiającego strukturę atomu. Letni wiatr rozgonił niewielkie obłoczki i słońce znowu świeciło bez przeszkód. Pachniały róże. „Sielanka” – pomyślał. Niewiarygodne, jak szybko można uciec od okrutnej rzeczywistości i zostawić za sobą wszystkie problemy.

Patrzył na śmiejących się ludzi: młode małżeństwa z dziećmi, starsze, elegancko ubrane pary i nastolatków. Ciekawe, za iloma uśmiechniętymi twarzami kryją się potwory. Bo tego, że potwory w ludzkiej skórze istnieją naprawdę, był całkowiec pewien. Sam się o tym wielokrotnie przekonał, a lektura książki Johanssona tylko go w tym przekonaniu utwierdziła. „Wyglądają tak samo jak my, niczym się nie różnią. Tak łatwo pomylić się w osądzie” – zadumał się. Człowiek, którego znał przez większość swojego życia, którego co prawda nie lubił, ale nie nienawidził, wszystkie swoje działania podporządkował chęci zemsty i próbie odegrania się na swoim – w jego mniemaniu – największym wrogu.

Ale Wetterberg musiał przyznać, że sam siebie też nie podejrzewał o mordercze skłonności. Gdyby miesiąc temu ktoś mu powiedział, że będzie kontaktował się przez internet z podejrzaną firmą i wynajmował w Finlandii zawodowego zabójcę, żeby pozbyć się dwojga ludzi – popukałby się w głowę. Chyba nawet nie uznałby tego za śmieszne. Raczej oburzyłoby go i kto wie, czy nie zawiadomiłby policji. A jednak, gdy Sara powiedziała mu, że widziała mordercę Emmy i Antona, postanowił wziąć sprawę w swoje ręce. Brakowało mu jedynie planu. Pomysł Elliota, który oczywiście był tylko żartem, okazał się bardzo prosty i łatwy do zrealizowania.

Nawet Kari Lepistö – wielki Fin o bezbarwnych oczach i trudnej do zapamiętania twarzy, którego prawdziwego nazwiska nigdy nie miał poznać – był pod wrażeniem, gdy Jan zdradził mu szczegóły akcji wyeliminowania Waltersa. Nie pozostawiono mu zbyt wiele miejsca na improwizację. Wystarczyło, że będzie dokładnie realizował ustalenia Elliota i Sary, którzy doskonale się bawili, wymyślając scenariusz zbrodni.

Fin zjawił się u Johanssona w szpitalu w przebraniu policjanta i opowiedział o grożącym mu niebezpieczeństwie. Na policję rzekomo wpłynęły anonimowe listy z pogrozkami pod adresem byłego polityka, w których ktoś zapowiadał jego rychły tragiczny koniec. Fin wspominał o książce, którą chory napisał, jako o powodzie czyjejs zemsty. Johansson był umierający i można by pomyśleć, że pogodził się już z nieuchronnością bliskiej śmierci, ale co innego umrzeć spokojnie w szpitalnym łóżku, a co innego zginąć z rąk mordercy. Na szczęście z ochotą zaakceptował propozycję mundurowego, który zaproponował, że przygotują wspólnie zasadzkę na intruza. Policjant oficjalnie wręczył mu wojskowy nóż i powiedział, żeby nie zawahał się go użyć, gdy zobaczy kogoś podejrzanego. Prosił tylko, żeby nie mówił o tym nikomu na oddziale, by informacja nie dotarła przypadkowo do niepowołanych uszu. Cała intryga okazała się dla starego nawet interesująca. Była miłą rozrywką i odmianą po wielu tygodniach bólu i szpitalnej nudy. Ucieczką od powolnego umierania.

Johansson doskonale się spisał. Okazał się na tyle szybki i sprawny, że Waltersa nie trzeba było dobijać. Walters też zdążył zrobić swoje i Jan z radością przyjął informację o śmierci obu.

Wieczorem spotkał się z Karim w ustronnym zaułku w porcie, zanim wszedł na prom do Oskarshamn. Tamten też zaraz miał opuścić wyspę. Wiedział, jak niepostrzeżenie prześlizgnąć się małą żaglówką przez granicę, tak żeby nikt go nie zauważył.

Rozliczyli się, a Fin oddał mu list, który znalazł w kieszeni Waltersa. Dokładnie tak, jak przewidział Jan – morderca miał go ze sobą. Chociaż Wetterberg starał się zmienić charakter pisma i przypilnował, żeby nigdzie na kartce i kopercie nie było jego odcisków palców, wolał na wszelki wypadek, by list nie wpadł w ręce policji. Starannie podarł go na drobne kawałeczki, a potem najzwyczajniej w świecie spalił w popielniczce. Im mniej wszyscy wiedzieli, tym lepiej dla niego.

Janowi udało się pozbyć mordercy i jego zleceniodawcy, ale w książce Johanssona było jeszcze kilka historii, które wymagały sprawdzenia. Na przykład opis współpracy z Kopenhaską Agencją Detektywistyczną. Wetterberga ta sprawa bardzo zaniepokoiła, dotyczyła bowiem jego dwóch córek.

Niestety podana w książce nazwa nie była autentyczna, więc odnalezienie tej właściwej zajęło mu dużo czasu. Początkowo nawet nie miał pewności, czy firma, o której pisał Johansson, miała swoją siedzibę w stolicy kraju. Właściwie nie wiadomo było, czy detektyw w ogóle był z Danii, ale okazało się, że w tym przypadku autor publikacji nie rozminął się z prawdą. Agencja rzeczywiście mieściła się w Kopenhadze. Po tygodniach poszukiwań Jan dotarł wreszcie do człowieka, który obserwował jego córki w Visby. Nazywał się Cee Pedersen i nie miał nic wspólnego z działalnością przestępczą. Po prostu sumiennie wykonywał swoją pracę. Mało tego, był przerażony nie na żarty, gdy się dowiedział, że już wtedy Johansson planował zabójstwo kobiet, które on śledził na jego zlecenie. Nawiązując współpracę z agencją, zawistny polityk podał się za troskliwego ojca, który martwi się o swoje dorastające córki studiujące w innym mieście. Twierdził, że doszły go słuchy, jakoby dziewczęta wpadły w nieodpowiednie towarzystwo. Czyli *de facto* przed pracownikami agencji podawał się za Wetterberga.

Pomimo początkowej rezerwy, z jaką Jan podchodził do Pedersena, udało im się szczerze ze sobą porozmawiać, aczkolwiek Wetterberg nie do końca pochwalał działalność detektywa. Uważał, że każdy szanujący się detektyw przed przyjęciem zlecenia powinien sprawdzić tożsamość zleceniodawcy, co nie było przecież takie trudne. Wówczas Pedersen dowiedziałyby się, że nie ma do czynienia z ojcem dziewcząt. Ale nie żywił do niego urazy. Ostatnio w ogóle zrobił się bardziej wyrozumiały w stosunku do innych ludzi. Najważniejsze dla Jana było to, że wszystkie nagrania i notatki z tamtych czasów zostały zniszczone, a jego córka i wnuczka są bezpieczne i nikt ich nie inwigiluje. Ponieważ po przeczytaniu książki mógł się spodziewać po swoim wrogu najgorszego, brał również pod uwagę, że ten zlecił stałą obserwację Sary na Gotlandii. Jan musiał to sprawdzić. Na szczęście okazało się, że jego córka i wnuczka są już bezpieczne.

Teraz jego wędrówka duńskim szlakiem Thomasa Johanssona dobiegała końca. Wiedział już wszystko. A to, do czego nie dotarł, a co wyjdzie na jaw w śledztwie, na pewno uda mu się kiedyś wyciągnąć od Marty. Wszak jego teściowa nader często spotyka się z pewnym byłym policjantem.

Marta. Dzielna, stara kobieta. „Mój Boże... Jakież dla niej to wszystko musiało być trudne...” Miała wyrzuty sumienia, że obarczył ją tyloma złymi wiadomościami. Ale ona i tak zawsze wiedziała więcej, niż dawała po sobie poznać. Jakimś cudem znała wszystkie tajemnice. Cokolwiek się działo na wyspie, ona od razu była o tym informowana. Nie był pewien, czy dobrze robi, i bał się jej reakcji na jego plany, ale gdy przeczytała książkę Johanssona, którą jej dał, od razu zrozumiała, że to jedyne wyjście i że Jan

musi się zemścić za śmierć żony i córki. Również w jej imieniu, a przede wszystkim – żeby chronić Sarę i swoją wnuczkę. Kto wie, co temu stojącemu nad grobem i niemającemu już przecież nic do stracenia Johanssonowi może jeszcze przyjść do głowy. Tak, Marta wiedziała o wszystkim, ale nigdy z niczym się nie zdradziła przed Sarą. Oboje starali się ją chronić.

*

Przez drogę przebiegł mały, jasnowłosy chłopiec, kopiąc przed sobą piłkę podobną do tej, którą kiedyś Jan podarował Kristinie. Ten widok uzmysłowił mu, jak bardzo tęskni za córką i wnuczką. Za jego dziewczynami, dla których gotów był na największe poświęcenia. Przypomniawszy sobie widok szczęśliwej Kristiny bawiącej się w ogrodzie z Elliotem. Świetnie się dogadywali. To dobrze. W głębi serca chciał, żeby Sara związała się z Kjellem, tym bardziej że widział, iż dla chłopaka jego córka jest kimś więcej niż tylko serdeczną przyjaciółką. Poza tym miał świetne podejście do Kristiny, a mała dosłownie za nim przepadała. Patrząc na tę dwójkę baraszkującą w ogrodzie Marty, zawsze myślał, że Elliot byłby świetnym ojczymem dla jego wnuczki. Trudno było mu jednak rozgrzyźć własną córkę. Nie wiedział, co czuje do brata zmarłego chłopaka swojej starszej siostry. Nieraz chciał o to zapytać Sarę, ale jego teściowa wybiła mu to z głowy.

– Zostaw ich w spokoju – mówiła. – To dorośli ludzie. Moim zdaniem oni mają się ku sobie, ale Sara jeszcze nie dojrzała do nowej miłości. Daj im trochę czasu. Elliot jest mądry i cierpliwy, z pewnością dopnie swego. Nie martw się, będziesz miał jeszcze wspaniałego zięcia, a Kristina świetnego tatę.

Jan, uśmiechając się do swoich myśli, wyjął z kieszeni telefon na kartę, który ostatnio kupił, i wystukał z pamięci numer.

Po kilku sygnałach usłyszał najmiłszy na świecie głos.

– Sara Wetterberg, słucham.

– Dzień dobry, córeczko.

– Tato! Gdzie się podziewałeś?

– Musiałem się upewnić, że nic nie grozi ani tobie, ani Kristinie.

– Nic ci nie jest?

– Wszystko w porządku.

– Nie masz pojęcia, jak się martwiłam.

– Zupełnie niepotrzebnie. Nie mogę długo rozmawiać. Chciałem ci tylko powiedzieć, że jesteście bezpieczni. Nie wiem, kiedy się zobaczymy, ale nie martw się o mnie.

– Wiesz, że Johnny nie żyje? Thomas Johansson go zabił.

– Naprawdę? To bardzo dobra wiadomość.

– Johansson też nie żyje.

– Wiem. Mówili w wiadomościach.

Przez krótką chwilę oboje milczeli.

– Tato...

– Tak?

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham. Nigdy o tym nie zapominaj. Muszę kończyć.

Rozłączył się. Schował telefon do wewnętrznej kieszeni marynarki. Palce natrafiły na chropowatą okładkę paszportu, który od wielu dni bezpiecznie spoczywał w tym samym miejscu wraz z biletem lotniczym.

Czy ona się domyśla? Nie mógł zapytać wprost. Telefon córki mógł być na podsłuchu. Musiał zachować ostrożność. „Jeżeli ja kiedyś nie spiszę swoich wspomnień, to nikt się nigdy o niczym nie dowie” – pomyślał. Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi.

Spojrzał na zegarek. Zbliżała się osiemnasta. Wstał z ławki i skierował się w stronę wyjścia z ogrodów.

Klaudia ostatni raz przeglądała sprawozdanie, które napisała w sprawie kilku dwudziestolatków z Norwegii. Zostali zatrzymani w jednej z popularnych dyskotek w mieście, gdzie zdemolowali bar, rzucając butelkami w kryształowe lustra i bawiących się gości. Przy tej okazji okaleczyli dwie nastolatki, barmanowi złamali rękę, a straty materialne oceniono pobieżnie na ponad czternaście tysięcy koron. Dwa patrole policji, które zostały wezwane przez zdenerwowanego właściciela lokalu, miały problem z uspokojeniem chłopaków. Musiano ich obezwładnić i karetkami pogotowia w asyście policji odstawić na badania do szpitala. W krwi, oprócz przerażającej ilości alkoholu, znaleziono nieznaną substancję, zapewne jeden z tych wynalazków zwanych dopalaczami. W połączeniu z wódką dawka mogła okazać się dla nich zabójcza. To cud, że przeżyli. Po trzech dniach, kiedy doszli do siebie, zgodnie stwierdzili, że absolutnie nic nie pamiętają. Dopiero nagrania z monitoringu zainstalowanego zarówno wewnątrz dyskoteki, jak i na ulicy, odświeżyły im pamięć i zdecydowali się przyznać do winy.

Rozboliła ją głowa. Przypomniała jej się, że nie miała nic w ustach od śniadania, a zbliżała się piętnasta. Czas na jakąś kanapkę, przydałby się także łyk kawy. Może kupi w automacie dwie kanapeczki i jedną poczęstuje Gustavsona. On też chyba nie wychodził na lunch, a przecież jest mu coś winna za te anonimy. Szkoda, że niczego oprócz pochodzenia kopert nie udało mu się ustalić, nie znalazł też żadnych dowodów, dzięki którym mogłaby namierzyć ich autora. Zwykły biurowy klej, zwykły papier Kodaka do drukarek. Taśma klejąca z IKEA. Odcisków palców pełno, szczególnie na kopertach, ale żadne nie figurowały w ich rejestrze. Dziwna sprawa...

Do pokoju zajrzał Erik z prośbą o przejrzenie wstępnego raportu końcowego ze śledztwa w sprawie ich ulubionych morderców ze szpitala.

– Chciałbym poznać twoją opinię.

– Wiesz, co o tym wszystkim myślę.

– Chyba więc się zgadzamy. Przeczytaj mój raport i powiedz, o czym zapomniałem. Zależy mi na twoim komentarzu.

– W takim razie z przyjemnością przeczytam – powiedziała z lekką nutką rezygnacji w głosie.

Lektura raportu oznaczała, że dzisiaj, podobnie jak wczoraj, nie wyjdzie wcześniej do domu. Trudno. Też chciała już zakończyć to dochodzenie. W śledztwie nie działo się nic nowego. Obaj bezpośredni sprawcy nie żyli, a trzeci – olbrzymi Fin – rozpułnął się bez śladu. Pomimo pewnych niejasnych podejrzeń w stosunku do Jana Wetterberga nie mogli mu udowodnić absolutnie niczego. Poza tym właściwie dla wszystkich korzystny był fakt, że dwaj źli, niebezpieczni ludzie zostali usunięci ze społeczeństwa. Świat stał się odrobinę bezpieczniejszy. A przynajmniej taką miała nadzieję.

Otworzyła folder przesłany mailem przez Lindberga i zaczęła czytać. W tym momencie zauważyła, że na stojącym na biurku telefonie zamigła lampka połączenia wewnętrznego.

– Tak?

– Przy informacji czeka na panią Christian Behrens – poinformowała ją spokojnym głosem dyżurująca w recepcji funkcjonariuszka. – Czy mogę wysłać go na górę?

Policjantka musiała mieć zgodę Klaudii, żeby wpuścić obcego.

– Tak, znam go. Niech przyjdzie.

Chris tutaj? Nie lubiła niespodzianek, ale już nie mogła się doczekać, kiedy go zobaczy. Szybko wylogowała się z systemu i wyłączyła komputer. Zgarnęła papiery z biurka. Schowała teczki do szuflady i zamknęła ją na klucz. Koniec pracy na dzisiaj. Choćby nie wiem co.

Usłyszała pukanie do drzwi.

– Otwarte, wchodź! – krzyknęła.

Drzwi się uchyliły i pojawił się w nich ogromny bukiet herbacianych róż. Aż zapachniało w pokoju. Za nimi zobaczyła poważniejszą niż zwykle twarz ukochanego. Wszedł i ostrożnie zamknął drzwi.

Chciała wstać i rzucić mu się na szyję, a potem nie rozstawać z nim przez następnych kilka dni, nie wychodząc z łóżka, ale w wyrazie jego oczu było coś, co ją powstrzymało.

– Co się stało? – zapytała niepewnym głosem.

– Przyjechałem do ciebie prosto z lotniska.

– Zdążyłeś kupić kwiaty – zauważyła.

– To było ważne.

– Piękne, dziękuję.

W dalszym ciągu nie miała odwagi do niego podejść.

Chris położył bukiet na biurku i usiadł na krześle naprzeciwko niej. Ujął delikatnie jej dłoń i czule pocałował każdą z osobna.

Klaudia zaczęła się denerwować. Nie tak wyglądało zwykle ich powitanie. Obawiała się, że zaraz padną słowa, których w tej chwili nie chciałyby słyszeć. Nie była gotowa na ważne deklaracje. Jeszcze nie dzisiaj.

Na razie oboje milczeli.

– Przepraszam – odezwał się w końcu Christian.

– W porządku. – Klaudia się uśmiechnęła. Te słowa była gotowa zaakceptować. – Mam nadzieję, że teraz wyjaśnisz mi wszystko i wreszcie wyjawisz mi te swoje sekrety. Tylko mi tu nie kłam. – Żartobliwie pogroziła mu palcem, chociaż wcale nie było jej do śmiechu.

Behrens wziął głęboki oddech i zaczął mówić.

– Spotkałem się z Fridą, moją prawniczką, bo chciałem przepisać na ciebie mój dom w Sztokholmie. Chciałem, żebyś to ty była jego właścicielką.

– Dom?

Naprawdę nie tego się spodziewała. „Zwariował” – pomyślała.

– Opowiadałaś, że mieszkałaś kiedyś w dużej kamienicy, że należało do was całe piętro. Chciałem, żebyś go miała.

– Po co mi dom w Sztokholmie?

– Nie musiałybyś nic z nim robić. Jest tam zarządca, który zajmuje się lokatorami i sklepem na dole. Kamienica przynosi spore dochody.

– Dlaczego pomyślałeś, że potrzebuję twoich pieniędzy?

– Nie chodziło o pieniądze. Chciałem dać ci coś, żebyś wiedziała, jak jesteś dla mnie ważna.

– Mam nadzieję, że nie zrobiłeś niczego bez mojej zgody?

– Nie.

– To dobrze. Nie chcę twojego domu.

Klaudii ulżyło. A więc to jest ta poważna sprawa, która stała pomiędzy nimi jak niewidzialny, ale wyczuwalny mur. Chris nie jest przestępcą, który miał za zadanie ją poznać, usidlić i wykorzystać. Swoją drogą – głupio to wymyśliła. On przestępcą... Chyba to ona powinna go przeprosić.

– Pójdziemy coś zjeść? – zapytała ze wzruszeniem w głosie. – Jestem głodna. Skończyłam na dzisiaj z łapaniem bandytów.

Podniosła się, ale on ciągle siedział i patrzył na nią wzrokiem, w którym zauważyła smutek. „To jeszcze nie koniec” – pomyślała. Usiadła z powrotem i spojrzała mu prosto w oczy.

– Mów – poprosiła zdecydowanie. – Widzę, że masz jeszcze jakieś niespodzianki. O co chodzi?

– Jesteś dla mnie najważniejszą osobą na świecie – zaczął. – Od momentu, gdy spotkaliśmy się na promie. Kocham cię jak nikogo przedtem. Długo trwało, zanim zdałem sobie z tego sprawę. Nie umiem bez ciebie żyć.

– Czy ty mi się oświadczasz? – zapytała, powstrzymując śmiech.

– Chciałbym. Ale...

Zamilkł. Klaudia przyglądała mu się wyczekująco. Bała się cokolwiek powiedzieć.

– Jestem żonaty i mam osiemnastoletniego syna – wyrzucił z siebie jednym tchem.

Poczuła, jak krew odpływa z jej rąk i nóg. Chciała wstać i stamtąd uciec, ale nie mogła się ruszyć. Nie mogła się odezwać. Oszołomiona zastygła w bezruchu. Serce waliło jej tak szybko i głośno, że musiał to słyszeć. Czuła, że zbiera jej się na płacz, ale nie miała na to siły. Nie miała siły, żeby zrobić cokolwiek. Była jak sparaliżowana. Siedziała wyprostowana na swoim fotelu i oczekiwała kolejnego ciosu.

Christian mówił dalej.

– Z Barbarą już wszystko ustaliliśmy. Nasze małżeństwo od lat było fikcją. Złożyliśmy oboje papiery rozwodowe. Szybko pójdzie. Ona ma swoją pracę i swoje pieniądze. Zawsze zresztą była bogatsza ode mnie. Chcę się przeprowadzić do Szwecji. Wiem, że nie musi cię to obchodzić, ale mam problem z synem i tylko ze względu na niego muszę być czasami w Anglii. Jakims sposobem dowiedział się o tobie

i ubzdurał sobie, że powstrzyma mnie przed odejściem, by uratować rodzinę. Barbara kilka razy próbowała mu wytłumaczyć, że to nie ma sensu i że wszystko jest w porządku. Na domiar złego Matthew wplątał się w jakieś porachunki gangów – kontynuował z ponurą miną. – Przyniósł kiedyś do domu broń, nie wiedzieliśmy skąd. Pewnego dnia znaleźliśmy u niego powycinane gazety i puste koperty. Wydaje nam się, że nasz syn kogoś szantażował, chociaż oczywiście nie mamy co do tego pewności. Musiałem dopilnować, żeby nie zmarnował sobie życia i nie wylądował w więzieniu. Ale nie wiem, czy coś do niego dotarło. Dlatego nie było mnie przy tobie tak długo.

Klaudia patrzyła na człowieka siedzącego na wyciągnięcie ręki i wypowiadającego słowa, które do niej nie docierały. Mówił szybko, jakby się bał, że mu przerwie i gdy wreszcie postanowił jej wszystko wyjaśnić – ona nie da mu tej szansy.

Kim on jest? Jeszcze przed chwilą był jej chłopakiem. Teraz zupełnie nie rozumiała, co ją z nim łączyło. Jakiś obcy człowiek opowiadał jej o swoim życiu, o żonie i synu. O swoich problemach. Powycinane gazety i koperty. Czyżby to jego syn ją prześladował?

– Jasny SUV – wyszeptła. – Twój syn jeździ jasnym SUV-em – powiedziała głośniej.

– Barbara jeździ beżowym land roverem. Ale skąd...?

Teraz rozumiała, dlaczego wydawało jej się, że w samochodzie stojącym w nocy pod jej domem były dwie osoby. Myliła się, po prostu kierownica była z innej strony. Chłopak był sam. Wszystko stało się jasne jak słońce. „Przyniósł do domu broń”. A potem przyjechałby do Szwecji i ją zastrzelił. Byłaby szybsza. Może. I zabiłaby mu syna.

– Wynos się – powiedziała spokojnym, obojętnym głosem.

Behrens ani drgnął. Patrzył na nią zdecydowanym wzrokiem.

– Rozumiem twoje wątpliwości...

– Wyjdź!

– Nigdzie nie wyjdę. Kocham cię. Przepraszam, że dopiero teraz mówię ci o mojej rodzinie.

Wstała. Zbyt energicznie. Odsunięty fotel na kółkach uderzył z hukiem o ścianę.

Chris też się podniósł.

– Nie wychodź. Wszystko, co powiedziałem, to prawda. Nie chciałem cię oszukiwać. Daj nam szansę.

Chciałby ją zatrzymać za wszelką cenę, ale gdyby złapał ją teraz za rękę, wyrwałaby się, a może nawet go uderzyła. Puściły jej nerwy. Zdążył ją już poznać na tyle, by się zorientować, że jej też na nim zależy. Tłumaczył sobie w duchu, że nie reagowałaby tak emocjonalnie, gdyby było inaczej. Jeżeli wymagała tego sytuacja, potrafiła być przecież bardzo opanowana. Nie wiedział, czego się spodziewać, przyjeżdżając tu dzisiaj, ale liczył, że jego miłość do niej pokona wszystkie przeszkody. Zdawał sobie sprawę, że popełnił błąd, ukrywając przed nią swoją sytuację, i musiał za to zapłacić, ale nie wierzył, że dziewczyna będzie tak okrutna. Do tej pory wszystkie niepowodzenia życiowe tylko bardziej go mobilizowały. W tej chwili czuł się zupełnie bezsilny. Gdyby kazała mu uklęknąć i prosić o wybaczenie, zrobiłby to bez zastanowienia. Żeby tylko dała mu drugą szansę...

Klaudia zdjęła z wieszaka torbę. Omiotła wzrokiem pokój, sprawdzając, czy o czymś nie zapomniała. Bukiet róż leżał spokojnie na biurku. Przemknęło jej przez myśl, że mogłaby go ostentacyjnie wyrzucić do kosza, ale uznała, że zignorowanie kwiatów wywrze lepszy efekt.

– Przepraszam, że uraziłem twoją ciocię. Nie chciałem. Wcale tak nie myślę... Przeprasz Alinę za...

Nie dowiedziała się, za co ma przeproszać swoją ciotkę. Wyszła, trzaskając drzwiami. Słyszała jeszcze, jak on opuszcza pokój zaraz za nią.

*

Ocknęła się pod domem. Siedziała w swoim samochodzie i płakała. Drogę na Polhemsgatan, którą mogłaby przejść na pieszo w kilka minut, pokonała jak na autopilocie. Stary saab sam wrócił do domu jak koń do stajni. Ona tylko naciskała hamulec albo włączała kierunkowskaz. Jak każdego innego dnia.

Nie wiedziała, czy to ze smutku, czy ze złości, ale łzy same cisnęły się jej do oczu i spływały po policzkach. Christian nie był już jej. Właściwie nigdy do niej nie należał. Miał swoją rodzinę. Podświadomie brała pod uwagę, że musiał mieć jakieś inne życie, ale kiedyś, w przeszłości. Miał przecież czterdzieści lat, był przystojny i inteligentny. Musiały kręcić się koło niego różne kobiety. Ale nie spodziewała się, że to ona jest tą kobietą, która „kręci się” koło cudzego męża. Nigdy by się na to nie

zgodziła. „Nasze małżeństwo było fikcją”. Ile razy słyszała taki tekst w filmach? A ile razy od koleżanek, które opowiadały jej o swoich romansach z żonatymi mężczyznami, a ona, słuchając ich zwierzeń, zastanawiała się, jak mogą być tak naiwne? Przecież w filmach i tandetnych książkowych romansidłach zawsze czarne charaktery czarowały w ten sposób naiwne dziewczyny. Teraz to ona stała się postacią jak z kiepskiego melodramatu, tą trzecią, do której wymyka się z małżeńskiej sypialni niewierny mąż. To było poniżej jej godności. Dobrze zrobiła, wychodząc w pół zdania i trzaskając drzwiami. Wszystko jedno, czy ktoś z kolegów to zauważył, czy nie. Takie zachowanie było dalekie od profesjonalizmu, ale co tam... Na korytarzu nikogo nie spotkała.

Słuchanie tych wszystkich usprawiedliwień było poniżające. Po co w ogóle jej to opowiadał? Jeżeli zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, dlaczego od razu nie rozstał się z żoną? Wolał wygodny układ: żona plus kochanka? Miał wystarczająco dużo czasu, by uregulować swoją sytuację, tym bardziej że wiedział, iż jest dla niej kimś ważnym. Gdy zadzwonił ten pierwszy raz, rzuciła wszystko i pojechała do Sztokholmu, żeby się z nim zobaczyć. Gdyby wtedy powiedział jej, że jest żonaty, ale rozstaje się z żoną... pokochałaby jego syna. Nikt z jej bliskich nie był w takiej sytuacji ani ona nie miała wcześniej takich doświadczeń, ale na pewno nauczyłaby się funkcjonować w patchworkowej rodzinie. Teraz już za późno. Obrzydliwy kłamca. Nie chce go więcej widzieć! Była pewna, że dokonała właściwego wyboru.

Spojrzała na siedzenie pasażera, na którym leżały odrażające *Polityczne przekręty*. Wzięła książkę do ręki i przyjrzała się błyszczącej czerwonej okładce. Właściwie to nie mogła powiedzieć, że ją przeczytała. Tak jak przewidział Erik, nie znalazła w sobie tyle siły, by przebrnąć przez wszystkie rozdziały. Otworzyła na fragmencie o kobiecie, w której zakochał się kiedyś autor: „Kochałem Marie. Była moją największą miłością. Cały czas była tą jedyną i najpiękniejszą, nawet gdy wybrała innego i przestała mnie zauważać. Kochałem ją dalej, nawet gdy za niego wyszła. Ciągle miałem nadzieję, że w końcu go zostawi, przejrzy na oczy i do mnie wróci. Moja dziewczynka. Ale gdy urodziło im się dziecko, zrozumiałem, że to koniec. Że nie wolno mi już o niej marzyć. Nigdy nie będzie moja. Nawet gdyby chciała zmienić swoje życie. Ale jeżeli ja nie mogłem jej posiadać, to nikt nie powinien dzielić z nią szczęścia. Martin musiał odejść. Na zawsze. Nie chciałem, żeby coś jej się stało, ona miała przeżyć. Nie ona miała wtedy zginąć. Utrata życia to nie najgorsze, co może nas spotkać. Największy ból to utrata najbliższej osoby, tej, dla której się żyje, dla której chce się rano wstawać z łóżka. Gdy jej zabraknie, to jest gorsze niż śmierć. Tego chciałem dla Marie. Miała cierpieć, tak jak ja cierpiałem, gdy odeszła do innego. Kto kocha – musi być w każdej chwili gotowy na ból”.

– Fakt – powiedziała głośno sama do siebie. – Miałeś, gnoju, rację. Kto kocha, ten cierpi.

58.

Klaudia stała przy oknie w swoim pokoju i patrzyła na zalany deszczem parking. Skupiła wzrok na krzaku róż, teraz ogołoconym z kwiatów. „Jaki ponury dzień. W sam raz dla mnie” – pomyślała. „Nawet przyroda się smuci”. Wciąż wracała myślami do ostatnich wydarzeń, chociaż sytuacja z Chrisem była właściwie wyjaśniona. Nie było o czym mówić. Jak mógł ją tak długo oszukiwać? Jak to się stało, że ona, doświadczona policjantka, nie zauważyła jego nieuczciwej gry? Widziała tylko to, co chciała widzieć. Dała się nabrać na czułe słówka i gesty jak jakaś nastolatka. Miała o to do siebie ogromne pretensje. Ale jak można było nie ulec czarowi jego uśmiechniętych, magnetycznych oczu? Nieśmiałym dotknięciom jego palców na policzku, muśnięciom włosów? Mąż i ojciec. Dobre sobie! Pewnie niejedna kobieta straciła wcześniej dla niego głowę. A ona planowała z nim przyszłość... I jeszcze ten chłopak, Matthew, który chciał ją zabić. Udał mu się syn, nie ma co...

Nie wierzyła w ani jedno słowo wypowiedziane wczoraj przez Behrensa. Co to w ogóle za bzdury? Jak mogło mu przyjść do głowy, że chciałaby mieć jego dom? Żadnych domów ani fortepianów!

Czas się zatrzymał. Jak teraz będą wyglądały jej dni bez planowania spotkań z nim, bez jego głosu w słuchawce? Kto będzie się z nią śmiał i płakał? Wysyłał głupoty mailem i pisał zakodowane SMS-y? Gdzie się nie obejrzała, widziała jego postać. Przypominał jej o nim każdy mebel, każde drzewo i kamień. Słońce, deszcz i morskie fale. Podle ją oszukał, ale przecież nie przestanie z dnia na dzień go kochać. Pomyślała z goryczą, że te lata spędzone z nim to zmarnowany czas. Ile ciekawych rzeczy mogła w tym czasie zrobić, ile miejsc zobaczyć, podróżując po świecie, ilu interesujących ludzi poznać... Ale to on nauczył ją przeżywać. Bez Christiana u jej boku nic już nie będzie takie samo. Był jej ważną częścią.

Czy kłamał, zapewniając o swojej wielkiej miłości do niej i o oddaniu? Może naprawdę gotów był przeprowadzić się na Gotlandię? Założyć z nią rodzinę? Nie chciała tego wiedzieć. To koniec. Lepiej zrobi, jeśli ograniczy swoje życie prywatne do opieki nad ciotką. Właśnie, co Christian wczoraj mówił? „Wcale tak nie myślę”? Prosił, żeby ją przeprosił w jego imieniu. Nie zdążyła się nawet dowiedzieć za co. Trudno. To pewnie nic ważnego. Gdy dzisiaj wróci do domu, mocno ją ucałuje, a potem przytuli się do Rumika. Koty górá! Ciočia mówiła prawdę, gdy tłumaczyła kotu, że nie wolno ufać nawet najbliższym. Klaudia smutno westchnęła. Od teraz będzie się koncentrować wyłącznie na pracy.

Wróciła myślami do dnia, kiedy poznała Behrensa na promie do Nynäshamn. Przypomniała sobie siebie sprzed sześciu lat, a przy okazji wróciło wspomnienie morderstwa Emmy Wetterberg i Antona w Turcji. Wciąż pamiętała, jak bardzo chciała doprowadzić tę sprawę do końca – przecież to było jej pierwsze poważne śledztwo w Visby. Nie udało jej się go wtedy rozwiązać, choć bardzo się starała. Teraz rozumiała, że nie miała szans. Profesjonalny zabójca był lepiej przygotowany do zawodu niż ona wtedy.

Ale nawet najlepszym może powinąć się noga i trafiają na nieprzewidziane okoliczności. Dobrze, że przynajmniej ta sprawa została wyjaśniona i rodzina w końcu wie, dlaczego ta nieszczęsna dziewczyna straciła wówczas życie.

Spojrzała za okno. Deszcz przestał na chwilę padać, ale na zewnątrz wciąż było ponuro. Krakanie wrony, która przyleciała nie wiadomo skąd i usiadła na rosnącym na parkingu krzaku, dopełniło ponurego nastroju.

Gorzkie rozmyślenia przerwało ciche pukanie do drzwi. Klaudia, odwróciwszy głowę od okna, ujrzała Lindberga.

– Tak?

– Kończymy. Zapraszam cię za pół godziny do konferencyjnej.

– Zamykamy śledztwo? – W głosie Klaudii słychać było zdziwienie pomieszane z rozczarowaniem.

– Wolisz szukać wiatru w polu?

– A co z Finem?

– Wątpię, żebyśmy go odnaleźli. Dobrze wiesz, że Gotlandia to mała wyspa, trudno się z niej wydostać. Przystępstw jest niewiele i zawsze istnieje duża szansa na złapanie złodzieja lub mordercy, ale zanim wyjedzie z wyspy. Później praktycznie nie ma już na to szans. Nie ma sensu go szukać. Zresztą niczego nie moglibyśmy mu udowodnić. Przebieranie się dla żartu w mundur policjanta, przy założeniu, że był autentyczny, to za mało, by go wsadzić do więzienia. Nawet nie mamy dowodu, że to on dał staremu nóż.

– W sumie umilił Johanssonowi ostatnie chwile życia. To bohater pozytywny.

– Ha, ha, dobre! – Lindberg się roześmiał.

Klaudia przyglądała mu się wyczekująco. Zamiast zwyczajowo przysiąść na jej biurku, teraz rozsiadł się na niewielkiej sofie dla gości. Przystał się śmiać i właściwie wyglądał na smutnego.

– Coś się stało? – zapytała.

– Chciałem o czymś z tobą porozmawiać. Już dawno miałem zapytać cię o zdanie, ale nie było okazji.

– Pamiętam. Wtedy, gdy dostałam anonimy. O co chodzi?

– To prywatna sprawa, więc nie wiem, czy mogę...

Widać było, że od jakiegoś czasu komisarza coś gryzie, ale nie wie, jak o tym opowiedzieć. Klaudia nie chciała się wtrącać i narzucać z pomocą, zresztą miała dość własnych kłopotów. Ale teraz, gdy sam zaczął tę rozmowę... Może to nawet dobrze, że zajmie się cudzymi sprawami, zamiast rozmyślać o własnym spięrzonym życiu.

– No dobrze. Mów – zdecydowała.

Lindberg spojrzał na nią poważnie.

– Opiekujesz się swoją ciotką, podziwiam cię za to.

Dziewczyna bardzo się zdziwiła. Tego tematu nigdy wcześniej nie poruszali.

– Coś ty... Co tu podziwiać? To zupełnie naturalne.

– Ale przecież nie musisz tego robić. Są rozwiązania systemowe.

– Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej. Nie mam innej rodziny. Dla mnie to oczywiste.

– Troszczyłaś się też o swoich rodziców?

– Tak jak oni o mnie. W pewnym sensie. W Sztokholmie wszyscy mieszkaliśmy razem, z rodzicami, babcią i dziadkiem, którego mało pamiętam, bo odszedł, gdy byłam mała. Po katastrofie lotniczej, w której mama i tata zginęli, zostaliśmy we dwie z babcią i musiałam się nią zająć. To znaczy... nie musiałam, ale było to po prostu naturalne. Miała wtedy prawie osiemdziesiąt lat. Niedługo później zmarła. Ale dlaczego rozmawiamy o mojej rodzinie?

– Chciałbym być bliżej moich rodziców.

– Wymagają twojej pomocy? Chorują?

– Nie. Na szczęście wszystko z nimi w porządku. Czują się dobrze. Ale jak ratowałem Oeklanda, to zdałem sobie sprawę, że wystarczy moment, żebyśmy stracili kogoś, na kim nam zależy, i później nie da się już tego odkręcić.

– To prawda...

– I że nic nie wiemy o ludziach, chociaż mieszkamy blisko siebie i niby często ze sobą rozmawiamy. To akurat nie o moich rodzicach, bo oni mieszkają w Falun i kontaktujemy się kilka razy w roku. Ale sama rozumiesz... Czasami wydaje nam się, że kogoś znamy, a tak naprawdę nic o nim nie wiemy.

Klaudia się wzdygnęła. Ktoś bliski, kogo znamy od lat i o kim nic nie wiemy... Pewnie długo jeszcze każde zdanie i każdy temat będzie jej się kojarzył z Christianem.

– Martwisz się o swoich rodziców? – zapytała.

Komisarz skinął smutno głową.

– Boję się, że nie zdążę z nimi pobyć i poznać ich jako ludzi. Takich, jakimi są teraz. Nie jako moja matkę i ojca, których pamiętam z dzieciństwa i wczesnej młodości.

– A co oni na to? Bo wiesz, moja ciotka, gdyby tylko czuła się na siłach, wolałaby nie widywać mnie codziennie. Wcześniej zawsze mieszkała sama i na początku trochę jej przeszkadzały moja ciągła obecność i nowe porządki w domu. Do dzisiaj ma różne pretensje.

– Nie, nie. Ja nie chcę z nimi zamieszkać. Chcę ich co jakiś czas odwiedzać. W październiku mają przyjechać do nas na trzy tygodnie. Akurat będę miał wtedy urlop. Ojciec będzie obchodził siedemdziesiąte urodziny. Chcę mu urządzać przyjęcie. Rozmawiałem z nimi oczywiście i cieszy ich perspektywa tego spotkania.

– W takim razie uważam, że to fantastyczny pomysł. W czym leży problem? Dlaczego chciałeś mi o tym wszystkim powiedzieć?

– Mojej żonie to nie pasuje.

– Co konkretnie?

– Że rodzice będą mieszkać u nas w domu.

– Trzy tygodnie to nie koniec świata.

– A jednak. Wolałaby, żeby mieszkali w tym czasie w hotelu. A ja chcę być z nimi blisko. Gościć ich i cieszyć się, że są z nami, jak rodzina.

– No ale to tylko trzy tygodnie, dwadzieścia jeden dni. Erik, nie wierzę, że o to chodzi. Mieliście może jakieś inne plany na urlop?

– Żadne.

– Może twoja żona się boi, że rodzice będą ją krytykować, wtrącać się, patrzeć jej na ręce? No wiesz, druga kobieta w kuchni i tak dalej. Nie ten rodzaj majonezu w lodówce, niezdrowe pieczywo, inaczej ustawione buty, niepotrzebnie zapalone światło. Moja ciotka tak ma.

– Skąd! Nawet mnie nigdy nie zwracali uwagi, że coś robię nie tak, a co dopiero Lindzie. Nie są tacy. Nie mają zwyczaju się wtrącać.

– No to nie rozumiem. – Klaudia bezradnie rozłożyła ręce. – Może ma jakiś zatarg z twoimi rodzicami, jeszcze sprzed lat, i nie chce ich widzieć, żeby nie odżyły stare animozje?

– Nie umiem z nią rozmawiać na ten temat. Uważa, że poświęcam nasze małżeństwo i synów, żeby zadowolić rodziców. Mamy poukładane życie, zorganizowane zajęcia weekendowe i według niej nie ma powodu, by to zmieniać.

– Ja też mogłabym podobnie powiedzieć o sobie. Poświęciłam poukładane życie dla ciotki. Miałam w Sztokholmie chłopaka, Marcusa. Wszystko zaczęło się psuć, gdy wyjechałam. W końcu się rozstaliśmy. Ale nie żałuję.

– Naprawdę? I wcześniej też nie żałowałaś?

– Nie. Nasz związek nie okazał się na tyle poważny, żeby przetrwać rozłąkę. Tak widocznie miało być. Ani ja za nim specjalnie nie tęskniłam, ani on za mną. – Klaudia po raz pierwszy powiedziała to głośno. W zasadzie po raz pierwszy przyznała to sama przed sobą. – Ale ty masz inną sytuację. Jesteście kochającą się i zgraną rodziną. Jestem pewna, że Linda da radę i pomoże w zorganizowaniu twoim rodzicom udanego pobytu. Przecież masz bardzo fajną żonę. I w ogóle nigdy nie słyszałam, żebyście nie potrafili się dogadać.

– No właśnie. Ale teraz...

Komisarz za żadne skarby nie przyznałby się do tego, że jego małżeństwo przeżywa kryzys. I właśnie to niepokoiło go najbardziej. Przecież jeszcze do niedawna żona była jego najbliższą przyjaciółką i powierniczką. A teraz bardzo się od siebie oddalili. Nie podejrzewał Lindy o nową znajomość, winy szukał raczej po swojej stronie, ale w sprawie odnowienia kontaktów z rodzicami postanowił być nieugięty.

– Dlatego nie rozumiem, o co jej chodzi.

– A zapytałeś ja o to? Bez nerwów i naskakiwania na nią? Twoja żona jest rozsądną kobietą. A twój pomysł jest dobry. To musi być jakieś nieporozumienie. Po prostu musicie to przegadać.

– Dziękuję, że tak mówisz. I że mnie rozumiesz.

Łączyła go z Klaudią jakaś szczególna więź, która pogłębiła się przez lata wspólnej pracy. Rzadko rozmawiali ze sobą na tematy dotyczące ich życia prywatnego, ale oboje wiedzieli, że mogą na siebie liczyć w razie potrzeby. Jak dwoje dobrych kumpi.

Dziewczyzna się roześmiała.

– Z tym zrozumieniem to nie przesadzaj. Mnie się wydaje, że upraszczasz i że tu chodzi o coś innego. Ale gdybyś potrzebował mojej kobiecej intuicji w rozwiązaniu swojego problemu, musiałabym najpierw porozmawiać z twoją żoną.

– Zastanowię się nad tym. Wiesz, może rzeczywiście spróbuję na początek na spokojnie dowiedzieć się od Lindy, o co naprawdę jej chodzi. Rozwiązywanie zagadek dotychczas nie sprawiało mi aż tak wielkiego problemu. Z tą też powinienem sobie dać radę.

Zamilkł, ale widać było, że to nie koniec.

– Czy nie masz czasami wrażenia, że łatwiej jest być policjantem i łapać przestępców niż rozwiązywać własne życiowe problemy? – zapytał po chwili.

Klaudia spojrzała na niego uważnie. A więc nie tylko ona ma pokręcone relacje z partnerem. Mało odkrywcze. Każdy ma co jakiś czas kryzysową sytuację w domu. Nie ma idealnych związków. Trzeba tylko wiedzieć, które z nich warto ratować.

– Tak, czasami mam takie wrażenie – odpowiedziała.

– Chyba źle się za to zabrałem. Cieszę się, że mogłem ci o tym opowiedzieć. Dzięki.

– Nie ma za co. Polecam się na przyszłość.

– Idziesz już?

– Dokąd? A tak... do konferencyjnej. Idź sam. Zaraz do was dołączę.

59.

Gdy komisarz Jassem weszła do małej sali konferencyjnej, Lindberg prowadził już zebranie grupy dochodzeniowo-sledczej. Z bezradnego męża, trapiącego się małżeńskimi problemami, przedzierzgnął się na powrót w poważnego i odpowiedzialnego szefa policji kryminalnej, który wszystko wie i na wszystkim się zna.

Koledzy siedzieli przy dużym stole. Karl Gustavson udawał, że słucha w skupieniu, ukradkiem zerkając na trzymanego pod stołem nowego smartfona. Nie przestawał klikać w kolorowe ikonki. Nikt oprócz niej nie wiedział, że smartfon był prezentem od Lindberga.

Sten Jacobsen położył przed sobą na stole duży notatnik i w oczekiwaniu na ważne informacje bawił się długopisem.

Dawny stażysta, a od pół roku pełnoprawny członek ich grupy, Peter Hellgrun, przewracał kartki w teczce z aktami sprawy. Ciekawe, że wolał papier od akt elektronicznych. „Stara szkoła” – pomyślała Klaudia. Rolf Tumegård by go polubił.

Usiadła na wolnym krześle w rogu sali.

– Ponieważ w *Politycznych przekrętach*, które niewątpliwie są książką „z kluczem”, nie padają prawdziwe imiona ani nazwiska, możemy się tylko domyślać, kogo ma na myśli autor. Założyliśmy, że Johansson wiernie opisał plan i powody morderstwa starszej córki Jana Wetterberga – mówił komisarz. – Swoją drogą, sprytnie to sobie wykoncypował. Doskonale zdawał sobie sprawę, że zabicie znanego polityka z Riksdagu wywołałoby w Sztokholmie zbyt duże zamieszanie. Centralne Biuro Śledcze przyłożyłoby się do pracy i dochodzenie byłoby prawdopodobnie dużo dokładniejsze niż w przypadku kogoś innego. Mogłyby wyjść przy tym na jaw historie, o których Johansson wolał nie opowiadać. Idealnym miejscem do przeprowadzenia akcji był duży kraj, nienależący do Unii Europejskiej, jak Rosja albo Turcja. Ale z Wetterbergiem kłopot był ten, że rzadko wyjeżdżał za granicę, a mordercy chodziło o to, by uniknąć dochodzenia w Szwecji. Wykupując wakacje *last minute* w Turcji, na które Emma zdecydowała się jeszcze przed zakończeniem roku akademickiego, dziewczyna sprawiła Johanssonowi idealny prezent. Potem wystarczyło powiadomić Waltersa. Istniało co prawda niewielkie prawdopodobieństwo, że Estończyk nie będzie miał ochoty wziąć tego zlecenia albo że będzie akurat zajęty czymś innym, ale Johansson zapewne liczył na uczciwość zabójcy, który miał w stosunku do niego jakieś zobowiązania.

– Wspominałeś o znalezionym w pokoju hotelowym Waltersa notesie? – wtrąciła Klaudia.

– No właśnie. Z zapisków znalezionych w trakcie przeszukiwania pokoju hotelowego Erika Waltersa wynika, że pierwsza praca, jaką wykonał dla Szweda, niezupełnie wyszła tak, jak to było zaplanowane. W starym, grubym notesie ukrytym w podwójnym dnie skórzanej walizki, która stała w szafie, brakowało niektórych kartek, więc nie wiemy, o co dokładnie chodziło. Walters napisał, że zaistniały jakieś „nieprzewidziane okoliczności”, które miały duży wpływ na sytuację. Zginęła przypadkowa osoba czy coś takiego. Wydarzenie to miało zresztą zasadniczy wpływ na dalsze poczynania chłopaka. Przestał zajmować się drobnymi zleceniami jako uliczny bandzior i właśnie wtedy postanowił skorzystać z możliwości wstąpienia do elitarnej rosyjskiej jednostki wojskowej. Tam zapewniono mu profesjonalne szkolenie i tam służył aż do nieszczęśliwego wypadku, jakiemu uległ w trakcie jednej z akcji rosyjskich komandosów.

– A co z listem, o którym wspominał recepcjonista? – zapytał Hellgrun. – Pamiętacie? Gdy go przesłuchiwałem w hotelu, mówił, że Walters chciał do kogoś napisać.

– Nie znaleźliśmy w jego rzeczach nic takiego. Może nie zdążył. A może planował to zrobić po wyprowadzeniu się z Nedre Finngränd. W pierwszej chwili, gdy weszliśmy do zajmowanego przez niego pokoju, myślałem, że się spóźniliśmy. Wydawało się, że już tam nie mieszka. Dopiero w szafie odkryliśmy spakowaną walizkę. Chyba już nigdy się nie dowiemy, kto miał być adresatem wspomnianego listu.

– A może chciał napisać do umierającego Johanssona? – zasugerowała Klaudia.

– Po co?

– Myślę, że mogło to mieć związek ze zleceniem zabójstwa, z powodu którego Walters przybył na Gotlandię. Jego nowym celem był rosyjski milioner, Władimir Lutczenko, który spędzał tu wakacje z rodziną.

– Dobrze, że nic mu się nie stało. Nawet nie chcę sobie wyobrazić, jaki podniósłby się krzyk po zamordowaniu rosyjskiego notabla.

– Nie wiemy, kto był zleceniodawcą, ale na razie Lutczenko jest bezpieczny.

– To, że Estończyk nie żyje, nie znaczy, że ktoś inny nie podejmie się wykonania zadania.

– Ale przynajmniej facet będzie się miał na baczności – zauważył przytomnie Hellgrun.

– Tak, tak. – Gustavson wreszcie uniósł głowę znad swojego smartfona. – Wzmocni swoją ochronę i dokupi kilka opancerzonych mercedesów.

– Żałujesz mu? Stać go – zachichotał Jacobsen.

– Szkoda, że my takich nie mamy – dodał Hellgrun.

– Wszystko pięknie, ale co robimy z książką Johanssona? – zapytał Karl.

To on przyczynił się do pojawienia się tego dowodu w śledztwie i pomimo otrzymanego od komisarza smartfona dalej uważał, że minimalizuje się jego zaangażowanie i poświęcenie. Chyba nie zauważył związku pomiędzy niespodziewanym prezentem a dostarczeniem książki z duńskiej księgarni.

– Historia z wypadkiem samochodowym, handel ludźmi... To wszystko bardzo poważne sprawy – kontynuował.

– Ale stare. Część z nich się przedawniła – stwierdził Lindberg. – Nas nie dotyczą. Poza tym oficjalnie to fikcja. Nie możemy na jej podstawie wszczynać dochodzenia. Jak sobie to wyobrażasz? Kogo mielibyśmy ścigać? W powieści nie pada ani jedno autentyczne nazwisko.

– Nie no, tak tylko pytam...

– Zostawmy ten temat historykom i dziennikarzom śledczym. Albo scenarzystom. Może ktoś będzie miał pomysł na serial telewizyjny o brudnym świecie polityki? Hollywood lubi takie tematy.

– Mam wrażenie, że w całej tej historii umknęło nam coś ważnego – odezwał się Hellgrun. – Tak jakby brakowało jakiegoś istotnego wątku.

Młody policjant w zamyśleniu przyglądał się dokumentom. Był dociekliwy, a to było jego pierwsze poważne śledztwo i bardzo chciał rozwiązać wszystkie zagadki.

Klaudia z Lindbergiem wymienili się spojrzeniami. Nie wszystko musi zostać rozwikłane. Żli ludzie zniknęli z powierzchni ziemi, dobrzy zostali. Czy nie o to chodzi w ich policyjnej robocie? Sprawa była zakończona. Po co drążyć...

Lindberg odezwał się pierwszy.

– No cóż, nie udało nam się tym razem złapać tajemniczego Fina, który prawdopodobnie stał za tym podwójnym morderstwem. Może jakoś głupio wpadnie przy następnej okazji. Tak jak Erik Walters.

Klaudia odetchnęła z ulgą. Kiedy spojrzała za okno, zauważyła, że przez chmury właśnie przedziera się słońce. Świat nagle wydał się jej dużo piękniejszy niż jeszcze godzinę temu...

POSŁOWIE

Niektóre wątki zamieszczone w tej książce nie mogłyby mieć miejsca w rzeczywistości. Polityk o skrajnie rasistowskich poglądach nie miałby szans zrobić kariery politycznej w Szwecji. W innych krajach europejskich – owszem, ale nie w Sztokholmie. Choć biorąc pod uwagę radykalizowanie się Europy, i takiego scenariusza nie można wykluczyć.

Również afera z zagranicznymi adopcjami nie mogłaby wydarzyć się w Szwecji. Z prostej przyczyny – na każde dziecko oddawane do adopcji, a takich przypadków jest w Szwecji niewiele, czeka po kilka szwedzkich rodzin. Jednak opisana w publikacji afera z zagranicznymi adopcjami miała miejsce w rzeczywistości i wydarzyła się w innym kraju europejskim.

Zabójstwa na Gotlandii, ulubionym miejscu wakacyjnych wypadów Szwedów, są również bardzo rzadkie. Ta największa na Bałtyku wyspa kojarzy się raczej z idyllicznymi wakacjami, wapiennymi monolitami, grotami w Lummelunda, cmentarzyskami z epoki brązu, wspomnianym w książce festiwałem średniowiecznym, a dzieciom – z Pippi Långstrump. To właśnie na Gotlandii, a konkretnie w parku Kneippbyn, znajduje się Willa Śmiesznotka, czyli domek rudowłosej dziewczynki, postaci stworzonej przez Astrid Lindgren. Miejsca związane z małą piegowatą psotnicą można też podziwiać w parku rozrywki w Vimmerby, skąd wywodziła się autorka popularnej wśród dzieci serii książek.

Ponieważ Gotlandia to ulubiony cel urlopowych wyjazdów milionerów, ambicją niemal każdego Szweda jest spędzenie tam wakacji przynajmniej raz w życiu. Na wyspie milionerów albo w szwedzkim raju – jak często określa się to miejsce.

Córki znanego szwedzkiego polityka wybierają się na wakacje do Alanyi na Riwierze Tureckiej. Studentkom towarzyszy chłopak jednej z nich, a na miejscu do trójki przyjaciół dołącza sympatyczny mężczyzna, z którym szybko nawiązują nić porozumienia.

Beztroskie dni spędzone pod tureckim słońcem nie trwają jednak długo. Starsza z sióstr i jej chłopak giną w niewyjaśnionych okolicznościach, a nowo poznany mężczyzna znika bez śladu. Śledztwo utyka w martwym punkcie i wydaje się, że zagadka śmierci córki Jana Wetterberga i jej chłopaka pozostanie nierozwiązana.

Gdy jednak po kilku latach młodsza z sióstr spotyka na Gotlandii owego młodzieńca z tureckiego kurortu, odżywają wspomnienia. Wetterberg tym razem nie zamierza czekać na reakcję policji. Bierze sprawę w swoje ręce, a miejscowi śledczy, Klaudia Jassem i jej przełożony Erik Lindberg, wkrótce będą musieli rozwiązać zagadkę już nie podwójnego, ale poczwórnego morderstwa...

„PORACHUNKI” TO REWELACYJNY KRYMINAŁ IWONY KIENZLER, POPULARNEJ AUTORKI, KTÓRA PRZEZ KILKA LAT MIESZKAŁA NA PIĘKNEJ GOTLANDII. TO DOŚWIADCZENIE POZWOLIŁO JEJ DOSKONAŁE ODDAĆ KLIMAT WYSPY, KTÓRA – CHOĆ ZNANA JAKO WYSPA MILIONERÓW – SKRYWA MROczne TAJEMNICE.

IWONA KIENZLER

– znana pisarka i popularyzatorka historii, pasjonująca się losami słynnych postaci, zarówno historycznych, jak i żyjących współcześnie. Autorka wielu bestsellerowych biografii. Lubi pisać, podróżować i pływać. W wolnych chwilach czytuje kryminały. Kilka lat spędziła w Szwecji, a owocem tych doświadczeń są „Porachunki”.



www.wydawnictwolira.pl

L I R A
WYDAWNICTWO

ISBN: 978-83-67915-45-8



cena: 52,99 zł
(w tym 5% VAT)